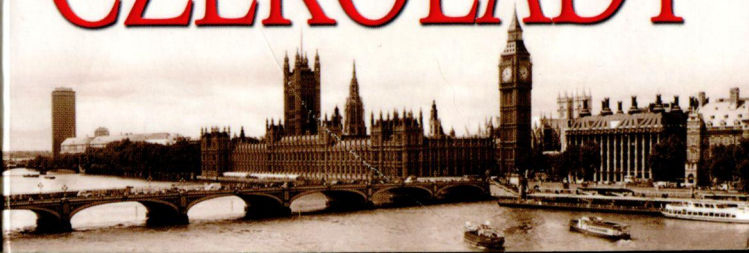



A close-up photograph of a person's mouth, smiling broadly. The lips are bright red, and the teeth are white. A large, dark brown chocolate heart is being held in the mouth, with the tongue visible behind it. The background is a plain, light color.

CAROLE MATTHEWS

KLUB

MIŁOŚNICZEK
CZEKOLADY





**Zapomnijcie o brylantach
– to czekolada jest najlepszym przyjacielem dziewczyny!**

Niektóre kobiety są uzależnione od zakupów, inne nigdy nie mają dość szampana. Są takie, które lubią usiąść z dobrą książką, inne wolą wyjść wieczorem z domu. A Lucy Lombard nie może żyć bez czekolady. Gęsta, kremowa, słodka, przepyszna czekolada jest niezastąpiona. W dodatku potrafi wszystko wyleczyć, od złamanego serca po ból głowy. Tę miłość Lucy dzielają trzy najlepsze przyjaciółki: Autumn, Nadia i Chantal. We cztery tworzą doborową grupę – Klub Miłośniczek Czekolady. Zawsze gdy pojawia się kryzys, spotykają się w swoim sanktuarium – kafejce Czekoladowe Niebo. Kiedy chłopak, który obiecuje wierność, nadal zdradza, szef flirtuje, mąż okazuje się nałogowym hazardzistą, a w małżeństwie brakuje miłości, można się zwierzyć przyjaciółkom i wzmocnić nadwątlone siły czekoladą.

Klub Miłośniczek Czekolady Carole Matthews to powieść smakowita, zabawna i wzruszająca. Losy czterech niepowtarzalnych kobiet z całkowicie różnych światów jednoczy uzależnienie od czekolady.

Rada dla tych, którzy zaczną czytać tę książkę – koniecznie miejcie pod ręką dużą tabliczkę czekolady... To znakomita lektura, dzięki której uwierzycie w siłę przyjaźni i miłości.

News of the World

ISBN 978-83-62343-72-0



9 788362 343720 >

Carole Matthews

Klub Miłośniczek Czekolady

Przełożyła
Małgorzata Strzelec



książki
GFJ

Badania do tej książki były procesem
bardzo żmudnym - tyle różnych czekolad,
a tak niewiele czasu! Ogromnie dziękuję wszystkim
osobom, które pomogły mi w mojej misji i dzięki
którym moja miłość do czekolady zamieniła się
w poważne uzależnienie.

Dziękuję też kochanemu Kewowi, który podszedł
do mozolnego zadania, jakim była pomoc w zjedzeniu
całej tej czekolady, z typowym dla siebie entuzjazmem.

1

- Dawaj jeszcze jedną działkę! - wołam.

- Na pewno?

Widzę uniesione pytająco brwi.

- Dam radę.

- Żebyś nie przedawkowała - ostrzega mnie. -
Nawet taki stary wyjadacz jak ty może przedobrzyć.

- W życiu.

W sytuacjach kryzysowych lekiem, po który zawsze sięgam, jest czekolada z ziaren kakaowca z jednej konkretnej plantacji na Madagaskarze. Nie ma takiej przypadłości - nie w tym wszechświecie - której by nie wyleczyła. To lekarstwo na wszystko, począwszy od złamanego serca, skończywszy na bólu głowy. A jedno i drugie przytrafia mi się nader często, możecie mi wierzyć.

- Dawaj towar, człowieku.

Z powagą kiwam głową i diler podaje mi następną działkę. Wzdycham z ulgą. Czekolada. Mmm. Mmm. Mmm! Cudna, precudna, kremowa, słodka, pyszna czekolada. Nigdy nie mam jej dość.

Biorę pierwszy kęs i ciepły, kojący smak zaczyna łagodzić ból. Są takie chwile, kiedy czekolada naprawdę jest odpowiedzią na wszystkie modlitwy.

- Lepiej?

- Zmierzam ku temu - odpowiadam, uśmiechając się słabo.

- Gang zaraz tu będzie i wtedy od razu lepiej się poczujesz.

- Wiem. Dzięki, Clive. Jesteś moim zbawcą.

- Zawsze do usług, kochana. - Przybija ze mną piątkę w bardzo afektowany sposób, ale ponieważ jest gejem, więc mu wolno.

Biorę towar, znajduję sobie sofę w kącie i padam na nią. Moje umęczone kości zaczynają odpoczywać, a kiedy wdycham mocny aromat wanilii, czuję, że w głowie też mi się przejaśnia.

Nie jestem osamotniona w moich pragnieniach. Skądże! Jestem członkinią małej, ale doskonale dobranej sekty, którą nazwałyśmy „Klubem Miłośniczek Czekolady”. W cztery tworzymy nasz gnębiony poczuciem winy gang, a spotykamy się tutaj, w Czekoladowym Niebie, tak często, jak to możliwe. Ta kafejka to raj dla nałogowców, odpowiednik palarni opium dla czekoladoholików. Znajduje się na uboczu, w wybrukowanym zaułku w eleganckiej dzielnicy Londynu, ale nie powiem, gdzie dokładnie, bo wtedy zdradziłabym swój sekret hordom spragnionych kobiet, które zagarnęłyby nasze lokum i wszystko popsowały. To tak samo, jak kiedy odkryjesz doskonałe miejsce na wakacje - ciągnące się kilometrami puste białe plaże, przytulne, malutkie restauracyjki i nocne kluby - a potem opowiadasz wszystkim, jakie to rewelacyjne miejsce i w następnym roku roi się tam od ludzi, którzy przylecieli tanimi liniami lotniczymi, i już nie da się nawet zrobić kroku na plaży pełnej przenośnych radiomagnetofonów i wzdętych cielsk w wyszywanych paciorkami sarongach z Matalanu. Wszystkie przytulne knajpki podają teraz kiełbasę

i frytki, a nocne kluby oferują drinki za pół ceny i mają maszyny do robienia piany. Więc na razie Czekoladowe Niebo jest tylko dla wybrańców i niech tak zostanie jak najdłużej.

Odchyłam głowę i zażywam lekarstwo raz jeszcze - wrzucam kolejną tafelkę boskiej czekolady do ust i wzdycham z głębi serca.

Nazywam się Lucy Lombard i chyba jestem członkinią i założycielką, ponieważ to ja jestem szczęściarą, która odkryła Czekoladowe Niebo. Dzisiejsze spotkanie Klubu Miłośniczek Czekolady ma charakter nadzwyczajny i pospieszny. Jeśli któraś z nas wysyła wiadomość: „Pogotowie czekoladowe”, to w miarę możliwości wszystkie rzucamy to, czym się akurat zajmujemy, i pędzimy do naszego sanktuarium. Taka wiadomość to odpowiednik powiadomienia dyżurującego lekarza, że na monitorze jego pacjenta z chorobą serca właśnie pojawiła się linia prosta. Tym razem to ja zwołałam spotkanie. Czekajcie, aż powiem dziewczynom, co się wydarzyło - w życiu nie uwierzą. A może właśnie uwierzą...

Pierwsza pojawia się Autumn. Wpada do kafejki, akurat kiedy kończę ostatni kawałek czekolady.

- Wszystko w porządku? - pyta, ledwo łapiąc oddech.

Autumn Fielding jest jedną z tych, co naprawdę troszczą się o innych.

- Marcus. Znowu - wyjaśniam.

Marcus ma być rzekomo moim ukochanym chłopakiem, ale więcej na ten temat za chwilę.

Autumn współczująco kręci głową.

Wiele księżyców temu przychodziłam tu samotnie i ukrywałam się w kącie. Nie lubię jeść przy ludziach, a już w szczególności nie lubię, gdy ktoś widzi, jak jem

czekoladę. Podejrzewam, że ćpuny też nie lubią, gdy patrzy się, jak się przysysają do fajki z koką albo wstrzykują sobie heroinę. Jest coś nieprzyzwoitego w byciu obserwowanym, gdy zaspokajają się swoje perwersyjne pragnienia. (No, chyba że twoja perwersja polega na tym, że lubisz, jak cię ktoś obserwuje). Co prawda nie ślinię się, ale mam wrażenie, że wyglądam, jakbym się śliniła. I myślę, że zgodzicie się ze mną, że najlepiej ślinić się w odosobnieniu.

W czasie jednej z moich licznych samotnych wizyt w Czekoladowym Niebie poznałam Autumn. Nigdzie nie było wolnego miejsca oprócz krzesła obok mnie, więc przysiadła się i natychmiast się dogadałyśmy. Zresztą nie sądzę, żeby znalazł się ktoś, kto nie polubiłby Autumn - jeśli nie ma się nic przeciwko ludziom, którzy nieustająco są mili. Słowo przestrogi. Rodzice, uwaga: jeśli zamierzacie nazwać córkę Autumn*, na pewno wyrosnącej kręcone rude włosy i będzie głosować na Partię Zielonych. Tak samo jak nasza Autumn.

Autumn lubi ciemną czekoladę. W świecie czekoladowej psychologii - jestem pewna, że istnieje coś takiego - to może świadczyć o tym, że Autumn ukrywa swoją ciemną stronę. Zawsze pogryza czekoladę - skubie każdy kawałeczek, bierze tysiąc maleńkich kasków, dzięki czemu, jak sądzę, czuje się mniej winna wobec biednych ludzi. Ma potworne wyrzuty sumienia, kiedy zaspokajają czekoladowy nałóg. Reszta z nas zamartwia się ilością kalorii, które pochłaniamy, i tym, na jak długo pozostaną w naszych biodrach. Autumn zamartwia się głodującymi dziećmi, które muszą przeżyć o misce ryżu dziennie i nie jedzą czekolady. Wcale. Ja nie martwię się głodującymi

* Autumn (ang.) - jesień (przyp. tłum.).

dziećmi. Szczerze mówiąc, staram się całkowicie wymazać je z moich myśli. Mam dość własnych zmartwień.

- Potrzebujemy gorącej czekolady na poprawę humoru - mówi Autumn, rozwiązując szalik, bez wątpienia wydziergany przez jakiegoś biednego meksykańskiego nastolatka, który zarabia funta rocznie w przeżartych brudem slamsach.

- Clive! - krzyczę nad ladą do naszego przyjaciela i dostawcy. - Zaraz przyjdą pozostałe. Co powiesz na gorącą czekoladę na szybko?

- Się robi - odpowiada i bierze się do roboty.

I wtedy zjawia się Nadia. Podchodzi, obejmuje mnie i patrzy mi głęboko w oczy.

- Zasługujesz na kogoś lepszego.

- Wiem.

Wszystkie wiemy. Nadia nie musi nawet pytać, kto jest powodem kryzysu. Zawsze chodzi o Marcusa.

- Właśnie zamówiłam gorącą czekoladę.

- Cudnie.

To właśnie Nadia Stone jest kolejną osobą, która dołączyła do formującego się gangu. Zjawiła się w Czekoldowym Niebie w porze lanczu. Wyglądała na zdenerwowaną i bliską łez. Zamówiła szeroki wybór pyszności serwowanych przez Clive'a i jego partnera Tristana, kierując się raczej pośpiechem niż dobrym gustem. Obie z Autumn współczułyśmy jej, bo same nieraz znajdowałyśmy się w podobnym położeniu. Podjęłyśmy jedyną słuszną decyzję i od razu przygarnęłyśmy ją pod nasze skrzydła.

Już wtedy wpadłyśmy z Autumn w nawyk spotykania się co najmniej raz w tygodniu, dwa razy, jeśli wymagał tego poziom stresu. Teraz całą czwórką spotykamy się wedle bieżących potrzeb.

Nadia jako jedyna spośród nas jest matką. Ma wymagającego uwagi trzylatka - a czy nie wszystkie dzieci w tym wieku są wymagające? Jej synek ma na imię Lewis. Kolejne noce pozbawione porządnego snu były głównym powodem jej łez, ale teraz sprawy wyglądają już lepiej. Lewis sypia wystarczająco dużo, żeby Nadia była w stanie funkcjonować w normalnym świecie.

Nadia nie jest wybredna, jeśli chodzi o rodzaj czekolady. Mówi, że czekolada zapewnia jej jedyną chwilę wytchnienia, ale sprawia wrażenie, jakby pochłaniała ją, nawet nie czując smaku. W moim świecie to poważny grzech. Jeśli człowiek wpadł w nałóg, to przynajmniej powinien umieć się w nim rozsmakować. Nadia je czekoladę dla pociechy - tak jak moim zdaniem dziewięćdziesiąt dziewięć procent populacji kobiet. Jak ja nosi atrakcyjnie zaokrąglony rozmiar dziesięć. Twierdzi, że nigdy nie odzyskała figury po urodzeniu Lewisa. Moim zdaniem dlatego, że podkrada synowi czekoladę, zanim dzieciak zdąży się choćby do niej zbliżyć. Nadia przyznaje się, że kiedy Lewis nie patrzy, zlizuje nawet czekoladę z jego herbatników pełnoziarnistych.

- Nienawidzę brytyjskiej pogody.

Ostatnia z naszej czwórki zjawia się Chantal. Opada na siedzenie i strząsa z lśniących włosów krople deszczu.

Pochodząca ze słonecznej Kalifornii Chantal Hamilton jak Nadia jest mężatką. Ma bajecznie bogatego męża Teda, finansowego geniusza w City. Chantal jest najstarsza z naszej czwórki - dobiega czterdziestki - ale też zdecydowanie najbardziej olśniewająca i elegancka. Wysoka, smukła, jest wręcz obłędnie piękna, utalentowana i zawsze nienagannie wygląda. Gdyby była koniem, byłaby kłaczą czystej krwi. Włosy na gładkiego,

ciemnego pazia obcina jej jeden z najlepszych stylistów w Londynie - jeden z tych, którzy ciągle pojawiają się w telewizji. Każdy włoszek zawsze leży jak powinien. U fryzjera Chantal zawsze czeka w sali dla VIP-ów i przy okazji strzyżenia dostaje szampana. Tak żyje śmietanka towarzyska! Chantal nosi buty, na których sam widok bołą mnie stopy, regularnie odwiedza butiki projektantów, do których trzeba się wcześniej umówić na wizytę, i ma doradców od zakupów, którzy śmiertelnie przeraziliby ciułaczy z kontami bankowymi zwyczajnych rozmiarów. Tak, Chantal Hamilton ma wszystko, czego potrzeba w życiu.

Wszystko, prócz męża, który miałby ochotę na seks.

To prawda. W dzisiejszych czasach i w wieku, kiedy uważamy, że wszyscy szaleją na punkcie seksu, Chantal i Ted kochają się raz w roku. Dwa razy, jeśli Chantal dorwie go w Boże Narodzenie, spitego śmiercionośną kombinacją wódki i kogla-mogła. Surowe żółtko z cukrem, ohyda. Podobnie walentynki albo jej urodziny to seks gwarantowany jak w banku, ale reszta pozostaje w rękach Boga. Chantal wolałaby, żeby więcej zostało w rękach Teda.

Pomimo dobrego pochodzenia i prezencji kobiety z klasą Chantal także zajada czekoladę jak popadnie i nie chce się przyznać do nałogu. Nasza amerykańska przyjaciółka upiera się po prostu przy stwierdzeniu „że lubi słodocze”. Ja nazywam to głębokim wyparciem.

- No więc? Czemu się dziś spotykamy? - dopytuje się Chantal. - Szkoda, że nie widziałyście tyłka fotografa, którego musiałam spławić. - Chantal ma inne sposoby oprócz czekolady, żeby radzić sobie z brakiem chęci męża do wypełniania obowiązków małżeńskich. Wybaczcie, że powiem prosto z mostu, Chantal woli

raczej przelatywać swoich fotografów, niż ich spławić.
- Lepiej, żeby to było coś dobrego.

- Ale nie jest - odpowiadam ponuro.

Clive przynosi tacę z czterema szklankami parującej jeszcze czekolady z bitą śmietaną i wiórkami z czekolady mlecznej. Stawia je na niskim stoliku między nami. Kłęby pary unoszą się w powietrze. Czekolada to coś, co na pewno rozgrzeje nasze zmarznięte stopy... i złagodzi ból mojego złamanego serca.

- Zrobiłem *feuillantines* - mówi Clive, teatralnie wznosząc oczy do nieba, co ma wyrażać krańcową rozkosz. - Cieniuteńkie płatki z dodatkiem imbiru, goździków, gałki muszkatołowej i cynamonu. - Cmokamy z aprobatą. - Musicie spróbować.

Sami powiedzcie, kto by się sprzeciwiał?

- Proszę, moje panie.

Rozlega się chóralne westchnienie pełne wyczekiwania, gdy podaję pozostałym szklanki.

Zapadamy się w miękkich, wygodnych sofach. Zgodnie sączymy gorącą czekoladę i znowu rozlega się chóralne westchnienie - tym razem wyrażające zachwyt.

- No więc? - pyta Chantal.

Autumn już ma wąsy z czekolady i wyczekujące, szeroko otwarte oczy.

Przesuwam spojrzenie po kręgu przyjaciółek.

- Siedzicie wygodnie?

Kiwają głowami. Wszystkie jednocześnie sięgamy po ciężkie, czekoladowe *feuillantines*.

- No to zaczynam...

2

Ta, która jada czekoladę, powinna ćwiczyć - to jedna z podstawowych zasad obowiązujących we wszechświecie. I dlatego we wtorkowe wieczory chodzę na zajęcia jogi. Kończę ostatni kęs marsa, wyrzucam opakowanie do kosza. Jest szósta, więc wyciągam spod biurka torbę z ubraniem do ćwiczeń, mając nadzieję, że uda mi się szybko wymknąć.

Obecnie pracuję w Tardze, firmie komputerowej, która specjalizuje się w odzyskiwaniu danych - cokolwiek to znaczy. Wiem tylko, że pracuję tu najczęściej jako sekretarka na zastępstwie, kompletnie marnując dyplom, który z takim trudem zdobyłam na studiach dotyczących mediów; wszyscy uważają zresztą, że to bzdura, jeśli chodzi o kwalifikacje. W Tardze panuje wyjątkowo wysoki poziom stresu, zachorowań i brania dni wolnych. Myślę, że niektórzy z moich kolegów z pracy bardziej niż ja skorzystaliby z zajęć jogi, na które uczęszczam. Za każdym razem, gdy jakaś kobieta zachodzi w ciążę, zawsze znajduje się powód, żeby wylać tę biedną, pechową istotę - nawet jeśli wymaga to czasu i kreatywności. W ciągu ostatnich kilku lat pracowałam tu dłużej, niżby wymagało po prostu zastępowanie sekretarki na przedłużonym urlopie macierzyńskim. Prawo pracy nic tu nie znaczy.

Lubię pracować w Tardze choćby z tego powodu, że biuro znajduje się wręcz niebezpiecznie blisko Czekoladowego Nieba. Jeśli się uwinę, mogę wyskoczyć tam w czasie lanczu. Obecnie do moich obowiązków należy spełnianie różnorodnych i wielorakich zachcianek sześciu różnych sprzedawców pod baczным spojrzeniem dyrektora sprzedaży, pana Aiden Holby'ego.

- Cześć, Ślicznotko - mówi Aiden Holby, mijając moje biurko. - Zmykasz, żeby znowu założyć sobie nogi za uszy?

Targa jest firmą wyjątkowo niepoprawną politycznie. Zachęca się tu do molestowania seksualnego i ogólnego nękania pracowników - głównie dlatego, że to jedyna dostępna forma odreagowania ciągłego stresu. Umiejętność bezwstydnego flirtowania i szeroki zakres obraźliwego słownictwa są bezwzględnie wymagane u nowo zatrudnianych pracowników.

- Aha. Joga wzywa.

- Wiele bym dał, żeby zobaczyć, jak się wyginasz w obcisłych trykotach z lycry.

- Tak?

Unosi rękę.

- Nie przerywaj mi. Przeżywam właśnie jedną z tych małych męskich rozkoszy.

- Możesz sobie pomarzyć - mówię, ruszając do drzwi.

- Spotykam się później z chłopakami na drinku w Space - oznajmia, włączając stukilowatowy uśmiech.

- Dołącz do nas.

- Nie mogę, ale dzięki.

- Postawię ci kieliszek czekoladowej wódki, za którą tak przepadasz.

Kuszące. Istnieje tylko jedna rzecz, którą można uznać za lepszą niż czekolada, i jest to połączenie alkoholu z czekoladą.

- Raczej sobie odpuszczę - odpowiadam, starając się trzymać zasad.

- Miałem nadzieję, że cię upiję, żebyś mogła mnie uwieść.

- Nie stać cię na tyle drinków.

Śmieje się cicho.

- Dobranoc, Ślicznotko. Do jutra.

Aiden zawsze zwraca się do mnie: Ślicznotko, ale nie bardzo wiem, czy dlatego, że uważa mnie za śliczną, czy dlatego, że przez biuro przewinęło się tak wiele tymczasowych pracownic, że przyswoił sobie jedno określenie dla nas wszystkich. Oszczędza sobie męczącego zapamiętywania wszystkich imion. Ja jednak nie nazywam go Przystojniakiem, chociaż rzeczywiście kwalifikowałyby się do takiego określenia.

Aidena Holby'ego cechuje rzadki wdzięk. Wszystkie pracownice, zwłaszcza te w pewnym wieku i te, którym łatwo zaimponować, uważają, że jest cudny. Jest wysoki, ciemnowłosa i wręcz obrzydliwie przystojny. Fakt, że ma bezczelny uśmiech, któremu nie sposób się oprzeć, i szelmowskie, błyszczące oczy, nie umknął i mojej uwagi. Zdarza mi się łapać na tym, że opowiadam o Aidenie Holbym w Klubie Miłośniczek Czekolady w samych superlatywach, więc dziewczyny nadały mu już stosowne przydomki: Luby. Nie żebym podkochiwała się w szefie... w każdym razie nie całkiem. Zresztą pan Aiden Luby Holby jest kawalerem z wyboru, a ja kobietą pozostającą w długotrwałym, poważnym związku. Jestem lojalna wobec Marcusa do entego stopnia, chociaż przyjaciółki z Klubu Miłośniczek Czekolady dość często wytykają mi, że jest to lojalność całkowicie mylnie przeze mnie pojmowana.

3

Dołączam do tłumu zmierzającego do metra i śmigam kilka przystanków do klubu fitness, gdzie odbywają się zajęcia jogi. Ten klub to nic nadzwyczajnego, ale mieści się w moim skromnym budżecie. Właściwie to nawet się nie mieści, ale nie dzielimy włosa na czworo. Nie ma tu lśniących, chromowanych powierzchni ani matowego szkła. I chociaż w szatni zawsze czuć tanie środki dezynfekujące, mogłoby tu być czystiej. Dlatego nie siedzę pod prysznicem dłużej, niż to jest absolutnie niezbędne. A w salach ćwiczeń nieodmiennie zalatuje starym potem. Klimatyzacja też nigdy nie działa, jak powinna, a ten dzień był wyjątkowo ciepły - z gatunku tych, kiedy toffee crisp robią się w torebce miękkie i ciągnące. Wiem, bo właśnie zjadam taki batonik po drodze jako kolację. Ale skoro regularnie przychodzę tu, żeby karać moje ciało, to batonik pozwoli mi utrzymać właściwy poziom spożywanych kalorii.

Prowadzę nieustającą walkę ze sobą, żeby nie przejść na okrągłą stronę bycia pulchną. Ujmując to ściślej, jestem naturalną blondynką i jak na mój nałóg nie aż takim hipopotamem, chociaż zapewne opisano by mnie jako dużą albo kształtną, gdybym kiedykolwiek pojawiła się w brukowcu jako bohaterka skandalu. Smakowita Lucy albo Puszysta Lucy tak pewnie brzmiałoby

moje przewisko w nagłówkach. Pół kroku dzieliłoby mnie od Tłustej Lucy.

Kiedyś miałam ambicje, ale nie jestem pewna, czy coś mi z nich zostało. Wiem tylko, że nie chcę przez resztę życia wypełniać papierków i przynosić kawy ludziom, którzy nawet nie próbują mnie poznać, bo nie zostanę z nimi na długo. Lata mijają, a ja nadal siedzę w długach z czasów studenckich, ale pewnego dnia przestanę wydawać wszystkie pieniądze na zbędne kalorie i zacznę oszczędzać jak rozsądny człowiek. Choć moja wskazówka odrobinę wychyla się po niewłaściwej stronie trzydziestki, jest mi z tym bardzo dobrze.

Nie jestem ani smutną samotną, ani zadowoloną mężatką. Mam chłopaka na stałe... czasami. Marcus Canning to mężczyzna, który mnie uwielbia i chce się ze mną ożenić. Pewnego dnia. Jesteśmy razem od pięciu lat i teraz Marcus powoli dociera do etapu „zaangażowania”, co jest dobrą rzeczą.

Kiedy zbliżam się do klubu, serce ściska mi się coraz bardziej. Ćwiczę jogę, żeby zmniejszyć poziom stresu, ale nie jestem pewna, czy to działa, ponieważ nieodmiennie, leżąc tam z zaciśniętymi do białości pięściami, myślę „No dalej!”, podczas gdy wszyscy pozostali wyciągają się z zadowoleniem na podłodze, słuchając rozświergotanych treli i niskiego, monotonnego głosu naszej nauczycielki Persephone. Walczę, żeby zmusić kolana do pozostania w lotosie, przy którym prawie wykręcam sobie nogi, a półpług robię tylko na pół gwizdka. Zapał, z jakim dbam o swoją duchową stronę, oznacza też, że zwykle we wtorki nie widuję się z Marcusem.

Od czasu do czasu Marcus dzwoni i błaga, żebym zaniechała moich prób utrzymania formy, i zwabia mnie

do siebie, oferując ogromne ilości czekolady i obfitość czerwonego wina. Nazwijcie mnie słabą, ponieważ zawsze kapituluję - chociaż czasem robię trochę szumu z powodu niepójścia na zajęcia. Marcus rzadko kupuje moje wykręty, bo wie, że potrafi okręcić mnie sobie wokół małego palca. Poza tym kieliszek wina dobrze robi na serce. Chociaż nie wiem, czy następne cztery, które nieodmiennie wychyłam po pierwszym, też są takie zdrowe. Dwie tafelki ciemnej czekolady dziennie też świetnie robią na zdrowie. Podwyższają poziom endorfin i antyoksydantów, a to musi być dobre. Jak często naukowcy się mylą? Co? Więc właściwie zostając w domu, pijąc wino i jedząc czekoladę, pewnie o wiele bardziej dbam o zdrowie, niż chodząc na zajęcia jogi, które grożą rozlicznymi kontuzjami. I spójrzmy prawdzie w oczy, niezależnie od tego, czy to fakt udowodniony naukowo, czy nie, alkohol i pudełko czekoladek zawsze wygrają ze zdrowiem i hatha-jogą u większości ludzi - i ja nie stanowią tu żadnego wyjątku.

Mój chłopak wie o tym, że nie potrafię się oprzeć kuszącej czekoladzie ani jego kuszącej osobie. Ale chociaż przez pół dnia wpatrywałam się w telefon i siłą woli zmuszałam go, żeby uratował mnie od tortury, jaką jest pozycja trójkąta, Marcus nie zadzwonił. Dzwoniłam do niego kilka razy - z dziesięć albo coś koło tego - ale potem doszłam do wniosku, że przesadzam. I tak cały czas jego komórka od razu przełączała mnie na pocztę głosową.

Odwijam z papierka toffee crisp z awaryjnych zapasów w torebce i wgryzam się z zapałem. Ćwiczenia na pusty żołądek - nawet joga - zawsze sprawiają, że jestem bliska omdlenia. Szczerze mówiąc, dopiero niedawno nawróciłam się na rozkosze wyrobów z wyselek-

cjonowanych plantacji. Uwielbiam czekoladę we wszystkich jej rozlicznych formach, ale moja najnowsza pasja to wyrefinowane czekolady robione z wybranych ziaren z określonych plantacji na całym świecie - Trynidadu, Tobago, Ekwadoru, Wenezueli, Nowej Gwinei. Wszystko to egzotyczne miejsca. Są to absolutnie najlepsze czekolady świata. Moim skromnym zdaniem. To Jimmy Choo czekoladowego świata. Chociaż trufle stanowią ich poważną konkurencję. (Ściśle rzecz ujmując, trufle to wyrób cukierniczy z dodatkiem czekolady w przeciwieństwie do prawdziwych czekolad, ale czuję, że gdy tak mówię, wychodzę na czekoladowego maniaka).

Kolejna moja obsesja to czekolady Green & Black. Niebo w gębie. Nawróciłam Autumn na te odżywcze kremowe tabliczki, które może jeść bez poczucia winy, bo są robione z ekologicznie hodowanych ziaren, a firma przestrzega uczciwych warunków w handlu z plantatorami. Nie można powiedzieć, żebym nie była troskliwą i dbającą o innych osobą, prawda? Kiedy moja przyjaciółka zjada tabliczkę czekolady Maya Gold, nie musi potem przekreślać się z boku na bok przez całą noc, rozmyślając o losie biednych farmerów kakaowca. Ja też się przejmuję ludźmi pracującymi na plantacji czekolady Maya, ale przyznam szczerze, że bardziej przejmuję się mieszanką ciemnej czekolady z odświeżającym pomarańczowym posmakiem, idealnie zrównoważonym ciepłym aromatem cynamonu, gałki muszkatołowej i wanilii. Ci goście od Mai wiedzą, co robią. Coś boskiego. Mam nadzieję, że będą żyli długo i szczęśliwie, wiedząc, jak wiele kobiet jest uzależnionych od ich pracy.

Żeby nie wyjść na czekoladowego snoba, wsuwam też marsy, snickersy i batoniki Double Decker w hurtowych

ilościach. Oczywiście wychowałam się na diecie składającej się z Cadbury i Nestle, a batoniki Milky i Curly Wurly należały do moich ulubionych - i jestem pewna, że z każdym rokiem jedno i drugie robią coraz mniejsze. Walnut whips z orzechami włoskimi ostatnimi czasy też rozczarowują. Nie są już takie, jak kiedyś. Co oczywiście nie powstrzymuje mnie przed ich zjedaniem - uznajcie to za badanie produktu.

Pospiesznie zajadając ostatnie kęsy toffee crisp, wpadam przez drzwi, rzucam radosne „Cześć” do recepcjonistki - młodej trzciniki Becky, która wygląda tak, jakby czekoladowa pokusa nigdy nie pojawiła się na jej drodze - i pędzę, żeby się przebrać.

- Och, Lucy! - woła za mną. - Zajęcia jogi są dziś odwołane. Persephone nadwreżyła sobie plecy.

Niezła reklama dla jogi, co?

- Cholera - mówię. - A tak liczyłam na to, że rozluźnię wszystkie napięcia w ciele.

Możecie uznać mnie za kłamczuchę, i tak mam to gdzieś.

- Możesz się wkręcić na zajęcia z piłkami - proponuje Becky. - No i zawsze zostaje siłownia.

Obie propozycje wymagają zbyt dużego wysiłku. Lubię jogę, bo możesz udawać, że się wysilasz, robiąc w gruncie rzeczy bardzo niewiele. Jeśli przestaniesz biec na zajęciach aerobiku, wszyscy to zauważą. Zaśnij na jodze, a wszyscy uznają, że świetnie medytujesz.

- Może jednak odpuszczę sobie dziś wieczorem - mówię, udając rozczarowaną.

Do kąta z pozycją spletanego kąta, chichoczę w myślach.

- Mam nadzieję, że Persephone wydobrzeje - dodaję ze współczuciem.

- Powinna dojść do siebie za kilka dni.

Więc co teraz? Mogłabym skoczyć do baru i wypić drinka z chłopakami. Propozycja czekoladowej wódki prezentuje się bardzo kusząco. Myśl, żeby spędzić trochę czasu prywatnie z Lubym, też mnie nie odrzuca, ale wtedy musiałabym wysłuchać całej litanii żartów na temat jogi w wykonaniu jego i kumpli. Może Luby naprawdę spróbowałby mnie spić i może - ale tylko może - naprawdę spróbowałabym go uwieść. Nie mogę tam iść. W firmie bardzo lubią ćwiczenia wzmacniające więzi w zespole - często obejmują one alkohol i nieodmiennie kończą się wstydem, wylaniem z pracy i pozwami w sprawach o molestowanie seksualne. Jutro w biurze będę musiała stawić czoło Lubemu, a zresztą już jestem na pełen etat dziewczyną cudownego faceta.

Mieszkanie Marcusa znajduje się kawałek stąd. Mogłabym znowu wskoczyć do metra i zafundować mojemu mężczyźnie cudną niespodziankę. Rozważając różne możliwości, bezwzględnie wybieram ciepłe objęcia Marcusa. To o wiele rozsądniejsze. Myśl, że zaraz zobaczę mojego kochanego, dodaje mi energii, więc umacniam się w postanowieniu, żeby pójść do niego.

4

Marcus ma rewelacyjne mieszkanie na ostatnim piętrze jednego z tych wspaniałych gmachów w stylu georgiańskim w naprawdę modnej dzielnicy Londynu. Kupił je raptem w zeszłym roku i to mnie trochę martwiło, bo miałam nadzieję, że zamieszkamy razem, kiedy Marcus wyrośnie z mieszkania, które wynajmował razem z trzema facetami, ale powiedział, że nie jest na to gotowy. Dał mi jednak klucz, co zawsze uważałam za poważny dowód zaufania w związku. Oprócz tego - jak mnie zapewnił - to mieszkanie będzie dobrą inwestycją na przyszłość. Kiedy już zamieszkamy razem - co pewnego dnia nastąpi - Marcus będzie mógł wykorzystać pieniądze z mieszkania jako depozyt pod nasz własny dom. Marcus jest bardzo dobry w planowaniu inwestycji. Jak mąż Chantal ma niesamowicie dobrze płatną pracę w City i jest skończonym pracoholikiem. Praca to jego życie. No i ja, rzecz jasna.

Marcus jest piękny. To blond przystojniak i uważam, że mam ogromne szczęście, że znalazłam takiego chłopaka. Czasem, kiedy tracę nieco pewności siebie, wbrew sobie myślę, że jest spoza mojej ligi. Dla dziewczyny, która dorastała z przezwiskiem Pućka, to dziwne uczucie mieć takiego chłopaka jak Marcus. Wystarczy, że wejdzie do pokoju, a wszystkie kobiety odwracają się

w jego kierunku. Czasem również mężczyźni. Ja wyglądam bardziej zwyczajnie - nie prezentuję się kiego, ale ujmę to tak: nigdy nie zostanę odkryta na ulicy przez agencję modelek Elite, która akurat szukałaby nieco bardziej dojrzałych i pulchniejszych modelek.

Poznaliśmy się z Marcusem w księgarni. Zawsze uważałam, że to brzmi niesłychanie romantycznie. Kupowałam sobie nowy egzemplarz *Dumy i uprzedzenia*, żeby wymienić stary, mocno już szczytany, a on kupował *Crap Towns: The 50 Worst Places to Live in the UK**. To była miłość od pierwszego wejrzenia. Przynajmniej z mojej strony. Marcus poprosił mnie o numer telefonu, ale potrzebował miesiąca, zanim do mnie zadzwonił, chociaż codziennie próbowałam go do tego zmusić siłą woli. Później mi się przyznał, że natrafił na numer przypadkiem, przeglądając komórkę. Kiedy go znalazł, nie pamiętał, czyj jest, więc z ciekawości zadzwonił. To chyba był mój szczęśliwy dzień.

Wkładając klucz do zamka, wołam jak zwykle:

- Kochanie, wróciłam!

To taki nasz mały żart.

Czuję cudowny zapach czegoś pikantnego.

- Mmm.

Nie zdawałam sobie sprawy, jaka jestem głodna. Jadłam dzisiaj tylko czekoladę, czekoladę i jeszcze trochę czekolady - jak zwykle. Kiedy wchodzę do salonu, Marcus wychodzi właśnie z kuchni. Ma na sobie fartuch i wymachuje drewnianą łyżką.

* *Crap Towns: The 50 Worst Places to Live in the UK* (ang.) - lista 50 najgorszych miast do zamieszkania w Wielkiej Brytanii ułożona w plebiscycie przez czytelników czasopisma „*Idler*” w 2003 roku (przyp. tłum.).

- Co tu robisz?

- Czy to znaczy to samo, co „Witaj, kochanie, kocham cię?” - pytam, rzucając torbę z ubraniem na podłogę, i podchodzę, by pocałować go na powitanie. - Pachnie smakowicie. - Obejmuję go w pasie i przytulam. - Jestem pod wrażeniem. Powinieneś częściej to robić. Co gotujesz?

- Nic takiego - odpowiada rozkojarzony.

- Mmm. - Przesuwam palcem po drewnianej łyżce, zgarniając trochę smakowitego sosu, i oblizuję palec. - Starczy dla dwojga?

- Tak. Jest akurat tyle.

- O, to świetnie.

Wolną ręką wyplątuje się z mojego objęcia.

- Właściwie to spodziewam się gościa.

„I nie mam na myśli ciebie” - mówi jego ton.

- Tak?

Staram się ukryć rozczarowanie. Idę za Marcusem do kuchni. To wspaniałe pomieszczenie, całe w stali nierdzewnej i matowym szkle - tak powinien wyglądać mój klub fitness. Zdecydowanie zbyt wyrafinowane jak na Marcusa, który zwykle jada odgrzewane posiłki i potrawy na wynos. Ma puste szafki i mnóstwo chłopiących gadżetów, których nigdy do niczego nie użył. Cieszę się, widząc, że odkrywa radości gotowania. Podczas gdy kręci się przy kolacji, zaglądam do lodówki.

- Kogo?

- To ktoś z mojej starej szkoły - odpowiada.

- Mmm. Mój ulubiony. - Dwie miseczki musu z czekolady deserowej stoją w lodówce i wyglądają bardzo kusząco. - Sam to zrobiłeś?

- Cóż...

- Mężczyzna o ukrytych talentach - przekomarzam się z nim. - Masz trochę na zbyciu?

- Obawiam się, że nie.

Widzę, że chłodzi się też szampan. Bardzo zacna butelka.

- To specjalny gość?

- Nie. - Gorączkowo kręci głową. - Po prostu kumpel. Nie znasz. Myślałem, że we wtorki masz zajęcia jogi.

- Odwołane. - Zauważam opróżnioną do połowy butelkę czerwonego wina na blacie. - Nauczycielka nadwerżyła mięśnie pleców.

- Kiepska reklama dla jogi.

- To samo powiedziałam.

Czasem nadajemy z Marcusem do tego stopnia na jednej fali, że jestem pewna, że potrafimy czytać w swoich myślach.

- Nie mogłaś zostać na innych zajęciach?

- Jestem zbyt zmęczona. No i chciałam zobaczyć się z tobą. - Opieram głowę na jego ramieniu, gdy on miesza sos.

Mój wzrok wędruje po blacie kuchennym i zatrzymuje się na otwartej książce kucharskiej.

- Kurczak po marokańsku z oliwkami. Rety. I mus czekoladowy? Zaszalałeś.

- Pomyślałem, że trochę się wysilę. Lubię gotować.

Tę książkę kucharską sama mu podarowałam na Gwiazdkę. Dwa lata temu. ***Jak być w kuchni jej bogiem miłości.*** Zabawne, że nigdy nie wypróbował na mnie żadnego z tych przepisów.

- Co to jest? - Unoszę pokrywkę drugiego garnka.

- Piure ziemniaczane z szafranem - odpowiada niechętnie.

- Pychota. Zapowiada się uczta. Mam nadzieję, że twój przyjaciel nie jest z tych, co to wołają hamburgera i frytki.

Znowu odsuwa się ode mnie.

- Daj mi zadzwonić, zobaczę, czy da się to odwołać.

- Nie odwołuj spotkania ze względu na mnie. Chętnie go poznam. Na pewno nie starczy dla nas wszystkich? Na moje oko sporo tego zrobiłeś.

Dla musu czekoladowego gotowa jestem walczyć z Marcusem.

- Lepiej zostawić to na inną okazję. - Marcus bierze telefon i wybiera numer. - Będziemy gadać o starych czasach. Zanudziłybyś się.

Miska, w której Marcus robił mus czekoladowy, stoi porzucona przy zlewie. Biorę ją i wybieram resztki palcem, a potem wkładam go do ust, zlizując łapczywie czekoladę. Pyszności. Pewnie gdybym była sama, wylizałabym miszkę, ale teraz nie chcę wyjść na obleśnego łakomczucha.

- Chcesz powiedzieć, że przeszkadzałabym?

- Cóż... - Marcus zaczyna i zawiesza głos.

- Dobra.

Nic na to nie poradzę, że czuję się trochę żałośnie, bo Marcus nie chce, żebym została. Jest strasznie śmieszny w tych sprawach. Prawie nigdy nie spotykamy się z jego znajomymi albo rodziną. Woli, żebyśmy byli wyłącznie my dwoje. Powinno mi się to podobać, prawda? Ale czasem mam przez to wrażenie, że jego zdaniem nie jestem dla niego dość dobra. Głupota, wiem. Marcus ciągle mi powtarza, że jestem głupol.

- Zostanę tylko, żeby się przywitać, i potem znikam. Nie powinnam była tak wpadać. Myślałam, że nic nie robisz.

- I zwykle nie robię, ale to było właściwie zaplanowane już jakiś czas temu.

- Nic nie mówiłeś.

- Nie sądziłem, że to cię zainteresuje. - Telefon dalej dzwoni. - Poczta głosowa - stwierdza zniecierpliwiony. - „Cześć, tu Marcus. Możesz oddzwonić? To pilne”.

- Nie powinieneś tego przekładać. Pójdę, jeśli chcesz. - Staram się nie okazać irytacji. - Mogę w czymś pomóc, zanim wyjdę? Nakryć do stołu?

- Już nakryłem. Naprawdę nie ma potrzeby, żebyś zostawała.

- Och. - Nie miałam nawet czasu nalać sobie kieliszka wina. - No dobra. W sypialni jest parę drobiazków, które chcę zabrać do prania. Pójdę po nie i spływam.

- Super. - Marcus cmoka mnie w policzek. - Do zobaczenia jutro. Może coś obejrzymy.

- Byłoby miło.

Nawet jeśli oglądamy zbyt dużo filmów z Angeliną Jolie.

Wychodzę z kuchni i przechodzę do sypialni. Rety. Najwyraźniej Marcus zrobił generalne porządki. Wszystko wygląda nieskazitelnie. Nie ma żadnych jego ubrań porozwalanych jak zwykle na łóżku. Nawet wszystkie brudne rzeczy leżą w koszu na pranie. I wszędzie stoją świece. Cudne, wysokie kościelne świece w świecznikach ze stali nierdzewnej. Bardzo eleganckie. Grzebię w koszu na brudy i wyciągam kilka moich drobiazków.

- Sypialnia wygląda rewelacyjnie - mówię po powrocie. - Przepiękne świece. Co cię podkusiło, żeby je kupić?

Marcus czerwieni się. Jak na faceta, który nie jest gejem, bardzo się przykłada do wystroju wnętrza. Ale nie lubi się do tego przyznawać. Jego mieszkanie

wygląda nieskazitelnie. Ma drogie sofy z białej skóry, których elegancję podkreślają czerwone poduszki, ustawione na parkiecie z ciemnego drewna. Nowoczesne dzieła sztuki harmonizują kolorystycznie z całością.

- Przedwczoraj przechodziłem koło sklepu i zobaczyłem je na wystawie - odpowiada. - Pomyślałem, że dobrze będą wyglądać.

- I wyglądają - zgadzam się, upychając moje pranie do pękającej już teraz w szwach torby i zarzucając ją na ramię. - Bardzo romantyczne. - Wydymam usta w najbardziej uwodzicielski sposób. - Nie mogę się doczekać, kiedy je wypróbujemy.

I wtedy zauważam, że stół w jadalni jest nakryty dla dwojga i również prezentuje się bardzo romantycznie. Tu też stoją świece i mała kompozycja z czerwonych róż, którą najwyraźniej Marcus znalazł w kolejnym sklepiku. Nie potrafię sobie przypomnieć, żeby przygotował dla mnie kolację i kiedykolwiek postawił na stole kwiaty - nawet w walentynki. Obok róż leży małe pudełko czekoladek, a ja od razu poznaję opakowanie.

- Byłeś w Czekoladowym Niebie - mówię zaskoczona.

Marcus nie chodzi do Czekoladowego Nieba. Wie, że tam bywam i spotykam się z dziewczynami. Nagle serce podchodzi mi do gardła.

I wtedy rozbrzmiewa dzwonek do drzwi. Marcus zamiera. Ja również.

- To musi być twój przyjaciel - jakimś cudem udaje mi się to wydusić z siebie przez zaciśnięte gardło.

Marcus najwyraźniej jest rozdarty między chęcią pozostania w bezruchu a otworzenia drzwi. Dzwonek znowu rozbrzmiewa.

- Mam otworzyć?

- Nie - mówi. - Nie.

Stoję, nie bardzo wiedząc, co zrobić, podczas gdy on powoli uchyla drzwi. Nic dziwnego, bo dawny szkolny znajomy Marcusa okazuje się drobniutką i nadzwyczaj ładną brunetką. Wchodzi do mieszkania i całuje Marcusa prosto w usta.

- Cześć, kochanie - wita się.

Marcus wzdryga się lekko i rzuca w moją stronę zmartwiałe spojrzenie. Wzrok jego przyjaciółki podąża w tym samym kierunku.

- Cześć - mówię, wyciągając rękę i zmuszając się do uśmiechu.

Wymieniamy się uściskiem. Jej dłoń jest chłodna i delikatna, równie smukła jak cała jej sylwetka.

- Jestem Lucy - ciągnę wesoło. - Dziewczyna Marcusa.

Tym razem to ona się wzdryga.

- To moja przyjaciółka, Joanne - cedzi przez zęby Marcus.

Patrzę na mojego ukochanego.

- Stara znajoma ze szkoły? Tak powiedziałaś, zgadza się? - Odwracam się do Joanne. - Do której szkoły chodziłaś z Marcusem? Podstawówki? Średniej? A może do twardej szkoły życia?

Jego stara szkolna znajoma patrzy na mnie, nic nie rozumiejąc.

- Nie bardzo wiem, co tu jest grane, Marcus - mówi.

- Ale nie sądzę, żebym chciała brać w tym udział.

Odwraca się na obcasie i rusza do drzwi.

- Jo - prosi Marcus, łapiąc ją za rękaw. - Nie wychodź.

Uznaję, że to sygnał dla mnie, że powinnam sobie iść.

- Marcus - mówię ze smutkiem - tak mało szacunku masz dla mnie?

- Mogę wszystko wyjaśnić - odpowiada, a ja uważam, że patrzy raczej na Jo niż na mnie.

- Możesz zostać i go wysłuchać - mówię do Jo. - To ja wyjdę.

Marcus nie robi nic, żeby mnie zatrzymać, więc raz jeszcze zarzucam na ramię torbę i ruszam do drzwi.

- Miło było cię poznać - zwracam się do nowej miłości Marcusa. - Życzę smacznej kolacji. Pachnie cudnie. Nawet nie czuć smrodu gnoja. A czekoladki są świetne, tak nawiasem mówiąc. Mam nadzieję, że się nimi udławicie.

A potem unoszę głowę jak najwyżej i wychodzę.

5

Moje mieszkanie nie jest tak eleganckie jak mieszkanie Marcusa. Ale to mój dom. Mieszkam w Camden, w maleńkim mieszkaniu nad zakładem fryzjerskim, który, zanim od nas odeszła, prowadziła moja kochana matka, wiele lat temu, kiedy sama była stylistką. Mówię, że „odeszła” nie dlatego, że umarła, ale dlatego, że wyprowadziła się do Hiszpanii. Mama - wiele lat po tym, jak rozwiodła się z moim niewiernym ojcem - wyszła ponownie za mąż za starszego i bogatego mężczyznę. Teraz w ogóle nie pracuje, spędza czas, próżnując w ich wystawnej willi na Półwyspie Iberyjskim, i ktoś inny ją czesze. Szczerze mówiąc, ostatnimi czasy widuję ją tak rzadko, że równie dobrze mogłaby umrzeć. Dom w Camden nadal należy do niej i mieszkam tu tylko dlatego, że tanio odnajmuje mi mieszkanie i nie za bardzo naciska, jeśli niechcący zapomnę o zapłacie. W zamian ja ani razu nie podpaliłam domu, ani nie zostawiłam odkręconego kranu w wannie, jak to robi większość lokatorów.

Teraz salon fryzjerski prowadzi naprawdę ekstrawagancki chłopak, Darren. Czasem podcina mi włosy i układa za darmo, a ja mam oko na jego salon po godzinach. Podejrzewam, że gdybym się wyprowadziła, też nie musiałabym mu płacić za strzyżenie. Robi mi

odlotowe, prowokacyjne fryzurki w stylu tych, które tak chętnie wybierają prezenterki programów dla dzieci w BBC, i lubię myśleć, że dzięki nim wyglądam młodo. Jak mała szelma. A może po prostu podkreślają moje pulchne policzki. Naprawdę powinnam go kiedyś przedstawić Clive'owi i Tristanowi. Chłopcy robią rewelacyjną czekoladę, ale ich włosom przydałaby się jakaś odmiana. Ich obecny styl cechuje nadmiar żelu i nieszczęśliwie rozjaśnione pasemka. Spodobałby im się Darren. Skubaniec wygląda jak szkielet. Waży z pięćdziesiąt parę kilo i ma biodra jak dwunastolatka. Clive i Tris szybko by go podtuczylili. No dobra, wracajmy do mojej rodziny. Mój ojciec przeciwnie, ożenił się ponownie z dużo młodszą kobietą, która także jest fryzjerką. Nie udało jej się wiele zrobić z jego czesanymi na pożyczkę włosami, ale odzyskał przy niej część energii, co przypisuję jej innym umiejętnościom niż tym związanym z nożyczkami. Tata mieszka na południowym wybrzeżu i widuję go jeszcze rzadziej niż mamę.

Otwieram drzwi, rzucam torbę na podłogę i idę prosto do lodówki, nawet nie zapalając światła w kuchni. Siedząc na zimnej terakocie przy otwartych drzwiach lodówki, odtwarzam scenę z *Dziwięciu i pół tygodnia*, tyle że całkiem sama. Na pierwszy rzut idzie kubełek lodów Ben & Jerry Phish Food z zamrażarki. Nawet nie zawracam sobie głowy łyżeczką, po prostu wybieram je rękami i pakuję do ust. Przez całą drogę metrem do domu udawało mi się powstrzymać od płaczu, ale teraz wielkie, gorące łzy spływają mi po twarzy do czekoladowych lodów, przez co małe czekoladowe rybki i pianki mają lekko słonawy smak. Kiedy kończę lody, dobieram się do zapasu snickersów i pochłaniam trzy, jak najszybciej je przeżuając. Następny w kolejce jest

bounty z mleczną czekoladą. Zwykle rozmyślam nad faktem, że ludzie od tych batoników nigdy nie wpadli na pomysł, żeby do opakowania włożyć jeden kawałek w deserowej czekoladzie i drugi w mlecznej, oszczędzając kupującemu kłopotu z wybieraniem. Dziś jednak nie obchodzi mnie, jaki mają kolor, gdy pożeram słodki kokos. Mam też pudełko czekoladek z wyselekcjonowanej plantacji z Czekoladowego Nieba, ale Clive zemdlałby na myśl, że zjadłam ich czekoladki w innej temperaturze niż pokojowa, a mimo bólu nawet ja zdaję sobie sprawę, że w takiej chwili tylko bym je zmarnowała. Więc zamiast tego biorę tabliczkę mlecznej Cadbury, trzy tabliczki białej Green & Black i pudełko czekoladowych cukierków Célébrations, które ledwo nadążam odwijać z papierków.

Przez cały czas, kiedy jem, staram się nie myśleć o Marcusie i o tym, jak strasznie mnie potraktował. Po raz kolejny. Na razie jestem tylko ja i czekolada pocieszycielka. Cukierki lecą jeden po drugim bez dostrzegalnej przerwy - pomarańczowy, kokosowy, karmelowy. Ledwo zauważam smak. Ale kiedy kończę się obżerać, czuję, że mi niedobrze. Żołądek mi się buntuje. Więc wlokę się do sypialni, zrzucam ciuchy i padam do łóżka, leżę na plecach i czekam, aż nadejdzie rano.

Kiedy następnego ranka patrzę do lustra w łazience, widzę, że jestem blada jak prześcieradło, jeśli nie liczyć ciemnych dziurek udających oczy. Opieram się ciężko o brzeg umywalki, czując niesmak do samej siebie. To nie pierwszy raz, kiedy Marcus potraktował mnie okropnie, ale pierwszy raz, kiedy przyłapałam go na samym akcie zdrady.

Poświęciłam pięć lat życia Marcusowi Canningowi. Pięć moich najlepszych lat. Głupio mi, że na niego je zmarnowałam. Znoszę to wszystko, bo Marcus z uporem powtarza, że jestem jedyną kobietą na świecie, bez której nie może żyć. Jednak od czasu do czasu spotyka jakąś uczynną dziewczynę w winiarni albo w podobnym miejscu - szczupłą i ładną jak Jo - i dochodzi do wniosku, że lepiej sprawdzić, czy naprawdę to ja jestem tą jedyną, bez której nie może żyć... czy też może się mylił. I odchodzi w stronę dal, nawet nie oglądając się za siebie. Dopóki nie dojdzie do wniosku, że może żyć bez tamtej, ale nie - mimo wszystko - bez starej, kochanej Lucy, czyli mnie. I wtedy wraca. I zaczyna błagania - za każdym razem coraz gorętsze - a ja nieodmiennie poddaję się i przyjmuję go z powrotem. To dlatego właśnie zjedzenie czekolady z Madagaskaru

byłoby przesadą. Ale to był ostatni raz! Tym razem to koniec.

Po prysznicu myję zęby, pozwalając, żeby ostra mięta zabiła kwaśny posmak w ustach. Dlaczego do diabła nie robią pasty o smaku czekoladowym? Byłaby o niebo lepsza. Dlaczego nie mamy projektantów past dla kobiet, wtedy mielibyśmy pyszne smaki tiramisu i krówki, a nie kretyńską miętę. Fuj. Ubieram się. Wciążam ubranie, które porzuciłam na podłodze sypialni wczoraj wieczorem. Zapominam o śniadaniu, bo nie mogę znieść myśli o ponownym otworzeniu lodówki, i wychodzę. Macham z wymuszoną wesołością do Darrena fryzjera, który właśnie przyszedł do pracy. A potem zamiast pojechać zwykłą trasą do biura, wskakuję do metra i jadę prosto do mieszkania Marcusa.

Przed wejściem biorę głęboki wdech. W środku nie ma śladu po Marcusie albo jego kochanicy Jo. Tak jak miałam nadzieję, już wyszedł do pracy. Ten facet to skończony pracoholik i lubi być w biurze już wpół do ósmej. Nie znosi myśli, że koledzy mogliby zjawić się przed nim i zacząć wcześniej. Poranek Marcusa rozpoczyna się o wpół do siódmej od biegu i zimnego prysznicu i nikt - ani ja, ani jak przypuszczam nowa kochanka - nie byłby w stanie zmienić jego nawyków.

Widzę jednak oznaki, że wczoraj przez całą noc dobrze się bawił. Nawet jeśli Jo tworzy sam środek miłostnego trójkąta, najwyraźniej nie miała nic przeciwko temu, żeby zostać, kiedy pozbyli się jednego z wierzchołków. Resztki kolacji nadal stały na stole - brudne naczynia, pognicione serwetki, kieliszek do szampana ze śladem szminki. W pudełku została nawet czekoladka z Czekoladowego Nieba - co w moim świecie oznacza świętokradztwo, więc wrzucam ją do ust i rozkoszuję

się krótką przyjemnością, jaką mi daje. Mruczę zła do siebie. Skoro zostawili niezjedzoną czekoladkę, to znaczy, że naprawdę nie mogli się doczekać, żeby dorwać się do siebie. Dwie z czerwonych poduszek z sofy leżą na podłodze, przejaw bez troski, jakiej zwykle Marcus nie okazuje. Leżą na białej, miękkiej owczej skórcie, co natychmiast powinno obudzić moje podejrzenia - i rzeczywiście budzi. Idę do sypialni, która - rzecz jasna - nie wygląda już tak nieskazitelnie jak wczoraj. Obie strony łóżka są nieposłane i - jak sądzę - to już coś mówi. Ale na wypadek, gdybym potrzebowała dodatkowego potwierdzenia, widzę butelkę szampana i dwa kolejne kieliszki obok łóżka. Wygląda na to, że Marcus nie spał samotnie.

Ciężkim krokiem i z ciężarem na sercu idę do kuchni. Widzę jeszcze więcej zniszczeń. Marcus nawet nie próbował posprzątać. Nie włożył naczyń do zmywarki, więc zakrzepłe resztki wczorajszego kurczaka po marokańsku z oliwkami i szafranowego piure z ziemniaków nadal stoją w dwóch rondelkach na kuchence. Przelewam zawartość jednego do drugiego, biorę łyżkę do sosu i wracam z garnkiem do sypialni. Przesuwam drzwi do garderoby. Wita mnie widok schludnych rzędów koszul i garniturów Marcusa. Balansując niebezpiecznie patelnią opartą na biodrze, zanurzam łyżkę w kurczaku i piure. Nabieram jak najwięcej. Odchylam kieszeń ulubionego garnituru Marcusa od Hugo Bossa i wrzucam tam zimną papkę. Żeby oddać facetowi sprawiedliwość, tam gdzie na nią zasłużył, muszę przyznać, że piure jest lekkie i pulchne.

Przesuwam się wzdłuż rzędu, dekorując każdy garnitur wyśmienitą potrawą, a gdy kończę, widzę, że zostało jeszcze trochę jedzenia. Wygląda na to, że ko-

chankowie jednak nie mieli za dużego apetytu. Przechodzę do butów Marcusa - rzędy pięknego, markowego obuwia - zaczynając od zwykłych, kończąc na eleganckich. Ma kolekcję butów, która naprawdę mnie zaskakiwała. Ted Baker, Paul Smith, Prada, Miu Miu, Tod's... Ostrożnie wrzucam po łyżce papki do każdego buta, wciskając ją w palce dla pełniejszego efektu.

Zabieram rondel z powrotem i odstawiam na kuchnię. Zważywszy na to, jak się czuję, Marcus ma sporo szczęścia, że nie spaliłam mu mieszkania. Otwieram lodówkę. Mój chłopak - były chłopak - uwielbia owoce morza. (I inne kobiety, rzecz jasna). Wyjmuję torebkę mrożonych krewetek i rozdieram ją. W salonie zdejmuję poduszki z sofy i ruchem delikatnym, acz stanowczym wpycham kilka garści krewetek między siedzenie a oparcie. Wracam do sypialni, podnoszę materac na cudnym, skórzanym łożku Marcusa i wsuwam tam pozostałe krewetki, uklepując je jak najbardziej na płasko. Za kilka dni zaczną naprawdę ciekawie pachnieć.

Dla ukoronowania dzieła wracam do kuchni, biorę do połowy opróżnioną butelkę czerwonego wina - tego, którego nie dał mi wczoraj nawet powąchać - i wylewam je na biały, puszysty dywanik Marcusa. Kładę swój klucz pośrodku rozlewającej się plamy. Potem wyjmuję szminkę w ładnym czerwonym odcieniu - nazywa się Gorzki Szkarłat, bardzo stosownie do okazji, moim zdaniem - i kaligrafuję jak najładniej na białej, skórzanej sofie: „Marcusie Canning, ty kłamliwa szujo!”.

7

A potem zadzwoniłam po was.

Usta mi drżą, kiedy kończę zapoznawać moje przyjaciółki z ostatnimi wydarzeniami opery mydlanej, którą jest moje życie miłosne. Podnoszę gorącą czekoladę, ręce mi się trzęsą. Trzymam kubek mocno, a ciepło sprawia, że moje palce trochę się rozluźniają.

- Dobry Boże - mówi Autumn, patrząc szeroko otwartymi oczami.

- Słusznie zrobiłaś - wtrąca się Nadia. - Słusznie jak cholera. Co za pacan z tego Marcusa.

Zemsta z użyciem krewetek wydawała się idealnym zagranem, gdy ją wprowadzałam w życie, ale teraz już nie jestem tego taka pewna.

- Nie sądzę, żeby kiedykolwiek mi to wybaczył - mamroczę.

- Dlaczego martwisz się, czy on wybaczy tobie?! - prychna Chantal. - To on cię postawił w okropnej sytuacji. Musisz być twardsza, Lucy. Czas przestać robić za jego wycieraczkę.

- A jeśli każe mnie aresztować za zniszczenie mienia?

- Nie ośmieli się - odpowiada Nadia.

Clive i Tristan dołączyli do nas i teraz zajadają własne *feuillantines*, aż im się uszy trzęsą. Niczego nie uwielbiają tak, jak soczystych płoteczek.

- Co o tym myślicie, chłopcy?

- Spisałaś się doskonale - zapewnia mnie Clive, poklepując po ręce. - Wyrafinowana mieszanka melodramatu i wściekłości. Mogłabyś zostać honorowym gejem.

Tristan i Clive doglądają swoich najcenniejszych klientów w nieco zaborczy sposób. Regularnie wtrącają się z radami, słuchając o naszych kłopotach, ale ponieważ są jeszcze bardziej zakręcenii od Eddiego Izzarda, jestem pewna, że ich rady są lekko tendencyjne. Nie opłaca im się rozwiązywać naszych problemów, bo wtedy wypadliby z interesu. Ich zyski spadłyby o co najmniej pięćdziesiąt procent, gdybym przestała przychodzić tu raz w tygodniu. Ale to głupi pomysł. Nie ma takiej możliwości, żebym wytrzymała tydzień, nie zaglądając chociaż raz do Czekoladowego Nieba.

Tristan, niegdyś księgowy i w pełni aktywny czekoladoholik, ma być przedsiębiorcą. Jego celem jest stworzenie sieci kawiarenek Czekoladowe Niebo w całym kraju i wbicie łokcia pod żebra Starbucksowi. Clive to mistrz czekoladownictwa, który zaczynał karierę jako mistrz cukierników w jednym z najlepszych hoteli w Londynie. Zaspokajał istniejącą całe życie namiętą miłość do czekolady, tworząc tam bajecznie egzotyczne desery. A kiedy zeszli się z Tristanem, obaj rzucili pracę i otworzyli Czekoladowe Niebo. Teraz cały czas Clive spędza, tworząc najznamienitsze mieszanki znane człowiekowi - a może powinnam doprecyzować: znane kobiecie? Chociaż tak się składa, że są gejami, obaj doskonale wiedzą, jak uszczęśliwić dziewczynę.

- Dzwoniłaś do Lubego? - dopytuje się Chantal. - Jeśli nie zjawiłaś się jeszcze w pracy, wszyscy będą się zastanawiali, gdzie się podziewasz.

- Nie - odpowiadam, żałośnie pociągając nosem. - Nawet nie pomyślałam o biurze.

- Daj mi telefon. Zadzwoń i powiem, że pojawisz się w porze lanczu.

I tak też robi. Kiedy słucham, jak Chantai szczerze, choć wymijająco, tłumaczy moją nieobecność, staram się wykasować wszelkie myśli o tym, jak ta historia będzie krążyć po firmie, kiedy już się rozniesie - takie rzeczy zawsze się roznoszą.

- Martwi się o ciebie ten pan Aiden Holby - mówi Chantai po rozłączeniu. - Robi wrażenie wartego grzechu.

Chantai uważa, że każdy, kto nie skończył czterdziestki i oddycha, robi wrażenie wartego grzechu. Ale w tym wypadku ma rację. Chwileczkę, jak mogę tak myśleć, skoro dopiero co zostałam tak okrutnie potraktowana? Zmuszam się, żeby powiedzieć pogodnie:

- Rzeczywiście jest wart grzechu.

- Grzeczna dziewczynka - odpowiada Chantai. - Istnieje jeszcze życie po Marcusie. Tylko wytrzymaj na razie. Clive, potrzebujemy jeszcze czekolady.

Kiwamy z Autumn głowami.

- Trufle - stwierdza rozsądnie Clive, gładząc palcem schludną kozią bródkę. - Tego potrzebujemy. Idealne w chwilach kryzysu.

Pędzi uzupełnić nasze zapasy.

- Ja dziękuję - mówi Nadia, wstając. - Muszę uciekać, żeby odebrać Lewisa z przedszkola. Oto kres mojej wolności w tym dniu. - Unosi ręce w geście rezygnacji.

Nasza reszta nigdy nie miała wiele wspólnego z dziećmi, jeśli nie liczyć chodzenia z nimi do szkoły, kiedy same byłyśmy małe, więc tylko kiwamy głowami we właściwych momentach, kiedy Nadia dzieli się troskami związanymi ze swoim nieporadnym rodziciel-

stwem. Przystawienie Lewisa na stały pokarm było szczególnie długotrwałym tematem - chociaż zwróciłyśmy jej uwagę, że czekolada jak najbardziej jest stałym pokarmem, a kto by jej się oparł? Teraz chłopak radośnie zajada pizze, kiełbaski i czekoladę - grzeczny dzieciak! Ostatnimi czasy Nadia pojawia się na naszych regularnych spotkaniach, gdy tylko może, żeby powstrzymać mózg od gnicia. To jej słowa, nie nasze, ale zgadzamy się z nią. Niekiedy zapomina się i zaczyna nam opowiadać, jak to jej syn uwielbia eksplorować zawartość nosa - ten temat natychmiast dusimy w zarodku. Ale odzwyczaiłyśmy ją od gorszych zagrywek i staramy się ze wszystkich sił, żeby jej rozmowy mieściły się w konwencjach świata dorosłych.

Nadia jest w moim wieku, ale sprawia wrażenie dużo starszej. Widać, że obowiązki kładą się na niej solidnym ciężarem. Ma cudny dom, cudnego męża i cudne dziecko, ale szczerze mówiąc - czyli tak, jak rozmawia z nami - czasem jest śmiertelnie znudzona własnym życiem.

Główny feler polega na tym, że Nadia jest Hinduską, a jej mąż Brytyjczykiem. Rodzina wyrzekła się jej, bo wzbraniała się przed zaaranżowanym małżeństwem z kuzynem trzeciego stopnia Tariqiem, czy coś takiego. Została wykluczona z przytulnej, rozległej rodziny i od tego czasu po dziś dzień nie widziała nawet przelotnie nikogo z krewnych. Plus tego taki, że ominęły ją liczne wizyty życzliwych cioteczek z plastikowymi pojemniczkami pełnymi cebulowego bhajee, ale za to praktycznie ze wszystkim musi sobie radzić całkiem sama.

Kiedy zaszła w ciążę, miała nadzieję, że to przynajmniej zapoczątkuje zbliżenie z jej dwiema siostrami, z którymi zawsze była tak blisko. Ale do niczego

takiego nie doszło, i podejrzewam, że my, członkinie Klubu Miłośniczek Czekolady, stałyśmy się jej zastępczymi siostrami.

Chcąc uciec przez tradycyjnym indyjskim małżeństwem, wpakowała się - jak na to teraz wygląda - w związek z mężczyzną, który nadal żyje w latach pięćdziesiątych. Kiedy urodziło im się dziecko, Toby uparł się, że zawsze chciał, aby jego żona nie pracowała, więc teraz Nadia siedzi w domu z Lewisem. To luksus, na który ledwo ich stać. Toby świadczy usługi hydrauliczne, a wiadomo, że to może być naprawdę dochodowy interes, ale dzieci - tak jak dobra czekolada - bardzo dużo kosztują. Nadia ustąpiła, co oznacza, że porzuciła karierę dziennikarską u wziętego wydawcy, chociaż naprawdę uwielbiała tę pracę. Wyczuwam w niej ukryte, lecz nadal żywe rozżalenie z tego powodu. Próbuję ją pocieszyć, przekonując, że jej praca to kompletny przeżytek, ale w głębi duszy dobrze wie, że dałabym sobie rękę obciąć za taką fuchę.

Nadia całuje mnie w policzek i łapie ostatnią czekoladkę z talerza.

- Może cię jeszcze dorwę w tym tygodniu.
- Dzięki, że wpadłaś.

Naprawdę doceniam to, bo wiem, jak trudno jej znaleźć chwilę dla siebie.

Autumn pracuje w dziwacznych i cudownych godzinach, więc zwykle zagląda tu na jakąś chwilkę, kiedy trzeba. „Czyni dobro” zawodowo - pracuje w centrum odwykowym dla młodych ćpunów - na pewno jest na nich jakieś bardziej politycznie poprawne określenie. Program ma chwytliwą nazwę „Zwalcz to!”, „Wal to” czy „Chrzań to” - jakoś tak, nie pamiętam dokładnie. Uczy pracy ze szkłem; jestem pewna, że to potwornie

przydatna umiejętność, kiedy się próbuje rzucić heroinę. Ale nie powinnam się krzywić, bo Autumn podchodzi do pracy z zaangażowaniem i naprawdę przejmuję się podopiecznymi - prawdopodobnie o wiele za bardzo. Fakt, że obdarzono ją imieniem Autumn, uruchomił w niej gen odpowiedzialny za nadwrażliwe sumienie - coś, co moim zdaniem zanika wśród klas wyższych. Wszystkie ją kochamy, mimo jej dziwactw, bo wszystkie nas zbliżyło to samo uzależnienie.

Autumn, prawdziwa córka Anglii i cudowna, ciepła osoba. Jej jedyną widoczną wadą jest to, że uważa tetkę za świetny materiał. Opisałabym to, co nosi, ale nie dam rady. To straszne - wszystko hipisowskie i każdy drobiazg z innej parafii. Zwiewna szyfonowa spódnica z dżinsową kurtką i... no cóż, z tetką. Więcej nie powiem. Może i połączyło nas obopólne uznanie dla wszystkiego, co czekoladowe, jednak z pewnością różnimy się wycuciem stylu. Ja, będąc sekretarką z ambicjami kierowniczymi, noszę eleganckie rzeczy - kostiumy i dopasowane, proste sukienki. Fakt, że jedno i drugie kupuję w Primarku, nie ma tu nic do rzeczy. Przynajmniej nie schodzę do poziomu sklepów z używaną odzieżą, jak moja przyjaciółka. Autumn kieruje się zasadami w stopniu, w jakim żadna z nas jej nie dorówna. Pamięta o recyklingu (niestety nie dotyczy to jej ubrań), woli jeździć na rowerze niż samochodem, i to bynajmniej nie dlatego, że ją na niego nie stać. Preferuje też zdarte martensy zamiast pantofli Jimmy'ego Choo, choć i na nie ją stać. Od razu widać, że nie jest normalna. Staram się ją przekonać, że powinna kupić sobie coś od Jimmy'ego Choo, i dopiero jak ponosi buty parę razy, oddać je komuś w potrzebie. Na przykład mnie. Autumn używa ekologicznego proszku do prania

i przyjaznego środowisku wybielacza. Zastępnęła tym, że odstawiła różany krem na dzień, by myć twarz we własnym moczu. Na szczęście ten eksperyment potrwał krótko, bo zaczęła dziwnie pachnieć - chociaż temu zaprzeczała. Nadejdzie taki czas w życiu każdej z nas, gdy będzie od nas zalatywało siuškami i moim zdaniem nie ma co tego przyspieszać.

Autumn jest młoda - dwadzieścia osiem lat kalendarzowych - ale pod względem emocjonalnym jest znacznie młodsza. Widać, że chowała się pod kloszem - uczyła się w jednej z najlepszych szkół z internatem, po czym wylądowała na prestiżowym uniwersytecie, ale nadal musi się wiele nauczyć o życiu. Pochodzi z zamężnej rodziny, jak to się mawia - innymi słowy, jest dziana jak diabli. Ta kobieta jest tak dobrze urodzona, jak tylko można, pewnie pozostaje dziewięćdziesiąta siódma w kolejce do tronu albo coś takiego. Nie mam wątpliwości, że jej życie potoczyłoby się z góry pisaną ścieżką, gdyby dano jej na imię Fenella, Genevieve albo Eugenie.

Autumn nie ma chłopaka, po części dlatego, że jest zbyt zajęta czynieniem dobra, żeby mieć czas na mężczyzn, a po części - jak uważam - dlatego, że kto chciałby spotykać się z kobietą, która tak się ubiera? Lubi długie dyskusje o korzyściach płynących z turbin wiatrowych jako źródła energii, a większość mężczyzn wręcz przeciwnie. Jediną jej pociechą jest czekolada i za to - jak za wiele innych rzeczy - ma moje oklaski.

Ja teoretycznie pracuję od dziewiątej do piątej, ale beztrósko lekceważę warunki umowy o pracę i znikam wtedy, gdy mam na to ochotę. Pracuję na zastępstwach, więc z założenia powinnam być niesolidna; zresztą kto mnie wyrzuci? Na szczęście Luby najwyraźniej zgadza

się ze mną i zostawia mi ogromną swobodę w zakresie etyki pracy.

Chantal to największa szczęściara spośród nas, bo pracuje dla siebie, chociaż nie musi - nawet jak nie kiwnie palcem, jest bajecznie bogata. Więc tak jak ja z pogardą traktuje tradycyjne podejście do pracy. Jednak o ile pogarda mojej przyjaciółki ma pewne uzasadnienie w rzeczywistości, o tyle ja żyję w mylnym przekonaniu, że nie muszę pracować. Mąż Chantal pochodzi z bogatej rodziny. Mają porośniętą glicynią rezydencję w Richmond tuż obok starego domu Micka Jaggera - Chantal często wpada na „Jerry'ego” w miejscowej kwiaciarni. Mają łódź zacumowaną na Tamizie, z której nigdy nie korzystają, willę w południowej Francji, która stoi pusta przez większość roku, i domek weekendowy w Kornwalii, gdzie rzeczywiście czasem zaglądają. Krańcowa ostentacja, prawda? Ted jest niewiarygodnie przystojny - nie wygląda jak te typowe, pozbawione podbródka mydłki, które zwykle zaszczycają swoim istnieniem wyższe szczeble naszego społeczeństwa. (Mówię, jakbym miała mnóstwo doświadczeń w tej sferze, ale to nieprawda).

Chantal pracuje jako dziennikarka, wolny strzelec. Zatrudnia ją przeważnie amerykańskie czasopismo „Amerykański Styl”, w którym prezentuje się domy naszych amerykańskich kuzynów w różnych krajach na całym świecie. Chantal zajmuje się Anglią, co oznacza, że wojażuje po kraju z fotografem na dodatkę i rozmawia z ludźmi, którzy aż się palą, żeby ich domy wylądowały na rozkładówkach na eleganckim papierze. Mieszka w Anglii już od dziesięciu lat i porzuciła nawyk picia kawy dla filiżanki dobrej herbaty. I pije ją z mlekiem, nie z cytryną. Oto ktoś, kto naprawdę porzucił swoje amerykańskie korzenie.

Chociaż czekolada jest powszechnie znanym afrodyzjakiem, nic z tego, co Chantai wypróbowała, nie rozpałiło niższych rejonów Teda. Nawet noc z czekoladową miksturą do malowania ciała, którą Clive osobiście stworzył czułą ręką, okazała się klapą. Wydaje się to kompletnie niewiarygodne, że żona, która pasowała by do filmu z Hugh Grantem, ma męża, który nie potrafi wykrzesać z siebie nawet krztyny zainteresowania półowicą. Chantai musi błagać męża, żeby ją przeleciał. Przepraszam, to niezbyt eleganckie, ale nie umiem tego inaczej nazwać, a ona sama tak to opisuje w swoich częstych raportach na temat nieistniejącego życia seksualnego. On zwała winę na presję w pracy, presję na polu golfowym, presję wszystkiego. Omawiamy każdą jego wymówkę szczegółowo i dogłębnie w czasie naszych czekoladowo-wspierających sesji. Jestem pewna, że Ted jeszcze bardziej broniłby się przed sypianiem z żoną, gdyby się tylko o tym dowiedział. Właściwie mogłabym rzec, że każda z nas dźwiga swój krzyż.

- Dzwon, jeśli będziesz czegoś potrzebowała - mówi do mnie Nadia. - Serio. Głowa do góry. Świetnie poradziłaś sobie z Marcusem.

W odpowiedzi unoszę nieco brodę w wyzywającym geście. Ale doskonale wiem, że nie poradziłam sobie doskonale. Żadna z moich przyjaciółek nie musi wiedzieć o mojej samotnej orgii jedzeniowej. Każda z nas ma prawo do małych sekretów, prawda? Oto do czego doprowadził mnie Marcus. Tak świetnie sobie ostatnio radziłam z napadami obżarstwa, wystarczy jednak drobne zamieszanie emocjonalne, a moja samoocena już ciągnie brzuchem po ziemi i znowu wracam do pochłaniania ton żarcia. To kolejny spadek po funkcjonowaniu w szkolnych latach jako Pućka. Dlaczego nie mogłam

być Lucy Laską? Cóż, bo miałam pucołowate policzki, a nie kolejkę chłopaków, próbujących dobrać mi się do majtek.

A skoro mowa o majtkach zrzucanych błyskawicznie, myślałam, że Marcus zadzwoni dziś rano. Powie coś - cokolwiek - na temat ostatnich wydarzeń, może nawet przeprosi... ale nie zadzwonił. Kiedy wróci dziś wieczorem do mieszkania, jestem pewna, że natychmiast rzuci się do telefonu, choć jak podejrzewam, nie ucieszę się z tego, co mi powie, kiedy zobaczy, jak ozdobiłam jego garderobę, sofę i dywanik.

Chłopcy wracają z truflami, a my je wsuwamy. Autumn jest niby weganą, ale jej dieta składa się chyba wyłącznie z czekolady. Wierzy, że warzywa też mają uczucia. Nie mam pojęcia, jak szpinak może być wrażliwy albo kapusta czuła. Chantal chętnie korzysta z czekolady jako substytutu seksu, jednak ostatnio to nie pomaga.

- A co u ciebie, Chantal? - pytam, próbując odciągnąć uwagę od własnych niedostatków w dziedzinie życia miłosnego.

- Och, wiecie - rzuca lekko. - U mnie nic, czego by nie wyleczyła jedna rzetelna noc w łóżku.

- Ted nadal nic?

- Oboje jesteśmy tak zajęci, że nigdy nie łądujemy w łóżku przytomni o tej samej porze. Już nie wspominając o czymś więcej. Mnie nie ma trzy noce w tygodniu. Nawet jak jestem w domu, Ted rzadko wraca przed północą, a ja już wtedy dawno śpię. Wychodzę z domu przed siódmą, kiedy Ted jeszcze śpi jak suseł. Nawet gdybyśmy nie mieli problemów, trudno by mówić o udanym związku małżeńskim.

- Chantal - mówi Tristan. - Nawet ja rozważyłbym, czy się z tobą nie przespać.

- To słodkie, że tak mówisz. - Chantai całuje go w policzek. - Dopóki jakoś tego nie załatwię, muszę znaleźć inny sposób, żeby sobie ulżyć.

Mruga do mnie, ale w moim obecnym nastroju serce mi się zaciska. Wiem, że małżeństwo Chantai sypie się nie całkiem z jej winy, nie mogę jednak uwierzyć, że pomaga jej wskakiwanie do łóżka każdemu chętnemu facetowi. Może nadal za bardzo cierpię z powodu Marcusa, żeby włączyło mi się współczucie dla innych.

- A skoro o tym mowa - dodaje - bardzo napalony fotograf czeka właśnie na mnie, a nie chcę, żeby ostygł. Zmykam. Na pewno już dobrze, Lucy?

- Nic mi nie jest, serio.

- Zadzwoń jutro. - Bierze torebkę od Anyi Hindmarch i wychodzi.

- Niedługo mam zajęcia - stwierdza Autumn, zerkając na zegarek. - Też się będę zbierać. Nie zapominaj, że może tak będzie lepiej dla ciebie. Wszechświat może szykować dla ciebie coś o wiele lepszego.

Podoba mi się to, że zdaniem Autumn wszechświat ma wobec nas precyzyjne plany i że nie chodzi tylko o to, że mój chłopak cierpi na chroniczną niezdolność do bycia wiernym.

- Chodź tu - mówi i przytula mnie.

Wzdycham i wrzucam do ust następną trufkę. Pewnego dnia zaznam trochę słodyczy w życiu, która nie będzie bezpośrednim skutkiem spożycia czekolady.

~ Chyba też pójdę już do pracy - mówię to z równym entuzjazmem, jaki właśnie czuję. - Clive, poproszę rachunek.

Uważam, że moja kolej na zapłacenie, bo ja zwołałam spotkanie.

- Nie chcę nawet o tym słyszeć, kochana. Masz dość cierpienia. Leczenie kryzysu na koszt firmy; możesz podziękować wujkowi Clive'owi.

- Obaj jesteście aniołami. Jeśli któryś z was będzie miał kiedyś dosyć facetów, to ja jestem bardzo łatwa do kochania.

Clive ściska mnie i całuje.

- Pewnego dnia znajdziesz mężczyznę, który lubi kobiety i jest tak samo seksowny jak ja. Kogoś, kto pokocha ciebie tak mocno, jak ty jego.

- Coś czuję, że jeszcze wiele wody upłynie - mówię ze smutkiem.

8

Nadia uznała, że trzeba pomalować frontowe drzwi. Dom zaczynał wyglądać naprawdę niechlujnie, a chociaż jej mąż, Toby, obiecywał, że się do tego weźmie, nic nie wskazywało, że grozi mu nagłe chwylenie za pędzel. Trzeba jednak przyznać, że drzwi obłożone z farby idealnie harmonizowały z resztą ulicy. To była ta część Londynu, która ciągle czekała na ożywienie budowlane. Handlarze nieruchomościami cały czas to obiecywali, ale główne budynki stały zaniedbane i spece od renowacji, tak samo jak młodzi, dobrze zarabiający ewentualni kupcy, omijali je z daleka. Otwarto kilka szykownych winiarni i kafejek, co na krótko obudziło nadzieję, że ożywienie jest tuż za rogiem, ale w ciągu kilku miesięcy wszystko pozamykano - zawiodła klientela. To nie oznaczało jednak, że stać ich było z Tobym na mieszkanie w tej okolicy. Łatwiej byłoby przeprowadzić się do Northampton albo Peterborough, jak zrobiło wielu ich znajomych, wędrujących coraz dalej wzdłuż M1 w poszukiwaniu tańszych domów, lepszych szkół i świeższego powietrza. Kiedy patrzyła na śmieci na chodniku i graffiti na ceglanych ścianach, z trudem przypominała sobie, dlaczego właściwie chcieli tu mieszkać. Toby twierdził, że tak będzie lepiej dla jego interesów, ale powątpiewała w to. Przecież wszędzie

brakuje hydraulików, prawda? Dobrym ludziom z Northampton też musi ciec z kranów jak wszystkim innym.

Nadia odebrała Lewisa z przedszkola i teraz miała przed sobą dzień pełen prac domowych. Czekala na nią mala góra prasowania. Musiała też zrobić zakupy, bo w domu nie było już jedzenia na resztę tygodnia. Kiedy zbliżała się do domu, zauważyła przed nim zaparkowaną furgonetkę Toby'ego i serce jej się zacisnęło. Dopiero co minęła dwunasta i powinien być w pracy. Jeśli o tej porze siedział w domu, oznaczało to tylko jedno.

Otwierając drzwi, zawołała jak najwesелей:

- To ja!

Zdjęła Lewisowi płaszczyk i powiedziała:

- No, skarbie, chodźmy przywitać się z tatusiem.

Lewis popędził na górę przodem, Nadia ściągała kurtkę. Czuła się zaniedbana w znoszonych ubraniach. Dawno minęły czasy, gdy nosiła eleganckie rzeczy kobiety pracującej, teraz jest styl aż krzyczał „mamuśka”. Wieki temu darowała sobie kolorowe sari i haftowane szalwar kamiz, ubierając się w wygodne i łatwe w noszeniu zachodnie ciuchy. Wszystko, co oznaczało „łatwe w praniu” i „nonajron”, trafiało w dziesiątkę. Styl był dopiero na drugim miejscu. Zerkając w lustro, obiecywała sobie zrobić coś z włosami. Jej niegdyś błyszcząca kaskada kasztanowych włosów straciła cały połysk - prawdopodobnie dlatego, że używała najtańszych szamponów sprzedawanych w supermarketach pod własną marką. Przez większość czasu nosiła włosy związane w kucyk, bo to nie wymagało wielkiego wysiłku. Tylko wtedy miała pewność, że nie wyjdzie z domu z resztkami lanczu Lewisa we włosach. Rozpuszczone sięgały ramion i rozpaczliwie wymagały strzyżenia. Może powinna się zastanowić, czy nie ściąć ich przy skórze i nie

sprzedać komuś, kto robi przedłużenia - ale kto chciałby włosy w takim stanie? Nie tylko drzwi wymagały gruntownej odnowy.

Zmusiła się, żeby lekkim krokiem wbiec po schodach za Lewisem. Oczywiście, kiedy weszła za synem do małego pustego pokoju, który służył Toby'emu za biuro, zastała tam męża siedzącego przed komputerem z poczuciem winy wymalowanym na twarzy. Wyrzuty sumienia Nadii skupiały się na talerzyku herbatników pełnoziarnistych stojącym obok komputera. Wydawała - przetrącała - kilka funtów z ich gwałtownie kurczących się funduszy na ciastka, próbując wmówić sobie, że są dla Lewisa, chociaż wiedziała, że tak naprawdę kupuje je dla siebie. Toby nie myślał o takich drobiazgach. Jego wyrzuty sumienia brały się z całkiem innych powodów.

- Pomyślałem, że wpadnę i zabiorę kilka faktur, skoro mam chwilę przerwy - powiedział.

Szkoda, że nie mogła mu wierzyć.

- Chodź, daj tacie buzi - dodał i Lewis rzucił mu się na szyję.

Synek nie był rozczarowany, widząc tatę siedzącego w domu w ciągu dnia.

Nadia próbowała zajrzeć mężowi przez ramię, żeby sprawdzić, czy na ekranie naprawdę były faktury, ale kliknął myszką i pojawił się niewinny wygaszac. Bóg jeden wie, że rzeczywiście powinien wysłać kilka faktur. Rachunki piętrzyły się w stosie, a nie mieli dość pieniędzy na koncie, żeby je spłacić.

- Myślałam, że w tym tygodniu masz mnóstwo roboty - zacytowała jego własne słowa.

- Chwilowo zostawiłem to na głowie Paula. Da sobie radę.

Zdusiła westchnienie.

- Zjesz z nami lancz?
- Szybka kanapka byłaby super.
- Więcej niż szybka kanapka nie dostaniesz - odpowiedziała ostrzej, niż zamierzała. Spojrzał na nią. - Potrzebuję pieniędzy. W kuchni nie ma nawet odrobiny jedzenia. Muszę jechać dziś do supermarketu.

Toby przeczesał rękami włosy.

- Skarbie, co u licha robisz z całą kasą, którą ci daję?
- W zeszłym tygodniu nie dałeś mi nic na dom - przypomniała mu. - Mam w portmonetce pięć funtów. To wszystko.

Tego ranka potwornie czuła się w Czekoladowym Niebie, bo wiedziała, że nie ma pieniędzy, żeby zapłacić swoją część rachunku. W głębi duszy wiedziała, że nie powinna chodzić tam tak regularnie na spotkania z dziewczynami, ale Klub Miłośniczek Czekolady był azylem, jedynym wytchnieniem od jej coraz bardziej szalonego świata. To było jedyne miejsce, gdzie mogła zwierzyć się ze swoich kłopotów, jednak nawet przyjaciółki nie znały całej prawdy. Jasne, że zdawały sobie sprawę, że jej życie nie jest usłane różami, ale nie wiedziały o wszystkim. Żadna nigdy nie miała nic przeciwko temu, żeby zapłacić za nią, nawet kiedy zdarzały się te rzadkie chwile i miała trochę luźnego grosza.

- W tym tygodniu jest trochę ciężko, skarbie. Zapłać kartą.

Miała mnóstwo kart kredytowych, a każda była maksymalnie obciążona.

- Nie mogę tak dłużej robić, Toby. Nie mamy na rachunki. Naprawdę musisz wysłać część faktur.
- Zajmę się tym - warknął. - Powiedziałem przecież.
- Lewis, idź, pobaw się chwilę Bobem Budowniczym. Muszę porozmawiać z tatusiem.

Synek zszedł z kolan Toby'ego i popędził do swojego pokoju, żeby poszukać ukochanej zabawki.

Przykłękła obok męża i oparła głowę o jego udo, głaszcząc je z roztargnieniem.

- Boję się. To się wymyka spod kontroli.

Zerknęła na komputer.

- Dam sobie z tym radę - odparł oschle.

- Ale ja nie.

Dopóki nie wybrał się na weekend kawalerski swojego najlepszego przyjaciela do Las Vegas, jedyne doświadczenia jej męża z hazardem sprowadzały się do cotygodniowego losu na loterii za funta. Jeśli to był tydzień rozliczeń, zdarzało mu się zaszaleć i wydać piątaka. Trudno było go uznać za ostrego gracza. Ale w czasie tamtego wyjazdu wygrał tysiąc dolarów - i to obudziło utajoną słabość. To były „łatwe pieniądze”, jak powiedział. Od tego czasu przyssał się do internetowych stron hazardowych. W ciągu trzech lat roztrwonił wszystkie ich zarobki i oszczędności, próbując wygrać „główną stawkę”. Każdy rzut kośćmi, każde rozdanie kart, każde pociągnięcie za rączkę jednorękiego bandyty wpędzało ich w większe długi.

Nadia zawsze myślała, że stereotypowy nałogowy hazardzista to wielki, gruby facet z równie wielkim i grubym cygarem przesiadujący w europejskich kasynach i ryzykujący, że przegra w ruletkę jacht, rollsa, roleksa i dobre imię. Nie sądziła, że nałogowymi hazardzistami są rodzinni, kochający dom mężczyźni, zwykli faceci, którym przydałoby się strzyżenie, z szelmowskim błyskiem w oku ciężko pracujący hydraulicy, którzy spędzają wieczory przed komputerowym ekranem, ryzykując własne zdrowie psychiczne, szczęście, małżeństwo... żeby zaspokoić chory przymus. Teraz już wiedziała lepiej.

- Chcę, żebyś z tym skończył. Chcę, żebyś poszukał pomocy.

Złapał ją za ramiona.

- Nie potrzebuję pomocy. Już tylko tyle brakuje mi do wielkiej wygranej. - Pokazał centymetr między palcami. - To wszystko może być nasze. Wielki dom, wielki samochód. Markowe ciuchy. Wspaniałe wakacje. Moglibyśmy zabrać Lewisa do Disneylandu. Co roku, jeśli tylko zechcemy.

- Nie chcę tego wszystkiego. To nie jest prawdziwe życie. Chcę ciebie. Chcę z powrotem mojego męża, który nie będzie przesiadywał przed komputerem do świtu, trwoniąc wszystko, czego się dorobiliśmy.

Zacisnął zęby, a jego oczy pociemniały.

- Mógłbym ci przypomnieć, że nie pracujesz.

- A mogłabym. Mogę znowu poszukać pracy. Wtedy moglibyśmy spłacić część długów.

- Chcę, żebyś była w domu dla Lewisa. Wiesz o tym. Poczytaj sobie w gazetach te wszystkie historie o dzieciach zaniedbywanych w przedszkolach. Nawet kilka ranków to już spore ryzyko.

- Jestem pewna, że to dotyczy tylko małego ułamka ośrodków. Lewis uwielbia swoje przedszkole. Naprawdę dobrze się nim opiekują.

- Nie chcę, żeby zajmowali się nim obcy ludzie.

- Ale nie mamy dość pieniędzy. Nie możemy dłużej tak żyć.

Wstał i odepchnął ją od siebie.

- Myślisz, że sam tego nie wiem? Dlatego to robię.

- Uderzył pięścią w komputer. - Robię to dla nas, żeby zapewnić nam lepsze życie. Nie chcę być przez resztę życia hydraulikiem. Uwiązany przy telefonie dwadzieścia cztery godziny na dobę przez siedem dni w tygodniu.

Chcę żyć. Dzięki temu mamy szansę. Masz pojęcie, ile mógłbym wygrać?

- Ale nie wygrywasz.

- Nie będę o tym z tobą dyskutował. Ty po prostu nie rozumiesz. Ach, do diabła. Wracam do pracy.

Trzasnął za sobą drzwiami i z hukiem zbiegł po schodach. Zaraz potem rozległo się trzaśnięcie frontowych drzwi.

W progu stanął Lewis w Bobem Budowniczym w rękach.

- Tata poszedł?

Pokiwała głową, opadając na krzesło komputerowe i przyciągając do siebie synka.

- Nie pożegnał się.

- Tata ma mnóstwo spraw na głowie - powiedziała, mierzwiąc chłopcu włosy.

Smutne było to, że doskonale rozumiała, pod jaką presją żyje mąż. Podjął się roli jedyne go żywiciela rodziny, a Nadia wiedziała, jakie to trudne. Z radością wróciłaby do pracy, żeby mu pomóc, ale nawet gdyby znowu znalazła pracę, opłacenie pobytu w przedszkolu przez cały dzień pochłonęłoby jej pensję, a biorąc pod uwagę stosunki z jej rodziną, nie mogła liczyć na to, że ktoś z jej krewnych pomoże w opiece nad dzieckiem. Nie tylko koszty przedszkola były zawrotnie wysokie. Wszystkie ceny rosły w zastraszającym tempie. Zwykłe rodziny niemal bankrutowały, próbując zapewnić sobie dach nad głową. Ubrania i buty dla Lewisa kosztowały prawie tyle, ile rzeczy dla dorosłych. Nawet zanim Toby uzależnił się na dobre, pracował coraz dłużej i dłużej, żeby mogli jakoś utrzymać się na powierzchni. Całym sercem była z nim, ale żałowała, że nie znalazł innego sposobu, żeby poradzić sobie z ich kłopotami.

Nadia kliknęła myszką. Oczywiście pojawiła się jaskrawa, krzykliwa strona z kasynem online - Pałacem Pieniędzy. Jaśniał przed nią. Oto świątynia, którą czcił jej mąż i w której mógł zrujnować im życie, nawet nie wychodząc z domu. Światełka błyskały, ogromne sumy migały na ekranie - pieniądze, niewyobrażalna gotówka. Kuszący skarb, nęcący obietnicami dostatku, fortuny, lekkiego życia. Obietnicami, które nigdy, prze-nigdy się nie spełniają.

9

Chantal wsiadła do samochodu fotografa. To był wielki, czarny mercedes z napędem na cztery koła, elegancki i luksusowy, wypełniony najnowszym sprzętem fotograficznym. Pracowała już kiedyś z tym facetem i był niezły. Pamiętała też jak przez mgłę, że chyba dobrze im się flirtowało. To była krótka, jednodniowa sesja fotograficzna, więc ciekawie będzie sprawdzić, jak się ma rzeczywistość do możliwości, które w nim dostrzegła. Teraz czekała ich długa droga do Lake District - cztery, może pięć godzin, zależnie od tego, czy kierowca przejmuje się ograniczeniami prędkości - i miała nadzieję, że wykaże się dobrym gustem, jeśli chodzi o muzykę, oraz błyskotliwymi ripostami, dzięki czemu podróż nie będzie się dłużyć. Ona musiała tylko wziąć trochę czekolady na drogę. Wybrała grubą tabliczkę z Czekoladowego Nieba nadziewaną tłuczonymi ziarnami kawy - jedna z wielu specjalności Clive'a. Pachniała bosko, a ziarenka kawy pomogą im nie zasnąć.

Powinna była zadzwonić do Teda i powiedzieć mu, że jedzie po materiały i wróci dopiero jutro wieczorem, ale była na niego wściekła. Znowu. Niech się pomartwi. Jeśli jej nie będzie, to być może trochę za nią zatęskni. Marne szanse. Minęły miesiące, odkąd próbowała go sobą zainteresować, ale ostatniej nocy przyszła do łóżka

naga i przycisnęła się całym ciałem do niego, rysując palcami kółeczka na delikatnych włoskach na jego zgrabnym tyłku - a on tylko zeszywniał. Ale nie w tym sensie, na który liczyła.

- Zostaw - tylko tyle jej powiedział.

Musiała zebrać w sobie całą siłę woli, żeby nie zawyć z rozpacz, bólu i frustracji. Byli małżeństwem od czterech lat. Część tego czasu upłynęła szczęśliwie. Przetrawili siedem lat niespełnienia, ale Chantal nie była pewna, czy zniosą drugie tyle. Nadal pragnęła męża i chciała, żeby ją kochał - jednak nie dało się ukryć, że... nie kochał. Jeśli nie potrafili poradzić sobie z tą fundamentalną różnicą między nimi, to czy warto dłużej utrzymywać to małżeństwo bez miłości? Tyle że ono nie było całkiem bez miłości. Po prostu zabrakło w nim seksu. Kiedyś byli najlepszymi przyjaciółmi. Lubili takie samo jedzenie, łączyła ich miłość do dobrego wina i szampana, słuchali tej samej muzyki, oboje kochali teatr, śmiali się z tych samych dowcipów. Ted był przystöjny, zdolny, błyskotliwy i bogaty. Świetna partia. Kiedy go poznała na weekendowym przyjęciu u przyjaciół w Hampton, aż jej dech zaparło na widok jego witalności. I męskości. Przespała się z nim już pierwszej nocy. Kochali się raz za razem, aż byli nasyceni, posiniaczeni i zakochani. Co się stało w ciągu minionych lat? Dlaczego teraz widok nagiej żony był dla niego odpychający? Dlaczego wzdragał się, gdy go dotykała?

Większość ich przyjaciół i znajomych nie miała pojęcia, że w ich związku coś było nie tak. Dla świata stanowili doskonale dobraną parę. Ale czasem miała wrażenie, jakby żyła w piekle. Straciła rachubę bezsennych nocy, kiedy leżała obolała z pożądania obok cudownego mężczyzny, który nie miał ochoty jej

zaspokoić. Tylko dziewczyny z Klubu Miłośniczek Cze-
kolady znały jej sekret. Gdyby nie mogła z nimi rozmawiać, miałyby wrażenie, że zaraz zwali jej się na głowę piękna fasada, za którą żyła. Wysłuchiwały bulwersujących opowieści o zdradach, nie oceniając jej. Nie znały Teda, więc czuła, że to część życia, którą może oddzielić od reszty. Jej koło ratunkowe. Gdyby go poznali, też nie mogłyby pojąć, dlaczego nie jest ogierem w sypialni. Próbowwała rozmawiać z nim o braku seksu z milion razy, ale Ted zwyczajnie nie chciał stawić temu czoła. Najwyraźniej dobrze mu było, gdy chował się za głupawymi wykrętami - że jest zbyt zmęczony, zbyt zajęty, ma za dużo pracy. Przecież wszystkie pary miały takie problemy, prawda? A jednak większość ludzi jakoś dawała sobie z tym radę, więc dlaczego im się nie udawało? Jego rodzice nigdy nie byli szczególnie wylewni wobec siebie i Chantal zastanawiała się, czy to tak go ukształtowało - ale przecież kiedy się poznali, nie potrafił się od niej oderwać. Więc co takiego się stało w ciągu minionych lat? Chantal żałowała, że nie wie.

Dla niej to była kluczowa sprawa jako kobiety, żony. Być kochaną, pożądaną. Czy Ted mógł ją naprawdę kochać, skoro nigdy nie szukał z nią bliskości? Nie bardzo wiedziała, kiedy zaczęło się psuć. Wiele dla niego poświęciła. Była ambitną młodą dziennikarką. Gdyby została w Stanach, mogłaby być teraz Anną Wintour, a w każdym razie jej odpowiednikiem w jednym z przodujących czasopism. Ale porzuciła własne ambicje dla jego kariery. Ted, przebojowy czarodziej finansów, awansując, dostał posadę szefa bankierów inwestycyjnych Grenfell Martin. Minusem było to, że wysłano go do Londynu. Więc Chantal pożegnała się z rodziną,

przyjaciółmi i obiecującą karierą i z radością pojechała za nim. Praca, którą miała teraz w „Amerykańskim Stylu”, nie dawała jej nawet w przybliżeniu takiej pozycji jak poprzednia, ale w ciągu lat, odkąd jej życie seksualne zaczęło podupadać, zapewniła jej niejedną dodatkową korzyść. Teraz, kiedy z przebojowości Teda nic nie zostało, a małżeństwo niemal całkiem się posypało, owe uboczne korzyści stały się praktycznie jedyną rekompensatą.

Tym razem jechali fotografować rozległą rezydencję nad brzegiem jeziora Coniston. Właścicielami była para, która sprowadziła się do Anglii z Bostonu dwadzieścia lat temu. On był znanym pisarzem podróżnikiem. Ona była utalentowanym koniarzem. Wedle źródeł Chantal, poświęcili sporo czasu, żeby przywrócić rezydencji dawną świetność. Jej krajanie oszaleją z zachwytu. Oczami wyobraźni już widziała strony: żywe kolory, delikatne światło... artykuł praktycznie sam się napisze - zostawiając jej mnóstwo czasu na inne atrakcje. Czasopismo było hojne - i płacąc pensję, i zwracając koszty. Dziś wieczór ona i fotograf zatrzymają się w stylowym hoteliku, gdzie w apartamentach są łóżka z baldachimami, jacuzzi i dom perignon chłodzący się w minibarku. Wszystko, czego potrzeba do romantycznej schadzki. Chantal uśmiechnęła się do siebie szeroko.

Zerknęła do lusterka w osłonie przeciwsłonecznej i upewniła się, że ciemne włosy nienagannie się układają. Nie wyglądała na swoje trzydzieści dziewięć lat. Makijaż prezentował się nieskazitelnie, najbardziej uwodzicielski uśmiech był na miejscu. Co prawda mąż jej nie chce, ale jest mnóstwo innych mężczyzn, którzy zechcą.

Wysoki fotograf, Jeremy Wade, usadowił się za kierownicą.

- Chyba jesteśmy gotowi - oznajmił.

- Świetnie. - Posłała mu ciepły uśmiech. - No to ruszajmy sprawdzić, jakie rozkosze oferuje Lake District.

10

- Dobranoc, Autumn. - Addison zajął przez otwarte drzwi i pomachał do niej, gdy sprzątała resztki kolorowego szkła z dzisiejszych zajęć.

- Och, dobranoc. Miło było znowu cię widzieć.

Odgarnęła włosy za ucho, bezskutecznie próbując je ugładzić. Dlaczego nagle pożałowała, że nie ubrała się ładniej?

Addison Deacon był doradcą z agencji rozwoju przedsiębiorczości, który od niedawna zaczął przychodzić do ośrodka Stolford, gdzie pracowała. Pomagał pacjentom zaangażować się w miejscowy biznes i - miejmy nadzieję - wyrwać się z błędnego koła przestępstwa, w które zwykle dzieciaki były już uwikłane. To niesłychanie trudne zadanie, ale z jego promiennej czarnej twarzy nigdy nie zniknął szeroki, lśniący bielą zębów uśmiech. Addison był wysoki, przystojny i dobrze zbudowany - z pewnością nikt nie zignorowałby go, kiedy wchodził do pokoju, nie wyłączając jej. Miał ogoloną głowę i zawsze nosił ciemne okulary - takim wyglądem bardziej zachęcał pacjentów ośrodka do słuchania go niż przeciętny pracownik pomocy społecznej, który próbuje wyciągnąć dzieciaki z kłopotów. Ale najbardziej podziwiała serdeczność i prostotę, z jaką odnosił się do młodzieży.

- Znowu pracujesz do późna? - zapytał.

Wzruszyła ramionami.

- Wiesz, jak to jest.

Autumn nie miała ochoty wyjaśniać, że nie ma po co wracać do domu i że szczęśliwsza jest wśród wyrzutków i ich prób artystycznych niż w wygodnym, ale pustym mieszkaniu.

- Może któregoś wieczoru dasz się zabrać na kolację?

- Ja... ee... - wyjąkała. - Ja... ehm.

- Zastanów się - powiedział z uśmiechem. - Nie naciskam. - Zerknął na zegarek. - Muszę pędzić. Mam spotkanie w sprawie funduszy w radzie.

- Trzymam kciuki - zdołała wydusić z siebie.

- Będę tego potrzebował. - Addison znowu pomachał i zniknął za drzwiami.

- Do widzenia! - zawołała za nim.

Westchnęła i zmusiła się do skupienia z powrotem na obowiązkach.

- Ty idiotko! Skończona kretynko! - mruknęła do siebie, odkładając szkło do przeznaczonych na to pudełek. - Dlaczego nie powiedziałaś po prostu: Tak, chętnie poszłabym na kolację?

Dlaczego zawsze robi się tak idiotycznie nieśmiała w jego obecności? Dlatego właśnie nie masz chłopaka, pomyślała. Dlatego będziesz żalowaną i samotną starą panną, kiedy wszyscy będą już w szczęśliwych małżeństwach z dziećmi. Tobie zostanie do towarzystwa tylko pudełko cholernych czekoladek.

Spojrzała na siebie w lustrze na ścianie - to, które zrobił jeden z jej uczniów, ozdobione ramką z kolorowych bratków i lekko zezowatym kotem. Prawda czasem boli.

Kiedy Autumn wróciła do domu z ośrodka odwykowego, była wyczerpana. Chciała jedynie zanurzyć się w przyjemnej, ciepłej kąpieli z tabliczką ulubionej, ciemnej czekolady i pozwolić, aby woda i cukier przepędziły wszelkie troski. Uczenie młodych ludzi podstawowych technik mozaiki czy witrażu, które wchodziły w zakres programu „Zwalcz to!”, nie było trudne. W zajęciach uczestniczyły głównie dziewczyny, a większość z nich w miarę szybko chwytała zasady, ciesząc się z kilku godzin normalności, kiedy nie muszą myśleć o horrorze codzienności. Ale czasem trudno było patrzeć na ich zahartowane, umęczone twarze - twarze, które mówiły, jak bardzo większość tych dzieci jest pokaleczona emocjonalnie. Ich ciała poznaczone były cięciami, niekiedy samookaleczeniami, siniakami po bójkach pod wpływem narkotyków i śladami igieł, spadkiem po nałogu. A to tylko ślady, które są widoczne.

Przygnębiał ją rozmiar okrucieństwa, do jakiego ludzie są zdolni wobec samych siebie i innych. Większość dzieciaków, które trafiły do ośrodka, zdołała wyrwać się z domów, w których panowała sytuacja ułatwiająca ucieczkę w nałóg. Autumn wiedziała jednak, że niektóre z nich zaraz wrócą do ludzi albo rodzin, od których uciekły - kiedy tylko rany się zablźnią, a powody, dla których odeszły, wyblakną w ich pamięci, gdy ich ciała oczyszczą się z narkotyków. Pracowała w ośrodku już od czterech lat i widziała te same twarze powracające raz za razem. Najwyraźniej niezależnie od tego, jak bardzo dzieciaki starały się zmienić swoje życie, pozostawało ono takie samo. To była naprawdę trudna część pracy. Patrzenie, jak nastolatki, które zdążyła polubić

i o które się troszczyła, ciągle się parzą, przyciągane do nałogu jak ćmy do płomienia, wyczerpywało ją emocjonalnie. Wiedziała, że Addison czuł podobnie.

Przypięła łańcuchem rower do barierki przed budynkiem, w którym mieszkała. Zawsze czuła się trochę nie na miejscu, gdy widziała swój stary, zniszczony rower między mercedesami i porsche, typowymi środkami transportu w tej okolicy. Weszła po schodach. Kiedy doszła do drzwi mieszkania, zobaczyła, że siedzi pod nimi jej brat z dwiema wielkimi torbami u stóp.

- Cześć, siostrzyczko.

- Richard? Co tu robisz? Coś się stało?

- Kłopotliwa sprawa - odparł z żalem. - Tak się zastanawiałem, czy mógłbym zamieszkać u ciebie kątem na jakiś czas.

- Tutaj? - Otworzyła drzwi, a on wszedł za nią. - A co się stało z twoim mieszkaniem?

- Już go nie mam - odparł beznamiętnie.

Autumn rzuciła torebkę na sofę i odwróciła się do brata.

- Nie masz? Jak to możliwe?

Richard kopnął torby na bok i opadł na fotel.

- Byłem winny komuś trochę kasy i... powiedzmy, wziął mieszkanie jako spłatę.

- Twoje mieszkanie było warte pół miliona funtów! To dług jak cholera.

Zaszokowana wytrzeszczyła oczy na brata, ale on siedział całkowicie niewzruszony swoją sytuacją.

- Właściwie to nawet nie byłeś jego właścicielem.

Jakby ona była właścicielką swojego. Wszystko to kupili i opłacali rodzice. Jak inaczej stać by ją było na mieszkanie przy Sloane Square z pensji nauczyciela rzemieślnika na pół etatu? Może i czuła się trochę niezręcznie

na myśl o fortunie rodziców, ale czasem ich pieniądze okazywały się nadzwyczaj użyteczne.

- No to jak? Mogę się wprowadzić?

Nie było powodu, dla którego nie mógłby przez jakiś czas z nią pomieszkać. Nie musiała się martwić swoim chłopakiem. Ba, nie potrafiła nawet zebrać się w sobie i zareagować na propozycję wspaniałej randki z kolacją. W mieszkaniu były dwie sypialnie, chociaż małe. Musiała tylko przenieść trochę swoich rzeczy i zrobić bratu miejsce w szafie. Chociaż sądząc po skromnym bagażu, nie przyniósł znowu tak wiele. Wyglądał jak człowiek, który ucieka.

Westchnęła.

- Znowu wpakowałeś się w kłopoty?

Wiedziała, że kiedyś sięgał po narkotyki. Dwa pobyty w luksusowych klinikach odwykowych miały niby wyleczyć Richarda z uzależnienia od narkotyków zażywanych dla zabawy; to był zupełnie inny świat od ośrodka, w którym pracowała. Richard nawet nie zdawał sobie sprawy, ile ma szczęścia. Był już winny pieniądze jakimś szemranym facetom - to często kończyło się podbitym okiem albo złamaną kończyną. Autumn zastanawiała się, czy znowu wrócił do twardych narkotyków. Odrobina marihuany nie kosztowałaby go mieszkania. Martwiła się, w co tym razem się wpakował.

- Niezupełnie - odpowiedział, masując sobie skronie. Nie patrzył jej w oczy. - Wszystko załatwię. Tylko nie mów staruszkom, że tu jestem.

To nie będzie trudne. Rodzice byli tak zajęci, że ona i Richard nieczęsto ich widywali. Nie należeli do ludzi, którzy wpadają bez uprzedzenia. Oboje byli adwokatami w cieszących się uznaniem kancelariach. Ich obowiązki rodzicielskie sprowadzały się do pamiętania o urodzinach

dzieci i Gwiazdce oraz płacenia rachunków za wszystko pomiędzy. Nie żeby Autumn miała na co narzekać. Oboje z Richardem wychowywali się jako uprzywilejowane dzieci. Była świetna w grze na skrzypcach i dresażu. Richard grał w rugby i polo. Co roku wyjeżdżali z rodzicami na wakacje w egzotyczne miejsca i jeździli po całym świecie - do Monte Carlo, na Montserrat i Mustique. W porównaniu ze zdesperowanymi nastolatkami, z którymi pracowała, miała za co dziękować.

Oboje z Richardem chodzili do tej samej szkoły z internatem - surowej i staroświeckiej, gdzie chłopcy i dziewczęta nosili mundurki - ale mieli siebie nawzajem. Jako starsza o dwa lata dbała, aby młodszy brat przeżył szkolne lata z dala od kłopotów. To ona zawsze się nim opiekowała i wyglądało na to, że chociaż dorosli, to akurat się nie zmieniło. Richard był niesfornym dzieckiem, podczas gdy ona była tą rozsądną. Niezależnie od tego, co zrobił, zawsze pozostawał jej małym braciszkiem. Kochała go. Miała nadzieję, że zachowają tę bliskość, ale wiedziała, że są takie obszary w jego życiu, które przed nią ukrywa. Autumn znała bardzo niewiele jego przyjaciół. Nie wiedziała nawet, czy ma jakichś. Przez jego życie przewijał się niekończący się sznureczek zamożnych przyjaciółtek, ale rzadko którąś miała okazję poznać. No i żadna nie została w jego życiu na dłużej.

- Powiedziałbyś mi, gdyby było bardzo źle, prawda?
- Jasne. Jesteś moją kochaną siostrzyczką.
- A ty wrzodem na moim tyłku. Martwię się o ciebie.
- Kocham cię. I wszystko jest u mnie w porządku, naprawdę. Wszystko jest dobrze.

Skoro wszystko było w porządku, to dlaczego zjawił się tutaj, dlaczego stracił mieszkanie? Autumn wes-

tchnęła cicho. Na pewno wkrótce się dowie. Dopiero kiedy Richard będzie gotowy, powie jej, nie wcześniej.

- Pościelę ci łóżko.

- Obiecuję, że nie będę sprawiał kłopotu. Ledwo zauważysz, że w ogóle tu mieszkam.

- Potrzebujesz pieniędzy?

- Ech... - Wzruszył ramionami. - Kilka funtów byłoby w sam raz. Jeśli masz coś na zbyciu.

- Zobaczę, ile mam.

Autumn zawsze miała odłożonych kilkaset funtów na czarną godzinę.

Zerknęła na brata, który posłał jej jeden ze swoich czarujących, nieśmiałych uśmiechów. Wyglądało na to, że właśnie nadeszła taka czarna godzina.

11

Kiedy wreszcie pojawiaam się w biurze w porze lunchu, Luby natychmiast przychodzi do mojego biurka, żeby porozmawiać.

- Wszystko w porządku, Ślicznotko?
- Jasne, nie widać? - wzdycham.

Cierpliwie czeka, podczas gdy ja pomrukuję gniewnie, zdejmując płaszcz, bez celu otwierając i zamykając szuflady. Nawet widok zapasu czekolady upchniętej w biurku nie poprawia mi humoru. Luby też ją zauważył.

- Mmm. - Oblizuje usta. - Tabliczki Green & Black.
- Łapy precz - ostrzegam go. - Są moje i sama będę ich dziś potrzebować.

- Daj gryzą - prosi. - Wiesz, że chcesz.

Niechętnie podaję mu tabliczkę miętowej.

- Jeśli później zabraknie mi czekolady i zacznę świerować, to będzie twoja wina.

Mimo to bierze czekoladę i od razu ją otwiera. Nie mam wyboru, przyłączam się i rozwijam drugą tabliczkę, więc pierwszy kęs bierzemy jednocześnie.

- Przepraszam za spóźnienie - mamrocze z czekoladą w ustach.

Chociaż właśnie przeżuwa, Luby zerka na mnie z troską.

- Jakieś kłopoty?

- Z facetem - wyjaśniam. - Przechodzę kryzys. Wczoraj wieczór przeszłam traumę w związku z Marcusem.

- Hmm. Coś świńskiego?

- Nie, nic świńskiego, coś strasznego. Potwornego.

Powraca do mnie ohydne wspomnienie, jak nowa miłość Marcusa wchodzi lekkim krokiem do jego mieszkania z tym swoim pięknym uśmiechem i sterczącymi cyckami. Wrrr. Rzucam papierami po biurku. Spędziłam pół godziny w damskiej toalecie w Czekoladowym Niebie, żeby pod makijażem ukryć opuchnięte od płaczu oczy, zanim byłam w stanie wyjść i stawić czoło światu.

- Chcesz mi opowiedzieć?

- Nie bardzo. - Kręcę głową. - Ale myślę, że spokojnie mogę oświadczyć, że mój związek raz na zawsze się zakończył.

- Przykro mi to słyszeć - mówi, ale nadal się uśmiecha.

- Czego szczerzysz zęby?

- Uwielbiam, kiedy jesteś wściekła. Wyskakują ci wtedy dwie różowe plamki na policzkach.

- Nieprawda.

- Wyglądasz wtedy jak taka lalka szmacianka.

- Odpieprz się, Aiden - mówię do szefa, co może nie jest formą ogólnie przyjętą w rozmowach ze zwierzchnikiem, ale mam to gdzieś. Mówienie swojej osobistej sekretarce, że wyglądasz jak lalka szmacianka, też nie jest szczególnie politycznie poprawne.

- Popatrz na to z jaśniejszej strony - ciągnie. - Skoro jesteś wolna, mogę cię zacząć podrywać.

- Spróbuj tylko, a będziesz trupem.

Śmieje się w głos.

- Nie wszyscy faceci to tępi idioci.

- Nie?

- Niektórzy są troskliwi i czuli.
- Czyżby?
- Potrzebujesz kogoś, kto się tobą zaopiekuje.
- Nie potrzebuję nikogo - oznajmiam mu. Zwłaszcza takiego przemądrzałego, wygadanego dyrektora sprzedaży. - Doskonale sama sobie poradzę.

Luby kręci głową.

- Musi być idiotą, skoro cię rzucił.
- Nie powiedziałam, że mnie rzucił.
- Gdybyś ty go rzuciła, nie byłabyś taka zła.

Nie cierpię, kiedy mężczyźni popisują się logiką, więc wykrzywiłam się do niego. Kompletnie się tym nie przejmuję.

- Rozumiem, że mimo tej traumy pamiętałaś, że dziś po południu mamy comiesięczne zebranie w dziale sprzedaży?

- O kurczę.

Teraz żałuję, że nie wzięłam wolnego dnia. Będę musiała siedzieć tu całe popołudnie i robić notatki, których nigdy potem nie umiem odczytać. Nie cierpię, kiedy naprawdę muszę pracować. Zwykle robię, co się da, żeby osłodzić sobie trudy, i kupuję wielkie pudło przepysznych czekoladowych ciasteczek u Marksa & Spencera, których koszt zrzucam na firmę, ale dziś kompletnie o tym zapomniałam. Będziemy siedzieć na zebraniu bez żadnych słodyczy. Cholera. Nawet ten okrusz pociechy odpada - aluzja do okruszków z ciastek niezamierzona.

- Zaczynamy za pięć minut. Chłopcy siedzą już w konferencyjnej.

Cmokam głośno z dezaprobatą. Stres w domu, stres w pracy. Mam ochotę umrzeć. Albo przynajmniej wyjechać do spa.

- Na pewno dasz sobie radę?

- Jasne, pewnie. Dlaczego fakt, że życie mi się wali, ma wpłynąć na zebranie działu sprzedaży?

Obejmuje mnie i przytula - w sposób bardzo typowy dla szefa, słowo.

- Chodź - mówi. - Nikt się nie zorientuje, że masz złamane serce. Ja cię nie wydam.

Uśmiecham się słabo.

- A nałożyłaś tyle makijażu, że nawet nie zauważą, że płakałaś.

Nienawidzę mężczyzn. Wszystkich.

12

Zespół rzeczywiście już czeka w komplecie w sali konferencyjnej. Szybko zajmuję miejsce, krzątam się i staram się wyglądać jak profesjonalistka. Boże, powinienam dostać Oscara za niektóre przedstawienia, jakie tu urządzam. Chłopcy siedzą w kole z Aidenem u szczytu stołu obok stojaka ze śnieżnobiałym papierem. To oznacza, że będzie przyjazna gadka motywacyjna, więc trochę się rozluźniam. Nie sądzę, żebym zniosła dziś ostrą mowę o drużynie realizującej zgodnie cele z waleniem pięścią w stół. Nawet jeśli zauważyli brak słodyczy, to przynajmniej nikt nie narzeka.

I wtedy jeden ze sprzedawców wyskakuje z tekstem:

- Gdzie ciastka?

Nienawidzę go.

- Nie ma dziś ciastek, chłopcy - wstawia się za mną Aiden. - Cięcia. Targa myśli o waszych taliach i wy też powinniście.

Rozlega się trochę nadąsanego cmokania. Aiden potrafi być czasem naprawdę słodki. Miewałam szefów, którzy w takiej sytuacji zwałiliby winę na mnie. Zmuszam się do uśmiechu i posyłam go Lubemu, a on odpowiada tym samym.

Zaczyna spotkanie, a ja wyglądam za okno. Mamy widok na City ponad dachami Londynu. City, gdzie mój

były chłopak zajęty jest dawaniem z siebie wszystkiego. Dochodzi niemal druga po południu, a nie odezwał się nawet słowem. Nic. Gdybym ja złamała komuś serce w tak spektakularny sposób, miałabym przynajmniej tyle przyzwoitości, żeby zadzwonić następnego dnia i dowiedzieć się, jak się miewa ta osoba, albo jakoś przeprosić za swoje potworne zachowanie. To chyba kolejny znak, jak mało o mnie dba.

Aiden Holby wstaje i mówi, wymachując rękoma. Przypominam sobie, że powinnam to wszystko notować, żeby potem rozdać notatki sprzedawcom, więc bazgrzę z zacięciem w notatniku, aż Aiden zamyka się i znowu siada.

Luby mruga do mnie i posyła wspierający uśmiech. Właściwie pan Aiden Holby ma bardzo ładne oczy. Teraz, kiedy znowu jestem wolna, będę musiała przypomnieć sobie zasady niezobowiązującego flirtu. Krzyżuję nogi i staram się snuć uwodzicielskie myśli. Być może romansik pomoże mi zapomnieć o Marcusie. Zwykle nie popieram biurowych przygód, głównie dlatego, że żadnej nie zaliczyłam, i nienawidzę tych labiryntów, które bzykają się z szefami i dlatego każdego ranka nie mogą się doczekać, kiedy pójdą do pracy. To nie może być w porządku, prawda? Ale może zrobię wyjątek ten jeden jedyny raz.

Któryś ze sprzedawców wstaje i mówi, że musimy się dowiedzieć czegoś o nowym oprogramowaniu, które wchodzi na rynek. Bla, bla, bla. Staram się w pełni skupić na jego nawijce, ale nie daję rady. Używa całego mnóstwa technicznych terminów i nie mam zielonego pojęcia, o czym właściwie mówi. Luby znowu zerka na mnie i uśmiecha się. Ciekawe, czy ktoś jeszcze w biurze zauważył, że między nami ewidentnie iskrzy. Nie,

żebym kiedykolwiek - póki byłam z Marcusem - zaczęła go do czegoś. Wiem, jak to jest być ofiarą zdrady, i nigdy bym nikogo na to nie naraziła. Ale teraz, kiedy jestem wolna...

Kołyszę lekko nogą i zwilżam odrobinę dolną wargę językiem. Na moje usta wypływa rozbawiony uśmiešek. Luby łapie mój wzrok. Unosi brwi i kieruje spojrzenie na moje nogi. Mam zabójcze obcasy, a może Luby to fetyszysta na punkcie stóp, bo ewidentnie intensywnie się im przypatruje. Oczy mu się robią wielkie jak spodki. Uśmiecham się szerzej. Cieszę się, że włożyłam spodnie, bo jestem przekonana, że pan Aiden Holby właśnie w myślach mnie rozbiera. Muszę przyznać, że lekki dreszczyk przebiega mi po plecach. To cudowne lekarstwo na złamane serce. Pochylam się ku Lubemu i przyjmuję taką samą pozę jak on. Czy nie w taki sposób daje się sygnał, że ktoś ci się podoba? Nie żeby mi się podobał. To tylko odrobina zabawy, żeby ożywić nudne zebranie działu sprzedaży.

Sprzedawca dalej nawija... wiem, że później tego pożałuję, ale odchyłam się na krzesło, potrząsam zgrabnie podciętymi włosami i jeszcze mocniej kołyszę nogą. I wtedy dostrzegam, dlaczego Luby tak się uśmiechał. Ale już jest za późno. Wkładałam rano spodnie w stanie takiego otępienia, że nie zauważyłam majtek z wczorajszego dnia w prawej nogawce. Teraz mam je wokół kostki, udrapowane na bucie, ale nie zdążę już ich zatrzymać, kiedy lecą z rozkołysanej nogi. Wraz z ostatnim machnięciem fiołkowe koronkowe figi wlatują z mojego buta i szybują przez salę, a sprzedawca urywa w pół słowa.

Luby nurkuje pod krzesło i łapie je, nim wylądują na podłodze.

- No, patrzcie, państwo! - wykrzykuje w stylu asa krykieta Freddiego Flintoffa. Na sali zapada martwa cisza. - Piękny rzut.

Cała krew, do ostatniej kropli, napływa mi do twarzy.

- Dziękuję, Lucy - mówi dalej. - Bardzo doceniam twój entuzjazm. Myślałem, że tylko w podstarzałe gwiazdy rocka rzuca się majtkami.

Sprzedawcy wybuchają śmiechem i wiem, że najlepiej rozładować sytuację, śmiejąc się razem z nimi, ale nie mogę, bo jestem o krok od łez. Luby mruga do mnie znowu, chowa majtki do kieszeni marynarki i poklepuje ją. Chcę umrzeć. A jeśli sprzedawcy będą chichotać jeszcze bardziej, to naprawdę umrę.

Po tym wydarzeniu na zebraniu panuje kompletny chaos i nikt nie może się skupić. Zwieszam głowę zawstydzona i udaję, że robię obszerne notatki, spuszcza-
jąc przy okazji włosy na twarz i kryjąc za nimi upokorzenie. Kwadrans później Aiden zarzuca próby wyciśnięcia z kogokolwiek czegoś sensownego.

- Dobra, skończmy na tym - mówi. - Resztę notatek przekażę Desusy... przepraszam, chciałem powiedzieć Lucy... żeby rozdała wszystkim.

Znowu rozlegają się śmiechy. Teraz na pewno w biurze zyskam przezwisko Lucy-Desusy. Prawie żałuję, że nie nazywają mnie Pućka. Ten dzień nie może być już gorszy. Zamierzam wejść na dach budynku i skoczyć.

Wszyscy ruszają do drzwi, a ja udaję, że sprzątam rzeczy. Może uda mi się spędzić tu resztę popołudnia, jeśli się postaram. Może uda mi się przesiedzieć tu resztę umowy z firmą. A może po prostu mogłabym wyjść i nigdy więcej się tu nie pokazać. Ryzykuję i zer-
kam - wszyscy już wyszli. Oprócz Lubego. Ignoruję go

i w dalszym ciągu pracowicie zajmuję się niczym. W końcu on odchrząkuje.

- Panno Lombard.

Kiedy zmuszam się, żeby spojrzeć na niego, on trzyma moje majtki.

- Jak sądzę, to należy do pani.

Podaje mi bieliznę. Ale bynajmniej nie zwinięta w dyskretny kłębek. O, nie. Trzyma moje majtki za brzegi i macha nimi przed twarzą, jakby to była jedna z tych zasłon noszonych przez Arabki w haremach. Trzepocze do mnie rzęsami ponad nimi.

- To nie znaczy, że jesteśmy zaręczeni - mówi kokieterjnie.

- Mam na sobie majtki - odpowiadam oschle.

- Szkoda. - Wzrusza ramionami.

Jeszcze mocniej zaciskam zęby.

- Nosiłam je wczoraj.

- Dobrze. Zamierzasz podzielić się jeszcze jakimiś szczegółami?

- Nie. Chciałam tylko, żebyś mógł powiedzieć reszcie ekipy, jak było naprawdę.

- Gdybym tylko sam wiedział - odpowiada, szczerząc zęby. - Ale możesz być pewna, że będziemy rozmawiać o twoich koronkach przy rozlicznych okazjach w przyszłości.

Czerwienię się jak burak i zabieram mu majtki. Są ciepłe od jego dotyku.

- Bliżej moich majtek już się nie znajdziesz - mówię.

Aiden odchodzi, śmiejąc się cicho.

- Ej, Ślicznotko - woła przez ramię. - Wróciły ci te różowe plamki.

13

Hotel Keating House stał pośród rozległych terenów nad jeziorem Coniston otoczony lasem. Podróż okazała się torturą z powodu rozlicznych robót drogowych i „wzmoczonego ruchu”, jak to cały czas powtarzano w informacjach radiowych. Dotarli na miejsce o wiele później, niż Chantal sobie wyobrażała. Jeremy był dobrym towarzyszem podróży. Dzielił się z nią plotkami, zabawiał ją opowieściami o poprzednich zleceniach, które wykonywał dla pisma, i dziennikarzach, z którymi pracował. Nie zjadł więcej niż jego część tabliczki czekolady, co dobrze o nim świadczyło. Dowiedziała się także, że nie jest żonaty, ale mieszka z młodszą kobietą i jej dzieckiem z poprzedniego związku. Był skazany na upadek, to jasne. Chantal uznała, że Jeremy Wade doskonale pasuje do jej planów na dzisiejszą noc. Naprawdę doskonale.

Minęła już siódma wieczór, kiedy znaleźli hotel i zameldowali się. Chantal nie udało się namówić Jeremy'ego, żeby wybrał się z nią na basen hotelowy na szybką kąpiel przed kolacją. Powiedział, że musi wysłać parę e-maili. Ona też musiała, ale to mogło poczekać. Coraz trudniej było zachować szczupłą sylwetkę, w miarę jak przybywało jej lat, a musiała włożyć sporo pracy, żeby dotrzymać tempa spożyciu czekolady.

Umówili się, że spotkają się o wpół do dziewiątej w barze na drinka przed kolacją. Wobec tego Chantal samotnie wybrała się popływać. Mieli mnóstwo czasu, żeby zbliżyć się do siebie. W końcu przed nimi cała noc.

Na basenie panował spokój. Kilku biznesmenów z nadwagą pruło wodę, ciężko dysząc przy zaliczaniu kolejnej długości basenu. Młoda, rozchichotana para całowała się w jacuzzi. Jakiś facet wyciągał się samotnie na leżaku i czytał „Financial Times”. Biały ręcznik zwieszał mu się z szyi. Facet był przystojny, wysportowany. Podniósł wzrok, gdy Chantal weszła, i posłał jej pełen uznania uśmiech. Odwzajemniła go i wskoczyła do wody, unosząc ramiona, tnąc wodę. Po kilkunastu basenach przepłyniętych kraulem widziała, że nadal jej się przygląda; czuła jego wzrok na nagiej skórze. Skoro obcy faceci tacy jak ten nie mogli oderwać od niej oczu, to dlaczego jej mąż nie potrafił docenić jej seksualności? Chantal otrząsnęła się z tych myśli i kropelek wody na skórze. Wydzwignęła się z basenu. Niespiesznie wytarła się i znowu spojrzała na faceta na leżaku.

Odłożył gazetę.

- Niezły z pani pływak - powiedział.

- Kiedyś owszem - przyznała Chantal. Była w drużynie pływackiej w szkole średniej. - Ale teraz już nie. Nie mam za wiele czasu na trening.

- Na moje oko jest pani dobra.

- Dzięki.

- Przyjechała pani na kilka dni?

- Tylko na jeden wieczór.

- W interesach czy dla przyjemności?

- Praca.

- To jak ja. Je pani kolację sama?

- Jestem ze współpracownikiem.

- Szkoda - odpowiedział z uśmiechem.

- Aha - potwierdziła. - Szkoda.

Ale wcale nie żałowała; miała poważne plany wobec Jeremy'ego Wade'a.

*

Teraz była już ubrana i gotowa do kolacji. Przywiozła przylegającą do figury czarną sukienkę. Z głębokim dekoltem, bez pleców, z rozcięciem do uda. Niezbyt subtelna, ale Chantal dysponowała tylko jednym wieczorem. Nie miała czasu na powolne uwodzenie. To będzie jednorazowy numerek i dziękujemy panu. Przywiozła też całą biżuterię. Włożyła jednokaratowe brylantowe kolczyki - prezent od Teda na gwiazdkę. Pewnie wysłał sekretarkę, żeby je kupiła. Nie powinna być niewdzięczna - Ted był naprawdę zapracowanym człowiekiem, a kolczyki i tak bardzo jej się podobały. Potem wsunęła bransoletkę - kolejny rząd dwudziestu sześciu brylantów. I zegarek - złoty rolex. Na koniec zapięła na szyi szczerozłoty wisior ozdobiony brylantami. Wszystko to prezenty od męża. Nie mogła narzekać na jego gust czy brak hojności. Tylko własnego ciała jej odmawiał.

Jedyna biżuteria, jaką zdjęła, to obrączka ślubna i pierścionek zaręczynowy - ten ostatni również z imponującym kamieniem. Powoli zsunęła je i położyła na toalecie. Można ją uznać za staroświecką, ale wydawało jej się nie w porządku - robić świństwa z obrączką na palcu. No dobra, to tylko symboliczny ukłon w stronę moralności, ale lepsze to niż nic, tłumaczyła sobie. Łóżko już było przygotowane na noc i na poduszce leżała owinięta w złotko czekoladka. Rozdarła folię i włożyła

czekoladkę do ust. Nijaka, miętowa, ale kto by się przejmował? Mimo wszystko to czekolada i Chantal nie mogła pozwolić, żeby się zmarnowała.

Przyjrzała się sobie w lustrze. Krucha i piękna, uznała. Zabójcze połączenie. Ale była gotowa do akcji. Wzięła torebkę i ruszyła na kolację.

Jeremy siedział już w barze, gdy się zjawiła.

- Rety - powiedział, gdy podeszła. - Wyglądasz fantastycznie.

- Dzięki. - Usiadła na stołku barowym obok niego.

- Czuję się nie dość elegancki.

Chantal spojrzała na jego czarne dżinsy i szary kaszmirowy sweter. Zapach jego wody po goleniu miał ostrą nutę, jak świeżo rozcięta limonka. Robił wrażenie faceta, który się postarał.

- Wyglądasz w porządku.

- Pozwoliłem sobie już coś zamówić - powiedział, unosząc kieliszek szampana.

Z każdą minutą coraz bardziej podobał jej się ten facet.

- Cudownie.

Barman nalał jej kieliszek.

- Za "Amerykański Styl" - zaproponował Jeremy.

Stuknęła się z nim kieliszkiem.

- Za nas.

- Nie musimy być w tym domu jutro przed dziesiątą. Pomyślałem, że moglibyśmy trochę wyluzować dziś wieczór.

- Zabawne - powiedziała Chantal. - Tak samo sobie pomyślałam.

Kolacja była wyrafinowana, a towarzystwo spełniło jej oczekiwania. Dopili kawę i chociaż chciała jak najszybciej zaciągnąć Jeremy'ego do łóżka, poświęciła trochę czasu, żeby skubnąć nieco przepysznych czekoladek na deser - kilka minut nie zrobi różnicy - ale teraz nadzedł czas, żeby wziąć się ostro do dzieła.

- Chodźmy do baru na kieliszek na dobranoc - zaproponował Jeremy.

- W moim pokoju chłodzi się butelka szampana. Moglibyśmy pójść do mnie, będzie przytulniej.

W oczach Jeremy'ego widać było wahanie, ale w końcu powiedziała:

- No dobra, chodźmy.

Wyszła z restauracji, a on ruszył za nią. Skrępowani stali w recepcji, czekając na windę. Kiedy wsiedli, Barry Manilow uraczył ich serenadą *Copacabana*. Chantal nacisnęła guzik swojego piętra. Wzięła Jeremy'ego za rękę i przyciągnęła do siebie, czując jego ciepło przez sukienkę. Serce waliło mu w piersi. Odchyliła usta, szukając jego ust.

Jeremy się odsunął.

- Wiesz - powiedział. - Ja chyba nie mogę.

Chantal spanikowała. Tak nie może być.

Cofnął rękę.

- Jestem z kimś.

- Ja też. Mam męża.

- Więc to nie w porządku.

- Nikt się nie dowie.

- Ja będę wiedział. Przepraszam, Chantal. Jesteś bardzo atrakcyjną kobietą, ale... - Zagryzł usta.

Winda zatrzymała się i drzwi się otworzyły.

- Cóż, wobec tego dobranoc.

- Gdyby sytuacja wyglądała inaczej, gdybyśmy byli w innym miejscu, nie wahałbym się.

- Jasne - odparła oschle. Trudno było nie zdradzać rozczarowania. Przecież wieczór przebiegał zgodnie z planem. Aż do tej chwili.

- Spędziliśmy cudowny wieczór.
- Nie musiał się kończyć w ten sposób.
- Dobranoc. - Jeremy cmoknął ją w policzek.
- Dobranoc.

Wysiadła z windy i zrozpaczona stanęła w korytarzu. Jeremy przycisnął guzik następnego piętra i drzwi zaczęły się zamykać. Pomachał do niej zażenowany.

Chantal poszła do swojego pokoju i otworzyła drzwi. Mogłaby przejrzeć e-maile i wcześniej się położyć. Laptop stał na niskim stoliku - niezbyt kuszący widok, bo zamierzała na czym innym skupić się tego wieczoru. Zdjęła kolczyki i bransoletkę, położyła je na toaletce obok pierścionka i obrączki. Zdejmując wisiołek, krążyła po pokoju. Pomasowała kark. Nie ma mowy, żeby zasnęła, kiedy jest tak podniecona. Wyczekiwana noc z Jeremym rozbudziła w niej maszynę, a sama nie zdołała zaspokoić żądy. Dla trzydziestodwuletniej kobiety o niepohamowanym temperamencie masturbacja była najbardziej przygnębiającą rozrywką. Próbowała tego wystarczająco wiele razy, żeby wiedzieć. Zdecydowanie nie zamierzała próbować tego dziś wieczór. Chciała seksu. Gorącego, ostrego seksu. Po prostu. I szczerze mówiąc, było jej obojętne z kim.

Westchnęła. Wyglądało na to, że będzie musiała uruchomić plan awaryjny.

14

Facet, którego spotkała nad basenem, siedział w kącie w barze, tak jak miała nadzieję. Chantal zamówiła cosmopolitana, a potem odwróciła się i szeroko uśmiechnęła się do mężczyzny. Chwycił aluzję i wzięwszy swojego drinka, podszedł do niej.

- Więc co się stało z facetem od kolacji?

- To były interesy - powiedziała Chantal. - A teraz przyjemność.

Kieliszek mężczyzny był prawie pusty.

- Mogę postawić ci drinka? - zapytał.

- Mógłbyś. Albo możemy pójść do mnie i wypić szampana, który tam już czeka.

Uśmiechnął się do niej szeroko.

- Zawsze słyszałem, że Amerykanki są bardzo bezpośrednie.

Nie zawracała sobie głowy tłumaczeniem mu, że od dziesięciu lat mieszka w Wielkiej Brytanii i że niektóre z narodowych dziwactw przeniknęły do jej psychiki już dawno temu. Teraz czuła się jak jakaś śródatlantycka hybryda.

- Dobrze słyszałeś - potwierdziła.

Chantal nie miała ochoty na grzecznościowe rozmówki; nie chciała wiedzieć, czy on ma żonę, dzieci i psa. Nie obchodziło jej, czy sprzedawał oprogramowanie,

sprzęt komputerowy czy narkotyki. Chciała mieć go w swoim łóżku tej nocy, a rano go pożegnać. Oprócz tego chciała sobie udowodnić, że może poderwać faceta. Nie chciała się do tego przyznać, ale odmowa Jeremy'ego była dla niej ciosem. Zupełnie jakby znowu została odrzucona przez Teda. A jeśli wkraczała w wiek, kiedy trudno jej będzie znaleźć faceta, który chciałby się z nią przespać? Co wtedy? Niektóre kobiety ubierały się w zabójcze ciuchy, flirtowały przez całe wieczory z największymi przystojniakami w barach, a i tak wracały do domów same. Czy stawała się jedną z tych nieszczęśliwych, biednych wywłok?

Wzruszył ramionami i odstawił kieliszek.

- Więc chodźmy.

Ogarnęła ją ulga i radość. Takiego zastrzyku energii nie dawała jej żadna czekolada, choćby nie wiadomo ile jej zjadła. Chantal dopiła cosmopolitana - drinka, na którego wcale nie miała ochoty. Nie musiała się upić, żeby to zrobić. Wołała na trzeźwo rozkoszować się podbojami.

Poszli do windy, ale tym razem nie było żadnego dyskomfortu, jak wcześniej z Jeremym, tylko czyste iskrzenie. Tym razem oboje dobrze wiedzieli, czego chcą.

W windzie Chantal nacisnęła guzik swojego piętra. Kiedy tylko drzwi się zamknęły, dobrał się do niej. Przyciągnął ją do siebie brutalnie, przycisnął wargi do jej ust, a jego dłoń powędrowała do jej dekoltu, odsłaniając piersi. Aż sapnęła, kiedy jego usta powędrowały do jej piersi i zębami skubnął sutek. Jego palce przesunęły się między jej udami, wsunęły się pod majtki i w nią. Była już gotowa i pożałowała go.

Kiedy drzwi windy się otworzyły, wysiedli zataczając się, nadal zaplątani, na oślep macając, aż trafili do drzwi jej pokoju. Drżącymi dłońmi wpuściła ich oboje.

Pociągnął ją do łóżka, rozpinając spodnie i podciągając jej sukienkę. Obciągnął też górę i znowu zaczął całować jej piersi. Wszedł w nią, kiedy jeszcze miała kosztującą tysiąc funtów sukienkę owiniętą wokół talii. Wbijał się w nią gorączkowo, a ona doszła szybko i gwałtownie. Leżeli, dysząc ciężko, i wtedy poczuła, że on znowu twardnieje. Ściągając z niej sukienkę, uniósł ją z łóżka i wygiął nad krzesłem przy toalecie. Wszedł w nią od tyłu jak zwierzę, a ona widziała siebie w lustrze - drżące nogi, piersi ściśnięte w jego dłoniach - posuwaną przez obcego przystojniaka. Uniósł ją znowu, posadził na toalecie i zaciskając jej uda mocno wokół siebie, wszedł w nią znowu. Odchyliła się, przytrzymując się stolika, zrzucając biżuterię na podłogę, przewracając lampkę nocną, i znowu doszła.

- Lepiej już? - zapytał z uśmiechem.

- Tak. - Ledwo łapała oddech. - Tak.

Wziął ją za rękę i zaprowadził do łóżka.

- Chcesz otworzyć szampana?

- Nie.

Zwinęła się na łóżku. Tego właśnie chciała. Anonimowego pieprzenia bez pogaduszek, gry wstępnej, zobowiązań. Lepiej by było, gdyby od razu wszedł.

- Jestem zmęczona.

Prawdę mówiąc, była wykończona. Fizycznie i emocjonalnie wyczerpana.

Położył się obok niej i pogłaskał po pupie.

- Jesteś cholernie seksowną kobietą.

To chciała usłyszeć. To chciała usłyszeć - ale od innego mężczyzny. Chantal zagryzła usta. Nie będzie płakać. Nigdy z tego powodu nie płakała.

- Nie wiem nawet, jak masz na imię - powiedziała, odwracając się do niego. Ale on już zasnął.

15

Chantal zmusiła się do otworzenia oczu. Głowa ją bolała od za dużej ilości szampana i wszystkie kończyny. Uda i wewnątrz też miała obolałe. Dostała to, czego chciała zeszłej nocy, ale z jakiegoś powodu zawsze na drugi dzień budziła się z goryczą w ustach. Teraz będzie musiała znowu spojrzeć temu facetowi w twarz, tym razem w brutalnym świetle poranka. Nie cierpiała tej chwili.

Obróciła się i zobaczyła, że druga połowa łóżka jest pusta. Z łazienki nie dobiegały żadne odgłosy. Westchnęła z ulgą i podziękowała sprzyjającym gwiazdom, że wstał i wyszedł, zanim się obudziła. Lubiła facetów, którzy tak się zachowywali. Ci, którzy chcieli zostać na śniadaniu, byli gorsi od wrzodu na tyłku. Zeszłego wieczoru było nieźle, ale była kompletnie nierozważna. Dopadł ją tak szybko, posuwał niemal do utraty zmysłów, że zapomniała poprosić go, żeby założył prezerwatywę. Będzie musiała pójść jutro do apteki i poprosić o pigułkę „dzień po”. Lęk przed ciążą nie był problemem w dzisiejszych czasach, ale głupio byłoby złapać AIDS albo inną chorobę przenoszoną drogą płciową. Najgłupsza rzecz na świecie. Z żalem pokręciła głową. Następnym razem musi być ostrożniejsza.

Chantal zerknęła na zegarek. Było dopiero po siódmej. Będzie miała czas na długą, gorącą kąpiel. Zdaży

odebrać e-maile i nawet zjeść szybkie śniadanie przed spotkaniem z Jeremym. Czekoladowe croissanty i mocna, gorąca kawa wystarczą, żeby rozbudzić ją tego dnia. Miała nadzieję, że znajdzie je w menu. Szkoda, że wczoraj wieczór w karcie dań nie znalazł się Jeremy, ale trudno, tak bywa. Jeśli mają dzisiaj razem pracować, to może nawet lepiej, że nie obudzili się w jednym łóżku, ale z pewnością ominęła go szalona noc. Chantal uśmiechnęła się do siebie szelmowsko.

Usiadła i przeciągnęła się. Może powinna jednak zacząć od sprawdzenia poczty. Zerknęła na stolik, ale nie zobaczyła tam laptopa. Dziwne. I wtedy coś do niej dotarło. Nagle całkowicie oprzytomniała. Rozejrzała się po pokoju. Nie tylko zniknął laptop, ale też torebka. Wy-skoczyła z łóżka i podbiegła do toaletki, opadła na kolana i na czworakach rozejrzała się po podłodze, na którą wcześniej zrzuciła biżuterię. Oczywiście precjoza też zniknęły.

Chantal przykucnęła i objęła się ramionami. Ten łajdak ją okradł. Zerznął, a potem okradł. W torebce miała co najmniej pięćset funtów w gotówce i wszystkie karty kredytowe. Będzie musiała obdzwonić banki, żeby n-tychmiast je zablokowano. Jeśli dobierze się do jej laptopa, znajdzie wszystkie PIN-y, które miała tam zapisane. Na pewno facet nieźle się wtedy obłowi.

Chantal przetarła oczy. To jakiś koszmar. Koszmar z pieprzeniem najwyższej klasy w tle. Ale nie to było najgorsze. Biżuteria była warta tysiące, wiele tysięcy. To wszystko były brylanty czystej wody. Próbowwała sobie przypomnieć, na jaką sumę je wyceniono w ostatniej polisie ubezpieczeniowej. Trzydzieści tysięcy? Na pewno nie. Chryste, nie mogła nawet o tym myśleć. Czy wypłaca ubezpieczenie, jeśli facet nie włamał się do jej

pokoju, lecz wszedł zaproszony? Zostawił jej tylko zegarek, który miała na ręce. Pewnie powinna być wdzięczna za tę łaskę. Boże, ten cholerny drań pewnie teraz uśmiecha się do siebie pod nosem.

Jak to wszystko wyjaśni Tedowi? Jak to wyjaśni ludziom? Nie mogła przecież pójść do recepcji i poprosić, żeby wezwali policję, po czym zgłosić, że została okradziona przez jednego z hotelowych gości, którego zaprosiła do siebie, żeby się z nim pieprzyć. A ostatecznie to ją wydymano. I to po królewsku. Jak się nazywał? Och, nie miała pojęcia. Ale był przystojny. Wysoki, przystojny brunet. Bardziej w stylu bohatera romansu niż typowego włamywacza. I był świetny w łóżku. Ale za jaką cenę.

Chantal zamknęła oczy i marzyła, żeby to wszystko się nie zdarzyło. Tyle, jeśli chodzi o seks bez dodatkowych komplikacji.

16

Siedzę w Czekoladowym Niebie. Jest pora lunchu, a ja zamiast zdrowej wersji w postaci kanapki pret-a-manger wybieram gorącą czekoladę i wielki kawałek czekoladowego ciasta w wykonaniu Clive'a. Dzisiaj jest spory ruch i zostało tylko wolne miejsce przy oknie, ale to mi odpowiada. Mogę wyglądać na tabuny przechodzących zakupowiczów i próbować nie rozmyślać o swoich nieszczęściach. Zakupy mi nie pomagają - ale to chyba dobrze, mam już wystarczająco dużo uzależnień: od czekolady, Marcusa i publicznego upokarzania się, żeby podać kilka przykładów.

Tego ranka, dzień po incydencie z majtkami, poprosiłam Lubego, żeby przyjął moje wymówienie. Teoretycznie wcale nie muszę składać wymówienia, bo pracuję na zastępstwie i wystarczy, że zadzwonię do agencji i poproszę o przeniesienie do innego biura. Obśmiał się jak norka i powiedział, że za dużo ma ze mną ubawu, żeby choćby rozważać moje odejście. Zastanawiam się, czy to dobrze.

W ostatniej chwili zdecydowałam się tu przyjść, więc nie miałam czasu, żeby napisać do dziewczyn i zapytać, czy któraś może wpaść. Wolałabym nie być dzisiaj sama, ale nie najlepiej mi się układa z dziewczynami z biura. Nigdy nie zapraszają mnie, żebym poszła

z nimi na lancz. Myślę, że częściowo dlatego, że są zazdrosne, bo pracuję dla Lubego, a pół biura się w nim podkochuje. Na ich miejscu zachowałabym się całkiem inaczej - zaprzyjaźniłabym się ze sobą, żeby zbliżyć się do Lubego. Najwidoczniej nie wiedzą, co to manipulacja na poziomie. Marcus nadal się nie odezwał i na samą myśl o tym zaczyna mnie boleć brzuch i nie przestaje. Może czekoladowe ciasto pomoże. Muszę wrócić do biura nakręcona cukrem, jeśli mam mieć szansę przetrwać popołudnie.

Drzwi otwierają się i wchodzi precudny facet. Wszyscy cudni faceci, którzy tu przychodzą, zwykle są gejami, bo są to znajomi Clive'a i Tristana, ale to byłby grzech przeciw ludzkości, gdyby ten też lubił tylko chłopców. Bierze cappuccino i wybiera talerz czekolad Clive'a z wyselekcjonowanych plantacji - moja bratnia dusza! Rozgląda się za miejscem do siedzenia. A traf chce - szczęśliwy dla mnie traf - że miejsce jest tylko przy moim stoliku. Dwie dziewczyny na wyściełanej sofie wyglądają, jakby zaraz miały zacząć przekładać torby z zakupami i zbierać się do wyjścia. Siłą woli zmuszam je, żeby jeszcze chwilę poleniuchowały, co posłusznie robią.

- To miejsce jest zajęte? - pyta mnie przystojniak.

- Nie. - Staram się nie wyglądać na zbyt podekscytowaną. Ponad ladą Clive próbuje złapać moje spojrzenie, ale go ignoruję.

- Mogę się przysiąść?

- Proszę - odpowiadam wielkodusznie, wskazując na puste krzesło.

- To świetne miejsce, prawda? - mówi, sadowiąc się. - Nigdy nie mam dość ich czekolad. Dopiero co je odkryłem, ale teraz to moje ulubione miejsce.

- Moje też.

Już jestem zakochana. Możecie nazwać mnie nie-
stałą, ale przy takim facecie naprawdę mogłabym zapo-
mnieć o Marcusie. Ma artystycznie zmierzwione włosy
w kolorze ciemnego blondu i oczy jak letnie niebo. I jest
czekoladoholikiem. Czuję, że dobraliśmy się jak w kor-
cu maku. Najprawdopodobniej powinnam unikać blon-
dynów, ale jak to szło z tą łyżką dziegiu, co psuła cały
miód? Szybko zerkam na serdeczny palec, zanim znowu
kompletnie zadurzę się w nieodpowiedniej osobie. Nie
ma obrączki. Dobry początek.

- Wiem, że to oklepane pytanie, ale... - Śmieje się
z siebie. Nadmiernie skromny. Podoba mi się to. -
... często tu przychodzisz?

- Tak - odpowiadam. O Boże, jak to pięknie brzmi!
„Czy ty, Lucy Lombard, bierzesz sobie tego mężczyznę
za prawowitego małżonka? Tak”.

- Jestem Jacob - mówi mi. - Jacob Lawson.

Jacob. „Czy ty, Lucy Lombard, bierzesz sobie tego
mężczyznę, Jacoba Lawsona, za prawowitego mał-
żonka?”. O tak! Tak!

- Lucy - ledwo wykrztuszam z siebie. - Lucy Lombard.

- Miło cię poznać.

Wyciąga rękę, żeby ucisnąć moją dłoń. Podaję ją,
mając nadzieję, że nie jest umazana czekoladową polewą.
Jacob uśmiecha się do mnie, a ja odpowiadam tym samym
- otwartym, ciepłym, przyjaznym uśmiechem, wierząc, że
wysyłam wszystkie właściwe sygnały. Kiedy grzeczno-
ściom stało się zadość, Jacob skupia się na czekoladkach.

- Pracujesz w pobliżu?

Zerkam z wyrzutami sumienia na zegarek i odkry-
wam, że już powinnam siedzieć za biurkiem. Któregoś
dnia Luby uszy mi poobrywa za spóźnienia, ale mam

nadzieję, że jeszcze nie dzisiaj. Wcisnę mu stary kit - że musiałam pędzić do apteki po tampony. To zawsze załatwia szefów płci męskiej.

- Tak. Pracuję na zastępstwie w jednym z biur przy ulicy. Duża firma IT.

Kiwa głową, jakbym mu zaimponowała.

- Ary?

Ma na sobie świetny garnitur i nosi teczkę ze stali nierdzewnej.

- Pracuję jako wolny strzelec w rozrywce.

- No no. No proszę.

Pewnie mogłabym wyjść na jeszcze większą kretynkę, ale nie wiem, jak bym miała tego dokonać. Niechętnie zerkam na zegarek.

- Przykro mi, naprawdę muszę już iść.

Na jego twarzy pojawia się rozczarowanie.

- Może spotkamy się raz jeszcze? - proponuje.

Teraz jestem tak podekscytowana, że ledwo mogę mówić. Jeden dzień jako wolna kobieta i już ktoś zaprasza mnie na randkę!

- Byłoby miło.

- W przyszłym tygodniu w hotelu Savoy jest wieczór czekolady i szampana. Miałybyś ochotę?

Pewnie, że miałabym! Mam ochotę rzucić mu się do stóp i załkać z radości. Ratuje mnie przed zostaniem samotną, potwornie otyłą starą panną.

- Byłoby miło.

Ktoś musi mnie szturchnąć, bo płyta mi się zacięła.

- To moja wizytówka. - Jacob przesuwają ją po blacie.

Prosta biała wizytówka z samym numerem komórki. Prawda, że wizytówka z klasą?

- Dzięki. - Grzebię w torebce w poszukiwaniu długopisu i kawałka papieru. Ostatecznie na odwrocie ra-

chunku z Czekoladowego Nieba zapisuję swoje imię i numer telefonu.

- Więc do zobaczenia - mówię i śmigam do drzwi, po drodze puszczając do Clive'a oko.

Jacob macha do mnie, kiedy mijam jego okno. Zaciśkam palce na wizytówce w kieszeni. Naprawdę mam nadzieję, że zadzwoni. Nie macie nawet pojęcia, jak bardzo mam nadzieję, że zadzwoni.

17

- Cześć, Ślicznotko - mówi Luby, gdy pośpiesznie wracam za biurko. - Miło, że do nas dołączyłaś.

- Przepraszam, przepraszam - mruczę. - Moje życie to jedna wielka katastrofa. Pogódź się z tym. Ja muszę.

Mogłabym mu powiedzieć, jak mi się poszczęściło z propozycją randki, ale że sama nie mogę w to do końca uwierzyć, decyduję się - ten jeden raz - trzymać głowę na kłódkę. Aiden Holby przysiada na brzegu mojego biurka. Kiedy siada tak blisko, robi mi się gorąco, więc ustawiam małą barykadę z akt, kubków na długopisy i nawet plastikowej świnki, w której trzymam spinacze do papieru, żeby udaremnić jego próby zbliżenia się do mnie. Ale to wszystko zawodzi. Po prostu odsuwa na bok szpargały i ładuje się. Jego mocna, jędrna pupa ładuje tuż obok mojej ręki.

Jakbym nie była dość zmieszana, pyta:

- Co robisz w ten weekend?

O mój Boże. Luby też mnie zaprasza na randkę? Dwie propozycje w jeden dzień! Muszę dosłownie buzować feromonami lub czymś tam, co sprawia, że mężczyźni padają ci do stóp. A ja myślałam, że flirtuje ze mną wyłącznie ze względu na zapasy czekolady, które trzymam w biurku.

- Jeszcze nie wiem. - Może warto tym razem zagrać na dwa fronty. - A co?

- Dział sprzedaży organizuje zajęcia integrujące zespół w ten weekend. Wybieramy się na rafting do Walii. Piszesz się, Ślicznotko?

Och, więc to nie randka.

- Rafting? Dlaczego nic o tym nie wiem?

- Bo to jest w twoich papierach, a ty nigdy ich nie czytasz - cierpliwie tłumaczy. - Zorganizowała to Tracy, czy jak jej tam było, zanim zaciążyła i wyleciała.

Oto ta czuła, troskliwa firma, dla której pracuję.

- Chłopcy chcą, żebyś też się wybrała.

Moje serce bije radośniej, chociaż nie chodzi o romantyczną schadzkę. Miło być kochaną przez kogoś. Kogokolwiek. Nawet przez zespół sprzedawców.

- Serio?

- Aha - przytakuje Luby. - Chcą, żeby pojechał z nimi ktoś naprawdę beznadziejny, bo wtedy przez kontrast każdy z nich wypadnie rewelacyjnie.

Balon sztuk raz. Szpilka sztuk raz. Bum sztuk raz.

- Hura - mruczę żałośnie.

- Będzie zabawnie.

Moja wizja dobrej zabawy to wieczór z czekoladą i szampanem w hotelu Savoy w towarzystwie przystojniaka. A nie przemoknięcie do suchej nitki w Walii.

- Zapłacimy ci. To jako dodatkowa zachęta.

To rzeczywiście zachęta, serio. Mam swoją cenę - zwykle gotówkę w dowolnej ilości. To nie takie najgorsze: zmoczyć się w Walii i dostać za to pieniądze.

- Sprawdzę terminarz - odpowiadam spokojnie. - Widuję się z kimś i mogę mieć inne plany.

Teraz Luby wygląda na poirytowanego.

- A wydawało mi się, że dopiero co rzucił cię Marcus.

- Takie kobiety jak ja nie zostają długo na wolnym rynku - odpowiadam z satysfakcją.

Luby się denerwuje. Czuję, że tym razem ja mam przewagę.

- Podwój stawkę, to się zgodzę.

- Potrafisz się targować, Lucy Lombard - odpowiada, kręcąc głową. - Bądź o szóstej rano w sobotę. Przyjedzie po nas minibus.

Szósta rano w sobotę? Nie wiedziałam nawet, że taka pora istnieje.

Teraz Luby uśmiecha się szelmowsko. Znika w swoim gabinecie i przysięgam, że nad głową ma chmurkę z napisem „Hi-hi-hi”.

Staram się wynagrodzić firmie przydługi lancz, pracując rzetelnie. Naprawdę próbuję, ale znowu jakoś nie mogę się skupić. Przez chwilę bawię się danymi ze sprzedaży i wypełniam parę papierków, po czym z kubkiem herbaty z automatu zjadam batonik Daim Bar, kiedyś go nazywano Dime Bar - moim zdaniem nie było najmniejszej potrzeby, aby zmieniać nazwę - który znajduję w biurku, i przez chwilę gapię się w przestrzeń. I nagle o czwartej, kiedy gwałtownie tracę chęć do życia, Derek Świntuch z działu pocztowego podchodzi do mojego biurka. Nazywają go Derek Świntuch nie ze względu na brak higieny osobistej, ale szeroki wachlarz wyjątkowo obleśnych dowcipów na każdą okazję. Dzisiaj niesie ogromny bukiet czerwonych róż owiniętych różową bibułą.

- Dla ciebie, kochana - mówi, mrugając. - Ktoś się musiał nieźle wczoraj wieczorem zabawić.

- Prześliczne! - wołam i oglądam bukiet. - Żadnej karteczki?

- Nie.

Nie zdziwiłabym się, gdyby Derek Świntuch zgubił ją po drodze. A on tylko puka się w nos i odchodzi.

- Tajemniczy wielbiciel - woła.

Stawiam bukiet na biurku. Widzę, że Luby wyciąga szyję, żeby je zobaczyć. Nawet bez karteczki doskonale wiem, od kogo przyszły. Aż krzyczą Marcusem. Kilka dni z nową miłością i już jego serce się odmieniło. Czy nie dzieje się tak za każdym razem? Zawsze, gdy mnie opuszcza, myślę, że tym razem na dobre. A wtedy on wraca na klęczkach. W gardle mi zaschło. Co teraz? Powinnam zadzwonić i podziękować? A może siedzieć i czekać na jego następny ruch?

Kiedy rozważam ten dylemat, odzywa się moja komórka, dając sygnał, że przyszła wiadomość. To od Chantal: „Pogotowie czekoladowe, 18.00”.

Super. Siadam wygodniej i oddycham z ulgą. Dziewczyny powiedzą mi, co robić.

18

- Co ja teraz zrobię? - jęczy Chantal.

Właśnie opowiedziała nam historię o ostrym bzykaniu i kradzieży. Szczerze mówiąc, moje czerwone róże i dylemat bledną w obliczu potwornych przeżyć Chantal. Ścisnęłyśmy się w kącie Czekoladowego Nieba na wyściełanych sofach. Nasza przyjaciółka sący gorącą czekoladę. Twarz ma bladą jak prześcieradło i cała drży.

- Zostałam okradziona w pięciogwiazdkowym hotelu. Nie w jakimś zaułku w najgorszej dzielnicy miasta. To był hotel rezydencja pierwszej klasy. Dość długo mieszkałam w Nowym Jorku, żeby umieć rozpoznać oszusta. Powinnam być kuta na cztery nogi. Jak mogłam być tak głupia? Taka łatwowierna?

I nie dodaje „tak zdesperowana”.

Autumn nie wygląda dużo lepiej. Straszne wieści od Chantal zaszokowały ją. Ujmuje przyjaciółkę za rękę.

- Musisz iść na policję.

- Niby jak? - pyta Chantal. - Jeśli zaczną dochodzenie, Ted z pewnością się dowie. Jak mam to utrzymać w tajemnicy przed nim?

- Mój Boże, Chantal, masz szczęście, że tylko cię okradł - mówię. - Mógł cię zamordować.

- Może lepiej by było, gdyby zamordował - odpowiada ponuro. - Ted i tak mnie zabije, jak się dowie.

- Więc będziemy musiały zadbać o to, żeby się nie dowiedział - staram się ją pocieszyć najlepiej, jak umiem. - Dowiedziałaś się w recepcji, jak się nazywał?

- Nie. - Zwiesza głowę. - Nie udzielają żadnych informacji. Zresztą, z tego, co wiem, mógł spokojnie podać fałszywe nazwisko. Zdziwiłabym się, gdyby po raz pierwszy wywinął taki numer. Założę się, że to zawodowiec. Chryste, byłam łatwym celem. Praktycznie siedziałam z tarczą wymalowaną na czole.

Wygląda, jakby miała się rozpłakać, a Chantal nigdy nie płacze. Po raz pierwszy widzę ją tak roztrzęsioną.

- Clive, Clive! - wołam. - Potrzeba nam więcej słodyczy na pocieszenie! Szybko.

- Nie chcę niczego jeść - protestuje Chantal.

- Nie wygłupiaj się. Czekolada to nie jedzenie. To lekarstwo.

Mnie i Autumn też przyda się coś na wzmocnienie. Żałuję, że Nadia nie mogła się pojawić, ale napisała do mnie, że nie uda jej się wyrwać, bo nie ma z kim zostawić Lewisa. Będzie żałowała, że tu nie dotarła.

- Musisz z tym skończyć - z głębokim przekonaniem mówi Autumn do Chantal. - Musisz przestać podrywać mężczyzn, których nie znasz. To niebezpieczne.

- Wiem. - Chantal kręci głową. - To był ostatni raz. Obiecuję. Dostałam niezłą nauczkę.

I to w jaki sposób, myślę sobie, ale nie mówię nic na głos. Chantal nie potrzebuje, żeby jej prawić oczywistości.

- Mamy mnóstwo pieniędzy - stwierdza i wzdycha rozdygotana. - Muszę jak najszybciej zacząć przenosić drobne sumy z naszego konta, żeby odkupić biżuterię. Tylko tyle mogę zrobić.

- Ted nie zorientuje się, że czegoś brakuje?

- Ja zajmuję się domowymi wydatkami. Ufa mi.
Nie umyka nam ironiczny wydźwięk jej słów.

- Nie możesz po postu powiedzieć, że je zgubiłaś, i zgłosić to ubezpieczycielowi?

Nie do końca to etyczne, ale gdyby powiedziała, że zostały skradzione, wypłaciliby jej pieniądze, prawda?

- Przy tak dużej sumie na pewno chcieliby, żeby zajęła się tym policja albo inni inspektorzy. Ted też chciałby wiedzieć, dlaczego zabrałam najdroższą biżuterię na wyjazd służbowy. Nie sądzę, żeby to było rozwiązanie. Muszę to załatwić tak, żeby nawet nie zauważył, że czegoś brakuje.

Podchodzi Clive z dodatkową gorącą czekoladą i talerzem czekoladowych ciasteczek z kawą i orzechami włoskimi, które przyjmujemy z wdzięcznością.

- To nie wygląda dobrze - stwierdza, kiedy widzi nasze ponure twarze, i przysiada się do nas na sofę.

- Chantal dmuchnięto i oskubano - wyjaśniam, a potem wyjawiamy mu potworne szczegóły.

- Mężczyźni - prycha i macha ręką - to prawdziwe świnię.

Co przypomina mi, że miałam im powiedzieć o gałązce oliwnej od Marcusa.

- A mówiłaś im o tym przystojniaku, który cię podrywał w czasie lanczu? - ciągnie Clive.

Muszę więc opowiedzieć o spotkaniu z Jacobem Lawsonem. Szybko wprowadzam dziewczyny w temat.

- Mamy się spotkać w przyszłym tygodniu.

- Cudnie - wtrąca Chantal. - Tylko włoż jakąś tanią biżuterię.

Nie chce mi się mówić, że tylko taką mam.

- Robi wrażenie naprawdę miłego - dodaję odrobinę zakłopotana. - Mam nadzieję, że zadzwoni.

- Na pewno - potwierdza z przekonaniem Autumn.

Należy do typowych optymistek. Jej szklanka nigdy nie jest w połowie pusta.

- I mam coś jeszcze do powiedzenia. - Zamieniają się w słuch. - Marcus przysłał mi dziś ogromny bukiet róż.

- Wstawiłem je do wody na zapleczu - wtrąca się Clive. - Żeby nie więdły.

Wcześniej jednak skomentował je, życząc Marcusi, żeby co innego mu zwiędło.

- Co miał do powiedzenia? - pyta Chantal.

- Nic. Nie było liścika.

- Więc skąd wiesz, że to od Marcusa?

- A kto inny przysłałby mi trzy tuziny róż po zdradzie? To typowe zagranie w stylu Marcusa. Klasyka. Chcę tylko wiedzieć, co powinnam zrobić. Mam do niego zadzwonić? Poczekać, aż on zadzwoni?

- Obiecaj mi coś - mówi Chantal. - Jeśli ja mam przestać sypiać z nieznajomymi, to ty przestaniesz przyjmować z powrotem Marcusa, co?

- Przynajmniej Chantal nie pozwala facetowi, żeby zeszmacił ją więcej niż raz - zauważa Clive.

- Tak, dzięki za tę uwagę. - Wzdycham głęboko. - Więc uważacie, że nie powinnam nic zrobić?

Wszyscy kiwają głowami. Łatwo im mówić, ale ja jestem bardziej uzależniona od Marcusa niż... od czekolady - on jest przynajmniej mniej kaloryczny.

19

Kiedy Autumn zbliżała się do drzwi mieszkania, dostrzegła wychodzącego mężczyznę. Miał na sobie czarną skórzaną kurtkę i lustrzane okulary, chociaż znajdował się w budynku. Nos miał krzywy, jakby nieraz w niego oberwał.

- Cześć - powiedział i minął ją szybkim krokiem, idąc do schodów.

Autumn zmarszczyła brwi i weszła przez otwarte drzwi do mieszkania.

- Richard? - zawołała, wchodząc do pokoju dziennego. - Kto to był?

- Znajomy - odpowiedział niezbyt precyzyjnie jej brat.

Autumn poszła za jego głosem do kuchni. Brat stał przy zlewie i nalewał wody do czajnika.

- Herbaty? Wyglądasz na wykończoną.

- Przyjaciółka wpakowała się w straszne tarapaty. Próbowałam jej pomóc.

- Zawsze przyciągasz do siebie życiowe kaleki.

- Wliczasz w to siebie?

- To było trochę złośliwe.

- To naprawdę był twój znajomy?

Autumn usiadła przy stole, Richard zaparzał herbatę.

- Mam prawo mieć znajomych, prawda? Zanudzę się, mieszkając u ciebie, jeśli nie pozwolisz mi nikogo zapraszać.

- Bałam się, że to jeden z tych gości, którym jesteś winien pieniądze. Nie mam nic przeciwko temu, żebyś tu mieszkał, ale nie chcę, żebyś narobił mi tu kłopotów.

Richard postawił herbatę na stole, Autumn zauważyła, że blat jest pokryty reszką białego proszku. Podeszła, żeby go zetrzeć dłonią, i wtedy aż jej się zrobiło słabo, bo zdała sobie sprawę, co to za proszek. To nie był ślad po środku czyszczącym albo talku, tylko kokaina. Była tego pewna. Polizała palec i zgarnęła trochę pyłu. Bóg jeden wie, dlaczego to zrobiła. Chociaż pracowała w ośrodku odwykowym, jej jedyne doświadczenia z narkotykami obejmowały kilka dymków trawki na przypadkowej imprezie na studiach, które wzięła z czystej grzeczności. Nie potrafiłaby odróżnić talku od kokainy. Ale sądząc po minie Richarda, on doskonale potrafił.

- Nie patrz tak na mnie - powiedział poirytowany. - Nie jestem ćpunem, który mieszka na melinie. Nie jestem jak ci, z którymi pracujesz. W naszych sferach to dopuszczalne, przecież wiesz. Spotykam się z ludźmi, którzy czasem lubią wciągnąć kreskę. To żadna zbrodnia. Wszyscy to robią. Idź do dowolnego klubu nocnego, tak to funkcjonuje. To nie jest gorsze od butelki wina. Pomaga się rozluźnić. Nakręca mnie.

Zauważyła, że Richard ma rozszerzone źrenice i jest ożywiony. Zaczęła się zastanawiać, jakim cudem wcześniej nie zauważyła tych objawów.

- To dlatego straciłeś pracę? I mieszkanie?

Pociągnął niedwuznacznie nosem i otarł go palcem.

- Po prostu narobiłem trochę długów, i tyle.

- Ile bierzesz?
- Prawie w ogóle. - Zawahał się. - Tylko dla zabawy.

- Chciałabym ci wierzyć.

Richard wzruszył ramionami.

- Sama powinnaś spróbować. Mamy świetne imprezy. Powinnaś czasem gdzieś wyjść, poznać trochę ludzi.

- Poćpać trochę? - zapytała sarkastycznie.

- Są gorsze rzeczy od paru kresek.

- Pomyśl o skutkach. Codziennie widuję ludzi, którym narkotyki zniszczyły życie.

- Ty też jesteś uzależniona - sztydził. - Widziałem, jak jesz czekoladę. Jak się nią napychasz.

Autumn aż się wzdrygnęła.

- To idiotyczne. Nie możesz porównywać czekolady do kokainy.

- Nie mogę? Jesteś uzależniona tak samo jak ja. Możesz szczerze powiedzieć, że rzucisz swój nałóg? Nic ci nie daje takiego kopa. Różnica polega jedynie na tym, że twój narkotyk jest legalny.

- I nie muszę niczego ryzykować, żeby go zdobyć.

Brat zmrużył oczy.

- Nie chciałabyś spróbować koki... chociaż raz? Lepiej byś się poczuła.

- Równie dobrze może mnie zabić.

- Kiedyś wszyscy musimy odejść - zaśmiał się gorzko. - Mógłbym codziennie jeść mięso i umrzeć młodo na zawał. Jaki nudny sposób porzucenia ziemskiej powłoki. Wolę raczej żyć jak do tej pory, niż resztę swoich dni spędzić w kaftanie bezpieczeństwa. Kokaina to cudowne uzależnienie. Kiedy ją biorę, czuję się jak pan świata. Rozsadza mnie pewność siebie i wszyscy mnie kochają. Nie chcesz się tak poczuć?

- Ale prawda jest taka, że wszystko straciłeś: karierę, dom...

Już miała dodać „szacunek dla siebie”, ale nie chciała aż tak bardzo go karać. Kokaina najwyraźniej była narkotykiem, który karmił ego i zniekształcał rzeczywistość. Sprawiała, że narkoman stawał się egoistyczny, nieczuły na własne problemy i niewrażliwy na uczucia innych. Chciała pomóc bratu. Chciała go powstrzymać przed niszczeniem sobie życia. Ale kto jej pomoże?

20

Nadia wcześniej położyła Lewisa do łóżka. Kąpiel i czytanie na dobranoc załatwiła dwa razy szybciej niż zwykle - ku wielkiemu rozczarowaniu synka. Wynagrodzi mu to jutro. Tego wieczoru chciała jak najwięcej czasu spędzić z mężem.

Kolacja była skromna - wymieszane resztki najtańszego, supermarketowego makaronu, puszka pomidorów i puszka taniego tuńczyka, którego ledwie krok dzielił od żarcia dla kotów. Nie takie posiłki wyobrażała sobie, kiedy została gospodynią na pełen etat. Widziała siebie, jak co wieczór przygotowuje pożywne uczyty w stylu Jamiego Olivera, zawierające kozi ser, kuskus i rukolę. Teraz siedzieli z Tobym naprzeciwko siebie. Ona apatycznie bawiła się rurkami makaronu na talerzu, podczas gdy jej mąż odgrywał odważne przedstawienie, udając, że zajada ze smakiem.

- Mmm - powiedział, ocierając usta ręcznikiem papierowym, którego Nadia używała ostatnimi czasy jako tańszy zamiennik serwetek. - To było pyszne.

Oboje wiedzieli, że nie było.

- Wrócę do biura, kochanie - dodał. - Posiedzę jeszcze nad robotą.

I tym razem oboje wiedzieli, że to nieprawda - czym innym Toby zajmie się w gabinecie.

Nadia odsunęła talerz.

- Nie możemy tak dłużej żyć. Przejrzałam dzisiaj rachunki. Jesteśmy winni trzydzieści tysięcy funtów.

- Nie wygłupiaj się. To niemożliwe.

Nadia podeszła do niskiego kredensu i wyciągnęła plik rachunków. Położyła je na stole przed mężem.

- Już dwa razy obciążyliśmy hipotekę domu, żeby spłacić długi. Dzwoniłam dziś po południu do banku, nie pożyczą nam pieniędzy. Nie wiem, do kogo jeszcze moglibyśmy się zwrócić.

Nie powiedziała mu, że przejrzała nawet wszystkie ogłoszenia tych szemranych firm oferujących pożyczki, które się reklamują na ostatnich stronach gazet. Dochodzili do granicy, i jeśli rzeczywiście pójdą tą drogą, to już nigdy w życiu nie wyjdą z długów.

- Zajmę się tym. To żaden problem. Tylko przestań ciągle jęczeć.

- Nie jęczę, do cholery! Próbuję zmusić cię, żebyś przejrzał. - Czuła, że jest bliska łez. - Nie mam pieniędzy na jedzenie. Lewis potrzebuje ubrań. Wyrasta z butów co dwa miesiące. Dostajemy już kary za gaz i elektryczność.

Sprzedała większość starych ubrań Lewisa i znaczną część własnej garderoby na eBayu, żeby zdobyć kilka dodatkowych funtów. Dom był prawie umeblowany, delikatnie rzecz ujmując. Mieli naprawdę niewiele aktywów i praktycznie nic, co mogliby jeszcze sprzedać. Zostały tylko pamiątki rodzinne - kilka drewnianych figurek, które należały do jej pradziadków w Indiach - i nie było siły, która zmusiłaby ją do rozstania się z nimi. Nie mogła sprzedać swojego dziedzictwa za kilkaset funtów. Czasem czuła, że to jedyne, co ją jeszcze łączyło z nieobecną rodziną. Nigdy nie będzie mogła przyprowadzić do siebie dziewczyn z Klubu

Miłośniczek Czekolady, bo umarłaby ze wstydu, pokazując im niemal ogołocoony dom. Kiedy poznała Toby'ego, miała świetną pracę w wydawnictwie i nawet jeśli nie spali na kasie, to dawali sobie radę, byli w stanie wyżyć. Jak to się wszystko posypało?

- Mogłabym wrócić do pracy, zyskalibyśmy trochę pieniędzy - powiedziała. - To by nam coś dało.

- Rozmawialiśmy już o tym setki razy. Pieniądze, które byś zarobiła, poszłyby na opiekę nad dzieckiem. Jaki to ma sens?

Sama już to sobie przemyślała i nawet jeśli zostanie jej w kieszeni tylko kilka funtów, to i tak warto.

- Mogłabym zwrócić się do mojej rodziny - zaproponowała. - Powiedzieć im, że mamy kłopoty. Może zechcieliby pomóc.

Nadia wiedziała, że są na to małe szanse. W dniu, w którym postanowiła wyjść za Toby'ego, całkowicie się od niej odcięli. Upokorzyłaby się, prosząc ich o wsparcie, ale nie miała już do kogo się zwrócić. Lepiej błagać rodzinę, niż wejść w układy z niepewną firmą pożyczkową, chociaż różnica była minimalna.

- Pięknie - warknął sarkastycznie Toby. - Idź i powiedz im, że twój mąż nie jest w stanie utrzymać rodziny. Będą zachwyceni.

Miał rację. Może i pomogą, ale będą się cieszyć z jego niepowodzenia. Jej ojcu powiodło się w biznesie - otworzył małą, ale wysoce zyskową sieć sklepów jubilerskich. Nic bardziej by go nie zachwyciło niż dowód, że Toby Stone okazał się pomyłką i nie nadaje się na męża jego najstarszej córki.

Toby pokręcił głową.

- Nie chcę, żeby znowu wbili w ciebie pazury. Zwłaszcza twój ojciec. Jeśli to się stanie, stracę cię.

- Jeśli nie przestaniesz grać i tak mnie stracisz.
- Skoro tak uważasz, to nie ma sensu dłużej rozmawiać.

Wstał i ruszył do drzwi.

- Chcę ci pomóc. Chcę, żebyśmy przeszli przez to razem, ale jeśli ty nie potrafisz dostrzec problemu, to moja walka jest z góry przegrana.

- Mam coś do zrobienia - powiedział Toby i wyszedł.

Nadia zebrała talerze i zaniósła je do kuchni. Łzy popłynęły jej po policzkach. Co u licha ma zrobić? Otworzyła szafkę kuchenną i zaczęła w niej grzebać, aż jej palce zacisnęły się na tym, czego szukała. Odsunęła paczkę czekoladowych herbatników McVitie. Szkoda, że one nie wystarczą, żeby zablokować ból. Czasem czekolada po prostu nie jest rozwiązaniem. Z tyłu, za rzadko używanym pojemnikiem na mąkę, leżało pudełko z lekami. Nie spuszczać z oczu drzwi, wyciągnęła pakiecik i wycisnęła tabletkę z listka. Zaczęła brać leki na rzekomą depresję poporodową rok po urodzeniu Lewisa. Jej zazwyczaj oschły internista okazał niezwykłe współczucie i chętnie wypisał jej receptę na antydepresanty, żeby jakoś mogła przetrwać dzień, oraz tabletki na sen, żeby przetrwała noc. Ale nie potrafiła przyznać się lekarzowi, na czym polegał jej prawdziwy kłopot. Nikomu tego nie powiedziała. Nikt nie wiedział, że jej mąż jest nałogowym hazardzistą. Przełknęła tabletkę, popijając szklanką wody; dochodziła do stanu, kiedy nawet antydepresanty nie pomagają.

21

- Jest coś, co chciałybyś mi powiedzieć? - spytał Ted.

Serce Chantal zamarło na chwilę. Czy Ted dowiedział się, co się stało? Wyjątkowo oboje byli w domu i szykowali się do snu. Tej pory dnia, której nauczyła się najbardziej obawiać.

- Obrączka i pierścionek - ciągnął. Podążyła za jego wzrokiem i spojrzała na swoje palce. - Nie nosisz ich.

- Och - bąknęła, próbując ukryć konsternację. - Do stałam lekkiej wysypki. Może od jakiegoś detergentu.

- Detergentu? - zaśmiał się jej mąż. - Skarbie, a kiedy ty miałaś styczność z jakimś detergentem?

- Mydło - poprawiła się szybko. - To pewnie było mydło.

Wziął ją za rękę.

- Niczego nie widzę.

- Dziękuję, panie doktorze Hamilton. - Próbowała zaśmiać się beztrudnie, ale jej śmiech zdradzał niepokój. - Teraz już to lepiej wygląda. Chciałam przez parę dni nie nosić niczego, żeby wszystko się zaleczyło.

Nie miała wyjścia: będzie musiała cholernie szybko podjąć część pieniędzy z ich konta i kupić coś na podmiętę.

- A myślałam, że może chcesz mi coś powiedzieć.

Mimo błysku w oku zauważyła, że powiedział to poważnie. Oczywiście, że chciała mu coś powiedzieć! Chciała mu powiedzieć, że nie może już dłużej podrywać nieznajomych dla zaspokojenia potrzeb seksualnych. Chryste, nie skończyła nawet czterdziestki, nadal miała swoje potrzeby. A Ted nie? Nie było mowy, żeby stawiała czoło następnym dwudziestu albo więcej latom w związku całkowicie pozbawionym seksu. I nie tylko seksu jej brakowało - chociaż, niech to szlag, człowiekowi go brakuje, gdy go wcale nie ma - ale rozpaczała też z powodu braku bliskości emocjonalnej. Nie sądziła, żeby związek mógł coś takiego przetrwać.

- Nie myślisz czasem, że może nasze życie jest zbyt płytkie?

Spojrzała na niego.

- Płytkie?

- No wiesz... - Wskazał na kosztowny wystrój wnętrza. - Nigdy się nie zastanawiasz, po co to wszystko? Jaki to ma sens?

- Wygląda świetnie - odpowiedziała Chantal. - Lubimy ładne rzeczy.

- I dlatego codziennie chodzę do biura i urabiam sobie ręce po łokcie?

- Wszyscy tak robią.

- Ale inni mają cel. Robią to dla rodziny, dla tych, których kochają.

- My nie mamy rodziny.

- A gdybyśmy mieli? To byłoby takie straszne?

- Prędzej sobie żyły podetnę.

- Więc to wszystko tylko dla nas?

- A czy to zbrodnia?

- Nie zbrodnia, ale co to za życie?

- Lubisz te rzeczy tak samo jak ja.

- Czyżby?

Szczerze mówiąc, już nie miała pojęcia, co jej mąż lubił, a czego nie. Chantal westchnęła. Była zmęczona i przybita. Może Ted miał depresję. Może powinien iść do lekarza i dostać jakieś pigułki szczęścia. Może by też ożywiły jego libido. Ale to nie był dobry moment, żeby zacząć o tym rozmawiać, miała teraz za dużo innych spraw na głowie. A skoro do tej pory unikali wszelkich rozmów na temat sytuacji, w jakiej się znaleźli, to mogą poczekać jeszcze chwilę.

Ted zdjął koszulę i poszedł do łazienki. Mimo że „urabiał sobie ręce po łokcie”, nadal znajdował co-dziennie godzinę, żeby pójść na siłownię w pracy. Miał więc wysportowane, zadbane ciało. Smutne było to, że nadal go kochała i pragnęła - żałowała tylko, że te uczucia nie są odwzajemniane. W każdym kobiecym czasopiśmie pełno było rad, jak poprawiać jakość życia miłosnego, ale w żadnym nie pisano, jak rozpalić na nowo takie, które kompletnie zgasło i umarło.

Łatwo było zaniedbać fizyczną stronę związku. Najpierw pocałunki stały się rzadsze, potem - jeśli nie liczyć rutynowego cmoknięcia w policzek - całkiem ustały. Przestali się przytulać, a regularne kochanie się obsuwało się w ich kalendarzu, w miarę jak sprawy codzienne coraz bardziej kolidowały z seksem. Im mniej było pocałunków i tulenia, tym łatwiej było unikać wszelkiej intymnej bliskości. Na początku, kiedy byli razem, kochali się każdej nocy. Potem raz w tygodniu, następnie raz w miesiącu. Teraz nie potrafiła sobie przypomnieć, kiedy leżeli razem zaplątani w siebie. Pół roku temu? Więcej? Kiedy ostatni raz Ted objął ją i przytulił? Choćby po przyjacielsku. Jedno z najseksowniejszych zdań w języku angielskim brzmi: „Chcę się z tobą ko-

chać", a już lata temu te słowa całkowicie zniknęły ze słownika jej męża.

Ted wyszedł z łazienki i wsunął się pod prześcieradła. Kiedyś sypiał nago, pomyślała Chantal, ale teraz w łóżku nosił spodenki i T-shirt. Najwyraźniej nie mógł nawet znieść dotyku jej skóry.

Teraz przyszła jej kolej stanąć przed lustrem, zmyć makijaż. Starła się nie myśleć, co robiła zeszłej nocy i jaka była głupia. Kiedy skończyła, położyła się w łóżku obok męża.

Ted leżał na boku i już oddychał głęboko. Chantal zwinęła się za jego plecami. Może jednak da się uratować ich związek. Naprawdę wierzyła w to. Kochała Teda i nie chciała go stracić. Pogłaskała go po plecach. Powinni porozmawiać o tym, co go gryzło. Źle, że zlekceważyła jego uczucia, nawet jeśli uważała, że jego zmartwienia są ciut nie na miejscu. Wiedziała to. Po prostu zawsze, kiedy próbowała zmusić go, żeby powiedział coś o swoich uczuciach, zamykał się i odpychał ją. A to niby Brytyjczycy mają być tacy sztywni, skłonni do cierpienia w milczeniu. Może Ted podłapał zbyt wiele złych nawyków, pracując tu tak długo. Szkoda, że to nie takie proste. Ale niewątpliwie w ciągu ostatnich lat przestał okazywać uczucia. Jeśli miała być szczerą, to chyba wcale nie chciała słuchać, co jest nie tak. A jeśli obciążenie w pracy było zbyt wielkie i chciał wszystko rzucić, zostać malarzem albo pisarzem? Pogodziłaby się z tym? Czy to zburzyłoby całą chwiejną równowagę, gdyby naciskała, wypytywała i nagabywała Teda dość długo, żeby się wreszcie wygadał? Miała przeczucie, że czekałoby ją nie lada zadanie, a czasem człowiekowi po prostu nie chce się zdejmować wszystkich warstw cebulki. Chantal podniosła się na łokciu i spojrzała na

męża. Tak dłużej nie można, niezależnie od tego, co to za problem, trzeba się nim zająć.

- Ted - odezwała się cicho. - Obejmij mnie.
- Jutro muszę wcześniej wstać - odpowiedział.

Mimo najlepszych intencji poczuła, że cała się najeża.

- A objęcie żony wymaga aż tak wielkiego wysiłku?
- Śpijże - odparł i naciągnął wyżej przykrycie.

Teraz już wiedziała, że nie zaśnie i całą noc będzie się gapić w sufit.

22

Nie sędzę, żebym kiedykolwiek wcześniej widziała wschód słońca w Londynie i raczej nie będę się wyrywać, żeby znowu go zobaczyć. Jakimś cudem udało mi się dowlec do biura na szóstą rano w sobotę i teraz czaimy się na chodniku, czekając na minibus. Żarty są zdecydowanie zbyt dziarskie jak na mój gust, więc trzymam się z boku, starając się unikać mówienia, dopóki mój głos się nie obudzi. Przed biurem stoi ławeczka ze stali nierdzewnej i słowo, mogłabym się na niej położyć i zasnąć.

- Cześć, Ślicznotko. - Luby podchodzi do mnie. - Cieszę się, że udało ci się dotrzeć.

Myślę, że ten komentarz wynika z tego, że w dni robocze zazwyczaj nie udaje mi się dotrzeć do pracy na dziewiątą. Burczę coś pod nosem, bo nie potrafię wymyślić niczego na swoje usprawiedliwienie. Podaje mi kubek kawy ze Starbucksa.

- Dzięki - mówię zdziwiona, że moje struny głosowe działają o tej porze.

O śniadaniu w ogóle nie pomyślałam. Jest tak wcześnie, a mój mózg jest tak nieprzyzwyczajony do tej pory dnia, że zapomniałam wziąć ze sobą czekoladę. I teraz mam siedzieć przez najbliższe pięć godzin w furgonetce bez żadnego jedzenia? Jak ja to przeżyję?

- Kupiłem też parę muffinek i bułeczek z kawałkami czekolady - mówi mi.

Naprawdę mogłabym pokochać tego faceta.

- Podobały ci się róże?

- Tak - wzdycham. - Ale to nie znaczy, że przyjmę go z powrotem.

Nie przyznaję się, że zagrożono mi śmiercią, jeśli zrobię inaczej, i że właściwie to Marcus o nic nie prosił. Muszę pamiętać, że jeden bukiet kwiatów to jeszcze nie oświadczyły.

Luby sączy kawę w zamyśleniu, marszcząc brwi.

- Myślisz, że były od Marcusa?

- A kto inny przysłałby mi kwiaty? - Na miłość boską, nie jestem Jennifer Lopez. Kolejka moich wielbicieli jest raczej króciutka. - Kto inny, jeśli nie były chłopak ze zdradą na sumieniu?

Luby wzrusza ramionami, ale nadal marszczy brwi. Podjeżdża furgonetka i zespół sprzedawców krzyczy wesoło. Serce mi się zaciska.

*

Pięć godzin później znajdujemy się gdzieś w Walii - w miejscu o nazwie, której nie da się wymówić, nad rzeką, która wygląda na zdecydowanie zbyt nieokiełznaną, żeby znajdować się w Wielkiej Brytanii. Ta rzeka powinna płynąć w jakimś dzikim i egzotycznym kraju. Jej wody są czarne, wystają z niej ogromne skały, a nurt pędzi z wręcz przerażającą prędkością.

Przez całą drogę siedzę obok Martina Sittingbourne'a, najstarszego i najnudniejszego sprzedawcy w dziale. Opowiedział mi wszystko o swojej starzejącej się matce, która z nim mieszka, o jej nawyku wkłada-

nia sztucznych zębów do akwarium złotej rybki, o fałdach gorąca u żony i jej zmaganiach z terapią hormonalną okresu menopauzy, dzieciach, które są już na studiach i nadal są darmozjadami, oraz o sąsiedzie, którego nie znosi z powodu wysokości jego żywopłotu z cyprysów. Wiem, że jego pies - Pan Monty - ma teraz robaki i problemy z prostatą. Cieszę się, że prostata Martina Sittingbourne'a sprawnie funkcjonuje, bo inaczej usłyszałabym i o tym. Chyba w ogóle się nie odzywałam, tylko w stosownych miejscach pomrukiwałam. Nawet pomoc w postaci bułeczek z czekoladą nie zdołała zamienić tej jazdy w miłe doświadczenie. Luby od czasu do czasu zerkał na mnie i szczyrzył zęby. Doskonale wie, jaki jest Martin Sittingbourne, i zauważyłam, że potwornie bawił go fakt, że teraz ja padłam ofiarą nudziarza. O wiele milej byłoby siedzieć z Lubym, choć to marny komplement, zważywszy, z kim go porównuję.

Nie mogłam się doczekać, kiedy wysiądę z furgonetki, ale gdy już się wyładowaliśmy i widzę szopę oraz żałośnie małe coś, czym mamy spłynąć po wzburzonej rzece, mam ochotę wsiąść do wozu i wracać prosto do Londynu. Nie zdawałam sobie sprawy, że mam alergię na kontakt z przyrodą. Już mam kłopoty z oddychaniem - wystarczy, że na nią patrzę.

- Wszystko w porządku, Ślicznotko? - dopytuje się Luby.

- Jasne - odpowiadam pogodnie. - Zapowiada się świetna zabawa.

- Będzie niesamowicie - obiecuje mi. - Spływałem już w Nepalu, Peru i po Kolorado. Spodoba ci się.

Naprawdę mogłabym znienawidzić tego faceta.

Jeden z organizatorów rozdaje nam jaskrawopomarańczowe kombinezony. Obrzuca mnie spojrzaniem od

stóp do głów i podaje mi kombinezon, który zabieram do zimnej, wilgotnej przebieralni. Ściągam džinsy i poprawiam bieliznę. Tym razem przedsięwzięłam stosowne środki ostrożności i zostawiłam koronkowe fiołkowe figi w domu, decydując się na rozsądne białe majtki. Próbuje wsunąć kombinezon na nogi... Boże, ależ ciasne nogawki. Z jednej strony miło mi, że organizator uznał, że wcisnę się w taki rozmiar, z drugiej grozi mi, że odetnę sobie dopływ krwi do narządów wewnętrznych. Dysząc ciężko, wciskam wszystkie fałdki tłuszczu w kombinezon, starając się przy tym nie stracić za dużo ciała, i z trudem się dopinam. Nie jestem pewna, czy chcę zobaczyć swoje odbicie w popękanym lustrze, bo czuję się jak skrzyżowanie śmieciarza z pomarańczą. A kiedy wkładam jeszcze kamizelkę ratunkową, ledwie mogę się ruszać.

Wychodzę, kołysząc się na boki, i dołączam do grupy, która już się ładuje na tratwę. Wyglądają na o wiele bardziej chętnych niż ja. I ich kombinezony są o wiele luźniejsze od mojego. Dostaję kask i wiosło - jedno i drugie przyjmuję z pewną wrogością. Dlaczego w taki sposób musimy pracować nad umacnianiem zespołu? Dlaczego nie możemy wzmacniać więzi w barze? Albo dlaczego nie możemy pojechać do spa na weekend i poznać się lepiej przy pedikiurze? Chociaż bardzo, ale to bardzo, nie chciałabym oglądać stóp Martina Sittingbourne'a. Staram się odciąć od widoku i huku rzeki. Dlaczego ta woda wygląda na bardziej mokra od każdej innej? Zerkam na Lubego, a on uśmiecha się do mnie. Założę się, że cała ta cholerna wyprawa to pomysł cholernego Aideny Holby'ego.

- Wskakuj, Ślicznotko - mówi. - Siedzisz przy mnie.

To mi poprawia humor, ale nie wiem czemu. Przystadam ostrożnie na nadmuchanej burcie. Nie czuję, żeby to było bezpieczne.

- Wsuń nogi w paski - radzi, wskazując na coś na dnie tratwy, co chyba nie spełnia żadnej funkcji. - Dzięki temu nie wypadniesz.

Oczy robią mi się okrągłe ze strachu. Nawet nie obrażałam sobie, że naprawdę mogłabym wypaść z tej przeklętej tratwy. Całe to doświadczenie staje się o niebo bardziej przerażające, niż początkowo myślałam. Wsuwam stopę w pasek tak mocno, że aby ją wyjąć, musieliby mi ją amputować.

I wtedy bez słowa pożegnania zostajemy zepchnięci z bezpiecznego brzegu w szalejący nurt. Tratwa kołysze się niegroźnie na fali - a ja już mam dość. Powinam była wziąć jakiś aviomarin, avioplant czy coś innego na „a” od mdłości.

- Trzymaj się za mną - krzyczy Luby. - Zasłonię cię przed najgorszą wodą. Po prostu machaj wiosłem, gdy zrobi się ostro.

Czy on chce powiedzieć, że jeszcze nie jest ostro? I wtedy z szarpnięciem tak gwałtownym, jakbyśmy byli w kolejce górskiej, wpadamy w prąd na środek rzeki i tratwka zaczyna przerażająco brykać.

- Zbliża się pierwsze bystrze - krzyczy Luby.

Chyba nie chciałam tego wiedzieć. Bryza przybiera na sile i w miarę jak rzeka przyspiesza, czuję coraz bardziej porywiste podmuchy na twarzy. Zaczynam krzyczeć. Zanim właściwie cokolwiek się wydarzy, krzyczę głośniejsz niż kiedykolwiek w życiu. I wtedy zaczyna nami rzucać na spienionych falach wokół skał. Jestem bardzo, bardzo mokra. Najwyraźniej plan Lubego, żeby osłaniać mnie przed największą wodą, nie wypalił.

- Zanurz wiosło - krzyczy.

Zanim zdążę cokolwiek zrobić, ściana wody uderza mnie prosto w twarz i łąduję na plecach. Jestem jak żuczek. .. no, jak przewrócony na grzbiet żuczek. Wymachuję w powietrzu nogami i rękami. Podskakując, przepływamy bystrze i łódź zaczyna zwalniać. Załoga wrzeszczy i ryczy ze śmiechu. Poszaleli? Luby się śmieje. Wyciąga rękę i ciągnie mnie za paski kamizelki ratunkowej, aż łapię równowagę i mogę z powrotem usiąść.

- Prawda, że to było fantastyczne? - woła radośnie. Nie było.

- Super.

Całe moje wnętrze ubiło się na papkę. Nie zdążam zebrać myśli, żeby dojść do siebie, a znowu czuję mocniejszy podmuch na twarzy. Tym razem zaczynam krzyczeć, zanim jeszcze bystrze pojawi się na horyzoncie.

- Trzymaj się, tu będzie ostrzej - mówi Luby.

Och, cudnie.

Pierwsza ściana wody uderza mnie prosto w usta, które oczywiście mam szeroko otwarte, bo wrzeszczę. Kiedy krztuszę się i parskam, próbując nie dać się utopić, uderza mnie następna ściana wody, stopa wysuwa mi się z paska i wypadam z tratwy. Rzeka mnie porywa. Potrafię pływać, ale nawet nie wiem, gdzie jest góra, a gdzie dół. Wiruję w wodzie i już wiem, jak się czują kołdry, gdy je wrzucam do prania wstępnego. Czując, że wypływam na powierzchnię, otwieram oczy i mrużąc powiekami, widzę twarz Lubego, który jest dokładnie przede mną, i nagle dwie mocne dłonie łapia mnie i zaczynają wyciągać z wody. Mój kombinezon zahaczył się o skałę i uniemożliwia wyciągnięcie mnie z wody. Luby szarpie mocniej i kiedy wreszcie wciąga mnie do trawy, rozlega się upiorny trzask.

- Już myślałem, że po tobie, Ślicznotko - mówi Luby.

Kask zsunął mi się na oczy. Kamizelkę ratunkową mam częściowo na głowie, a śliczny, pomarańczowy kombinezon w kawałkach. Materiał nie wytrzymał i nie utrzymał mojego tłustego cielska. Leżę na brzegu tratwy, kaszląc, z płucami pełnymi wody, sercem pełnym rozczarowania, majtkami pełnymi ryb i pokazuję tyłek całemu światu.

Luby przysuwa twarz i szczyrzy zęby.

- Bardziej już się do mojego tyłka nie zbliżysz - oznajmiam cierpko i wybucham płaczem.

23

Jestem cała obolała. Nawet włosy mnie boją. Kiedy minibus zatrzymuje się przed biurem, próbuję wstać i jęczę z bólu.

- Chodź, Ślicznotko. - Luby podaje mi rękę, jakbym była starą babcią.

Przespałam całą drogę powrotną, wyczerpana emocjonalnie otarciem się o śmierć. Nikt inny nie wpadł do wody, więc wszyscy sprzedawcy są zadowoleni z siebie, klepią się po plecach, przybijają piątki i wykonują inne gesty towarzyszy broni. Nienawidzę ich. Zwłaszcza tych, którzy dobrze przyjrzeni się mojemu tyłkowi. Tymi pogardzam najmocniej. W poniedziałek zadzwonię do agencji i poproszę, żeby jak najszybciej mnie przenieśli.

Wszyscy znowu przybijają sobie piątkę i znikają w ciemnościach. Zostają tylko ja i Aiden Holby. Stoimy na chodniku w chłodny wieczór.

- Co teraz zamierzasz, Ślicznotko?
 - Wracam do domu i zrobię sobie długą, gorącą kąpiel.
 - Myślałem, że na dziś masz już dość wody.
 - Bardzo śmieszne - mruczę.
- Delikatnie pociera kciukiem mój policzek.
- Cieszę się, że nic ci nie jest.

„Nic” oznacza, że co prawda jestem ranna, w szoku i przeżyłam krańcowe upokorzenie, ale jeszcze nie umarłam. Miałyby mnóstwo papierków do wypełniania w imieniu firmy, gdybym zginęła. I w pełni by na to sobie zasłużył.

- Chcesz jechać ze mną taksówką? - pyta Luby. - Powiniennem zadbać, żebyś bezpiecznie dotarła do domu. Kto wie, w jaką jeszcze katastrofę wpakowałabyś się między biurem a Camden?

- Możesz już zsiąść z białego rumaka - odpowiadam cierpko. - Nic mi nie będzie. Nie kłopotcz się.

- Żaden kłopot. Mieszkam kawałek za tobą.

- Tak?

- Belsize Park.

I zanim zdążę się zgodzić lub zaprotestować, łapie taksówkę i wpycha moją posiniaczoną osobę do środka. Podaje taksówkarzowi adres i ruszamy w noc w kierunku mojego mieszkania. Nie bardzo wiem, co powiedzieć, bo nigdy wcześniej nie znalazłam się w tak intymnej sytuacji z Lubym. Nie żeby siedzenie na tylnym siedzeniu nieco obskurnej czarnej taksówki było takim intymnym doświadczeniem, ale wiecie, o co mi chodzi. Siedzimy blisko siebie, jesteśmy sami i tak dalej. Zamarzałam na śmierć po dzisiejszej kąpieli, teraz robi mi się zaskakująco ciepło. Nadal nie mogę wyrzucić z siebie słowa, kiedy Luby odwraca się do mnie i pyta:

- Dobrze się dziś bawiłaś?

- Nie.

Śmieje się w głos, najwyraźniej uznając to za żart.

- Powinniśmy to kiedyś powtórzyć.

W żadnym wypadku!

- Z przyjemnością.

Taksówka zatrzymuje się przed moim mieszkaniem. Siedzimy, a silnik pracuje na jałowych obrotach.

- Cóż - mówi Luby. - Czas się pożegnać.
- Tak.

Powinnam go zaprosić na kieliszek przed snem? A może to zabrzmiało, jakbym chciała się go pozbyć? Bo wcale nie chcę. Mieszkanie pewnie wygląda koszmarnie i nawet nie wiem, czy mam choćby mleko... ale na rogu jest sklep całodobowy. Mogłabym coś kupić. Albo moglibyśmy sobie darować kawę i zjeść po tabliczce karmelowej czekolady Green & Black. Zawsze mam ich mnóstwo w lodówce.

Podczas gdy rozważam wszystkie możliwości, Luby wzdycha i pochyla się do mnie. Przez chwilę zastanawiam się, czy mnie pocałuje. A jeśli mam ohydny oddech, bo połknęłam rybę w rzece? A na pewno jakąś połknęłam.

- Dokąd teraz? - pyta taksówkarz; co za doskonałe wycucie chwili!

Luby szybko rzuca adres; jego usta nadal są blisko moich. Potem mnie całuje. W usta. To tylko całus, ale mimo to miły. Nie szczyt namiętności, choć trochę zbyt czuły jak na znajomych z pracy.

- Ja... eee... lepiej już pójdę - jękam.

Patrzy mi głęboko w oczy.

- Ale z tobą jest ubaw, Lucy Lombard - mówi z seksownym uśmiechem.

- Dzięki.

Wysiadam i stoję na chodniku, patrząc, jak taksówka odjeżdża. Luby zerka przez tylną szybę, aż w końcu znika.

No proszę! Idę do mieszkania. Co mam o tym myśleć? Gdybym nie miała wody w mózgu, to może bym

coś z tego zrozumiała. Otwieram drzwi i rzucaam rzeczy na podłogę. Światelko na automatycznej sekretarce mruga, więc sprawdzam wiadomości.

Pierwsza wiadomość: „Cześć, Lucy. Tu Jacob Lawson. Mam nadzieję, że mnie pamiętasz”. Mój Boże! Zadzwoń! Nie byłam pewna, czy się odezwie. „Dzwonię, żeby powiedzieć, że czekoladowy wieczór będzie we wtorek. Jeśli masz ochotę pójść, oddzwoń, proszę. Mój numer bla, bla, bla”. Oczywiście „bla-bla” jest moje, a nie Jacoba. Wyjdę na zbyt napaloną, jeśli od razu oddzwonię? W końcu dopiero północ. Na pewno nie jest jeszcze w łóżku o tej porze. Ech, może nie jest. Czekoladowe szaleństwo we wtorek! Odgrywam mały taniec radości w salonie. Ależ ze mnie cwaniara, że załapałam taką randkę! To znaczy, że opuszczę zajęcia jogi i wszystkie lotosy, i to z poważnego powodu.

Druga wiadomość: „Cześć, Lucy”. Ten głos nie wymaga przedstawiania. „To ja. Myślałem o tobie dzisiaj”. Rozlega się głębokie westchnienie. „Wybaczam ci, że zniszczyłaś mi ubrania, sofę i dywan. Szafranowe piure w butach to był miły dodatek”. Zastanawiam się, czy odkrył już, skąd tak cuchnie. Może mi nie wybaczyć krewetek, gdy już dadzą czadu. „Brakuje mi ciebie, Lucy. Wiem, że źle postąpiłem. Zastanawiam się, czy ty też mogłabyś mi wybaczyć”.

Opadam na sofę i gapię się na telefon. Cała euforia z randki z Jacobem znika. Marcus zadzwonił. I właściwie błagał mnie o wybaczenie. Co teraz? Pójdę do kuchni i będę jadła czekoladę, aż coś zdecyduję. Mogę mu wybaczyć? Czy nasze przewiny można w ogóle porównywać? Marcus podarł moje serce na strzępy, a ja tylko zrobiłam coś nieprzyjemnego z jego garderobą i meblami.

24

Jest więc niedziela i pora lanczu. Ponownie zwołuję spotkanie Klubu Miłośniczek Czekolady. Wysłałam wiadomość do wszystkich dziewczyn i już jadą. Nawet Nadia, która zdołała wmówić Toby'emu, że chce przez kilka godzin posiedzieć z synem.

Jestem jeszcze bardziej obolała niż wczoraj i mam siniaki na całym ciele. Filiżanka gorącej czekolady i czekoladowe ciasteczko z białej i ciemnej czekolady przynoszą pewną ulgę. Dzisiaj pokazało się słońce - rzadkie zjawisko w angielskiej pogodzie - i łagodne ciepło sączące się przez okno działa kojąco.

Chantal zjawia się pierwsza i wchodzi do kafejki krokiem kobiety, która ma misję do wypełnienia. Siada przy mnie i bez zbędnych wstępów pyta:

- Co myślisz?

Wyciąga dłoń, żebym obejrzała. Na serdecznym palcu, tam gdzie powinny być, znajdują się obrączka i pierścionek zaręczynowy.

- Odzyskałaś je?! - Klaszczę w ręce z radości.

- Nie wygłupiaj się. - Cmoka z niesmakiem. - Życie to nie bajka. Obrączka kosztowała 7,99, pierścionek zaręczynowy 19,99. Czyste, autentyczne szkło. - Unosi pierścionek do światła. - Oryginał był wart ponad dwieście tysięcy funtów.

Prawie dławię się kawą.

- Zaczynam się zastanawiać, po co tyle płacić? Bo czy różnica jest znowu aż tak duża?

Dla niewprawnego oka pewnie nie.

- Kupiłam je w jakimś tanim sklepie z biżuterią przy Oxford Street.

Nie sądziłam, że Chantal choćby słyszała o Oxford Street. Jest raczej osobą kupującą przy Knightsbridge.

- Myślisz, że Ted zauważy?

- Nie, jeśli będziesz go trzymała na dystans.

- Skarbie, uwierz mi, ostatnimi czasy to żaden problem - odpowiada, śmiejąc się chłodno. Przygląda się z bliska taniej podróbce. - Mamy dość pieniędzy na koncie, żeby pożyczyć sobie trochę na chwilę. Oddam jak najszybciej. Może wezmę dodatkowe zlecenia. Żeby odkupiła moje maleństwa, a przynajmniej dobrej jakości odpowiedniki, trzydzieści patyków wystarczy. Ted nigdy w życiu się nie dowie.

Cieszę się, że nie miałam znowu kawy w ustach, bo na pewno parsknęłabym nią po całym stole. Wyobraźcie sobie: mieć tyle pieniędzy na koncie, żeby móc wyjąć trzydzieści tysięcy, i wiedzieć, że mąż nawet nie mrugnie powieką. Potrzebuję takiego męża. Ale chciałabym też takiego, który by czasem ze mną sypiał.

Następna zjawia się Autumn. Nie tryska typowym dla siebie entuzjazmem, zakrada się i cichutko siada na krześle. Wygląda na wyczerpaną.

- Autumn, co się u licha stało?

Kręci głową jak udręczona życiem i mówi:

- Mój kochany braciszek chwilowo u mnie mieszka. Potrafi być trochę męczący. Powiedzmy tylko, że nie jest to najłatwiejszy w pożyciu gość.

Jeśli drażni Autumn, to musi być chodzącym koszmarem.

- Chcesz o tym pogadać?

- Nie. - Uśmiecha się powściągliwie. - Mam tylko nadzieję, że to nie potrwa długo. Miło wyrwać się na chwilę z domu. Co bierzecie?

- Cappuccino i deser orzechowy z czekoladową polewą - oznajmia zdecydowanie Chantal i rusza do lady po zamówienie.

Autumn idzie za nią.

Kiedy już wszystkie czujemy się znacznie lepiej - poziom cukru podniósł nam się dzięki ulubionym łakociom - opowiadam przyjaciółkom o najnowszym dylemacie związanym z Marcusem.

- Zadzwoił i poprosił o wybaczenie. Wczoraj. Kiedy przeżywałam tortury na rzece w Walii.

- Nie - odpowiada Chantal bez chwili na głębsze zastanowienie. - Tym razem nie przyjmiesz go z powrotem, Lucy. Nie. Nie. Nie.

- Może się zmienić - próbuje ją ułagodzić Autumn. - Tym razem.

- Minęło raptem pięć dni, odkąd przyłapała go na bzykaniu innej. Jak mógł się zmienić?

Myślę, że to punkt dla Chantal. Autumn wygląda, jakby dostała po łapach, ale sama przyznałaby, że potrafi dostrzec dobro nawet w najgorszych kryminalistach z filmów o Bondzie.

- I zadzwonił Jacob, proponując randkę - wtrącam.

Może nie powinnam im mówić o pocałunku z Lubym w taksówce. Czuję, że to by nadmiernie skomplikowało sprawę.

- Łap szansę - poucza mnie Chantal. - Spróbuj. Niech się Marcus wysili. Nie waż się dzwonić do niego.

Jasne. Więc moja sprawa załatwiona: „Nie dzwoń do Marcusa. Nie rozmawiaj z nim. Nie dziękuj mu za piękne kwiaty”. A przede wszystkim: „Nie pozwól mu więcej pokazywać ci się na oczy”. Łatwo powiedzieć. Tylko dlaczego moje serce wypełnia się przerażeniem na myśl o przyszłości bez niego?

Nie mam czasu dalej rozmyślać nad swoim życiem, bo pojawia się Nadia. Jest zarumieniona i zdyszana, jakby tu biegła. Zdejmuje płaszcz i z rękawa wypada jej mała ciężarówka. Podaję jej samochodzik. Nadia ciężko wzdycha i chowa go do torebki.

- Miałam kłopot z wyrwaniem się - tłumaczy. - Ale naprawdę potrzebowałam tego.

- Ja to załatwię - mówi Autumn i wstaje, by złożyć zamówienie dla Nadii. - Co byś chciała?

- Cokolwiek - z trudem odpowiada Nadia. - Naprawdę cokolwiek. Tak się cieszę, że tu jestem.

- Wiem, co będzie dobre - mówi Autumn i odchodzi do lady.

- Właśnie podziwialiśmy nową biżuterię Chantal - wyjaśniam Nadii.

A potem pokrótce opowiadamy jej o przygodzie z bzykaniem i kradzieżą, ponieważ przegapiła naszą ostatnią sesję plotek. W trakcie opowieści Nadia robi coraz większe oczy.

- Zachowałam się jak skończona kretyнка - mówi z żalem Chantal. - Teraz będę musiała podkraść trzydzieści tysięcy z naszego wspólnego konta, żeby je odkupić.

I wtedy Nadia wybucha płaczem.

- Wszystko będzie dobrze - uspokajam ją, obejmując, chociaż nie bardzo rozumiem, co się dzieje. Nie jestem pewna, czy problem Chantal, chociaż rzeczywiście

spory, zasługuje na tak emocjonalną reakcję. - Znasz Chantal. Coś wymyśli.

- Nie dlatego płacze - zauważa Chantal. - O co chodzi, skarbie? - Bierze serwetkę i wyciera łzy Nadii. - Z Lewisem wszystko w porządku?

Wtedy Nadia znowu wybucha płaczem.

Autumn wraca z cappuccino i stosem słodczy dla Nadii.

- Nie zostawiłaby Lewisa gdyby było z nim coś nie tak - wtrąca Autumn, siadając. - No już, spokojnie - mówi kojącym głosem do Nadii. - Nie może być aż tak źle.

- Ale jest - odpowiada smętnie Nadia.

Autumn przesuwa w jej stronę kawę, a Nadia posłusznie pije, przełykając też ostatnie łyżki. Wszystkie siedzimy i czekamy, aż się pozbiera. W końcu próbuje się do nas uśmiechnąć.

- Nikomu nie zamierzałam o tym mówić, to takie żenujące.

- Skarbie, facet, którego poderwałam w hotelu, zerznął mnie i orznął. Twój kłopot nie może być bardziej żenujący od mojego.

To rozładowuje napięcie. Wszystkie śmiejemy się kosztem naszej przyjaciółki, co dodaje Nadii dość pewności siebie, żeby zacząć mówić.

- Mamy długi. Toby i ja. Ogromne. - Unika naszego wzroku i wpatruje się w kawę, przesuwając czekoladki na talerzu. - Zalegamy ze spłatą kredytu za dom. Rachunki z kart kredytowych wymykają się już spod kontroli. Nie mam nawet pieniędzy na jedzenie. - Znowu łzy popłynęły po policzkach.

- Toby'emu brakuje zleceń? - pytam delikatnie.

- Nie w tym rzecz - odpowiada, ocierając twarz. - Miałyby dość zleceń, gdyby tylko skupił się na nich. -

Rozdygotana wzdycha. - Jest nałogowym hazardzistą. Gra w Internecie. No i proszę, powiedziałam. - Dzielnie próbuje się uśmiechnąć. - Pierwszy raz powiedziałam to na głos.

Zaszokowane patrzymy ze współczuciem, a Nadia znowu zbiera się w sobie.

- Co wieczór spędza wiele godzin przed komputerem, przez co wpadamy w coraz większe długi - ciągnie. - Nie chce nawet o tym rozmawiać. Uważa, że grając, wyciągnie nas z kłopotów. Że następna duża wygrana jest tuż za progiem. Ale to już się ciągnie latami i robi się coraz gorzej.

- Och, Nadia. - Autumn obejmuje ją mocno.

- A ja nie mam się do kogo zwrócić o pomoc. Wzięliśmy pożyczkę pod zastaw domu już dwa razy, żeby spłacić długi. I wszystko zaczynało się od początku. Teraz bank nie pożyczy nam już ani grosza. Myślałam nawet, czy nie skorzystać z usług firm pożyczkowych. Nie wiem, co jeszcze mogłabym zrobić.

- Mówiąc „zaczynało”, masz na myśli, że Toby zaczynał - zauważam.

- Co za palant - stwierdza Chantal.

- Kocham go - mówi bezbarwnym głosem Nadia. - Jestem z nim. Nie wiem, czy hazard to choroba, ale wiem, że sam nie umie nad tym zapanować. Chcę mu pomóc. Muszę mu pomóc.

Nie chcę, żeby to zabrzmiało potępiająco, ale muszę zadać pytanie:

- Nie możesz wrócić do pracy?

- Myślałam o tym, Toby jednak nie chce o tym nawet słyszeć. Twierdzi, że pieniądze, które zarobię, wydamy na opiekę nad dzieckiem, a nie mam nikogo, kto zająłby się Lewisem. Toby nie zgadza się oddać

Lewisa do przedszkola na cały dzień. Zastanawiam się nawet, czy nie poprosić rodziny o pomoc, ale oni nie rozumieją.

Albo rozumieją aż za dobrze, pomyślałam.

- Nie możesz pracować, nie w takim stanie - odzywa się Chantal. - Najpierw musisz dojść do siebie, potem możesz pomyśleć o powrocie do pracy. Ile jesteś winna?

Nadii trzęsą się ręce i zastanawiam się, jakim cudem zdołała to wszystko zdusić w sobie. Śmieje się ponuro.

- Trzydzieści tysięcy - odpowiada. - Dlatego się płakałam. To ironia losu, że tyle samo zamierzasz wydać na biżuterię.

Myślę, że wszystkie dostrzegamy tę ironię, nawet Chantal, a wiadomo, że Amerykanie średnio sobie radzą z takimi subtelnościami. Cóż, teraz na problem z Marcusem patrzę z całkiem nowej perspektywy.

- Dostaniesz je - oznajmia Chantal. - Dostaniesz te pieniądze.

Wszystkie wpatrujemy się w nią.

- To jedyne racjonalne rozwiązanie - dodaje, patrząc na nasze zaskoczone twarze.

A Chantal potrafi być do bólu racjonalna.

Nadia zaniemówiła.

- Ale pod jednym warunkiem. Wracasz do domu i odłączasz internet. Dziś.

- Toby nie zgodzi się na to.

- Powiedz mu, że ty nie zgadzasz się na hazard. To nie będzie proste. Musisz mu pokazać, co to znaczy twarda miłość, dopóki nie przyzna, że potrzebuje pomocy.

- A nie pójdzie po prostu grać gdzieś indziej?

- Pewnie tak, ale przynajmniej będzie mu trudniej.

- Najzabawniejsze jest to - mówi Nadia - że sprawdziłam kilka jego ulubionych stron z gramami i na wszystkich są linki do ośrodków pomocy dla nałogowych hazardzistów. To powinno mu dać do myślenia. - Kręci ze smutkiem głową. - Nie jesteśmy chyba jedyną rodziną, którą niszczy ten nałóg.

Chantal schyla się po torebkę.

- Wypiszę ci teraz czek. Zamierzałam wybierać pieniądze po trochu, żeby Ted niczego nie zauważył, ale chrzanić. Potrzebujesz ich bardziej niż ja. - Chantal pokazuje z dumą szklany pierścionek. - Na razie muszą mi wystarczyć podróbki.

Nadii znowu drżą usta.

- Nie wiem, co powiedzieć.

- A potem musisz znaleźć pracę - mówi Chantal. - Niezależnie od obiekcji Toby'ego. Potrzebujesz jej dla wzmocnienia własnej samooceny i poczucia bezpieczeństwa. Nie martwię się o pieniądze, oddasz mi, kiedy będziesz mogła. Jestem dobrym pożyczkodawcą. - Uśmiecha się ciepło do Nadii. - Przyjmuję maleńkie raty.

- Nie możesz tego zrobić - protestuje Nadia. - To za dużo.

- Od tego są przyjaciele - rzuca lekko Chantal i z gestem wypisuje czek. - Wypłać je jutro z rana. - Przesuwa czek po blacie. - Nalegam.

- Mogę pomóc w opiece nad Lewisem, kiedy pójdziesz do pracy - proponuje Autumn. - Mam luźne godziny zajęć. Wtedy koszty opieki nad dzieckiem nie będą tak wysokie i będziesz zostawiać synka z kimś, kogo znasz.

Nadia poddaje się i znowu wybucha płaczem.

- Nie zasłużyłam sobie na was - łka.

Wydaje mi się, że wszystkie mamy nieco wilgotne oczy.

- A co ja mogę zrobić? - pytam. - Nie mogę pilnować dziecka. Nie mam zbyt dużo luźnej gotówki. Czuję się bezużyteczna. - Właściwie to mam debet, ale nie tak wielki jak Nadia. Moje długi w porównaniu z jej to pestka. - Jak mogę pomóc?

- Jesteś kochana, Lucy - mówi Autumn. - To dzięki tobie jesteśmy razem.

Obejmujemy się wokół stołu.

- Możesz nam zamówić więcej czekolady - sugeruje Chantal.

- O, to właśnie nazywam świetnym pomysłem - mówię.

25

Wieści o moim udziale w wyprawie raftingowej i obnażeniu pupy najwyraźniej rozprzestrzeniły się po biurze z prędkością pożaru. Nie ma jeszcze dziesiątej, a za każdym razem, gdy przechodzę koło jakiegoś biurka - dowolnego biurka - słyszę chichoty. Zanim nadejdzie pora lanczu, nie będę już w stanie trzymać uniesionej głowy. W tym tempie przed lanczem zjem też wszystkie zapasy czekolady na czarną godzinę. Ruszam do automatu z batonikami, gdzie zaczepia mnie Helen z kadr.

- Lucy! - wykrzykuje fałszywym, przesłodzonym głosem, często używanym przez jędze z kadr.

Zatwierdzają karty pracy, które co miesiąc idą do mojej agencji, i dlatego mają nade mną ogromną władzę, więc udaję, że je lubię. Rozciągam usta w czymś, co w pewnych częściach świata mogłoby być uznane za uśmiech.

- Boże! - krzyczy. - Słyszałam o katastrofie na raftingu!

No pewnie.

- Słyszałam, że Aiden Holby cię uratował!

Dobrze słyszałaś.

- Naprawdę wyciągnął cię z wody? I to prawda, że kombinezon całkiem ci się rozleciał? Naprawdę obmacał cię po całym tyłku?

Tak. W pewnym sensie. Nie, tylko patrzył.

- Jest taki przystojny! - ciągnie Helen, nie zauważając nawet, że jeszcze ani razu się nie odezwałam. Wzdycham i naciskam guzik z wybranym napojem w tym urządzeniu żywcem z kapitańskiego mostku ze *Star Treka*, który robi u nas za automat do kawy i herbaty. W końcu po rozgryzieniu komputerowego kodu słaby strumyczek brązowej cieczy leje się do plastikowego kubka.

- Też bym go nie wyrzuciła z łóżka, ale lepiej bądź ostrożna - mówi ze śmiechem. - Spotyka się z Donna z przetwarzania danych. Dziewczyna wścieknie się, kiedy się dowie, co się stało.

Spotyka się z Donna od przetwarzania danych? Zatyka mnie. Luby widuje się z jakąś kobietą? Zastanawiam się, jakim cudem miałyby się dowiedzieć o naszej małej przygodzie, skoro to tak dobrze chroniony sekret. Ale w końcu nie rzuciłam się w szaleńczą toń specjalnie, żeby pan Aiden Holby mógł udowodnić, jakim jest macho, prawda? Ale Donna od przetwarzania danych miałyby pełne prawo denerwować się, gdyby wiedziała, że próbował pogrywać sobie ze mną cokolwiek niefrasobliwie na tylnym siedzeniu taksówki. Co za łajdak. Bawił się moimi uczuciami, a cały czas spotykał się z kimś!

Helen zbiera się wreszcie i naciska guzik wybranego napoju, więc mam szansę czmychnąć.

Siedzę przy biurku, pijąc to, co wyciągnęłam z automatu, i zgrzytając wściekle zębami na toffee crisp, kiedy zjawia się Luby i przysiadła na brzegu biurka. Włosy ma potargane, a ja lubię, kiedy są takie zmierzwione. Luby wygląda wtedy, jakby dopiero co spadł z łóżka. Ale dzisiaj nie chcę, żeby mi się podobały.

- Wszystkie siniaki już zniknęły, Ślicznotko?
- Jestem zajęta - odpowiadam szorstko i gwałtownie szukam na biurku czegoś, dzięki czemu mogłabym udawać, że pracuję. - I nie mów do mnie „Ślicznotko”.
- O-oo. Ale dzisiaj jesteś zgryźliwa. Hormony?
- Odpieprz się.
- Opychanie się czekoladą w takim tempie to pewny znak, że kobieta jest przed okresem.
- O, a z ciebie taki ekspert, co? - Przestaję się „opychać” czekoladą. - Mylisz się, i to bardzo. Bardzo, bardzo.

- Więc jeśli to nie hormony, to czemu tak się dąszasz?
- Wcale się nie dąsam.
- No, w tym akurat to rzeczywiście jestem ekspertem - odpowiada Luby. - I jak najbardziej się dąszasz. Właściwie to w życiu nie widziałem tak naburmuszonej laski.

Nic nie mówię, ale staram się nadać twarzy neutralny wyraz.

- Czy to ma coś z wspólnego ze wstępem do raftingu? - pyta.

Milczę, ale zaczynam ze złością walić w klawiaturę komputera.

- Wiem, że ta historia obiegła dziś całą firmę, ale osobiście uważam, że świetnie sobie poradziłaś. Dwa punkty na dziesięć za wykonanie - odpowiada szczerze. - Ale solidne dziewięć na dziesięć za interpretację artystyczną.

- Spadaj.
- Nie, dopóki mi nie powiesz, co się stało.
Przestaję pisać i opieram się o biurko.
- Dlaczego mi nie powiedziałaś, że widzisz się z kimś innym?

Luby wyraźnie się zmieszał.

- Kiedy mnie pocałowałaś w taksówce - mówię - nie wiedziałam, że spotykasz się z kimś.

- A to ma jakieś znaczenie?

- Tak. Nie pozwoliłabym ci.

- Wcale mi nie pozwalałaś - sprzeciwia się. - Po prostu siedziałaś i patrzyłaś ogłupiała. W bardzo atrakcyjny sposób ogłupiała.

Nie mogę się spierać, bo właśnie bardzo trafnie mnie podsumował.

- I z nikim się nie spotykam.

Aha! Tu go mam. Krzyżuję ręce na piersi.

- A co z Donną od przetwarzania danych?

- Ach. Donna. - Drapie się po brodzie. - Rzeczywiście byliśmy na randce. Jakies trzy tygodnie temu. Prawdziwa katastrofa. Chociaż nie wpadła do wody i nie obnażyła tyłka, więc może nie aż taka katastrofa. Powiedzieliśmy sobie, że musimy to powtórzyć. Ale raczej nie powtórzymy.

- Och.

Naprawdę nie wiem, co powiedzieć. Wygląda na to, że informacje Heleny nie były zbyt precyzyjne. A można by się spodziewać, że akurat jędrza z kadr będzie na bieżąco ze wszystkimi szczegółami.

- Więc o to ci chodzi? Chcesz się ze mną spotykać?

- Nie chcę - wyjąkuję.

- Możemy coś zorganizować, jeśli chcesz.

- Już ci mówiłam, że z kimś się spotykam.

- Ach, racja. Chyba nie załapałem się na tę łódź. A może raczej tratwę? - Hałaśliwie śmieje się z własnego żartu.

- Idź sobie. Idź sobie stąd i podręcz innego podwładnego.

Odchodzi, nadal chichocząc.

- A tak przy okazji, Ślicznotko, właśnie napisałaś „idith firip tiggie splink plart”. Mam ci znaleźć prawdziwe zajęcie?

Moje policzki płoną. Nie mogę znieść tego faceta. I żeby to udowodnić, grzebię w torebce, aż znajduję niezwykle gustowną wizytówkę Jacoba. Wybieram jego numer.

- Cześć, Jacob - mówię, gdy odbiera. - Mówi Lucy Lombard, miałam oddzwonić. Z przyjemnością spotkam się jutro z tobą, jeśli to nadal aktualne.

26

Randka w hotelu Savoy jest o wiele lepsza od zajęć jogi w obskurnym ośrodku. Z tej okazji po południu wy-cisnęłam resztki z karty kredytowej i kupiłam wąską sukienkę - czarną, na cienkich ramiączkach, dopasowaną do figury. Z gatunku tych, na które właściwie mnie nie stać. Włożyłam też seksowne czarne pantofle w stylu wampa i narzutkę ze sztucznego futra. Nawet ja uważam, że wyglądam dobrze, kiedy wchodzę do recepcji, aby spotkać się z Jacobem. Mogłabym konkurować ze Scarlett Johansson - nawet jeśli nie mam ust, jakby je pożałowała pszczoła.

Mój facet już na mnie czeka, chociaż po raz pierwszy w życiu zjawiłam się na czas. Mam mnóstwo zalet, ale punktualność do nich nie należy.

- Cześć. - Jacob cmoka mnie w policzek i wręcza pojedynczą czerwoną różę.

To tak romantyczny gest, że prawie mdleję. Nikt wcześniej nie zrobił dla mnie czegoś takiego. A już na pewno nie Marcus.

- Wyglądasz cudownie - mówi.

- Dziękuję.

On też nie prezentuje się najgorzej. Ma na sobie czarny garnitur i niezapinaną pod szyją czarną koszulę. Widać, że chodzi na siłownię. Ma opaleniznę nie do

końca naturalną dla naszego klimatu. Chociaż jest blondynem, otacza go delikatna aura włoskiego żigolaka - w dobrym tego słowa znaczeniu.

- Nasz stolik już czeka.

Bierze mnie pod ramię i prowadzi do sali z widokiem na szarą jak łupek wstążkę Tamizy, gdzie wskazują nam stolik koło fortepianu. Pianista gra cicho romantyczną balladę. *Some Enchanted Evening*, jeśli się nie mylę. Butelka różowego szampana już się chłodzi w kubku z lodem. Na piętrowej paterze stoi nadzwyczajny wybór maleńkich ciasteczek, czekoladek i truflii, którymi mamy się delectować.

- Dobry wieczór, panie Lawson - mówi kelner. - Miło znowu pana widzieć.

Jacob lekko się rumieni, co jest niesamowicie urocze. Więc to jedno z miejsc, w których regularnie bywa. Dziwne. Nie zaklasyfikowałabym go jako bywalca Savoya. Jacob wydaje się bardziej pasować do Fifteen albo Oscars - miejsc, gdzie bywają pomniejsze sławy. Rozglądam się po eleganckim i bogatym wnętrzu: piękne kryształowe żyrandole migoczą nad nami, zdobione witrażowymi kwiatami lustra upiększają ściany. Spodobałyby się Autumn. Środek sali dekoruje ogromna kompozycja z orchidei. Fortepian zapewnia przyjemne tło muzyczne. Słysząc ściszone głosy gości - żadnych głośnych śmiechów ani dudniącego rytmu. To jest lokal z klasą. I facet, z którym jestem na randce, regularnie tu bywa. Hmm. Cicha woda.

Kelner przedstawia nam wybór słodczy. Tort z musem z białej czekolady z aromatem miętowym i pulpa z truskawek, ekologiczne trufle z moich ulubionych ziaren z Madagaskaru doprawione jaśminową herbata, marakują i irańską limonką suszoną na drzewach.

Już sam opis wprawia mnie w ekstatyczny trans. Kellner nalewa do kieliszków. Jacob podaje mi jeden. Stukamy się.

- Za nas - mówi.

To jest posiłek, jaki lubię - żadnego tracenia czasu na przystawki i główne danie, od razu przechodzimy do deserów! Próbuje czekolady i szczerze mówiąc, przenoszę się do raju. Czekolada, szampan i świetny facet - czego więcej kobieta mogłaby pragnąć? I to w tej kolejności. Naprawdę mogłabym się do tego przyzwyczaić.

Jacob pomrukuje z uznaniem, zajadając torcik czekoladowy.

- To moja największa wada - mówi. - Przez to muszę naprawdę dużo ćwiczyć.

- Wspomniałeś, że pracujesz w rozrywce.

- Proszę, spróbuj tego. - Podaje mi kawałek torcika.

- Prawda, że pyszne?

- Czym właściwie się zajmujesz? Jesteś agentem?

- Och, mam nudną pracę. Długie godziny pracy, niekończące się wymagania. Nie chcesz nawet o tym słuchać.

- Z przyjemnością posłucham.

- Zajmuję się obsługą.

- Dbasz, aby gwiazdy były zadowolone?

- Coś w tym stylu. - Kiwa głową. - Ale dość o pracy. Wolę rozmawiać o tobie.

Kłopot w tym, że moja praca też jest tak nudna, że można by się utopić z rozpaczy. Utopić? Nie miałam zamiaru nawiązywać do przygody z tratwą. Nie będę myślała ani o Lubym, ani o Marcusie, ani nikim innym tego wieczoru, tylko o tym cudownym mężczyźnie siedzącym obok mnie. Ciekawe, co tamci by pomyśleli, gdyby mogli mnie teraz zobaczyć. Nie uwierzyliby własnym

oczom. Nawet ja musiałabym się uszczypnąć, żeby uwierzyć, że to prawda. To najbardziej romantyczny wieczór, jaki miałam od bardzo, bardzo dawna.

- Dziękuję - mówię szczerze. - To był cudowny pomysł.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odpowiada Jacob. - Kiedy cię spotkałem w Czekoladowym Niebie, pomyślałem, że poznałem drugiego nałogowca.

Jak bardzo ma rację.

- A teraz spróbuj tego - proponuje, podając mi następne maleńkie ciasteczko i zaciskając palce na mojej dłoni. - Po prostu boskie - dodaje egzaltowanym tonem i w afektowanym geście całuje palce.

Śmieję się z tego żartu, a potem próbuję delikatnego, czekoladowego kremu z odrobiną biszkoptu. A mój przystojny, niesamowicie przystojny towarzysz pyta:

- Dobre?

- Och, tak.

Naprawdę to jest więcej niż boskie. Clive dostałby dosłownie orgazmu, gdyby spróbował któregoś z tych deserów. A wtedy Jacob pochyla się i jego wargi muskają moje usta w seksownych, delikatnych pocałunkach. I muszę przyznać, że sama jestem ledwie krok od rozkoszy.

Nadia, tak jak została poinstruowana, zrealizowała czek Chantal z samego rana w poniedziałek. Otworzyła osobne konto na te pieniądze, tylko na swoje nazwisko. Toby'emu to się nie spodoba, ale jeszcze mu o niczym nie powiedziała. To też znaczyło, że jeszcze nie odłączyła internetu, ale załatwiła, że stanie się to dzisiaj. Chantal uważała, że najlepiej od razu zaatakować i na całej linii, ale Nadia wolała delikatniejsze podejście, chociaż musiała przyznać, że przez ostatnie lata pewnie była za miękka. Koniec z nałogowym hazardem, już ona o to zadba, ale postara się, żeby to nastąpiło w sposób jak najmniej bolesny.

Nadia nigdy w życiu nie wyobrażała sobie, że dziewczyny z Klubu Miłośniczek Czekolady tak wiele zrobią, żeby jej pomóc. To, co się zaczęło jako odrobina rozrywki od wspólnego zainteresowania wszystkim, co czekoladowe, okazało się jej kołem ratunkowym. Teraz nie wiedziała, co by bez nich zrobiła. Ulga, jaką odczuła dzięki pożyczce od Chantal, była wręcz nie do opisania. Chociaż to oklepany frazes, miała wrażenie, jakby kamień jej spadł z serca. Jej przyjaciółka wyglądała na wyniosłą i powściągliwą piękność, ale miała złote serce. Nadię aż zawstydział fakt, że Chantal nie wahała się nawet chwili, czy pożyczyć jej pieniądze. Teraz mogła

opłacić wszystkie rachunki i znowu zacząć od zera. Tym razem to ona będzie kontrolować finanse. Zamierzała pociąć wszystkie karty kredytowe i operować jedynie gotówką. W ten sposób wyjdą z tego straszliwego położenia. Musiała tylko poinformować o tym Toby'ego.

Tego popołudnia przeglądała ogłoszenia o pracy i znalazła mnóstwo ofert. Toby wścieknął się i z tego powodu, ale nie mieli wyboru. Jednak po części Chantal miała rację - Nadia nie była w stanie pójść teraz do pracy. Chociaż problemu nie stanowił stan fizyczny, ale raczej emocjonalny. Nie pracowała od ponad trzech lat i jej samoocena lokowała się naprawdę niziutko. Gdyby nie zdecydowała się teraz, później mogłaby już w ogóle nie mieć odwagi wrócić do pracy. Ostatnimi czasy jedyne prawdziwe dorosłe rozmowy prowadziła z dziewczynami oraz - bardzo rzadko - z Tobym. Poza tym kontaktowała się wyłącznie z osobami mającymi mniej niż metr wzrostu. Jej krąg towarzyski stał się załóżniczo mały, odkąd została matką na pełen etat.

Zamierzała odłożyć kilka tysięcy z pieniędzy Chantal, żeby dopłacać do opieki nad dzieckiem przez pierwszy miesiąc. I byłoby fantastycznie, gdyby Autumn naprawdę mogła jej pomóc. Chociaż ostatnio Autumn nie była tą radosną dziewczyną, co zwykle. Nadia miała nadzieję, że nie zмага się samotnie z jakimś problemem, jak wcześniej ona. Nie ma bardziej prawdziwego powiedzenia od „kłopot, którym się dzielisz, to kłopot o połowę mniejszy”. Kiedy wszystko sobie poukłada, znajdzie czas, żeby pomóc Autumn, niezależnie od tego, co ją gryzie.

Toby powinien niedługo wrócić z pracy, a ona już wykapała Lewisa i ubrała go w piżamę, tak żeby tatuś

mógł go od razu zabrać do łóżka, podczas gdy ona zajmie się kolacją. Może była złą matką, bo przekupiła synka garścią czekoladowych paluszków, żeby wcześniej przyszykował się do spania. Miło było pójść na zakupy do supermarketu i stanąć w kolejce, wiedząc, że na koncie leżą pieniądze.

Dziś wieczór przygotowała indyjskie danie, jedno z ulubionych Toby'ego - murghi rasedar, czyli kurczak w przepysznym sosie cebulowym. To był jeden z przepisów jej matki - jak to ona mawiała - na „codziennego kurczaka”. Nadia kupiła kurczaka, świeże zioła i potrzebne przyprawy. Chciała, żeby Toby był w dobrym humorze, kiedy mu oznajmi, że dni jego nałogu są już policzone.

Kiedy wrócił do domu, pocałował ją czule. Nadal jeszcze od czasu do czasu odzywał się w nim dawny Toby, w którym się zakochała. Nadal gdzieś żył w nim i miała nadzieję, że dotrze do niego, zanim będzie za późno. Poznali się, kiedy Toby montował wyposażenie nowej łazienki w domu jej przyjaciółki. Niezbyt romantyczny początek, ale to nie znaczy, że byli mniej zakochani. Mimo obiekcji rodziny wolała Toby'ego niż ich. Nie było mowy, żeby łatwo go sobie odpuściła. Wierzyła, że on myśli o niej podobnie.

Toby porwał Lewisa na ręce.

- Kto jest ulubionym synkiem tatusia?

- Ja - z dumą zawołał malec. - Dzisiaj narysowałem aniołka z niebieskim sercem.

- Dla mnie?

Lewis popędził, żeby pokazać Toby'emu swoją pracę. Nadia widziała rysunek, gdy odbierała synka z przedszkola. Wtedy powiedział jej, że to konik. Nie wyglądało to ani na anioła, ani na konia. Nadia

miała nadzieję, że Lewis rozwinie talenty w innych dziedzinach, bo jego zdolności przedstawiania bytów niebiańskich oraz koniowatych nie były zbyt wybitne.

- Chcesz poczytać Lewisowi i ułożyć go do snu? - zapytała.

- Taaaak! - wrzasnął chłopczyk.

- A mam wybór? - zaśmiał się Toby.

Cieszyła się, widząc, że mąż jest dziś wieczór w dobrym nastroju.

- Skończę szykować kolację. Nie siedź za długo.

- Kto pierwszy do łóżka, Tygrysie! - zawołał Toby.

- Ostatni to ciapa!

Obaj popędzili schodami przy wtórce krzyków Lewisa:

- Ciapa. Ciapa. Ciapa.

Powinna przypomnieć Toby'emu, że o tej porze w domu powinien już panować spokój; chwile ciszy poprzedzające pójście do łóżka. Nadia uśmiechnęła się do siebie. Pod wieloma względami Toby naprawdę był wspaniałym ojcem. Może jeśli zaczną w dni wolne od pracy częściej wychodzić całą rodziną z domu, łatwiej mu będzie skończyć z kasynami online, których stał się niewolnikiem.

*

Po kolacji Nadia sprzątnęła talerze i oboje siedli przy stole, rozkoszując się kawą.

- Lewis uwielbia, kiedy wracasz do domu akurat, żeby go położyć - powiedziała mężowi.

- To świetny dzieciak. Chociaż może jestem stronniczy w ocenie.

- Jest świetny. I chcę, żebyśmy razem popracowali nad jego bezpieczną przyszłością.

Twarz Toby'ego pociemniała.

- Jeśli znowu chodzi o moje granie...

- Chodzi. Wiele poświęciłam, żeby być z tobą. - Przede wszystkim miłość i czułość rodziny. Na drugim miejscu świetną pracę. Czasem miała wrażenie, że także zdrowe zmysły. - Nie będę stała z boku i patrzyła, jak trwonisz wszystko, co zdobyliśmy. Mam plan, jak wyciągnąć nas z długów. Wzięłam pożyczkę. - Mąż nie musiał wiedzieć, że pieniądze są od Chantal. - Możemy wszystkich spłacić i zacząć od nowa.

Toby chciał zaprotestować, ale nie dała mu dojść do słowa.

- Spłacam nasze rachunki. Znalazłam kogoś, kto zajmie się Lewisem, kiedy wrócę do pracy. Autumn nam pomoże. - Mąż siedział z rozdziawionymi ustami; kompletne zaskoczenie malowało się na jego przystojnej twarzy. - Chcę, żebyś mi pomógł, Toby. Nie ma sensu, żebym to wszystko robiła, jeśli ty dalej będziesz wyrzucał pieniądze na grę w oczko, ruletkę czy w co tam grasz online.

Nadal nic nie mówił. Wzięła głęboki wdech.

- Odłączyłam dziś internet, więc nie będziesz już mógł grać w domu.

Toby zamrugał gwałtownie.

- I zamierzam pociąć wszystkie karty kredytowe, żebyśmy znowu nie wpadli w długi. Jeśli chcesz, żebym tu została z Lewisem, musisz poszukać pomocy. Istnieją organizacje, które mogą ci pomóc. I ja też chcę ci pomóc.

Kiedy powiedziała to, co musiała, podniosła wzrok i zobaczyła, że mąż płacze bezgłośnie. Podeszła i objęła go.

- Przepraszam - łkał Tobie. - Tak bardzo przepraszam.

- Wyjdziemy z tego - powiedziała cicho. - Wyjdziemy z tego razem.

Chantal szperała w internecie, siedząc w wygodnym gabinecie w domu. Ted nie wrócił jeszcze, ona skończyła pracę już kilka godzin temu. W kuchni czekał łośoś ze szparagami i sałatka; przygotowuje kolację w kilka minut, gdy tylko mąż zjawi się w domu. Butelka dobrego sauvignon blanc chłodziła się w lodówce. Kupiła też mały czekoladowy torcik, kiedy po drodze do domu zajrzała na chwilę do Czekoladowego Nieba; zjedzą go na deser. Zrzuciła buty i rozkoszowała się filiżanką herbaty darjeeling, pogryzając mimochodem czekoladki Munchies, żeby jakoś wytrzymać do kolacji. Plan był taki: jeśli będzie się zachowywać jak wzorowa żona, to może Ted nie będzie przyglądał się za bardzo kontu bankowemu i nie zauważy braków. Odsunęła tę myśl. Nie ma mowy, żeby mogła wydać pieniądze na biżuterię - choćby to było nie wiadomo jak ważne - skoro Nadia znalazła się w tak trudnym położeniu. To jasne, że przyjaciółka przeżywała horror. Chantal miała nadzieję, że czek pomoże Nadii zapanować nad nałogiem męża i przywrócić rodzinie spokój. Zdawała sobie sprawę, że jeśli Nadii się nie uda, to pewnie już nie zobaczy tych pieniędzy. Ale jeśli mogła pomóc przyjaciółce wydostać się z bagna, to warto było zaryzykować.

Patrząc na ekran, Chantal zdała sobie sprawę, że mąż Nadii nie jest jedyną osobą z nałogiem. Minał tydzień od katastrofy z facetem w hotelu. Można by się spodziewać, że nadal się wzdraga na samo wspomnienie, ale skąd; właśnie grzebała w internecie w poszukiwaniu choćby obrazka z umięśnionym męskim torsem. Nie mogła się powstrzymać; na jawie bez przerwy myślała o seksie. A we śnie nieustannie o nim śniła. Ostatniej nocy śniła, że Daniel Craig oblewa ją stopionym kremem czekoladowym - a nawet nie była fanką Craiga. Jeszcze wcześniej przyszła kolej na Russella Crowe'a. Miała wrażenie, że powoli traci rozum. Potrzeba fizycznego rozładowania rosła proporcjonalnie do braku seksu w jej życiu. Jak sobie radziły zakonnice? Jak radzili sobie ludzie żyjący samotnie? Czy ich popęd seksualny powoli się zmniejszał, tak że przed snem wystarczała im filiżanka gorącej czekolady zamiast? Z nią tak nie było. Im mniej Ted jej pragnął, tym bardziej ona potrzebowała jego. A skoro nie mogła mieć jego, to do cholery musiała znaleźć niezbędną dawkę seksualnej przyjemności gdzie indziej.

Dziewczyny miały oczywiście rację. Podrywanie nieznanym w barach było niebezpieczne. Obiecała im - i sobie - że skończy z tym. I skończy. Chyba właśnie wpadła na pomysł, który umożliwi rozwiązanie jej kłopotów.

Wpisała do wyszukiwarki Google'a „męskie prostytutki”, ale wyskoczyły tylko strony z akademickimi pracami na temat historii męskiej prostytucji i pokrewnych kwestii, a nie gorące adresy, których tak wyczekiwała. Hasło „żigolo” zaowocowało tysiącem odnośników do okropnego filmu *Boski żigolo w Europie* i serii produktów z bateriami w prostych, brązowych

opakowaniach. Najwyraźniej zawód żigolaka był umierającą profesją.

Po chwili szukania w sieci Chantal doszła do wniosku, że obecnie na ogiera do wynajęcia mówi się „mężczyzna do towarzystwa”. „Heteroseksualny mężczyzna do towarzystwa” zawężyło wybór, odcinając tony stron gejowskich ozdobionych zdjęciami umięśnionych chłopców gotowych dostarczyć przyjemności - jeśli oczywiście jest się facetem. Musiała jednak przyznać, że niektórzy z byczków na tych stronach byli rzeczywiście godni pożądania. Wreszcie znalazła kilka stron, które najwyraźniej stworzono z myślą o kobietach. Jedna, nazwana Prawdziwi macho, na pasku tytułowym prezentowała zdjęcie nagiego mężczyzny z wężem owiniętym wokół ramion i jabłkiem umieszczonym w strategicznym miejscu. Pomijając bezguście, strona wyglądała na profesjonalną. Specjalizowała się w świadczeniach drogiej usług kobietom interesu. Trzeba przyznać, że kobiety, które mogą wydać około dwustu funtów za godzinę z panem do towarzystwa plus koszty pokoju hotelowego, muszą mieć w zasięgu ręki naprawdę sporą gotówkę.

Chantal bawiła się klawiaturą. Zarejestrować się czy nie? Czy wynajęcie faceta z agencji na parę godzin będzie bardziej satysfakcjonujące od poderwania kogoś w barze? To z pewnością ochroni ją przed taką sytuacją, w jaką ostatnio się wpakowała - wynajęty facet raczej jej nie okradnie, prawda? Zastanawiała się, ile kobiet korzysta w dzisiejszych czasach z takich usług. Kobiety zajęte karierą, niemające czasu na zajmowanie się domem, dziećmi albo wymagającym partnerem? Mężczyźni bawili się w tę grę od lat - traktując przyjemność z kobietą w kategoriach transakcji. Czy to takie

dziwne, że usługi najstarszej profesji na świecie były teraz dostępne także dla kobiet?

Na logikę to było bardzo rozsądne rozwiązanie. Żaden przypadkowy podryw, ciągnący za sobą spore ryzyko. Czysty interes. Facet nie mógł jej odmówić, nie mógł uciec po fakcie z jej torebką. Sprawdzała go jego agencja. Chantal zakładała, że mężczyzna do towarzystwa będzie czysty, miły dla oka i co najważniejsze, będzie znał swoją rolę. Już dawno temu nauczyła się oddzielać uczucia od seksu - kolejna cecha, którą zwykło się przypisywać wyłącznie mężczyznom. Ale płacić za seks? Mogłaby tak? Przesunęła pomalowanym paznokciem po ustach, zastanawiając się. Ile kobiet siedziało właśnie w domach i robiło to, co ona? Jako kobieta interesu chciałyby wiedzieć, ile osób miesięcznie odwiedza taką stronę. Czy to rozwijający się biznes, czy raczej nadal większość kobiet wzdraga się przed czymś takim? A ona? Co sama o tym sądzi?

Chantal próbowała myśleć logicznie, ale nie potrafiła stłumić miłego drżenia w żołądku, o które przyprawił ją sam pomysł. Podjęła decyzję. Spróbuje jeden raz i jeśli nie wypali, to odpuści sobie. Może spróbować. Po prostu.

Przewinęła listę mężczyzn do wynajęcia, pozujących prowokująco na kolorowych fotografiach w dziale pod romantycznym nagłówkiem: Nie kupuj kota w worku. Chantal jęknęła w duchu, widząc niektóre z pseudonimów, jakie przybrali panowie: Cukierek, Gorący Johnny, Wielgachny, Mięśniak. Trzymała przycisk myszki, przewijając kolejne zdjęcia. Jej wzrok zatrzymał się na ofercie faceta, który nazwał się po prostu Jazz. Miał włosy w kolorze ciemny blond, wspaniale umięśniony brzuch i był zdecydowanie pełnoletni.

Domyślała się, że był około trzydziestki, starszy od mężczyzn z pozostałych ofert, chociaż niektórzy wyglądali, jakby kłamali na temat wieku i wyolbrzymiali także inne przymioty. Byłoby miło spędzić trochę czasu z towarzystwie Jazza. Myśl o tym przyprawiała ją o dreszczyk - to było zuchwałe i trochę amoralne. Czy takie właśnie emocje sprawiały, że mąż Nadii raz za razem wracał do hazardu?

Zanim się dobrze zastanowiła, przycisnęła ikonkę obok imienia Jazz. Pojawiło się okienko e-maila z adresem. Co powinna napisać? Coś o sobie? Wzruszyła ramionami, patrząc na ekran, i napisała: „Chciałabym spotkać się najszybciej, jak to możliwe”. Nie trzeba pisać niczego bardziej skomplikowanego. Powinna podać swoje imię? Oczywiście. Jej adres e-mailowy i tak częściowo ją zdradza. Dodała „Chantal” na dole listu i nacisnęła „wyślij”. Teraz musiała tylko czekać na odpowiedź Jazza. Uśmiechnęła się do siebie i wyłączyła komputer. To będzie jej sekret. Nie ma mowy, żeby zwierzyła się z tego dziewczynom - zabiłyby ją.

29

To był ciężki dzień dla Autumn. Zobojętniałe nastolatki sprawiały więcej kłopotów niż zwykle na zajęciach. Jedna z dziewczyn próbowała pociąć drugą odłamkiem kolorowego szkła z powodu jakiegoś wyimaginowanego przewinienia i Autumn z trudem rozdzieliła walczące dziewczyny. Zarobiła przy tym kilka głębokich zadrapań na rękach. A potem w związku z incydemem miała tony papierków do wypełnienia. Bywały takie dni, kiedy zastanawiała się, dlaczego właściwie tym się zajmuje. Wszystkie nastolatki nabijały się z jej zajęć z cięcia szkła - czasem dobrodusznie, czasem wręcz przeciwnie. Gdyby zajęcia tyle dla niej nie znaczyły, mogłaby złożyć wymówienie choćby jutro i uczyć dobrze wychowane, małe panienki w jakiejś eleganckiej prywatnej szkole. Ale jaki by to miało sens? W ośrodku odwykowym przynajmniej czuła, że czasem coś zmienia w przygnębiającym życiu swoich podopiecznych. Nawet jeśli to się sprowadzało do raptem kilku godzin wytchnienia.

Teraz Autumn chciała wrócić do domu, usiąść, położyć wysoko nogi, otworzyć pudełko czekoladek kupionych w Czekoladowym Niebie specjalnie na takie okazje i posłuchać czegoś z kolekcji newage'owej muzyki, kojących dźwięków, które zmyją z niej troski dnia

codziennego. Chociaż jej mieszkanie znajdowało się w eleganckiej okolicy, nie było urządzone z wyrafinowanym smakiem. Autumn wolała przytulne wnętrza, a większość jej mebli to były rzeczy, których pozbyli się jej rodzice. Nie żeby miała coś przeciwko nim. Były to albo antyki, albo przedmioty, z którymi wiązały się specjalne wspomnienia z dzieciństwa. Być może nie komponowały się najlepiej z etnicznymi drobiazgami, które zebrała podczas licznych podróży po świecie, ale pasowały do jej stylu, niezależnie od tego, jaki on był.

Już chciała wychodzić, kiedy Addison Deacon wszedł do pokoju. Miał na sobie czarny T-shirt, a marynarkę przewiesił przez ramię. Usiadł na stołku obok Autumn.

- Słyszałem, że miałaś ciężki dzień.
- W każdym razie nie najlepszy.
- Nie bierz tego tak do siebie - poradził jej. - Po prostu są takie dni, kiedy wszechświat spiskuje przeciwko człowiekowi.

- Tak - z zapałem potwierdziła Autumn. - Rzeczywiście.

Była bliska łez. W gardle miała kulę, a typowy dla niej optymizm zginął pod zmęczeniem życiem.

- Wyglądasz na wykończoną.
- Bo jestem - przyznała.
- Za bardzo, żeby pójść na kolację? To nie musi być nic wystawnego. Moglibyśmy wpaść do tej włoskiej knajpki przy końcu ulicy na szybką pizzę i kieliszek znośnego chianti.

Autumn uśmiechnęła się.

- Zapowiada się sympatycznie.
- Więc jesteśmy umówieni. - Addison wstał. - Jesteś gotowa?

- Ja... eee... muszę najpierw zadzwonić do brata - wydusiła z siebie. - Richard chwilowo mieszka u mnie. Będzie się martwił, jeśli nie wrócę od razu do domu.

Nie mogła się zmusić, żeby powiedzieć Addisonowi, że tak naprawdę to ona się bała zostawić Richarda samego w domu na zbyt długo. Zamartwiała się na śmierć, wyobrażając sobie, co może zrobić w ciągu dnia... i przez połowę nocy.

- Masz coś przeciwko temu? - zapytała.

- Wszystko w porządku?

Była zbyt bliska łez, żeby wytłumaczyć mu i nie rozpłakać się. Może gdyby była po paru kieliszkach tego znośnego chianti, mogłaby się zwierzyć Addisonowi. Miał w sobie coś, co wzbudzało zaufanie, i czuła, że można mu zawierzyć. W przeciwieństwie do jej ukochanego braciszka.

- Jasne - odpowiedziała. - Tylko zadzwonię do niego szybko.

Richard nie odbierał komórki. Dziwne. Bardzo niewiele rzeczy mogło go powstrzymać od odebrania telefonu. Autumn próbowała dodzwonić się na stacjonarny, ale czekała tak długo, że przełączył się na sekretarkę.

- Richard - nagrała się. - Jeśli jesteś w domu... Odbierz, proszę.

Ale nie odebrał.

Autumn zagryzła usta.

- Chyba powinnam wracać do domu - powiedziała do Addisona. - Przepraszam.

- Na pewno? - On też wyglądał na zmartwionego. - Coś jest nie tak? Powiniennem pójść z tobą?

To była kusząca propozycja, ale im mniej osób wiedziało o problemie Richarda, tym lepiej. Pokręciła głową.

- Możemy to przełożyć na inny dzień?
- Jasne. - Addison przeciągnął się, wstając. - Gdybyś miała jakieś kłopoty, powiedziałaś mi, prawda?
- Pewnie. Oczywiście, że powiedziałabym. - Ale nie spojrzała mu w oczy. - Muszę już iść.
- Ja też. - Pomachał do niej. - Do zobaczenia.
- Addison - odezwała się, gdy dochodził już do drzwi. - Nie poddawaj się za szybko.
- Uśmiechnął się do niej szeroko, jak to on.
- W porządku. - Po czym dodał: - Ale nie odmawiaj mi ciągle.
- Zaśmiała się.
- Nie będę.

Gdy dotarła na miejsce, drzwi do mieszkania zastała uchylone. Autumn zrobiło się gorąco ze złości, ale zapanowała nad wściekłością. To powtarzało się każdego wieczoru, odkąd Richard się wprowadził - najróżniejsi nieznajomi mężczyźni o podejrzanej powierzchowności pojawiali się w jej mieszkaniu, by odwiedzić jej brata. Pukali do niego o najróżniejszych godzinach w środku nocy. Chociaż powinna spać, słyszała ciche pukanie do frontowych drzwi nawet nad ranem. Każdego dnia była coraz bardziej zmęczona z powodu zarywanych nocy. Nawet zwiększane dawki czekolady nie dodawały jej energii. Będzie musiała usiąść i pogadać z bratem, jeśli on chce dłużej tu mieszkać. Po prostu nie mogła tolerować takiej sytuacji. W żadnym razie nie mogła mu ufać, a w tym momencie oznaczało to, że musiała odrzucić propozycję naprawdę przyjemnej kolacji z miłym mężczyzną - pierwszym mężczyzną od mie-

sięcy, który gdzieś ją zaprosił - bo musiała pędzić do domu i zająć się bratem. Tak dłużej być nie mogło. Autumn zastanawiała się, co właściwie dzieje się z życiem Richarda, czy brat próbuje się wziąć w garść, czy po prostu dalej ćpa. Im bardziej martwiła się o niego, tym mniej on przejmował się swoim trudnym położeniem.

W salonie leżała zrzucona ze stolika lampa. Odstawiła ją na miejsce. Wszystko wyglądało nie tak, jak powinno. Pod wpływem nagłego niepokoju dostała gęsiej skórki.

Pudełko czekoladek czekające na nią na stoliku jakby sobie z niej kpiło. Opakowanie w kolorze kawy ze wstążką z jedwabiu wydawało się teraz tu całkiem nie na miejscu. Kiedyś mieszkanie było azylem Autumn, teraz nie czuła się tu jak u siebie. Obecność brata i niekończący się strumyczek przychodzących i odchodzących jego znajomych sprawiał, że czuła, że pogwałcono jej prywatność. Dramatyzowała? Czy po prostu za długo żyła sama, żeby wytrzymać bliską obecność drugiego człowieka? Nie mogła sobie wyobrazić, że siada, opierając wysoko nogi, i odpręża się, wiedząc, że w pobliżu jest Rich. Być może obecność innego człowieka niż jej brat byłaby mniej męcząca. Znowu pomyślała o Addisonie. Może jednak powinna była zwierzyć mu się ze zmartwień.

Kiedy weszła do kuchni, powitał ją stos brudnych naczyń w zlewie. Stało tam chyba kilkanaście brudnych kubków. Ile właściwie osób odwiedziło dziś Richarda? Widać, że odgrzewał sobie zupę. Obok kuchenki stały dwie puste puszkę po zupie Heinza, dwie brudne patelnie nadal znajdowały się na kuchence, a na stole dwa talerze. Bardziej przygnębiający był widok do połowy opróżnionej butelki wódki i dwóch kieliszków. Ale gdzie teraz podziewał się Richard?

- Rich? - zawołała. - Richard!

Cisza.

Drzwi do jego pokoju były zamknięte. Zastanawiała się, czy brat śpi. Podeszła do drzwi i zaczęła nasłuchiwać, ale niczego nie usłyszała. Ostrożnie uchyliła drzwi. Richard leżał na boku, włosy opadły mu na twarz, ręka zsunęła się z łóżka. Autumn się cofnęła. Obok niego leżała dziewczyna. Była drobniutka i miała na sobie tylko bieliznę - skąpe różowe figi i biały bawełniany podkoszulek. Dziewczyna leżała na plecach z ręką nad głową. Autumn westchnęła z ulgą. Bogu dzięki, że nie zaskoczyła ich przy czymś innym niż spanie. Nagle zauważyła, że dziewczyna wygląda dziwnie. Nawet w słabym świetle sypialni, w której zaciągnięto zasłony, dziewczyna wydawała się wręcz nienaturalnie blada. Wbrew sobie Autumn podeszła na palcach do łóżka i przyjrzała się dziewczynie. Struga wymiocin ciągnęła się z ust kobiety na kołdrę. Autumn słyszała serce walące jej w piersi. To nie wyglądało dobrze. Delikatnie potrząsnęła dziewczyną, ale ta nie zareagowała. Szarpnęła mocniej, jednak nadal nie było żadnej reakcji.

- Rich! - Krzyknęła spanikowana. - Rich! Obudź się!

Brat chrząknął i spróbował się podnieść. Spojrzał w stronę siostry, ale wzrok miał zamglony. Wyglądał jak pijany, ale wiedziała, że to nie z powodu alkoholu jest w takim stanie.

- Co do cholery tu robisz? - wybełkotał. - Wynoś się.

- Richard - szepnęła Autumn. - Twoja przyjaciółka się pochorowała. Próbowałam ją obudzić, ale nie reaguje.

- Nic jej nie jest - zbagatelizował sprawę i opadł na poduszkę.

- Nieprawda - warknęła Autumn. - Richard, obudź się. Musisz mi pomóc.

Z trudem oparł się na łokciach.

- Nic jej nie będzie - powtórzył. - Zaparz jej kawy.
- Jak się nazywa? - dopytywała się Autumn.
- A co to za różnica? - zapytał urażony Richard.
- Powiedz mi. - Potarła dłoń dziewczyny.
- Eee... - Brat przegrzebywał zawartość szufladek w głowie. - Rosie - odpowiedział z wahaniem. - Nazywa się Rosie... na pewno.

Najwyraźniej znali się od dawna.

- Rosie - powiedziała Autumn, łapiąc dziewczynę za ramiona. - Obudź się, skarbie.

Oczy dziewczyny uciekły w głąb czaszki, a jej ciało wydawało się całkiem bezwładne.

- Co brała?
- Trochę wódki, trochę koki.

Brat był wyraźnie znudzony tym przesłuchaniem.

- Nie wygląda dobrze.

Richard westchnął i obrócił się na drugi bok. Spojrzał na twarz Rosie i natychmiast usiadł.

- Cholera.

Reakcja brata wystarczyła, żeby Autumn zorientowała się, że naprawdę nie jest dobrze.

- Koniec tego, dzwonię po karetkę.

Złapał ją za rękę, kiedy ruszyła do wyjścia, i zatrzymał.

- Nie możesz - prosił. - Nie możesz wezwać ich tutaj. Jeśli sanitariusze zobaczą ją w takim stanie, zorientują się, że to ja dałem jej trefny towar.

- Ona potrzebuje natychmiastowej pomocy. Chyba sam to widzisz?

- Wiem, wiem. - Brat wyskoczył z łóżka. Miał na sobie tylko bokserki. Wypuścił rękę Autumn, żeby włożyć dzinsy. - Mogę ją zawieźć. Zostawimy ją na izbie przyjęć.

- Nie możesz prowadzić w takim stanie. I nie możemy jej zostawić byle gdzie.

- Jeśli zostaniemy przy niej, będą zadawać pytania. Będą chcieli wiedzieć, kto jej dał narkotyki. Mogą wezwać policję. W mieszkaniu są rzeczy, których lepiej, żeby nie widzieli.

- Ona potrzebuje natychmiastowej opieki lekarskiej! Jeśli nie zabierzemy jej od razu do szpitala, może umrzeć.

- Na miłość boską, Autumn, nie zwalaj tego na mnie.

- Próbuję ci pomóc.

- Ty mogłabyś ją odwieźć.

- Nie prowadziłam od dziesięciu lat. Więcej nawet. To nie jest dobry moment na przypominanie sobie.

- Cholera. Zresztą mogliby namierzyć samochód.

- Co ty właściwie robiłeś, Rich?

- Wsadźmy ją do taksówki - powiedział, unikając odpowiedzi na pytanie. - Możemy ją wysadzić tuż pod drzwiami. - Richard obficie się pocił. Naciągnął na siebie pognieciony T-shirt. - Zaufaj mi, tak trzeba. Musisz mnie chronić.

- Ubierz ją - powiedziała Autumn i poszła do łazienki. Zmoczyła zimną wodą kawałek flaneli i wróciła do Rosie.

Dziewczyna siedziała na brzegu łóżka oparta o poduszki. Brat jakimś cudem zdołał włożyć jej króciutką zwiewną spódniczkę. Właśnie zapinał jej bluzkę. Autumn ulżyło, gdy zobaczyła, że dziewczyna odzyskała trochę kolorów. Otarła jej twarz zimną flanelą i oczy dziewczyny ożyły.

- Grzeczna dziewczynka - powiedziała Autumn, ujmując w dłonie elfią twarzyczkę. - Zostań z nami. Zabierzemy cię do szpitala.

Rosie mruknęła coś w odpowiedzi, ale nie dało się tego zrozumieć. Brat krążył po pokoju.

- Pomóż mi ją sprowadzić po schodach.

- Ja ją wezmę - powiedział Richard.

Nagle wydawał się o wiele trzeźwiejszy i bardziej pozbierany. Wziął Rosie na ręce. Autumn ruszyła pierwsza, a on lekko się chwiejąc, szedł za nią.

- Poczekaj chwilę, złapię taksówkę - powiedziała.

Pomyślała, że jeśli zobaczą ich z kobietą, która wygląda na tak chorą, że nawet nie może stać o własnych siłach, to najpewniej żadna taksówka się nie zatrzyma. Jednak przeciwnie: już chwilę później jedna się zatrzymała i Autumn otworzyła drzwi.

- Możemy jechać do szpitala Chelsea and Westminster? - krzyknęła do taksówkarza, a potem pomachała na Richa, żeby podszedł z Rosie na rękach.

- Dziewczyna nie wygląda dobrze - zauważył taksówkarz.

- Prawda. Za dużo wypła. - Rzuciła Richowi oskarżycielskie spojrzenie. - Musimy jak najszybciej dojechać do szpitala.

- Wy młodzi uwielbiacie pić na umór - powiedział kierowca i pokręcił głową.

Niemniej docisnął pedał gazu i po kilku minutach zatrzymał się przed szpitalem.

- Zabierz ją, a ja zapłacę za taksówkę - poleciła bratu Autumn.

Richard dźwignął dziewczynę, zaniósł do drzwi i postawił. Nogi się pod nią uginały, ale przynajmniej stała względnie prosto.

- Nic ci nie będzie - mówił, trzymając ją za ręce i próbując złapać kontakt wzrokowy. - Powiedz im, co brałaś, ale jeśli zapytają, nie mów, od kogo to dostałaś.

- Puścił ją, żeby weszła do szpitala. - Grzeczna z ciebie dziewczynka, Rosie.

Na chwilę jej wzrok zatrzymał się na jego twarzy i dziewczyna odezwała się chrapliwym głosem:

- Daisy.

Richard puścił ją, a ona, potykając się i chwiejąc, ruszyła przed siebie.

Autumn stanęła za nim.

- Nie zostawiłeś jej chyba samej? Musimy się upewnić, że nic jej nie będzie.

Już chciała się przepchnąć obok niego i wejść do recepcji, ale Richard złapał ją za rękę.

- Nic jej nie jest - powiedział. Głos miał napięty z niepokoju. - Może chodzić i właśnie odezwała się do mnie. Pewnie w ogóle nie potrzebuje szpitala. Dorwaliśmy ją w najważniejszym momencie.

- Skąd wiesz?

Brat nie spojrzał jej w oczy.

- Mój Boże. - Autumn aż zatkało. - Już byłeś w takiej sytuacji.

- Powiedziała, że regularnie bierze - jęknął. - Może skłamała. Może wzięła za dużo. Może alkohol jej nie posłużył.

- A może miałaś szczęście, że nie umarła w twoim łóżku!

Richard spuścił głowę.

- Nigdy więcej nie stawiaj mnie w takiej sytuacji - rzuciła ostro. - Nie masz pojęcia, jak okropnie się czułam. Gdyby cokolwiek jej się stało, nigdy bym sobie tego nie wybaczyła.

Przerażała ją myśl, że gdyby nie pokierowała się przeczuciem, ale poszła na kolację z Addisonem, dziewczyna mogłaby nie przeżyć. Chryste, nie mogła zosta-

wić Richarda samego nawet na minutę, żeby nie zrobił od razu czegoś głupiego.

- Później zadzwonię do niej - burknął nadaşany. - Upewnię się, że nic jej nie jest.

- Ależ ty jesteś troskliwy.

W tej chwili nie potrafiła nawet uwierzyć, że są spokrewnieni - kierowali się kompletnie innymi zasadami. A próbując chronić brata, musiała postępować wbrew sobie.

- Możemy już wracać do domu? - jęknął. - Złapię taksówkę.

Zaczęło padać; dzień był chłodny i pochmurny. Pogoda pasowała do nastroju Autumn.

- Możesz iść piechotą. Dobrze ci to zrobi.

Marzyła tylko o tym, żeby wrócić do domu i zjeść mnóstwo, mnóstwo czekolady, i miała absolutnie w nosie, co jej brat pomyśli na ten temat.

30

Skaczę po salonie razem z Daviną McCall. Jej to lepiej wychodzi, ale pewnie zapłacili jej fortunę, żeby wystąpiła we własnych ćwiczeniach na DVD, a mnie nie dadzą za to złamanego grosza. Zmuszam się do skrajnego poświęcenia. Ilość czekolady, jaką ostatnio skonsumowałam, zaczyna odkładać się na moich biodrach i nie wygląda to dobrze. Dziś rano spódnica w talii niemal mnie przecięła w połowie. Dlaczego dodatkowe kilogramy nigdy nie odkładają się w piersiach, gdzie przydałoby mi się odrobinę pomocy? Dlaczego kalorie zaprogramowano tak, żeby szły prosto do dolnej połowy ciała?

Mogłabym poćwiczyć na siłowni, ale to miejsce działa na mnie zbyt zniechęcająco, abym zdołała je znieść. Wszystkie kobiety, które chodzą tam na zajęcia, dotrzymują tempa instruktorce, a ja nie daję rady. Zdecydowanie szkoda moich pieniędzy. Doszłam do wniosku, że jeśli będę wykonywać wszystkie ćwiczenia z DVD w domu, to w końcu złapię dość formy, żeby zaryzykować i pójść na zajęcia do siłowni. Jak dla mnie to uczciwy układ. Mam szeroki wybór. Mogę ćwiczyć z aż do obrzydliwości wysportowanymi kobietami z muzycznych wideo Erica Prydza, które - skoro już mnie pytacie o zdanie - przypominają raczej porno niż pila-

tes i są najbardziej przygnębiającymi ćwiczeniami spośród znanych człowiekowi form ruchu. Wszystkie instruktorzy są tak wysportowane i gibkie, że oglądanie ich wywiera na moją psychikę wpływ odwrotny od zamierzonego. Po co w ogóle zwracać sobie głowę ćwiczeniami, jeśli nie ma się żadnej nadziei na to, że kiedyś też tak się będzie wyglądać? Biedne śmiertelniczki takie jak ja mogą tylko wytrzymać połowę ciągu z unoszeniem miednicy. Za każdym razem, kiedy próbuję tych ćwiczeń, poważnie grozi mi wybicie sobie obu bioder. Getry na nogach są totalnie z lat osiemdziesiątych. Kiedy mam już ich dość - a niewiele mi trzeba - mogę też potańczyć salsę z Angellą Griffin: „Jak tańcząc, zrzuciłam dwanaście kilo w dwa miesiące!”. Jasne, że zrzuciłaś, kochaniutka. Mogę sobie zafundować sesję bólu z Nell McAndrew: „Prawdziwe wyzwanie, prawdziwe efekty”. Albo mogę udawać, że piorę na kwaśne jabłko Marcusa, ćwicząc tae bo z Billym Blanksem: „Złap kondycję, schudnij, zabaw się”. Pracuj nad rzeźbą z bokse-rem wagi ciężkiej.

Widzisz, Davino? Jak już będę miała cię dość, mogę cię zamienić na coś innego. Mogę cię rzucić na półkę i wybrać kogoś innego. Szkoda, że z facetami nie jest tak łatwo... O rety. Zaczęła część ćwiczeń ze spalaniem tłuszczu i ten fragment najbardziej mnie wykańcza. Cieszę się, że zakład fryzjerski pode mną jest zamknięty na wieczór, bo pewnie ludzie mieliby wrażenie, że nad ich głowami tańczy stado słoń. Skaczę, robiąc pajacyki, unosząc kolana i robiąc wypady, zadyszana, czerwona jak burak i spocona. Włosy przykleiły mi się do czoła i szczerze mówiąc, mam mokre placki w miejscach, w których człowiek nie ma ochoty ich mieć. Dlatego właśnie wolę jogę. Może nie służy tak dobrze spalaniu

kalorii, ale też nie zamęczasz się, tak że padasz na twarz. No i joga przynosi wyciszenie. A ja już wiem, że jutro rano nie będę w stanie ruszyć udami, takie będą obolałe. Przerывam, żeby wziąć szybki, wzmacniający gryz twiksa na podbudowę sił.

- Dalej! - pogania mnie Davina z ekranu. - Jeszcze tylko osiem! Osiem... Siedem...

Zadowolona z siebie larwa. Nienawidzę tego jej czarnego, pięknego stroju, zwłaszcza że ja mam na sobie zniszczone, stare spodnie od dresu i T-shirt do wyrzucenia z plamami po lodach wiśniowych Ben & Jerry tworzącymi z przodu atrakcyjny wzorek. Sapię jeszcze chwilę. Założę się, że nagrywali to DVD przez kilka dni, więc Davina ćwiczyła za każdym razem tylko przez pięć minut, a teraz proszę, udaje, że męczy się razem z nami. Wcale się nie potargała, a pot na czole pewnie zrobiła jej sprejem osobista asystentka. Wcale nie jest w formie, po prostu dobrze to sobie wyreżyserowała, to wszystko. Możecie mnie nazywać zazdrosną jędzą, bo naprawdę chciałabym być Daviną - bogatą, odnoszącą sukcesy, nie najgorszą, jeśli chodzi o prezencję, i będącą w stanie zrobić szesnaście skłonów na mięśnie brzucha, nie siniejąc na twarzy. Kończę ostatnie kęsy twiksa. Przy najmniej Davina ma kształty prawdziwej kobiety - jak ja - a nie jest jednym z tych chorobliwie chudych patyków, których wskaźnik masy ciała wynosi mniej więcej tyle, ile numer buta. Tych naprawdę nie cierpię.

W trakcie tortur słyszę dzwonek do drzwi.

- Spadaj - dyszę do drzwi.

To pewnie ktoś, kto będzie próbował mi sprzedać tanie podwójne okna, tani gaz, tanią elektryczność albo jedną z tych tanich kart do restauracji. Nie potrzebuję żadnej z tych rzeczy. Nie potrzebuję niczego prócz

czekolady. Dzwonek rozbrzmiewa po raz drugi. Nikt ważny nigdy mnie nie odwiedza, więc nie ma sensu otwierać.

I wtedy Davina postanawia przyspieszyć część poświęconą spalaniu tłuszczu, jeszcze bardziej mnie karząc, więc uznaję, że to jednak dobry pomysł zrobić sobie małą przerwę. Sięgam po butelkę wody i popijam, idąc do drzwi, łudząc się, że uda mi się odezwać do dzwoniącego. A kiedy otwieram drzwi, widzę Marcusa. Nawet gdyby przez ćwiczenia nie brakowało mi tchu, to i tak nie wydusiłabym z siebie słowa. Opiera się o framugę; prezentuje się naprawdę słodko. I nie wygląda na choćby trochę skruszonego. Tylko jego brązowe oczy są jak krystaliczne sadzawki smutku.

- Cześć, Lucy.

- Cześć.

Nic więcej nie zdołałam z siebie wykrztusić. Dyszę do niego kuszaco.

- Pomyślałem, że moglibyśmy porozmawiać - mówi. - Nie odpowiadałaś na moje telefony, więc postanowiłem wpaść.

- Jestem zajęta.

Oboje zerkamy na mnie. Nie ma porównania z zadbana, drobniutką Joanne, moją aktualną rywalką.

- Wygląda na to, że ciężko pracujesz - stwierdza mój były.

- Staram się zachować formę.

- Godne podziwu. - Marcus współczująco zaciska usta. - Jadłaś?

Zanim zdążę wymyślić jakieś kłamstwo, kręcę głową i odpowiadam:

- Nie.

Jeden maleńki twix to żadne jedzenie.

- Może pozwolisz, że postawię ci chińszczyznę i przeproszę za moje godne ubolewania zachowanie.

Mogłabym. Ale czy wtedy nie wpadnę w ten sam kołowrotek co zawsze, z którego od tak dawna próbowałam się uwolnić? Wzdycham, zamiast odpowiedzieć.

- Może wejdę i poczekam, a ty wskoczysz pod prysznic?

Chce powiedzieć, że śmierdzę? Ukradkiem próbuję powąchać się pod pachą i trać nędzne resztki pewności siebie.

Marcus uśmiecha się do mnie szeroko.

- To co powiesz?

Nie jestem dość mocna, żeby z tym walczyć. I mięknię jak tabliczka mlecznej czekolady pod gorącym strumieniem palącego czaru Marcusa. Wystarczy niecałe pięć minut i już się topię. Ledwo trzymam się na nogach na myśl, że Marcus będzie siedział w salonie, kiedy ja będę naga i mokra pod prysznicem w sąsiednim pomieszczeniu.

- Zejdz do Kwiatu Lotosu - mówię zmęczonym głosem. Jedliśmy tam setki razy. Nawykłam myśleć o tej knajpce jak o „naszym miejscu”. - Przyjdę za kilka minut.

Marcus niechętnie odrywa się od framugi.

- Ale przyjdź szybko, mamy mnóstwo rzeczy do omówienia.

Mamy? Kiedy znika, sama opieram się o framugę przez minutę. Powinna zadzwonić do Klubu Miłośniczek Czekolady i prosić o wsparcie? Żadna z dziewczyn nie mieszka w pobliżu Camden, a jeśli sprawy mają się potoczyć jak zwykle, zanim którakolwiek się zjawi, będę się już bawiła z Marcusem w kotka i myszkę w łóżku. Nie, muszę sama sobie poradzić. Muszę być

silna. Nie wolno mi się przespać z Marcusem. Nie mogę pozwolić, żeby znowu słodkimi słówkami wkręcił się do mojego życia. Gdyby została mi chociaż odrobina zdrowego rozsądku, dalej skakałabym jak skończona wariatka ze starą, dobrą Daviną McCall i kazała Marcusowi czekać samotnie w restauracji. Gdybym była rozsądna. To tak bym właśnie zrobiła.

31

Marcus siedzi przy stoliku i pije piwo cingtao, kiedy dwadzieścia minut później zjawiam się w Kwiecie Lotosu. Przyłączam się do niego i zamawiam piwo. Czemu nie nadrobić kalorii, które z takim trudem zrzucałam, jednym bezlitosnym uderzeniem? W restauracyjce panuje spory ruch, więc siedzimy przy oknie, ściśnięci między parą, która się kłóci, i dwiema rumianymi kobietami w średnim wieku, śmiejącymi się chrapliwie. Nie może się to w żadnym stopniu równać z cudowną, wyrafinowaną randką dla dorosłych, jaką miałam z Jacobem Lawsonem w Savoyu, i to dodaje mi trochę otuchy.

Rzuciłam się pod prysznic jak szalona zaraz po wyjściu Marcusa, ale specjalnie postarałam się wyglądać niedbale. Zmusiłam się, żeby się dla niego nie odstawiać. Nie zasługuje na to - tak sobie powiedziałam. Włosy nadal miałam wilgotne, nie użyłam żadnych produktów do stylizacji. Zdecydowałam się na naturalność i tylko szybkim maźnięciem tuszem podkreśliłam rzęsy. Jestem w starych džinsach i zwykłym czarnym swetrze. Mam nadzieję, że Marcus doceni, jak niewiele wysiłku włożyłam w wygląd.

- Świetnie wyglądasz - mówi chrapliwym głosem Marcus.

Cholera. Zabawne jest to, że zawsze, kiedy spotykałam się z Marcusem, czułam, że nie wyglądam dla niego wystarczająco dobrze. Teraz po prostu mam to gdzieś. Tak jakby. Po prostu nie przejmuję się tym za bardzo.

- Zamówimy? Weźmiesz to, co zawsze?

Wkurza mnie, że uważa, że wie, co „zawsze” biorę i że jestem taka przewidywalna.

- W porządku - mówię i czekam, co zamówi.

- Poproszę satay, wołowinę, a dla pani kurczak chow mein. Weźmiemy też specjalny ryż smażony i kilka chrupek z krewetek.

Cholera. Trzeba przyznać, że rzeczywiście mogłabym coś takiego zamówić. Marcus uśmiecha się do mnie. Naprawdę dziś zachowuje się bez zarzutu. Zastanawiam się, dlaczego zawsze nie może taki być. Między nami na stoliku ląduje podgrzewacz ze świeczkami.

- Myślałem o tobie.

- Ja o tobie też - odpowiadam. - Naprawdę mam nadzieję, że nie myśleliśmy o tym samym.

Mój były chłopak wyświadcza mi tę grzeczność i robi stosownie przerażoną minę.

- Masz pełne prawo być zła na mnie.

Dobrze mówi. Mam pełne prawo.

- Chciałem tylko, żebyś wiedziała, to z Jo to nie było nic poważnego.

- Ale było wystarczająco poważne, żeby poświęcić nasz związek?

- To jedyny wieczór, który razem spędziliśmy - ciągnie. - Ten pamiętny wieczór. - Patrzy na mnie, jakby zamierzał roześmiać się przy tym gorzko, ale moje ostrzegawcze spojrzenie uprzedza go, że nadal nie widzę w tym nic zabawnego. - Nie widzieliśmy się od tamtego czasu.

- A czy to był pomysł? Ona rzuciła ciebie czy ty ją? Z mojego punktu widzenia to ja byłam tą, której próbowaliśmy się pozbyć.

Bierze mnie za rękę. Jego dotyk wydaje się całkiem obcy. Czy to te same dłonie, które nieco ponad tydzień temu potrafiły doprowadzić moje ciało na szczyty rozkoszy? Teraz już nie wiem, czy chcę, żeby znowu znalazły się blisko mnie.

- Nie mogę uwierzyć, że tak się zachowałem.

Smutne i potworne jest to, że ja owszem, mogę. Aż za bardzo w to wierzę.

- Rozstaliśmy się za obopólną zgodą - dodaje.

- Jakie to piękne i cywilizowane.

Kelner przynosi nasz posiłek i zajmujemy się jedzeniem. Mogłabym ciągnąć związek z Marcusem w nieskończoność. Zawsze wydaje mi się, że jesteśmy tacy szczęśliwi, a potem jak grom z jasnego nieba wystarczy, że jakaś panienka zatrzepocze na niego rżęsami, a Marcus zapomina o mnie, miłości i zaangażowaniu i pędzi za nią. Ja w tym czasie siedzę na ławce rezerwowych, liżąc rany i czekając, aż wróci. Jest taki przystojny i taki zabawny, kiedy chce, ale jeśli na to pozwolę, będę żyć w błędnym kole aż do grobowej deski. Nie potrafię nawet znaleźć w sobie dość energii, żeby dowiedzieć się, jak ten flirt w ogóle się zaczął.

- Chcę tylko ciebie, Lucy. Przecież wiesz.

- Wiesz - odpowiadam beznamiętnie - tak naprawdę to nie wiem. Skąd miałabym to wiedzieć, skoro twoje zachowanie mówi coś całkiem przeciwnego?

- Jeśli chcesz czegoś poważniejszego, to zgadzam się.

Jeśli chcę czegoś poważniejszego. A od kiedy to ulega choćby najmniejszym wątpliwościom?

- A jeśli pewnego dnia, kiedy będę już starsza, bardziej siwa i ponowne poskładanie życia z potrzaskanych kawałków nie będzie już takie proste, a ty nadal nie będziesz umiał się oprzeć innym kobietom? A jeśli znajdziesz taką, która bardziej ci się spodoba? Co wtedy będzie ze mną?

- Tak się nie stanie. - Szczerokość wręcz bije z jego oczu. - Tak nigdy się nie stanie.

Jak bardzo chciałabym uwierzyć w te słodkie kłamstwa. Zwykle jedzenie w Kwiecie Lotosu jest dobre, ale dziś mój chow mein jest bez wyrazu i za dużo w nim glutaminianu sodu, polepszacza smaku. Jedzenie zalega mi w żołądku, tak samo jak słowa Marcusa zalegają mi na sercu. W tym tygodniu przekonałam się, że naprawdę lepiej się czuję, kiedy Marcusa nie ma w pobliżu.

- Odbiłaś to sobie. - Marcus uśmiecha się dobrodusznie.

Chciałabym, żeby pluł krwią, a nie siedział naprzeciwko i robił dobrą minę do złej gry. Ale wtedy zaczynam się zastanawiać, czy już odkrył, skąd się bierze ten dziwny zapaszek w jego mieszkaniu? Dałoby się jakoś zręcznie, jakby nigdy nic, zapytać o to w rozmowie? Zalaływało ci ostatnio zepsutymi krewetkami, Marcusie?

- Moglibyśmy roztrząsać to dalej, ale wolę raczej, żebyśmy o tym zapomnieli i ruszyli naprzód.

- Ja już zapomniałam. I ruszyłam naprzód.

Zauważam zaskoczenie malujące się na twarzy Marcusa. Odsuwam na bok niedokończone jedzenie. Popełniłam błąd, przychodząc tu. Słuchając Marcusa.

Prostuję się.

- Spotykam się z kimś. Z kimś, kto traktuje mnie jak księżniczkę.

Przypominam sobie wieczór z Jacobem. Zachowywał się cudownie. Był uprzejmy. Romantyczny. Świetnie wyglądał. Chciał znowu się spotkać. Od naszego czekoladowego wieczoru pisał do mnie kilkanaście razy dziennie. Nic kliwego, po prostu wesołe wiadomości, które grzały moje serce. Umówiliśmy się znowu na poniedziałek - wieczorek poetycki w nowej księgarni. Patrząc na Marcusa. Żaden z niego cud. Czy w ogóle wpadłby na pomysł urzędnienia dla mnie takiej wspaniałej randki? Czy siedzielibyśmy w taniej chińskiej knajpce w Camden, gdyby naprawdę chciał odzyskać moje serce? Nie powinien bardziej się postarać? Bukiet róż i kawałek kurczaka z makaronem i myśli, że to wystarczy, aby zadośćuczynić mi zdradę? Wbrew sobie czuję, że on jest przekonany o mojej miłości.

- Masz rację - mówię, wstając. - Nie ma sensu roztrząsać przeszłości. Myślę, że właśnie się zakochuję i chociaż dobrze mi było w naszym związku, uważam, że lepiej już to zakończyć.

Marcus rozdziawił usta, ale się nie odezwał. Co było dla niego nietypowe.

- Kim... kim jest ten facet? - udaje mu się w końcu wyjąkać.

- Nazywa się Jacob - odpowiadam uczciwie. - Bardzo cię kochałam, Marcusie. - Po raz ostami głaszczę go po policzku. - Tak, bardzo. Ale teraz wolę spróbować z kimś innym.

32

Czekajcie, aż powiem dziewczynom z Klubu Miłośniczek Czekolady, jak całkiem samodzielnie zdołałam się oprzeć Marcusowi! I nie dość tego - zostawiłam go jeszcze w restauracji z bardzo zaskoczoną miną. Ja to zapisuję tak: jeden dla Małej Lucy, zero dla Obleśnego Marcusa. Po raz pierwszy odmówiłam mu powrotu i chyba nie mógł uwierzyć własnym uszom. Ha! Ja chyba też w to nie wierzyłam.

Mogłabym wysłać dziewczynom wiadomość, ale tego ranka jestem w Tardze i - co za niespodzianka! - akurat pracuję i jestem zajęta, więc jeszcze nie miałam okazji. Ktoś z kierownictwa zlecił mi zrobienie kilkunastu różnych raportów o sprzedaży i aż mi dym z palców idzie od przepisywania i wstawiania nowych danych. Od kilku godzin radzę sobie bez herbaty czy jakiegokolwiek przekąski. A ściśle... od godziny. Nic dziwnego, że już prawie majaczą. I nie widziałam dziś rano Lubego - chociaż raz nie przyszedł się ze mną drażnić. Mignął mi tylko zgarbiony nad biurkiem i wyglądał na zestresowanego, ale w Tardze wszyscy tak mają.

Moja komórka dzwoni, więc odbieram. Nie poznaję numeru.

- Lucy? - odzywa się głos po drugiej stronie.
- Tak?

- Mówi Felicity z Biurowej Bogini. Jak się masz?
- Dobrze, dziękuję.

Agencja nigdy nie odzywa się do mnie z tygodnia na tydzień. Chociaż regularnie grozę, że zadzwonię do nich i zmienię pracę, nigdy tego nie robię. Jestem tu teraz jednym z mebli. Pewnie wyjątkowo użytecznym krzesłem biurowym. Albo jedną z tych świetnie wyglądających szafek na akta ze stali nierdzewnej.

- Mam dobre wieści - papie Felicity. - W piątek kończy się twój kontrakt z Targą i mam już dla ciebie następną pracę.

Mija chwila, zanim znaczenie jej słów przebija się do mojego tępego mózgu. Piątek jest jutro. To znaczy, że został mi tutaj tylko jeden dzień. Zatyka mnie.

- Wszystko w porządku? - chce wiedzieć Felicity.
- Dlaczego? Dlaczego? - powtarzam. - Nikt mi o tym nie powiedział.
- Nie? - Teraz jej kolej na zdziwienie. - Ciekawe czemu.

Mnie to też ciekawi.

- Cóż, osoba, którą zastępowałam, wraca do pracy, a ty jesteś na kontrakcie tygodniowym.

Tracy jak-jej-tam wraca? Dlaczego nikt mi o tym nie wspomniał? Posyłam w kierunku gabinetu Lubego pionujące spojrzenie.

Felicity klepie coś o tym, jaka to świetna będzie moja nowa praca, że spodobają mi się wyzwania, jakie mnie tam czekają, że wszyscy współpracownicy to cudowni ludzie i ogólnie rzecz biorąc, chrzani od rzeczy. Nie spodobają mi się tam. Tutaj mi się podoba. Jakoś udaje mi się zapisać nazwę i adres, potem rzucam kilka zdawkowych grzeczności i rozłączam się. Gapię się przed siebie w stanie ciężkiego szoku. Odchodzę. Odchodzę stąd już jutro.

Potrzebuję czekolady. Ale najpierw muszę porozmawiać z Lubym. Kiedy wparowuję do jego gabinetu, podnosi wzrok i ma minę na poły przerażoną, na poły zakłopotaną. Albo zaskoczoną.

- Wiedziałeś.

Luby unosi ręce.

- Dopiero od wczoraj, Ślicznotko.

- Myślałam, że Tracy jak-jej-tam jest na macierzyńskim.

- Najwyraźniej te wspaniałe, młode damy w kadrach coś źle policzyły. - Uniósł brwi. Może to one zemściły się na mnie okrutnie za to, że Luby woli mnie od ich przyjaciółki Donny od przetwarzania danych. - I Tracy wraca w poniedziałek.

- Ale czy Traga nie znajduje zwykle jakiegoś powodu, żeby wylać każdego, kto zajdzie w ciążę?

- Tylko kobiety - odpowiada Luby i wzrusza ramionami. - Najwyraźniej nasza firma rozwinęła coś na kształt sumienia.

- Może powinnam zostać tydzień dłużej? - ryzykuję. - Pomóc jej bez żadnych zgrzytów wdrożyć się w pracę?

- Proponowałem to, ale budżet na to nie pozwoli.

Usta zaczynają mi drżeć.

- Pytałem też, czy znajdą ci pracę w innym dziale, ale nie. Albo czy nie można by popytać o jakąś dowolną pracę, którą moglibyśmy ci zaoferować, ale nie mamy żadnych wolnych miejsc.

- Zawsze znajdzie się ktoś chory - nie daję za wygraną. - Albo ktoś, kto udaje chorego.

- Kadry zapewniają mnie, że wszyscy pracownicy są zdrowi jak ryby. Albo takich udają.

Przez chwilę patrzymy na siebie bez słowa.

- Więc to koniec?

- Gdybym mógł coś zrobić, Ślicznotko, zrobiłbym to, uwierz. - Luby patrzy tak samo żałośnie, jak ja się czuję. - Będzie mi brakowało twojej radosnej buźki.

- To najgorsza rzecz w byciu na tymczasowym - wzdycham. - Łatwo się mnie pozbyć.

Luby wstaje i też wzdycha z głębi serca. Podchodzi i obejmuje mnie za ramiona, ściskając delikatnie. Jego objęcia są miłe i ciepłe.

- Ciebie nie da się zastąpić.

- Mogę zostawić ci mój numer telefonu - sugeruję.

- Gdyby coś się działo, możesz zadzwonić.

- Mogę ci dać mój numer telefonu - powtarza moje słowa. - I może to ty do mnie zadzwonisz i zaprosisz mnie na kolację.

Rumienię się i chyba gapię się na niego jak wariatka, bo też się czerwieni. I wtedy nieco zażenowany w żartobliwy sposób dodaje:

- Wtedy zobaczymy, czy coś stanie, ha, ha.

Czy Luby właśnie zaproponował mi randkę? Albo raczej zaproponował, żebym ja ją zaproponowała?

- Ha, ha, ha - powtórzył.

A ponieważ nie wiem, co ze sobą zrobić, powtarzam za nim:

- Ha, ha, ha.

33

Wśród członkiń Klubu Miłośniczek Czekolady panuje minorowy nastrój.

- Myślisz, że te suki zrobiły to specjalnie? - dopytuje się Chantal.

- Nie jestem pewna, czy kadra w kadrach jest aż tak pomysłowa - przyznaję, sącząc herbatę. - Ale jestem przekonana, że zrobiłyby to, gdyby tylko potrafiły.

Zebrałyśmy się w sobotnie popołudnie - czas sporego ruchu w Czekoladowym Niebie. Clive i Tristan uwijają się jak w ukropie, żeby nadażyć z obsługą klientów w długiej kolejce. Ich świeżutkie desery czekoladowe pojawiły się niedawno w kolorowym dodatku do jednej z ogólnokrajowych gazet i teraz znalazły się na liście „rzeczy obowiązkowych do zaliczenia” w Notting Hill. Oczywiście my już dawno wszystkie przetestowałyśmy. Tarty Clive'a z czekoladowym musem i orzechami laskowymi to nasze faworytki. Spróbuj ich, a zostaniesz kobietą odmienioną raz na zawsze. Może mały kawałek takiej tarty poprawi mi dziś humor. Ale na wszelki wypadek lepiej od razu wziąć duży kawałek.

Wszystkie usadowiłyśmy się na podniszczonych, stylowych sofach na tyłach i nie zamierzamy nikomu ustąpić. Nie da się ukryć, że mamy sporo do omówienia

i zimnym spojrzeniem odstraszały od naszych sof wszelkich chętnych. Klienci wpadają i wypadają, skupieni na zakupach, zaglądnęli na czekoladę, żeby szybko doładować baterie i rzucić się z większą energią do goniwki po sklepach.

- Nie mogę uwierzyć, że od poniedziałku zaczynam nową pracę.

Opuszczam Targę z prędkością światła i jeszcze to do mnie tak naprawdę nie dotarło. Poszłam nawet dziś rano do klubu na zajęcia jogi, sprawdzić, czy to pomoże mi się odstresować. Ale żadna ilość pomrukiwania „om” i odchylenia w kobrze nie mogła oczyścić mojego otępiałego umysłu.

- To może być dobre, takie nowe wyzwanie - mówi Nadia.

- Ale co ja zrobię, jeśli nie będę widywać co rano Lubego? To jedyne, co sprawia, że moje przyziemne życie zawodowe jest coś warte. Kogo będę objeżdżać za podjadanie mi zapasu czekolady?

Luby i ekipa sprzedawców wręczyła mi na pożegnanie pudełko czekoladek mlecznych Cadbury - nie do końca numer jeden na liście moich ulubionych, ale to i tak bardzo miły gest. Bez wątplenia zjem je z dużą przyjemnością. Luby wygłosił też krótką mowę, dziękując mi za wkład w rozwój działu. Nikt nie chichotał, co uważam za pozytywny znak, i - jeśli się nie mylę - w oku Lubego pojawiła się nawet łezka. Będzie mi go brakować.

- Odrobina więcej stabilizacji w życiu zawodowym i osobistym mogłaby być nie od rzeczy - zauważa Autumn. Całkiem niepotrzebnie, moim zdaniem. - Całe to zamieszanie nie służy twojej aurze. To sprawia, że stajesz się podatna na presję psychiczną.

Och, cudnie. Mam nowe zmartwienie. Zanurzam się w słodkiej pociesze tabliczki białej waniliowej czekolady z dodatkiem oliwy z oliwek, rozkoszując się każdym przepysznym kąskiem. To właściwie nie jest czekolada w ścisłym tego słowa rozumieniu, bo zrobiona jest z kokosowego tłuszczu, a nie kakaowego (to ważne dla prawdziwego fana), ale to wspaniale, że Clive'owi wolno ją mieć w menu. To jak wersja dla dorosłych batonika Milky - ale nigdy w życiu nie ośmielę się tego powiedzieć w zasięgu słuchu Clive'a. Pozwalam, żeby aksamitny przy-smak roztapiał się powoli na moim języku, i powoli robię długi wydech. Radość powraca do mego życia.

- Przynajmniej masz w perspektywie randkę z Jacobem - podsuwa mi Nadia. - Chłopak zapowiada się rewelacyjnie.

- Za dobry, żeby był prawdziwy - stwierdza Chantal, wprowadzając nutkę cynizmu do rozmowy. - Wybacz, Lucy, ale chwilowo mam dosyć facetów.

- Jacob zabiera mnie na wieczór poezji - mówię z pewną dumą. - Wyobraźcie sobie. Nie sądziłam, że jacyś mężczyźni jeszcze to robią.

Miałam nadzieję, że będzie chciał się ze mną zobaczyć w ten weekend. To najgorsza rzecz w byciu samotną - soboty i niedziele ciągną się w nieskończoność, podczas gdy mijają błyskawicznie, gdy jest się częścią pary. Rzuciłam mu mnóstwo aluzji, ale powiedział, że jest zajęty. Super, kolejny pracoholik.

- Myślę, że jest cudowny - mówi Autumn, sięgając po muffinkę z czekoladą i marmoladką.

- Sprawdzić, czy ma brata dla ciebie?

Autumn kręci głową, potrząsając masą loków.

- Bracia to nic dobrego - oświadcza zagadkowo.

- Nadal masz kłopoty z Richardem?

Odkłada ciastko i odchyła się.

- Miałam nikomu o tym nie mówić, ale już nie wiem, co robić. - Rozgląda się konspiracyjnie. - Myślę, że Rich jest dilerem.

Pewnie patrzymy na nią niezbyt inteligentnie, bo dodaje, zniżając głos do chrapliwego szeptu:

- Kokainy.

Milknie, żeby słowa do nas dotarły.

O Boże! Wyelegantowany braciszek Autumn handluje narkotykami. Ledwo mogę w to uwierzyć. Kiedy powiedziała, że jest dilerem, pomyślałam o handlu akcjami, udziałami i takich tam sprawach.

- Kilka dni temu wydarzyło się coś okropnego. Młoda kobieta prawie przedawkowała w moim mieszkaniu. Ledwo ją znał. Zdażyliśmy odwiedzić ją na czas do szpitala... - Autumn urywa. W jej oczach rozbłyskują łzy.

- Ale niewiele brakowało - podsuwam.

- Najstraszniejsze jest to, że prawie zgodziłam się na randkę...

- Randkę? - Niemal zrywam się z sofy. - Z kim?

- Z chłopakiem z pracy. Jest naprawdę miły. Ale gdybym poszła, dziewczyna mogłaby umrzeć.

Chcę powiedzieć Autumn, że musi żyć własnym życiem, pozwolić bratu popełniać błędy i tak dalej, ale wiem, że ona po prostu nie należy do osób, które potrafiłyby tak zrobić. Może powinnam jej przypomnieć, że nie była na randce, odkąd się znamy, i że takich okazji nie wolno przepuszczać, niezależnie od tego, czy ryzykuje się czyjeś życie.

- Po tym, co Richard zrobił, po tym, jak wciągnął mnie do swojego obrzydliwego świata, ledwo mogę się zmusić, żeby się do niego odezwać. Dziewczynie już nic nie jest, Bogu dzięki. Wymogłam na nim, żeby do

niej zadzwonił i dowiedział się, a nie bardzo się do tego palił. Najtrudniej pogodzić mi się z tym, że zrobiłam to wszystko, żeby go chronić. Jak mogłam tak postąpić?

- Znalazłaś się w trudnej sytuacji - mówię współczująco. - Co innego mogłaś zrobić?

- Powinnam była iść na policję. Musi z tym skończyć, zanim zabrnę za daleko.

Na moje oko, już tkwi w tym po uszy i tonie w zaskarzającym tempie.

- Musisz usiąść i na spokojnie z nim porozmawiać - radzę. - Jak najszybciej.

- Próbowałam, ale Rich wszystko odrzuca.

- Musisz znaleźć jakiś dowód nie do zbicia - podpowiada jak zawsze praktyczna Chantal. - I skonfrontować go z tym faktem.

- Nie cierpię konfrontacji - odpowiada żałośnie Autumn. - Przez większość życia starałam się ich unikać. A jeśli znajdę jakiś dowód? Uważacie, że powinnam pójść z tym na policję? To mój brat.

- Może jest inne wyjście - zastanawiam się. - Nie możesz przekonać go do dobrodziejstw odwyku w porównaniu z więzieniem?

- Staram się. A on tylko rzuca mi w twarz, że ja jestem uzależniona od czekolady.

Odkłada czekoladową muffinkę i patrzy na nią z odrazą.

- Czekolada i kokaina to dwa różne światy - przypominam jej.

- Tak? Nie mogę jej rzucić, tak jak Rich kokainy.

- Jedzenie czekolady nie szkodzi innym. Nie niszczy im życia. Jeśli tylko tyle może ci wytknąć, to chwytają się brzytwy. Czekolada jest dla nas jedynie odrobiną pociechy w brutalnym świecie.

- To dla mnie takie smutne, że ktoś, kto miał ułatwiony start, stoczył się tak nisko. - Autumn kręci głową.
- Kiedy spędzam całe dnie, pracując z nastolatkami, które starają się wydostać z rynsztoka, trudno mi stać z boku i patrzeć, jak mój własny brat robi wszystko, żeby tam wylądować.

Obejmuję Autumn.

- Pomożemy ci. Cokolwiek postanowisz, będziemy cię wspierać. - Chcę dowiedzieć się więcej o facecie i randce, do której nie doszło, ale chyba tylko mnie to interesuje, więc trzymam gębę na kłódkę.

Autumn pociąga nosem z wdzięcznością.

Chantal wzdycha.

- Nadia, powiedz nam coś dobrego. Przydałoby się coś wesołego.

- Rzeczywiście mam dobre wiadomości - odpowiada z dumą Nadia. - W tym tygodniu spłaciłam nasze długi, a Toby'emu jak na razie udaje się trzymać z dala od internetowych kasyn. Zamierzamy wybrać się do Hyde Parku w ten weekend, żeby pograć w piłkę i we frisbee. Jak normalna rodzina. Nie wiem, jak ci dziękować, Chantal. - Nadia ściska jej rękę.

- Ty zrobiłabyś dla mnie to samo, gdyby sytuacja była odwrotna.

- Dzięki temu mogliśmy zacząć od początku. Zamierzam wykorzystać tę szansę jak najlepiej.

- Cieszę się, że mogłam pomóc.

- A ty masz jakieś wieści? - pytam Chantal.

Kręci głową.

- Nie. Brak seksu nadal jest jedyną sprawą związaną z seksem w moim domu. Nic się nie zmieniło.

Ale zastanawiam się, czy tylko ja zauważyłam bardzo zagadkowy wyraz twarzy Chantal.

Fantastycznie. Patrzę na front księgarni Jesmond i synowie i żałuję, że w ogóle zwlokłam się dziś rano z łóżka. Nastrój mam równie ponury jak poranne niebo. Kiedy jest się młodym, przebojowym i energicznym zdobywcą świata, ostatnie miejsce, w którym chce się pracować, to księgarnia. A firma Jesmonda i synów nie jest jedną z tych modnych księgarni z kawiarenką i pracownicami o imionach Philippa albo Camilla - jak ta, do której wybieram się dzisiaj z Jacobem. Coś takiego byłoby w porządku. W takiej księgarni mogłabym pracować. Ale nie. To jest sypiący się sklepik w zaułku, który wygląda, jakby miał klienta raz na pół wieku. Szyld głosi, że specjalizują się w używanych książkach z historii wojskowości, a także wywiadu wojskowego. Więc nie ma tu nawet szczytanych romansideł, żeby zabić czas.

Zbieram się w sobie, żałując, że dziś rano nie włożyłam poważnego czarnego garnituru zamiast jasnoróżowego, i zanim zdążę poddać się i uciec, przechodzę przez ulicę do księgarni. Dzwonek przyjemnie rozbrzmiewa, kiedy staję w drzwiach, oznajmiając moje pojawienie się. Zatechły zapach książek atakuje nozdrza, a w półmroku widzę tylko półki za półkami pełne zakurzonych tomów. Drobinki kurzu unoszą się w promieniach słońca, poderwane wiatrem, który powiał, gdy

otworzyłam drzwi - pewnie jako pierwsza osoba w tym roku. W moją stronę idzie, szurając nogami, mężczyzna. Ma na sobie brązową koszulę w kratę, czerwony krawat, zielony zapinany sweter i niebieskie spodnie.

- Cześć - mówię moim najradośniejszym głosem. - Nazywam się Lucy Lombard. Przysłała mnie Biurowa Bogini.

Wyciągam rękę.

- Ach - odpowiada mężczyzna, patrząc na mnie spod okularów. - Tak. Wspaniale.

Delikatnie ściska moją dłoń. Jego palce przypominają miękkie, surowe ciasto, i jak się o tym pomyśli, to facet nawet nieco pachnie drożdżami.

- Miło mi panią poznać, panno Lombard.

Raczej nie będę tu powszechnie znana jako Ślicznotka.

- Pan jest panem Jesmondem, właścicielem?

- Nie, nie - odpowiada ze skromnym uśmiechem. - To mój ojciec.

Wobec tego właściciel musi mieć co najmniej sto pięć lat.

- Jestem najmłodszym z braci Jesmondów.

Zastanawiam się - ostatnim, który przetrwał? Podchodzimy po trzech stopniach do biurka przy oknie.

- Pracowała już pani w księgarni?

- Nie - odpowiadam uprzejmie. - To mój pierwszy raz.

- To nic trudnego - zapewnia mnie pan Jesmond. - Jestem pewny, że szybko się pani zorientuje. Proszę się nie martwić.

Uśmiecham się z wdzięcznością. Zwykle jako pracownik na zastępstwie ląduję w jakimś kącie ze stosem

roboty; nie mam zielonego pojęcia, co z nią począć, i zostawiona samej sobie muszę jakoś się z nią uporać.

- Wobec tego - mówi pan Jesmond - zapoznać panią z podstawami?

- Byłoby cudownie - staram się nadal udawać pełną zapału.

- To jest biurko - mówi mój nowy pracodawca. - A na nim stoi kasa. - Kasa nie okazuje się niczym wyrefinowanym, to drewniane pudełko. Pan Jesmond wskazuje na półki. - A to wszystkie książki.

Dziwne, ale sama zdołałam się zorientować.

- Kiedy klient kupuje książkę, odkłada pani pieniądze do kasy, a potem wypisuje rachunek, ale tylko na wyraźne życzenie. - Podnosi stosowny bloczek i pokazuje mi. - A potem - mówi, jakby doszedł do trudnego fragmentu - zapisuje pani tytuł i księguje należność. - I znowu wskazuje mi stosowną książkę.

- Rety - dziwię się.

To ktoś jeszcze prowadzi interesy, nie korzystając z komputerów? Nie miałam pojęcia. Zgaduję, że firma Jesmondów dopiero co pozbyła się piór wiecznych i liczydła. To mogłoby być jedno z tych miejsc, które się rekonstruuje w muzeach pod hasłem „Życie w tamtych czasach”.

- Myśli pani, że sobie poradzi? - Pan Jesmond najwyraźniej poważnie się martwi, że zadanie mnie przeorośnie. Może różowy kostium robi złe wrażenie.

- Spróbuję.

Mam tylko nadzieję, że poranny ruch nie zwali mnie z nóg, zanim się nie wciągnę w nowe obowiązki.

- Zwykle radzę sobie całkiem sam - oznajmia z dumą pan Jesmond - ale potrzebuję kogoś na kilka tygodni. Jeśli to się sprawdzi, to przyda mi się tu pani na

dłużej. W końcu nie robię się coraz młodszy. Muszę iść do szpitala. Badania. - Ostatnie słowo wypowiada szeptem. Wskazuje w dół. Mój wzrok podąża za jego palcem i zatrzymuje się na spodniach z niebieskiego poliestru. - Uszczelka szwankuje.

Zdecydowanie za dużo informacji.

- Nastawić czajnik? - pytam, mając nadzieję, że niezależnie od stanu zdrowia może nadal pić herbatę. To zawsze dobry manewr na otwarcie, sprawdzić, jaki pracodawca ma stosunek do przerw na herbatę. - Potem mogę zacząć zapoznawać się z towarem.

- Wspaniały pomysł - odpowiada z zapałem. - Kuchnia jest na górze.

Wspinam się po ciemnych, wąskich schodach i wciskam do kąta, gdzie znajduje się maleńka wnęka kuchenna z szarymi, popękanymi kafelkami, podejrzenie wyglądającą termą i kilkoma poobijanymi kubkami. To miejsce grozi utratą zdrowia. Unosi się tu słaby smrodek z rur i zdecydowanie przydałaby się rundka z cytrynowym środkiem czyszczącym. Wybrawszy najmniej ohydne kubki, solidnie przepłukuję je wrzątkiem, zanim zrobię w nich herbatę, a potem schodzę na dół.

- Książki trzymamy na zapleczu - mówi pan Jesmond. - Zajmę się kilkoma sprawami, podczas gdy pani będzie się tu zadowlawać.

Kiedy znika, rozglądam się po sklepie, nie bardzo wiedząc, co robić. W tym miejscu nie panuje taka gorączkowa atmosfera jak w Tardze. Tam przynajmniej miałam mnóstwo roboty, którą mogłabym odwalić w pocie czoła, gdybym się zdecydowała rzeczywiście nią zająć. A tu mogę się zamienić w biurowy glon i to bez swojej winy. Odstawiam herbatę na biurko i rozglądam się po półkach. Na każdej leży gruba warstwa bia-

łego kurzu. Zerkam po tytułach - pierwsza wojna światowa, druga wojna światowa, szeroki wybór innych wojen... Nie miałam pojęcia, że tyle się ich wydarzyło ani że tyle książek o tym napisano. Widzę tomy poświęcone szpiegostwu, taktyce, kampaniom wojennym i siłom zbrojnym. Całe działy z zakresu nauk wojskowych, życia w armii, broni i różnych działań wojennych. Wszystkie wyglądają na bardzo oschłe. Pewnie niewiele w nich seksu i trawionych namiętnościami bohaterów, których można by pożądać. Być może takie książki będą przyciągały klientów preferujących wojskowy styl twardego dzieła. Ta myśl nieco mnie pociesza, ale szczerze mówiąc, mam już dość zaznajamiania się z towarem i wycofuję się do biurka.

Wyławiam z głębin torby pudełko czekoladek, prezent od Lubego i sprzedawców. Oglądam je dokładnie. Jak miło, że Luby pomyślał o czekoladkach. Ogarnia mnie nagła tęsknota za moim byłym szefem. Pan Jesmond jest bardzo sympatyczny, ale nie jest to wcielenie seksu. Może powinnam zadzwonić do Lubego i podziękować raz jeszcze? Może domyśli się, że naprawdę się nudzę i że nie trafiłam do wspaniałej pracy, gdzie ledwie mam sekundę na złapanie oddechu, i nie tęsknię za nikim z Targi... a już zwłaszcza za nim.

Och, naprawdę potrzebuję czekolady, żeby przetrwać ten dzień. Otwieram pudełko i rozkoszuję się dreszczykiem, który przebiega mnie, gdy czuję zapach słodczy. Muszą mi wystarczyć na cały dzień. Jest wpół do dziesiątej. Och, minęło dopiero pół godziny. A przecież czas mija tak szybko, gdy człowiek dobrze się bawi, prawda? Będę musiała wypełnić sobie dzień, myśląc o randce z Jacobem dziś wieczór i zjadając czekoladki. Jeśli będę jadła jedną co pół godziny, to wystarczy osiem,

żebym wytrzymała do lanczu. Kilka minut poświęcam na ustalenie kolejności. Najpierw musi być rachatlukum, potem czekoladka z kremem kawowym... pomarańczowym... i z orzechami laskowymi. Mmm. Może jednak rzeczywiście to są moje ulubione czekoladki.

Przestaję wybrzydzać i przebierać i po prostu losuję na oślep osiem czekoladek. Układam je w rzędki pośrodku biurka. Mogłabym zadzwonić do Lubego i podrażnić się z nim, że mam czekoladkę z rachatlukum, którą nie muszę się z nim dzielić. Znowu kładę rękę na telefonie i zjadam czekoladkę, rozmyślając. Kiedy pan Jesmond wróci do sklepu, zapytam, czy on też ma ochotę na jedną. Zjadam kawową - zostaje mi już tylko sześć czekoladek - a to z pewnością za mało. Więc zwiększam rację, decydując się na jedną czekoladkę co kwadrans, żeby ranek szybciej minął. Potem mogę zrobić to samo, żeby przetrwać popołudnie. Świetny pomysł. Zerkam na pudełko czekoladek. Ale to znaczy, że zostanie mi ich niebezpiecznie mało. Może mi ich nie wystarczyć do szóstej. Gdyby Lubemu rzeczywiście na mnie zależało, podarowałyby mi większe pudełko.

35

Punkt siedemnasta trzydzieści pędzę sprintem na górę do maleńkiej toalety - tu też przydałoby się solidne szorowanie - zdejmuję białą koszulę dobrą do biura i przebieram się w bardziej romantyczną, szyfonową bluzeczkę w kwiaty, która pasuje do wieczorku poetyckiego. Nie mam czasu, żeby popędzić do domu pod prysznic, więc odświeżam się we francuskim stylu, obficie spryskując się seksownym zapachem Anny Sui. Mam nadzieję, że Jacob nie będzie chciał dziś radykalnie i intymnie skrócić dystansu. Właściwie to mam na to nadzieję. Poprawiam makijaż, zjadam garść miętówek odświeżających oddech i poprawiam szminkę na ustach.

Jutro zamierzam przynieść cały stos produktów czyszczących i trochę tu posprzątać. Mój czekoladowy zegar do oznaczania mijającego czasu bardzo dobrze się sprawdził, chociaż przez niego myślałam o Lubym o wiele częściej niż to dobre dla zdrowia, ale dosłownie nie miałam nic do roboty. Nie pojawił się żaden klient. Wszystkie moje marzenia o napakowanych wojskowych typach pozostały tylko marzeniami. Na razie wspaniałomyślnie zwałam to na karb tego, że dziś jest poniedziałek i padało prawie całe popołudnie, ale mimo wszystko... Jakim cudem rodzina Jesmondów zarobiła cokolwiek na tym interesie? Mogliby po prostu

zamknąć sklep i prowadzić sprzedaż przez internet. Ciekawe, czy pan Jesmond Młodszy kiedykolwiek słyszał o internecie? Dla kochanego staruszka mogę zrobić przynajmniej tyle, że trochę tu sprzątnę. Mam tak dużo wolnego czasu, że zaczynam wspominać Targę z pewnym rozrzuwaniem, jak się myśli o chłopcach z okresu, kiedy się miało naście lat. Zapomina się wszystko, czego się w nich nie cierpiało, i pamięta tylko dobre rzeczy. Tak właśnie myślę obecnie o mojej poprzedniej pracy.

- Dobranoc, panie Jesmond - wołam, pędząc do drzwi. - Do zobaczenia jutro.

- Miłego wieczoru, panno Lombard.

Z dziesięć razy go prosiłam, żeby mi mówił Lucy, ale to do niego nie dociera. A niech tam. Pędzę na przystanek i udaje mi się wskoczyć do autobusu, który właśnie rusza i zabierze mnie prosto do Jacoba.

Księgarnia, w której mam dziś randkę, to jedno z tych nowomodnych miejsc z kawiarenką, gdzie ładnie pakują książki, można też kupić kartkę z życzeniami. Na zewnątrz stoi tablica ze szczegółami na temat wieczoru poetyckiego wypisanymi różową kredą. Wchodzę do środka i kierując się wskazówkami, wspinam się na trzecie piętro. Krzesła już rozstawiono, a przy stole z winem i przekąskami kręci się tłum. Wśród ludzi dostrzegam Jacoba. Tym razem ma na sobie szary garnitur i wygląda równie olśniewająco jak ostatnio, gdy go widziałam. Serce bije mi ciut szybciej i nie ma to nic wspólnego z tym, że dopiero co biegłam do autobusu.

Uśmiecha się, gdy mnie dostrzega, i rusza w moją stronę. Całuje mnie nieśmiało w policzek.

- Cześć - mówi. - Cieszę się, że udało ci się wyrwać z pracy.

Nie przyznaję się, że czekałam na to od momentu, gdy tego ranka weszłam do księgarni Jesmond i synowie.

- Coś ci podać? - proponuje.
- Poproszę. Czerwone wino.

Tomik poezji, który właśnie wyszedł, to antologia i zauważam, że kilku autorów kręci się nerwowo wśród gości. Można się zorientować, że to poeci, bo w większości noszą głównie ubrania z aksamitu z mnóstwem szalików, a niektórzy mają też eleganckie kapelusze. Jacob przynosi mi kieliszek wina i talerzyk z kilkoma tartinkami, który staram się utrzymać w poziomie.

- Mam nadzieję, że wybrałem dobre.
- Wyglądają pysznie. To miło z twojej strony.
- Kierowały mną ukryte powody. Miałem nadzieję, że podzielił się wędzonym łososiem.

Patrzy mi w oczy, gdy podsuwam mu kęs. Bierze mnie za rękę, gdy dojadam resztę. Ziemia ugina się pod moimi nogami i zaczynam dyszeć jak astmatyk. Jacob uśmiecha się do mnie rozbawiony. Ten mężczyzna dobrze wie, jak na mnie działa, a co ważniejsze, nic a nic mi to nie przeszkadza. Kiedy kończymy kanapki, Jacob kartkuje książkę.

- Dużo poezji czytasz? - pytam.
- Tak. - Z entuzjazmem kiwa głową. - Jestem wielkim fanem. Im bardziej romantyczna, tym lepiej. Uwielbiam wiersze, które chwytają za serce. A ty?

Wzruszam ramionami.

- Zwykle nie mam czasu. To dla mnie rzadka przyjemność.
- Więc tym bardziej się cieszę, że mogłaś przyjść.

Ma najcudowniejsze oczy na świecie; pięknie błyszczą w oświetleniu księgarni. Zastanawiam się, czy to

początek nowego związku? Zawsze marzyłam o wrażliwym, kulturalnym chłopaku, a do dnia dzisiejszego tacy mnie omijali. Większość mężczyzn uważa, że wrażliwość sprowadza się do używania żebrowanej prezerwatywy. Ci naprawdę, naprawdę wyjątkowi mężczyźni rzadko pojawiają się w naszym życiu.

- Zaraz się zaczniesz - mówi Jacob, który o ile dobrze to oceniam, zaraz zemdleje z czystej radości.

Czytanie nie trwa zbyt długo. Kilku odzianych w aksamity poetów stoi przed publicznością i czyta na głos fragmenty utworów. Wiersze są głównie zabawne albo romantyczne, nic trudnego. Jacob przez cały czas trzyma mnie za rękę, aż mi się robi gorąco. To dziwne wrażenie czuć dotyk nieznajomej skóry - po tym, jak wiele czasu spędziłam z Marcusem - ale muszę przyznać, że raczej przyjemne. Łapię się na tym, że odpływam myślami i zastanawiam się, co by to było, gdybym poczuła więcej tej skóry.

Klaszczemy uprzejmie na zakończenie, a Jacob mówi:

- Pozwolisz, że kupię ci ten tomik?

- Dziękuję, to bardzo miłe.

Stajemy w kolejce i książkę podpisuje dla mnie kilku poetów. Jacob wręcza mi małą torebkę z szarego papieru z antologią z autografami w środku.

- Chciałbym cię zabrać na kolację - mówi, a serce mi puchnie z radości - ale muszę wracać do pracy.

Moje serce opada jak kolejny tragiczny suflet w mojej kuchni.

Zerkam ukradkiem na zegarek i widzę, że jest ósma wieczór. Zdecydowanie za wcześnie na powrót do domu.

- Mam spotkanie, którego nie mogłem przełożyć - tłumaczyze przeprasza.

- Och, w porządku - mówię, chociaż serce mi się zaciska. - Wszyscy musimy pracować.

- Zadzwoń niedługo. - Całuje mnie delikatnie w usta. Kolana się pode mną uginają. - Obiecuję.

Nie pozostaje mi nic innego jak gorąca czekolada i wczesne pójście do łóżka, chociaż tak naprawdę myślałam o ostrym seksie i szalonej nocy. Ech, cóż zrobić.

36

Chantal powiedziała Tedowi, że nie wraca na noc, bo musi wykonać zlecenie. Mąż i tak by się nie zorientował. Rzadko dzwoniła do domu w czasie wyjazdów, a on nigdy nie pytał, dokąd się wybiera. Jeśli czegoś potrzebował, po prostu dzwonił do niej na komórkę. Hotel, który wybrała, należał do najlepszych w Londynie - jej ulubione miejsce na drinka od czasu do czasu. Nigdy wcześniej jednak tam nie nocowała. Kiedy miała spotkania służbowe w Londynie, zawsze wracała do domu niezależnie od pory. Hotel był nowoczesny, minimalistyczny, czysty i z rzeczowym podejściem do klienta. Idealnie pasował do jej potrzeb.

Wezwała taksówkę, która podjechała tuż przed powrotem Teda. Teraz zatrzymała się przez hotelem St. Crispin w ruchliwej okolicy Covent Garden. Chantal postanowiła przyjechać wcześniej i mieć chwilę na przygotowanie się przed wieczorem. Weźmie długą, gorącą kąpiel, wypije kieliszek szampana, zje czekoladki, które zabrała na ukojenie nerwów. Płaciła za towarzystwo od godziny, ale pomyślała, że równie dobrze może pozwolić sobie na całą noc, zwłaszcza że sporo kosztował ją sam pokój. Ludzie mijali ją pospiesznie, wybierając się do teatru albo na kolację - szczęśliwe pary, ręka w rękę.

Poczuła ukłucie samotności, kiedy pomyślała, na co jej przyszło.

Zabrała małą walizeczkę z rzeczami na jedną noc z taksówki, zapłaciła kierowcy i weszła do hotelu. Kiedy się meldowała i powiedziała, że oczekuje gościa, dłonie jej się spociły. Zastanawiała się, co pomyślałaby recepcjonistka, gdyby wiedziała, że tak naprawdę Chantal płaciła swojemu gościowi od godziny.

- Nazwisko?

Chantal ogarnęła panika. Nie wiedziała nic o tym mężczyźnie, oprócz jego przydomku, który brzmiał absurdalnie.

- Pan Jazz - powiedziała po chwili zastanowienia. - Pan Jazz.

- Damy pani znać, gdy się pojawi, pani Hamilton. Mogę w czymś jeszcze pomóc?

- Nie, dziękuję.

Ruszyła w stronę windy, kiedy usłyszała za plecami okrzyk.

- Chantal! - zawołała jakaś kobieta. - Jak się masz?

Chantal obróciła się gwałtownie. W ustach jej zaschło. Amy Barrington była ostatnią osobą, którą chciałaby spotkać.

- Amy - powiedziała pogodnie.

To była znajoma, z którą spotykała się na kilku kolacjach w roku. Jej mąż, Lucian, pracował w tej samej branży co Ted i czasem grywali razem w golfa. Amy Barrington słynęła z zamiłowania do plotek.

- Miło cię widzieć - skłamała Chantal.

- Zapowiada ci się eleganckie spotkanie. - Amy ucałowała ją w oba policzki. - Zatrzymujesz się tutaj? - Spojrzała na walizkę.

- Tylko na jedną noc.

- Bez Teda? - Amy rozejrzała się.
- To spotkanie na zlecenie - wyjaśniła Chantal. - Mam spotkać się z kimś, kogo zaprezentuję w następnym numerze.
- I musisz zostać tu na noc?
- Czasem tak jest łatwiej. - Chantal wiedziała, że jej słowa nie do końca przekonały Amy Barrington.
- Chodź ze mną do baru - nalegała tamta. - Usiądź z nami i poczekaj na spotkanie. Lucian właśnie zamówił coś do picia.
- Nie mogę. - Chantal zaczęła się wycofywać. - Muszę iść do pokoju i przejrzeć notatki.
- Och. - Amy była wyraźnie rozczarowana. - Tylko na jednego drinka.
- Przykro mi, Amy. Musisz wpaść do nas z Lucianem któregoś wieczoru.
- Mam ze sobą BlackBerry.
- Powiem Tedowi, żeby umówił się z Lucianem. - Chantal pomachała jej na do widzenia. - Ja się dopasuję.
- Miłego wieczoru - powiedziała Amy. A potem lekko zmrużyła oczy. - Ale to nie jest spotkanie dla przyjemności, tylko w interesach, prawda?

Chantal była podenerwowana i niespokojna po spotkaniu z Amy Barrington. Popełniła błąd, spławiając ją tak po prostu. Powinna była wypić z nimi szybkiego drinka, grać grzeczną, tak byłoby najlepiej. Teraz czuła się winna, jakby przyłapano ją na zdradzie, a przecież nie o to chodziło. Nie było mowy o żadnym emocjonalnym zaangażowaniu. To, co zrobi z tym facetem, nie bę-

dzie miało żadnego wpływu na jej związek z Tedem. To prawda, że Ted mógłby inaczej to ocenić, ale dla niej to tylko zwykły numerek.

Pokój był ogromny, gustownie urządzone w różnych odcieniach kremowego koloru, z meblami z ciemnego drewna. Kręciła się, podziwiając wystrój, próbując nie myśleć o tym, że jest tu sama. W kubełku z lodem na niskim stoliku chłodziła się butelka kruga na później. Chantal wypakowała kosmetyki w łazience i przyjrzała się sobie w lustrze. Widziała twarz chłodną, spokojną i opanowaną, ale w głębi duszy wcale się tak nie czuła. Leżała w ogromnej wannie, wdychając waniliowy aromat płynu do kąpieli i zajadając czekoladki stojące na brzegu wanny. Próbowwała odzyskać spokój, ale jej się nie udało. Woda wystygła, więc wrzuciła do ust ostatnią czekoladkę, wyszła z wanny i wytarła się ręcznikiem.

Co teraz? Facet miał się zjawić za kwadrans. Powinna się ubrać? A może włożyć czarno-różowe jedwabne, króciutkie kimono, które zabrała ze sobą? Warto było się wysilać, żeby zachować pozory, skoro oboje doskonale wiedzieli, po co miał się tu zjawić? Postanowiła włożyć świeżą bieliznę z czarnej koronki i kimono. Nie będzie żadnego przekazywania pieniędzy. Ona tylko musiała zarezerwować spotkanie, a agencja towarzyska ściągnie potem opłatę z jej karty kredytowej. Skoro to taka prosta i sprawnie przeprowadzona transakcja, to czemu właściwie się denerwuję, zastanawiała się Chantal.

Chwilę później ktoś zdecydowanie zapukał do drzwi. To mógł być ktoś z obsługi hotelowej, ale wiedziała, że nie jest. W każdym razie nie o taką obsługę chodziło.

Mężczyzna, którego wybrała w internecie, stał przed nią. Dobrze widziała, że nie przesadził w opisie. Był

niewiarygodnie przystojny. Właściwie to na żywo wyglądał o wiele lepiej niż na zdjęciu. Był wysoki, opalony i szczupły. To jej odpowiadało.

- Cześć - odezwał się, uśmiechając się ciepło. - Jestem Jazz.

- Wejdz - powiedziała Chantal. - Czekałam na ciebie.

Miał na sobie elegancki garnitur, koszulę, krawat i buty wypolerowane na najwyższy połysk. Gdybyście go mijali na ulicy, pomyślelibyście, że to odnoszący sukcesy biznesmen - może sprytny bankowiec z City, jak jej mąż. Jego twarz była miłsza, niż sobie wyobrażała, a w kącikach oczu rysowały mu się delikatne, promieniste zmarszczki, zdradzające, że dużo się uśmiecha. Nigdy nie dałoby się zgadnąć, że to męska dziwka. Jazz położył małą walizeczkę na niskim stoliku. Chantal się zastanawiała, co w niej nosi.

- Szampana?

- Byłoby miło - zgodził się Jazz. Był absolutnie pewny siebie i rozluźniony. - Pozwól, że ja otworzę.

Jazz odkręcił drucik i fachowo uwolnił korek z butelki.

- Ja naleję - powiedziała Chantal.

Ręka jej drżała, gdy nalewała do kieliszków. Chryste, powinna była wziąć valium albo coś innego na uspokojenie. Albo wypić połowę butelki, zanim zjawił się Jazz.

- Pierwszy raz to robię - przyznała. Nie ma sensu udawać, że wie, jak się zachować, kiedy tak naprawdę nie ma pojęcia. - Mam nadzieję, że mi pomożesz.

Odwróciła się i zobaczyła, że Jazz zdjął już marynarkę i poluźnia krawat. Wziął od niej kieliszek szampana i stuknął się z nią. Jego oczy iskrzyły się szelmowsko, pełne obietnicy, a nawet pożądaniami. Chantal wzięła głęboki wdech. Nie spodziewała się, że zoba-

czy coś takiego. Uśmiechnęła się. Może się okazać, że to będzie świetna zabawa.

- Chcę, żebyś się dobrze bawiła - odpowiedział Jazz. - Resztę zostaw mnie.

Minęła siódma następnego wieczoru, kiedy Chantal wróciła do domu. Zaraz po spotkaniu z Jazzem poszła prosto do londyńskiego biura „Amerykańskiego Stylu” i przedstawiła naczelnemu kilka pomysłów na przyszłe artykuły. Zjadła lancz w Oscars z dziennikarzem pracującym w piśmie, żeby nadrobić zaległości w biurowych plotkach - kto z kim sypia, kto z kim chciałby sypiać, kto zaraz wyleci, a nie ma nawet pojęcia, że mu to grozi. Chantal uśmiechnęła się do siebie. Gdyby koledzy z redakcji znali jej mroczny sekret.

Po lanczu zaszła do Czekoladowego Nieba i pozwoliła sobie na zieloną herbatę i tabliczkę cudownej czekolady Półwysep Samana z rzadkich ziaren kakaowca z Dominikany. To była jedna z ulubionych czekolad Lucy; jej przyjaciółka miała mnóstwo ulubionych czekoladowych smakołyków. Szkoda, że żadnej z dziewczyn nie było tu dzisiaj, ale Chantal nie mogła zostać długo, żeby wysłać im propozycję spotkania. Poza tym, gdyby zobaczyła się z nimi dzisiaj, musiałaby im opowiedzieć o szalonej nocy z Jazzem. Rumieniec na jej policzkach bezlitośnie zdradzał, że coś lub raczej ktoś przypadł jej do gustu. Czasem te staromodne brytyjskie powiedzonka idealnie pasowały do sytuacji. Wobec tego dziwnie szczęśliwa zajęła jedną z sof w Czekoladowym

Niebie i spędziła trochę czasu, rozmawiając przez komórkę z kilkoma właścicielami domów o zaprezentowaniu ich rezydencji, rozkoszując się jednocześnie bogatym, pikantnym smakiem czekolady i delikatnym zmęczeniem ciała.

Czuła się bardziej ożywiona niż kiedykolwiek w ostatnich latach. Opuszki palców, włosy na głowie - wszystko w niej było dosłownie naładowane energią, z której braku już nawet nie zdawała sobie sprawy. Była cudownie i w pełni zaspokojona seksualnie. Jazz został z nią trzy godziny. Trzy długie godziny zbytku, podczas których dogadzał jej - jakby to można określić tym staromodnym słowem - raz za razem. Zapłaciła za coś, co okazało się dobrym romansem w starym stylu. To ją zaskoczyło. Jazz skupił się na jej ciele, na jej pragnieniach. Zdołał uruchomić w niej mechanizmy, z których istnienia nawet nie zdawała sobie sprawy. Ile kobiet mogło powiedzieć, że mężowie robią to samo dla nich? Był stuprocentowym zawodowcem i nienagannym dżentelmenem. Trudno było uznać ten układ za śliski i odrażający. Jazz najwyraźniej też dobrze się bawił. Albo był cholernie dobrym aktorem. Zamknęła oczy i zalał ją strumień erotycznych obrazów. W jego walizeczce znajdowały się najróżniejsze balsamy, olejki i zabawki, żeby urządzić bardzo grzeszny wieczór. Spryskał ją całą szampanem, a potem wszystko zlizał gorącym językiem. Już na samo wspomnienie przechodził ją rozkoszny dreszczyk.

Chantal westchnęła z zadowoleniem, wchodząc do domu. Odstawiła w holu walizkę z rzeczami. Ted niedługo wróci z biura. Dzisiaj na kolację miało być szybkie danie z makaronu, żeby nie jedli zbyt późno. Przyniosła do domu pudełeczko ciasteczek z mleczną

i białą czekoladą - były po prostu wyborne - dla męża. To był rodzaj fajki pokoju, jak pomyślała, kiedy odezwało się w niej sumienie.

- Cześć.

Mąż wystawił głowę z kuchni, a Chantal prawie podskoczyła z wrażenia.

- Wcześniej wróciłeś.

- Nie mogłem już wytrzymać w biurze. Dostali swoją porcję mięcha na dzisiaj.

Rozpięła żakiet.

- Też wróciłabym wcześniej, gdybym wiedziała. Powinieneś być zadzwonić. Siedziałam w Czekoladowym Niebie i umawiałam ludzi na wywiady.

Pokazała pudełko ciasteczek czekoladowych.

Ted z uznaniem zamlaskał.

- Jak poszło ze zleceniem?

- Świetnie. - Pokiwała głową nieco zbyt entuzjastycznie.

Nagle lśniący lakier na jej spotkaniu popękał i złuszczył się. Zemdliło ją na myśl, gdzie wczoraj wieczór była i jak się zabawiała. Jak mogła zapłacić komuś za seks? Jak mogła zrobić to mężczyźnie, który właśnie przed nią stał? Mogła porozmawiać z nim otwarcie o problemie i dowiedzieć się, co leży u jego źródła. Zdrowi, gorącokrwisci mężczyźni nie przestają po prostu kochać się z żonami bez powodu. Umawianie się na spotkania z męskimi prostytutkami nie jest rozwiązaniem.

Przez lata Chantal zastanawiała się, czy jej mąż też ma romanse, ale była pewna, że nie znalazłby na nie czasu, nawet jeśli by miał ochotę. Był albo w biurze, albo na kolacji, albo spał. Kierat, w którym pracował w Grenfell Martin, nie zostawiał czasu na przyjemność posiadania kochanki. Była tego pewna.

Podeszła do Teda i pocałowała go w policzek, mając nadzieję, że chociaż raz nie odsunie się, wzdrygając. Właściwie się nie wzdrygnął, ale też nie zareagował. Nie było w odpowiedzi całusa, przytulenia, pogłaskania po policzku. Po prostu wrócił do kuchni.

- Zacząłem robić sałatkę do kolacji. Mam nadzieję, że to dobrze?

- W porządku - odpowiedziała, zauważając, że w jej głosie pojawiło się zmęczenie. - Tylko wrzucę makaron do sosu. Daj mi pięć minut, żebym się odświeżyła.

- W gabinecie jest dla ciebie wiadomość - rzucił przez ramię, krojąc czerwoną paprykę. - Jakiś facet dzwonił wczoraj wieczorem, kiedy cię nie było. Powiedział, że ma informacje, które mogą ci się przydać.

Chantal złapała kawałek papryki z deski do krojenia i skubiąc ją, ruszyła na piętro.

- Tak?

- Podobno poznaliście się w hotelu w Lake District.

Krew się jej ścięła w żyłach. To mogła być tylko jedna osoba. Zadzwoił do niej, do jej domu. Serce biło jej jak szalone. Musiał wziąć numer z jej komórki, która leżała w skradzionej torebce. Zastanawiała się, czy da radę się odezwać i czy jej głos zabrzmiał naturalnie.

- Zostawił nazwisko?

Słyszała napięcie w swoim głosie.

Ted zastanawiał się chwilę.

- Nie. Tylko numer.

- To co powiedział?

- Niewiele. - Wyraz twarzy męża niczego nie zdradzał. - Powiedział, że najlepiej, żebyś oddzwoniła jak najszybciej. Chcesz zadzwonić teraz, a ja skończę kolację?

- Zadzwoń do niego jutro - odpowiedziała na tyle nonszalancko, na ile zdołała. - To nie może być aż tak pilne.

Ale czuła, że jest.

Jacob przysłała mi wiadomość, że świetnie się bawił i chciałby znowu mnie zobaczyć w piątek. Tym razem ma bilety na imprezę dobroczynną na rzecz walki z rakiem piersi. Odpisuję, że chętnie się z nim wybiorę. To znaczy, że muszę czekać całe cztery dni, zanim się z nim spotkam. Ale mam porywającą pracę w wojskowej księgarni Jesmonda i synów, która zapewni mi do tego czasu zajęcie.

Dziś rano przyniosłam reklamówkę pełną produktów czyszczących: cytrynowego cifa, Mr Muscle'a, Mr Sheena, windowlene, odplamiacz o zapachu wiosennym i nową paczkę ściereczek J Cloth. Jeśli nie będę miała nic więcej do roboty, to mogę przynajmniej trochę tu posprzątać. Teraz mam pierwszą przerwę na herbatę tego dnia i rozkoszuję się miętową czekoladą Green & Black. Zastanawiam się, od czego zacząć. Myślę też o Jacobie i tym, jak lubię jego towarzystwo, ale ponieważ jestem właśnie w pracy, myślę o nim mniej niż o zadaniach, jakie na mnie czekają. Rzecz jasna.

- Mamy sprzątaczkę - zapewnia mnie pan Jesmond Młodszy, podejrzliwie patrząc na reklamówkę pełną środków czystości. - Pani Franklin przychodzi raz na dwa tygodnie regularnie jak w zegarku. Nie musisz zwracać sobie tym głowy.

Sądząc po wyglądzie księgarni, to w żadnym wypadku nie wystarcza; podejrzewam, że pani Franklin zwija się w kątku i idzie spać, kiedy tu przychodzi.

- Chętnie posprzątam - mówię wesoło. - To mi pomoże zorientować się tu we wszystkim.

- Muszę dzisiaj wyjść. - Pan Jesmond marszczy z troską brwi. - Dasz sobie radę sama?

- Nic mi nie będzie.

- A jeśli nagle zrobi się duży ruch?

Jeśli zjawi się cały autokar klientów po książki militarystyczne, wpadnę w kompletną panikę. Choć myślę, że to mi nie grozi.

- Wszystko będzie w najlepszym porządku, kiedy pan wróci.

Ścisza głos do szeptu:

- Szpital.

I znowu wskazuje na okolicę niebieskich poliastrowych spodni, na którą wolę nie patrzeć.

Godzinę później wypijamy następną filiżankę herbaty, a ja dzielę się twiksem z panem Jesmondem. Nadal jednak nie wpadłam w nastrój do porządków. Dopiero pracuję nad właściwym nastawieniem. Pan Jesmond bierze kapelusz i płaszcz z wieszaka, kręci się, zbierając do wyjścia.

- Poradzisz sobie? - pyta po raz dwudziesty.

- Bez problemu - odpowiadam po raz dwudziesty.

- Nie pozna pan tego miejsca, kiedy pan wróci.

Udaję, że nie widzę przerażenia na jego twarzy, i wzdycham z ulgą, kiedy drzwi zamykają się za nim. Zapadam się z powrotem w krzesło, zastanawiając się, czy powinnam zadzwonić do Lubego - szybki, przyjacielski telefon, żeby sprawdzić, jak sobie beze mnie radzi - ale wtedy przychodzi mi do głowy, że może ra-

dzić sobie doskonale. Tracy jak-jej-tam może być fanatycznie efektywną osobistą asystentką, doskonałą w pisaniu, wypełnianiu, parzeniu kawy i innych obowiązkach. Choć założę się, że nie ma takiego imponującego zapasu czekolady jak ja. Odwracam się od telefonu, myśląc, że gdyby Luby tęsknił za mną, toby zadzwonił. Zostawiłam mu swój numer komórki, i co? Nic.

Zegar tyka głośno w cichym pomieszczeniu, więc wdychając bez entuzjazmu, wyciągam siatkę pełną detergentów. Przemiana w Kim i Aggie z *How Clean Is Your House?* wydawała się dobrym pomysłem, ale z daleka. Teraz, kiedy nadeszła chwila prawdy, początkowy zapał najwyraźniej mnie opuścił. Cóż, i tak lepsze to niż kolejny dzień przy biurku spędzony na zabawie kciukami.

Przyniosłam gumowe rękawiczki i stary fartuch specjalnie z myślą o sprzątaniu i czyniąc pierwszy krok, wkładam je. Przez środek sklepu biegnie ciąg regałów jeden za drugim, więc postanawiam zacząć od przodu i przesuwać się do tyłu. Spróbuję dzisiaj odkurzyć i wypolerować półki, żeby pan Jesmond zauważył to i docenił, a jutro skupię się na kuchni, toalecie i może nawet zajrzę do magazynu - chociaż z głębin tego ostatniego dochodzą przerywane odgłosy drapania.

Przynoszę miskę gorącej wody z brudnej kuchni i moczę ściereczkę. Stoi tu wysoka drabina na kółkach, której pan Jesmond musi używać, żeby sięgnąć do najwyższej półki, więc przyciągam ją przed pierwszy regał i przygotowuję się do sprzątania. „Broń i działania wojenne”. Wspinam się po drabinie, zgarniam stos książek i zdejmuję je, po czym odkładam na biurko, starając się zachować jakieś pozory porządku, żebym nie musiała potem za dużo układać przy odstawianiu ich z powrotem.

Najwyraźniej pan Jesmond ma swój system, a ja swój. Książki są ciężkie od pokładów wieloletniego, nie-
tkniętego kurzu. Cokolwiek pani Franklin tu robi, nie
obejmuje to groźnego wymachiwania szczotką do
kurzu. Nie rozładowałam jeszcze połowy półek, a po-
wietrze zrobiło się gęste od czarnych drobinek, zaczy-
nają mnie szczytać oczy i leje mi się z nosa. Prze-
cierając półki moką ściereczką, mam nadzieję, że nieco
przyhamuję unoszenie się toksycznych chmur roztoczy.
Potem wycieram półki do sucha i poleruję je Mr Shee-
nem. Wyglądają o niebo lepiej. Okazuje się, że pod ku-
rzem kryją się piękne mahoniowe deski. Staję
i podziwiam dzieło swoich rąk. To miło wysilić się i od-
walić kawał ciężkiej pracy fizycznej - od czasu do
czasu.

Postanawiam zdjąć wszystkie książki z pierwszej
półki, zamiast robić to po trochu, jak planowałam po-
czątkowo. Gdybym sprzątała po kawałku, mogłabym
niechcący zakurzyć świeżo wyczyszczoną powierzch-
nię, a wtedy musiałabym zaczynać od początku - syzy-
fowa praca. Jestem pewna, że ten gość nazywał się
Syzyf, ten, który musiał pchać pod górę głaz przez
wieczność z powodu jakiegoś innego gościa, prawdo-
podobnie pracuje on teraz w zarządzie Targi, choć moja
znajomość mitologii greckiej jest dość mglista.

Następne pół godziny spędzam, znosząc kolejne
stosy książek i upychając je na biurku, które niemal cał-
kowicie pod nimi zniknęło. Naprawdę mam nadzieję, że
nie zjawi się teraz wycieczka autokarowa - ha, ha! Całe
to schodzenie i wchodzenie po drabinie musi służyć
moim udom, a taszczenie książek dobrze robi na bi-
cepsy. Niedługo będę potrzebowała trochę czekolady,
żeby odzyskać siły.

Kolejne pół godziny i półki są puste. Wszystkie książki leżą w stosie na biurku i na podłodze przed nim. Głęboko współczuję Syzyfowi. Jedyne miejsce, którego nie wyczyściłam porządnie, to sam szczyt półek. Zakasuję fartuch, biorę ścierkę i wspinam się znowu po drabinie. Muszę się trochę wyciągnąć, żeby sięgnąć; trzymam się mocno drabiny, wychylając ku regałom. I wtedy dzwoni komórka. Leży zakopana pod stosem książek na biurku. Bardzo mnie kusi, żeby zostawić ją tak, niech sobie brzęczy. Ale wtedy dociera do mnie, że to może być Jacob albo Luby, więc nurkuję po telefon, zanim przełączy się na pocztę głosową. Pędem zbiegam po drabinie, tak szybko, jak zdołają ponieść mnie moje krótkie nóżki. Śmigam po podłodze slalomem między stosami książek i rzucam się po telefon, który łapię dokładnie w chwili, gdy milknie.

W pośpiechu wpadłam na stos książek, który przewraca się na drugi, tamten na kolejny, który uderza o drabinę, a ta chwieje się niebezpiecznie. Upuszczam telefon i rzucam się ku drabinie, żeby ją złapać, zanim się przewróci. Nie udaje mi się i tylko patrzę żałośnie, jak drabina uderza w pierwszy regał, który też zaczyna się chwiać, więc go łapię, żeby utrzymać w pionie. Chybcocze się i chwieje i jakoś wyślizguje mi się z rąk. Boki są takie ładne i lśniące, tam gdzie je właśnie wypolerowałam, i po prostu wyślizgują mi się z rąk. Ciężar półek najwyraźniej przeważył i regał z jękiem przewraca się i uderza w następny; książki i kurz rozlatują się na wszystkie strony. Teraz następny regał przewraca się z jękiem; ja też jęczę i rzucam się, aby go złapać, kiedy uderza już w następny. Jeden za drugim, sześć regałów - leżą poprzewracane, rozrzucone na podłodze jak pijacy po sobotniej imprezie. Książki walają się wszędzie,

pootwierane jak psy, kiedy się rozkładają, popisując się podbrzuszem. Kurz gęsty jak dym wypełnia powietrze. Zegar tyka głośno w ciszy, która zapadła.

Wracam do biurka, wchodząc po szczątkach zniszczonych książek i znowu łapię telefon, dysząc ze złością. Patrzę na wyświetlający się komunikat o nieodebranych połączeniach. Naciskam klawisze, żeby sprawdzić wiadomość. W poczcie głosowej jest nagranie od Marcusa. Nie mogę się nawet zmusić, żeby teraz tego słuchać. Ale wtedy znowu moje palce przebiegają po klawiszach. Może jednak dam radę. „Lucy - mówi Marcus - potwornie za tobą tęsknię”. Jak często marzyłam, żeby mi to powiedział? „Wiem, że powiedziałeś, że spotykasz się z kimś, ale proszę, zadzwoń do mnie. Proszę”. Jak mam na to zareagować?

Rozlega się kolejny jęk na tyłach sklepu i coś, co nie powinno się przewracać, zwała się z trzaskiem na podłogę. To wszystko wina Marcusa.

I kiedy jeszcze stoję w katatonicznym osłupieniu, telefon znowu brzęczy. Przyszła wiadomość. Tym razem od Chantal. „Ostre pogotowie czekoladowe! Spotkajmy się w południe”. Patrzę na pobożowisko wokół i myślę, że sama jestem w ostrym kryzysie czekoladowym.

- Facet z hotelu zadzwonił do mnie - wyjaśnia Chantal. - Do domu. Ted odebrał.

Wszystkim zgodnie aż dech zapiera. Złodziej, który okradł Chantal, zadzwonił do niej. O Boże. Nasza przyjaciółka jest blada, a wzrok ma niespokojny. Głos jej drży.

- Podejrzewam, że wziął numer z komórki, którą mi ukradł.

- Niech to szlag, Chantal. - To mój użyteczny wkład do dyskusji.

Miesza kawę i unosi filiżankę do ust. Ręce jej się trzęsą. Odstawia kawę z powrotem. W Czekoladowym Niebie zawsze jest ruch w czasie przerwy na lunch, ale jakoś udało nam się zająć sofy i mamy je tylko dla siebie. Myślę, że Clive powinien postawić w kącie tabliczkę „zarezerwowane” specjalnie dla nas, choć jeszcze go na to nie namówiliśmy. Wszystkim nam udało się dotrzeć na miejsce w ciągu pół godziny od nerwowej wiadomości Chantal i wszystkie zbiłyśmy się w przytulną, konspiracyjną gromadkę nad stosikiem czekoladowych muffinek. Tylko że jak się okazało, temat nie jest szczególnie przyjemny.

- Powiedział Tedowi, kim jest?

- Nie. - Kręci głową. - Zostawił numer i powiedział, że poznaliśmy się w hotelu w Lake District.

- Bogu dzięki.
- Ale wyczuwało się w tym groźbę, Lucy. Czuję, że tak naprawdę ostrzegł mnie, że bez skrupułów może opowiedzieć co nieco Tedowi o tym, co się wydarzyło. Miałam szczęście.

- Nie możesz po prostu powiedzieć o tym mężowi? Szczerowość często jest najlepszym rozwiązaniem - proponuje Autumn.

- Nie w tym wypadku - odpowiada beznamiętnie Chantal. - Jak mogę zwierzyć się z tego Tedowi? Rozwiódłby się ze mną.

Wszystkie zerkamy po sobie zaniepokojone.

- Dzwoniłaś już do niego? - dopytuje się Nadia, ocierając wąsy z pianki gorącej czekolady.

- Zadzwoiłam dziś rano. To było straszne. Nie wzbudzał za grosz zaufania. Zastanawiam się, jak w ogóle mogłam pozwolić mu zbliżyć się do siebie, już nie wspominając o... - Urywa, ale wszystkie dobrze wiemy, co chciała powiedzieć.

Autumn potrzęsa lokami.

- Obiecuj, że więcej tego nie zrobisz. Seks z nieznanym jest potwornie niebezpieczny. Powinnaś pomyśleć o oczyszczeniu czakr, żeby pozbyć się negatywnej energii.

A moim zdaniem powinna sobie przebadać głowę!

Chantal robi nam tę przyjemność i udaje zażenowaną. Czerwieni się jak burak.

- Powiedział, że mogę odzyskać całą biżuterię...

- To wspaniała nowina, prawda? - wchodzi jej w słowo Autumn.

Chantal patrzy na nią zmęczonym wzrokiem.

- Jeśli zapłacę mu trzydzieści tysięcy; musiał ją wy-cenić.

- Tacy ludzie mają do tego pecynę - mówię, chwając się tym samym, że zmarnowałam młodość, oglądając filmy o gangsterach. Moje przyjaciółki patrzą na mnie, nic nie rozumiejąc. - Nie pecynę, grudkę ziemi, tylko pasera. Szemranego gościa z lombardem w załku, który opycha gorący towar za procent od sprzedaży. Bizuteria Chantal pewnie zostanie przetopiona albo pofrunie do jakiegoś zaufanego jubilera w Europie, jeśli ona jej nie odkupi.

- Od razu poczułam się lepiej - ironizuje Chantal.

- Przepraszam.

- Trzydzieści tysięcy to potwornie dużo pieniędzy - mówi Autumn, jakbyśmy same tego nie wiedziały.

- Za to kupię też jego milczenie - dodaje Chantal.

- Niech to diabli.

Sypię dziś dobrymi radami jak z rękawa. Może to widok tych wszystkich poniszczonych książek i regałów blokuje moje procesy myślowe. Nie mogę im teraz opowiedzieć o mojej wpadce w pracy. Pojawiły się o wiele bardziej naglące kwestie od faktu, że zdemolowałam księgarnię i najprawdopodobniej za chwilę wylecę z roboty. Poza tym mogłabym się popłakać, a muszę pozostać silna dla Chantal. Potrzebuje nas teraz.

Nadia patrzy zawstydzona.

- Ale ja wzięłam wszystkie twoje pieniądze. Co teraz zrobisz?

Na twarzy Chantal maluje się determinacja.

- Znajdę coś jeszcze.

- Musisz je przyjąć ode mnie z powrotem. Mogę wziąć pożyczkę... albo coś takiego. - Nawet Nadia nie jest przekonana do swojego pomysłu.

Chantal kładzie rękę na jej ramieniu.

- Nie chcę o tym słyszeć. Nadal jesteś w większej potrzebie niż ja. Sama się wpackowałam w to szambo. I sama muszę się z niego wyciągnąć. Zdobędę jakoś pieniądze.

- Ale nie możesz kupować własnej biżuterii. - Autumn jest przerażona. - Ona należy do ciebie. To jest moment, kiedy trzeba zawiadomić policję.

- Nie - odpowiada stanowczo Chantal. - Nie mogę.

I muszę się z nią zgodzić. Obejrzyjcie jakikolwiek film z okupem - gdy wchodzi się w to policja, wszystko się chrzani. Bandytom zawsze udaje się uciec z kasą. Poleje się krew i posypią trupy. W przenośni, jeśli nie dosłownie. Wygląda na to, że Chantal ma szansę odzyskać biżuterię i musi z niej skorzystać.

- Ale czy naprawdę dasz radę zdobyć pieniądze?

- Będzie ciężko - przyznaje, załamując ręce. - Wyciągnięcie trzydziestu patyków z konta tak, żeby Ted nie zauważył, wymaga pewnej umiejętności i zręczności. A następne trzydzieści? - Chantal wzrusza ramionami. - Nie wiem. Właściwie wyczyściłabym całe konto. Mamy obrazy. Dzięki nim można by załatwić sprawę. Może mogłabym powiedzieć Tedowi, że odesłałam je do konserwacji, odstawiałam na strych, zjadłam, cokolwiek. Jestem pomysłową kobietą. Na pewno coś wymyślę. I to szybko. Muszę dziś oddzwonić do tego łajdaka i powiedzieć mu, co postanowiłam. Chce spotkać się ze mną w hotelu i wymienić biżuterię na gotówkę. - Chantal wzdycha rozeźlona. - Aha, no pewnie.

Mała żaróweczka zapala się w moim umyśle, i zrywam się z miejsca.

- Nie. Nie! Musisz się z nim spotkać. Umów się z nim, ale nie w Londynie. Gdzieś na uboczu. Poza miastem. - Przyjaciółki patrzą na mnie wyczekująco. -

Mam świetny plan - ekscytuję się. - Chantal, odzyskamy twoją biżuterię.

Patrzą na mnie zaciekawione, a ja zastanawiam się, dlaczego zachowuję się jak postać z ***Ocean 's Eleven.***

Pana Jesmonda zabrano z powrotem do szpitala z powodu szoku, gdy zobaczył, w jakim stanie znajduje się jego księgarnia. Wrócił, spodziewając się, że wszystko będzie w „najlepszym porządku”, a zobaczył kompletny chaos. Agencja twierdzi, że już wszystko u niego dobrze, nie doszło do żadnych trwałych uszkodzeń. Wysłali mu owoce i kwiaty, a kosztami obciążyli mnie. Uważam, że to sprawiedliwe. Przyślą też w przyszłym tygodniu nieodpłatnie dwie dziewczyny do księgarni, żeby przywróciły porządek. Jedna z nich była kiedyś bibliotekarką, więc chyba wszystko pomyślnie się skończy. Poza tym, że ja nie mam pracy ani agencji. Biurowa Bogini - najwyraźniej doszedłszy do wniosku, że jestem Biurowym Demonem - poprosiła, abym opuściła ich szeregi, chociaż wytłumaczyłam, jak do wszystkiego doszło i że zaczęłam porządki z najlepszymi intencjami.

Tego ranka zarejestrowałam się w następnej agencji i mam nadzieję, że nie zwrócą się po referencje do Biurowej Bogini, bo w przeciwnym wypadku siedzę w przysłowiowym gównie po uszy, i to nawet bez wiośła. Spędziłam cały ranek nad ogromnym arkuszem papieru na dywanie w salonie, obmyślając dla Klubu Miłośniczek Czekolady sprytny plan kradzieży - Operacja Wyzwolenie Bizuterii Chantal. Gryzę ołówkę,

krażę po pokoju i drapię się po głowie jak wszyscy hollywoodzcy mistrzowie zbrodni. Zastanawiam się, czy nie sprawić sobie białego, puchatego kota. Nie planowałam nigdy wcześniej kradzieży i okazuje się, że to nie takie łatwe, ale myślę, że wszystko obmyślałam, jak należy. Chciałam spotkać się dziewczynami w czasie lanczu i omówić mój pomysł, ale wszystkie są dzisiaj zajęte. Poszkodowana we własnej osobie, Chantal, realizuje zlecenie. Bardzo tajemnicze, z tego co mówiła, i jakoś nie bardzo chciała mi powiedzieć, gdzie jest. Nadia wybiera się na rozmowę w sprawie pracy, a Autumn stara się polepszyć życie umęczonych ćpunów tego świata - nie wyłączając jej brata. Pora lanczu zbliża się szybkimi krokami, a ja nie mam nic do roboty ani żadnego jedzenia w domu, jeśli nie liczyć stosów czekolady, a ponieważ przez ostatnich kilka dni nie jadłam praktycznie niczego innego, myślę, że najwyższy czas zjeść coś bardziej pożywnego i zdrowego. Owoce, warzywa, soczewicę - coś nieznaczącego. Siedzę, gryzę paznokcie i zastanawiam się, co zrobić.

Mogłabym iść na siłownię i poćwiczyć, ale z miejsca odpędzam tę myśl. Nie muszę się dziś karać - utrata pracy to wystarczająca kara. Potrzebuję czegoś albo kogoś, kto dałby mi trochę miłości albo pocieszył. Zdarzają się takie chwile - bardzo, bardzo rzadko - kiedy czekolada nie jest tak dobra jak współczucie żywego człowieka. Mogłabym zadzwonić do Lubego, lecz wtedy musiałabym opowiedzieć mu o wypadku w księgarni Jesmonda i przyznać, że nie mam teraz żadnej pracy w zasięgu wzroku. Obśmiałyby się jak norka i jeszcze przed piątą wszyscy w Tardze usłyszeli by tę historię. Może zadzwonię do niego, gdy moje życie zawodowe wróci na właściwe tory. Pewnie w następnym tysiącleciu.

Mogłabym też zadzwonić do Jacoba i zapytać, czy ma chwilę. Ale faceci potrafią się przestraszyć takiej sytuacji. Jeśli było się na raptem dwóch randkach, a potem zaczyna się wydzwaniać w najmniej oczekiwanym momencie, myślą, że zaraz im ugotujesz króliczka, chcesz ślubu albo przynajmniej poznać ich matkę.

Mogłabym też zadzwonić do Marcusa. Tylko przez wzgląd na stare czasy. Chociaż teoretycznie to przez niego straciłam pracę. Moje palce zawisają niebezpiecznie nad guzikami komórki. Byłaby wielka szkoda, gdybyśmy po pięciu latach w związku nie mogli pozostać przyjaciółmi, nie uważacie? Zupełnie zmarnowalibyśmy ten czas, kiedy byliśmy razem. Jeśli nie wybacza się błędów, to czy nie zostawia to czarnej plamy na duszy? Wolałabym tego uniknąć, ale jeśli jeden telefon do Marcusa może to załatwić, uważam, że warto zaryzykować. Wybieram numer i biorę głęboki wdech, kiedy słyszę sygnał. Mam nadzieję, że nie wyczyta zbyt wiele z faktu, że dzwonię. Nie powinien. Zresztą to on pierwszy zadzwonił.

Marcus wygląda tak dobrze, że serce mi się zaciska, gdy go widzę, chociaż surowo je pouczyłam, żeby tego nie robiło. Ma na sobie szarobrunatny garnitur, białą koszulę i krawat w odcieniu głębokiego różu. Lubię mężczyzn, którzy czują się wystarczająco męscy, aby nosić różowe rzeczy. Czekam pod jego biurem. Wypada z obrotowych drzwi, bierze mnie za rękę i całuje w policzek.

- Dobrze cię widzieć - mówi.

A ja tylko się zastanawiam, dlaczego w chwili kryzysu postanowiłam zadzwonić do byłego chłopaka. Zwłaszcza gdy on jest przyczyną tego kryzysu. Najwyraźniej można znać kogoś jak zły szeląg, a i tak zamiast

nim pogardzać, dobrze się czuć w jego towarzystwie - bo się go zna.

Nadal trzymając się za rękę, idziemy do kawiarni ze stolikami na ulicy w cieniu katedry św. Pawła. Obskubane gołąbki dziobią przy naszych stopach, drepcą, a my zamawiamy grillowane warzywa i panini z mozzarellą i kieliszkiem czerwonego wina.

- Myślałem, że ostatnim razem naprawdę zawałem sprawę - przyznaje Marcus. - Dzięki, że dajesz mi jeszcze jedną szansę.

- To nie jest jeszcze jedna szansa - odpowiadam stanowczo. - Zadzwoiłam, bo miałam naprawdę potworny tydzień i chciałam pobyć z kimś, przy kim... czuję się swobodnie. Nic więcej.

Marcus szczerzy do mnie zębami tak, że mi serce staje.

- Swobodnie? - Śmieje się. - Jak na początek, dobre i to.

Kelnerka przynosi jedzenie i drinki. Marcus pije łyk ciepłego czerwonego wina i zdecydowanie wgryza się w kanapkę. Nagle patrzy na mnie całkiem poważnie.

- Nie wiem, co ze mną jest nie tak, Lucy. Naprawdę, nie wiem. Kiedy jesteśmy razem jak teraz, uważam, że nasz związek jest najważniejszy. Kocham cię, musisz w to uwierzyć. Ale kiedy wszystko się ułoży i robi się zbyt wygodnie, zaczynam myśleć o ślubie, dzieciach i spokojnym, domowym życiu aż do śmierci, to wpadam w panikę. Dlatego robię takie rzeczy. Jakby mi wysadzało zawór bezpieczeństwa. Za każdym razem, gdy to robię, wiem, że popełniam monstrualny błąd...

- Ale to cię nie powstrzyma przed popełnieniem go. Kręci głową.

- Chodzi o to, że jeśli będę przyjmowała cię z powrotem po kolejnym „monstrualnym błędzie”, ostatecznie

skończę jak jedna z tych żalonych kobiet piszących do kącika z radami: „Droga Cathy, mój mąż cały czas mnie zdradza. A ja nadal go Kocham. Co mam robić?”. Albo wyląduję w jakimś talk-show, szlochając w chusteczkę, a na ekranie wypiszą dużymi literami: „MAŻ LUCY NOTORYCZNIE JĄ ZDRADZA”.

- Więc potrafisz wyobrazić sobie małżeństwo ze mną?

Teraz ja się śmieję.

- Kiedyś potrafiłam. Chciałabym wyjść za mąż i mieć dzieci, nie wypieram się tego. Dobrze mi samej, ale nie chcę pozostać sama na zawsze. Z tobą dostaję to, co najgorsze z obu światów. Jestem wiecznie w czyścicu, nigdy do końca nie wiedząc, czy już jestem sama, czy jeszcze w związku.

- Też chcę się ożenić i mieć dzieci. Kiedyś. Ale w naszej pracy statystyki są przerażające. W naszym biurze każdy facet bez wyjątku, który się ożenił, jest już rozwiedziony. Niektórzy mają właśnie trzecią albo czwartą żonę. I trzeci albo czwarty komplet dzieci. Spędzają weekendy na autostradzie, przemieszczając się od jednej rodziny do drugiej na dwugodzinne wizyty, a popołudniami kręcąc się przy McDonalddie. Nie chcę tak żyć. Czy to takie złe, że chcę mieć absolutną pewność, zanim podejmę decyzję?

Kiedy słyszę, jak to przedstawia, trudno mi się z nim spierać.

- Nadal jesteśmy młodzi, Lucy - ciągnie Marcus. - Musimy się spieszyć?

- Byliśmy razem przez pięć lat. - Przeważnie byliśmy. - Jeśli nadal nie wiesz, to prawdopodobnie nigdy nie zyskasz pewności. - Wzdycham i dopijam wino. - Robię się za stara na taką uczuciową huśtawkę.

Marcus wygląda na poruszonego.

- Co mogę zrobić, żeby udowodnić ci, że to z tobą chcę być?

Na początek przestań sypiać z innymi kobietami, myślę sobie. Ale nie mówię tego na głos. Zamiast tego wzdycham ciężko i mówię:

- Nie wiem.

Jestem zbyt zmęczona, żeby rozmawiać dzisiaj o związku. Nie taki miałam plan. Ale co ja właściwie tu robię?

- Myślę, że już trochę za późno na tę rozmowę.

- Nie mów tak.

Zaczynam wstawać.

- Powinam już iść.

- Nie! - błaga Marcus. - Zostań. Proszę, zostań.

Niechętnie siadam z powrotem.

I wtedy on się ożywia.

- Wiem. - Łapie się za skronie, jakby doznał olśnienia. - Wprowadź się do mnie. Zamieszkać ze mną. Na stałe.

Na mojej twarzy musi się malować szok, który właśnie przeżyłam. Chciałam od Marcusa tylko kieliszka wina i kilku żartów. Może odrobiny flirtu i być może trochę błagania. Ale na to zdecydowanie się nie pisałam.

- Mówię poważnie - ciągnie podekscytowany. - Możemy to zrobić, Lucy. Przynajmniej spróbować. Teraz. Nie wrócę do pracy po południu.

Siedzę jak skamieniała. Naprawdę to powiedział Marcus pracocholik? Urwie się z pracy? Musiał przejść przeszczep osobowości.

- Możemy od razu przenieść twoje rzeczy. Po co czekać?

Mrugam gwałtownie powiekami i rozdziawiam usta, jakbym miała coś powiedzieć, ale nie mogę nic z siebie wydusić. Marcus chce, żebym się do niego wprowadziła! Moglibyśmy spróbować? Mam dać mojemu chłopakowi, który zbłądził, jeszcze jedną szansę? Nigdy wcześniej nie prosił, żebym z nim zamieszkała. To na pewno jakaś zmiana. Nigdy nie mieszkaliśmy z facetem na stałe i ta myśl jest kusząca. To na pewno znaczy, że pomału Marcus ogarnia pojęcie „na zawsze”. Czy prosi się kogoś, żeby się wprowadził, jeśli zamierza się co noc być z inną laską? Jeśli będę na miejscu cały czas, to kiedy będzie miał okazję do zdrad? Przeniesienie naszego związku na ten nowy poziom może być tym, czego nam było trzeba. Nagle ogarnia mnie gorączka i przechodzi dreszcz podniecenia, a może strachu - w każdym razie coś wstrząsa moim ciałem. Naprawdę moglibyśmy?

Kiedy odpowiedź formuluje się w moim osłupiałym mózgu, Marcus uderza się w czoło.

- Nie możemy - mówi i żałośnie wzdycha. - Nie możemy.

- Dlaczego? Dlaczego? - A już zaczynałam się przyzwyczajać do tej myśli. - Dlaczego nie?

- Na razie mam pozrywane wszystkie podłogi.

- Podłogi?

- Mam problem z rurami albo czymś takim. Całe mieszkanie cuchnie. Byli ludzie od ścieków i rur, ale nie mogą ustalić, skąd ten smród. Musiałem wezwać budowlanców. Zerwali podłogi we wszystkich pokojach, ale niczego nie znaleźli.

Moje policzki przybierają barwę Marcusowego krawata.

- Serio?

- Śmierdzi psującą się rybą. Nie chciałybyś tam teraz mieszkać. Na razie. Sam zastanawiam się, czy się nie przeprowadzić chwilowo do hotelu, dopóki się nie dowiem, co jest nie tak. Ale kiedy tylko skończymy...

Zaciskam usta i zastanawiam się, co teraz powie-
dzieć. Prawie dałam się złapać na entuzjazm Marcusa.
Prawie zapomniałam o Jacobie i o tym, jak bardzo go
lubię. Prawie uznałam, że Luby to dla mnie tylko szef.
I niewiele brakowało, a zapomniałabym, jak okropnie
wobec mnie zachował się Marcus.

- To krewetki - mówię.

Patrzy na mnie, nic nie rozumiejąc.

- Ten smród - tłumaczę - to krewetki. Masz je
w sofie i pod materacem.

Mój były jest przerażony.

- Ty je tam włożyłaś?

- Tak.

Patrzy na mnie przez chwilę, nic nie mówiąc. Poru-
sza szczękami, jak zawsze, gdy jest niespokojny.

- Zrobiłaś to wtedy, gdy wrzuciłaś mi do garniturów
i butów piure ziemniaczane?

- Tak.

Marcus ociera ręką czoło.

- Chyba powinienem zacząć się śmiać.

- Można i tak do tego podejść - odpowiadam z pło-
nącą twarzą.

- Ale ja nie mogę. Jak na razie kosztowało mnie to
kilkę tysięcy funtów. Sofę wymienią w przyszłym ty-
godniu, bo plamy ze szminki nie chciały zejść. Pamię-
tasz? Jak napisałaś na niej „Marcusie Canning, ty
kłamliwa szujo!” wielkimi, czerwonymi literami na bia-
łej skórze?

Pamiętam.

Marcus jest w ciężkim szoku.

- Naprawdę zasłużyłem sobie na to?
- Wtedy tak uważałam.
- A teraz?
- Teraz jest mi przykro.

Marcus wstaje.

- Muszę wracać do pracy.
- Marcusie, naprawdę przepraszam. Chciałam, żebyśmy pozostali przyjaciółmi.

Nic nie mówi. Po prostu odchodzi.

Kelnerka podchodzi, by sprzątnąć talerze.

- Ma pani ochotę na coś jeszcze?
- Mogę zobaczyć kartę deserów?

Przynosi mi kartę, a ja zamawiam nie jedno, ale dwa ogromne kawałki ciasta z czekoladowym toffi.

41

Kiedy następnego dnia spotykam się z drogimi paniami z Klubu Miłośniczek Czekolady, mam już opracowane szczegóły planu. Wszystkim nam udało się spotkać po pracy i można śmiało rzec, że przejęliśmy lokal. Na drzwiach wisi tabliczka „zamknięte” i tylko nasza elitarna banda pławi się w rozkoszach Czekoladowego Nieba. Deszcz uderza w szyby. Clive zapalił kilka świec na stolikach, żeby przepłoszyć nadciągającą szarówkę. Mówię wam, gdybym była milionerem, płaciłabym Clive'owi i Tristanowi, żeby ten lokal prowadzili tylko i wyłącznie dla nas.

- Odzyskamy twoją biżuterię - mówię Chantal głosem, w którym słychać żelazną determinację.

Śmieją się ze mnie.

- A jak tego dokonamy, skarbie? - pyta Chantal i odgryza brzeżek ciastka z kawałkami czekolady.

- A tak.

Rozdaję im instrukcje.

Dzisiaj pracowałam na zastępstwie w jakimś szarym, anonimowym biurówcu, gdzie nikt się do mnie nie odzywał. Naprawdę potworne miejsce. Żeby jakoś to znieść, cały dzień poświęciłam na dopieszczanie szczegółów Operacji Wyzwolenie Biżuterii Chantal i wydrukowałam po kopii dla każdej z nas.

Wszystkie przeglądają stronicę. Teraz już żadna się nie śmieje.

- Ty mówisz poważnie? - odzywa się Autumn.
- Jak najpoważniej.
- Naprawdę myślisz, że możemy to zrobić?
- Uważam, że musimy spróbować - odpowiadam

stanowczo.

Poprawiam sobie samopoczucie czekoladą z Madagaskaru, tym razem mleczną, a nie deserową. Jest kremowa, słodka i maślana, jak czekolady, które pamiętam z dzieciństwa. Moja matka była czekoladoliczką - to ona sprowadziła mnie na tę drogę. A potem doszła do wniosku, że musi nosić rozmiar ósmy, żeby spełnić się życiowo, i nie je niczego oprócz sałaty. Jest przez to strasznie nieszczęśliwa, ale ma figurę zagłodzonego dzieciaka, której tak pragnęła. Myślę, że w jej wieku będę wołała być gruba i szczęśliwa.

Przepyszna czekolada z Madagaskaru zwykle leczy wszelkie smutki, lecz dzisiaj nie pomaga mi ukoić nerwów. W końcu popełniam świętokradztwo, popijając ją herbatą. Ona też nie pomaga.

- Nie możemy pozwolić, aby wymuszenie uszło temu facetowi na sucho - odpowiadam ponuro.

- Będzie mi ciężko zdobyć pieniądze w wyznaczonym przez niego czasie - przyznaje Chantal. - Może Lucy ma rację. Może powinniśmy spróbować.

- Znowu skontaktował się z tobą?

- Dziś rano. Udało mi się trochę zyskać na czasie, ale czuję, że mam nóż na gardle.

Nawet zaczynamy mówić jak starzy kasiarze. Niedługo któraś z nas rzuci tekstem: „Powieś go na haku na mięso” w stylu Vinniego Jonesa. Wszystkie popatrujemy po sobie niespokojnie.

- Czy to jest zgodne z prawem? - szepcze Autumn.
- Odbierzemy tylko to, co należy do Chantal - odpowiadam z przekonaniem, którego tak naprawdę sama do końca nie mam. Być może rzeczywiście stąpamy po kruchym lodzie. - Nie potrafię inaczej o tym myśleć.

- Wchodzę w to - decyduje się Nadia. - Kiedy to zrobimy?

- Jak najszybciej. - Patrzę na Chantal, oczekując potwierdzenia.

Kiwa głową.

- Muszę wiedzieć wszystko z dużym wyprzedzeniem, żeby mieć pewność, że Toby będzie mógł się zająć Lewisem. Nie chcę wydawać pieniędzy na opiekunkę do dziecka, jeśli mogę tego uniknąć - dodaje Nadia.

George Clooney nie miał takich problemów. Czy zawaliłby numer z kradzieżą, bo ktoś z jego gangu nie mógł załatwić opiekunki do dziecka? Nie sądzę.

- A tobie odpowiada twoja rola? - pytam Autumn.

Oczy ma wielkie ze strachu.

- Wchodzę w to. Dla Chantal.

- Dlaczego mamy wyjechać za miasto, żeby to zrobić? - dopytuje się Nadia.

- Pomyślałam, że lepiej tego nie robić na własnym podwórku. - Znowu tekst w stylu *Porachunków*. - Tylko na neutralnym gruncie.

Chociaż jak się nad tym zastanowić, to nie wiem, czemu mamy jechać tak daleko. Mogłybyśmy załatwić to bliżej domu? Pewnie tak. Ale nie powiem tego teraz, bo mogą zacząć powątpiewać w słusność reszty mojego sprytnego planu.

- To prześliczny hotel - mówi Nadia, zerkając na nazwę miejsca zbrodni. - Dostaliśmy od nich folder

kilka lat temu. Myśleliśmy, że może wyskoczymy tam na kilka dni z okazji rocznicy, ale było za drogo. Zawsze chciałam tam jechać.

Wszystkie rzucamy jej znaczące spojrzenie.

- Przepraszam. To nie piknik. Wiem.

- Będziemy potrzebować też pigułek nasennych - rozmyślałam na głos.

- Mogę je załatwić - podchwytuje Nadia i wszystkie znowu patrzymy na nią, zastanawiając się, skąd u naszej przyjaciółki zapas tabletek nasennych. Myślałam, że to Autumn będzie miała dojsście do prochów. - Ile potrzebujecie?

- A ile trzeba, żeby uśpić oszusta? - Dociera do mnie, że to może nie być takie proste do określenia.

- Nie chcemy go zabić - wtrąca niespokojnie Autumn.

- Ja owszem - odzywa się beznamiętnie Chantal.

- Podajcie mi nazwę tabletek - mówi Autumn. - Zapytam Richarda. Wie wszystko na temat leków na receptę i nielegalnych prochów.

Wiedziałam, że jej znajomości się przydadzą.

- Myślicie, że chłopcy się zgodzą? - rzucać niespokojne spojrzenia w stronę Clive'a i Tristana.

- Możemy zapytać - odpowiada Chantal. - Ej, chłopcy! - woła. - Chcecie wziąć udział w kradzieży?

Śmiejąc się, podchodzą i siadają z nami. Przynoszą butelkę czekoladowej wódki i sześć kieliszków, które od razu rozstawiają. Uśmiech im rzadnie, gdy orientują się, że naprawdę planujemy „skok” i potrzebujemy ich pomocy. Sześć kolejek wódki potem ku naszemu zaskoczeniu zgadzają się.

- Zadzwoń do niego - mówię do Chantal, także wzmocniona wódką. - Zadzwoń do łajdaka. Umów się.

Powiedz mu, żeby zarezerwował pokój, bo nie chcesz tego załatwiać w miejscu publicznym.

- Jesteś pewna?
- To nasza jedyna szansa.

Chantal bierze głęboki wdech i wybiera numer na komórce. Wszyscy pochylamy się ku niej, podsłuchując.

- Tu Chantal. Spotkajmy się w hotelu Trington Manor - mówi bez żadnych wstępów. - Znasz go? Świetnie. - Naszej przyjaciółce język nieco się płacze. - W piątek o dwudziestej pierwszej. Zarezerwuj pokój. Chcę to załatwić na osobności.

- Załatwione - dodaje, kiedy się już rozłączyła. Potem wypija następny kieliszek.

- Piątek o dwudziestej pierwszej - powtarzam i wszyscy kiwamy głowami. - Spotkamy się tu po pracy. Potrzebujemy dwóch godzin na dojazd.

Chantal zostaje wyznaczona na kierowcę, ponieważ ma najlepszy wóz. A ja i Autumn w ogóle nie mamy aut. Skok na rowerach nie wchodzi w grę. Wszystko więc ustalone.

Clive polewa nam następną kolejkę. Stukamy się kieliszkami. I chociaż wiem, że nie brzmi to tak fajnie jak *Ocean 's Eleven*, wołam:

- Za Klub Miłośniczek Czekolady Cztery!

Moja nowa agencja - Biurowe Anioły - załatwiła mi następną robotę. Ta jest świetna. Pracuję dla modnej projektantki w jej maleńkim domu mody przy Covent Garden. Prawda, że odlot? To zdecydowanie bardziej do mnie pasuje niż zatęchła, stara księgarnia albo sterylne firmy komputerowe. Jestem tu od dwóch dni i jeszcze niczego nie popsułam. Słowo. Wszystkie manekiny w sali wystawowej nadal noszą warte dziesięć patyków wieczorowe suknie. Żadna z sukien nie jest podarta. Żaden z manekinów nie stracił ręki ani innej części ciała. Podłogi są z dębu wypolerowanego na wysoki połysk, ale jeszcze ani razu nie przewróciłam się na plecy w stylu cyrkowego klauna. Naprawdę wierzę, że to może być punkt zwrotny w mojej karierze.

Projektantka nazywa się Floella i jest drobnutką Jamajką o podłym charakterze i ze słabością do butów Jimmy'ego Choo. Dopiero wyrabia sobie markę w świecie mody i obecnie ubiera kilka sław z pierwszych stron gazet. Już uporządkowałam jej akta w szafce i poumawiałam klientki do miary. Dobrze wiem, jaką kawę lubi - bezkofeinową, z trzema kroplami mleka sojowego i ziarenkiem cukru rano; nieskazitelnie czarną po południu. Robię, co mogę, żeby być niezastąpioną, w nadziei, że zatrzyma mnie jako pracownika na za-

stępstwie, a może nawet awansuje do pozycji zatrudnionej na stałe.

Dziś jednak myślami przebywam gdzie indziej. Nadszedł dzień Operacji Wyzwolenie Biżuterii Chantal, i nerwy mam napięte jak postronki. Wypiłam z dziesięć filiżanek kawy bezkofeinowej i zjadłam tyle samo tabliczek czekolady Green & Black z gwałtownie kurczącego się zapasu. Rzecz jasna bardzo się starałam, żeby nie zostawić czekoladowego odcisku palca albo smugi na wieczorowej sukni lub na belach materiałów w szwalni.

- Lucy - przerywa moje marzenia na jawie Floella.
- Musisz odwieźć te sukienki do hotelu Landmark na dzisiejszy pokaz mody.

Odwieźć? Ja? Czy to obejmuje moja umowa o pracę?

- Pomogę ci załadować je do furgonetki.

Furgonetki? Zdałam egzamin na prawo jazdy, ale to było wieki, wieki temu. I prowadziłam wtedy samochód osobowy. Czy ta kobieta nie zdaje sobie sprawy, że minęło pięć lat, odkąd prowadziłam cokolwiek choćby w przybliżeniu równie konkretnego jak furgonetka? Najwyraźniej nie. Mieszkanie w Londynie oznacza, że - tak jak wszyscy inni - jeżdżę wszędzie autobusem albo metrem. Co mam zrobić? W takim momencie nie mogę się przyznać, że nie do końca radzę sobie z prowadzeniem samochodu. Floella bez chwili wahania odeśłałaby mnie do Biurowych Aniołów. Nie mam wyjścia. Muszę to zrobić.

Z przeczuciem nieuchronnego nieszczęścia idę na tyły posesji - tych okolic jeszcze nie zbadałam - i rzeczywiście stoi tam wielka - olbrzymia - biała furgonetka. Och, cudnie. Zostanę kobietą z białej furgonetki. Ale jako ta, która ma się stać niezastąpiona, nie mogę

protestować, więc razem z Floellą ładuję stos sukienek. Wszystkie są zawinięte w bibułkę i plastik. Wieszamy je na specjalnie zaprojektowanych drążkach w furgonetce. To bardzo duża furgonetka.

- Nie spiesz się - mówi Floella, być może wyczuwając, że się denerwuję. - Moja asystentka, Cassie, jest już w hotelu. Zadzwońię do niej, że jesteś w drodze.

- Świetnie.

Floella znika w sklepie i zostawia mnie na łasce furgonetki. Wsiadam. Dobry Boże. W kabinie mam wrażenie, że to meblowóz, a nie furgonetka. Siedzę i próbuję się zorientować, jak wszystko działa, aż nie mogę dłużej zwlekać z odjazdem. To wygląda nieco bardziej skomplikowanie niż corsa, którą jechałam ostatni raz. Ręce mi się trzęsą, kiedy wrzucam bieg i bardzo niepewnie skręcam w uliczkę na tyłach sklepu. Bardzo staram się nie otrzeć o ceglane ściany wznoszące się tuż-tuż po obu stronach. Już jestem cała czerwona i uroczo spocona pod pachami.

Włączam się do londyńskiego ruchu i jadę w stronę hotelu Landmark, pozwalając, żeby samochody objężdżały mnie i wyprzedzały, podczas gdy ja trzymam stały kurs. Nie klnę - to znaczy klnę do siebie pod nosem - tylko ściskam kierownicę, jakby od tego zależało moje życie. Powoli zmierzam do miejsca przeznaczenia. Zanim docieram do New Oxford Street, zaczynam się powoli rozluźniać. Nie siedzę już sztywno, jakbym kij połknęła, w kłykciach mam nawet śladowe ilości krwi. Kiedy skręcam w Tottenham Court Road, odrywam oczy od drogi - ale tylko na chwilę - i ktoś idący chodnikiem przede mną przyciąga mój wzrok. To Jacob. Idzie ulicą z aktówką w ręku, lawirując w tłumie. I wtedy przypominam sobie, że miałam iść z nim na im-

prezę dobroczynną - możliwe nawet, że na tę, na którą mam zawieźć sukienki. Całkowicie zapomniałam! W pośpiechu przy organizowaniu skoku na biżuterię zapomniałam o randce. Jak mogłam zapomnieć? Całkiem oszalałam?

Zatrzymuję się przed przejściem dla pieszych i patrzę, jak zbliża się Jacob. To idealna okazja, żeby odwołać randkę i wyjaśnić kłopotliwą sytuację, chociaż zdaję sobie sprawę, że nie mogę tak naprawdę się mu przyznać, że planuję kradzież zamiast imprezy dobroczynnej w jego towarzystwie. Co by sobie o mnie pomyślał? Próbuję otworzyć okno, ale nie wiem, jak opuścić szybę po stronie pasażera. Otwiera się szyba po stronie kierowcy, kiedy naciskam wszystkie guziki po kolei, chociaż nie taki był mój cel. Mimo to krzyczę:

- Jacob! Jacob!

Nie słyszy. Mogłabym zadzwonić, ale nie chcę dostać mandatu za używanie komórki podczas jazdy. Światła na przejściu się zmieniają i samochody za mną zaczynają niecierpliwie trąbić. Ruszam powoli, ale nagle dochodzę do wniosku, że naprawdę muszę porozmawiać z Jacobem. A jeśli nie złapię go po południu? Pomyśli, że jestem okropna. Podjąwszy decyzję, wciskam hamulec i skręcam. Rozlega się potworny trzask i furgonetka przesuwa się w przód pchnięta od tyłu.

- O, psiakość!

Znowu rozlegają się klaksony. Wyskakuję z szoferki i pędzę na tył. Druga identyczna biała furgonetka wjechała głęboko w tył mojej. Zderzaki tamtej wyglądają na nietknięte, za to w mojej są nieźle wgniecione. Tyłne drzwi otworzyły się i wpadły do środka. W drugiej furgonetce siedzi dwóch gości. Obaj wyskoczyli na jezdnię i wrzeszczą na mnie:

- Patrz, jak jedziesz, panienko! Pieprzona idiotka!
Jacob mnie mija. Nawet nie zauważył naszej stłuczki.

- Chwileczkę - mówię do gościa. - Sekundkę. Zaraz wracam.

Zostawiam go z rozdziawionymi ustami i pędzę za Jacobem, wrzeszcząc na całe gardło:

- Jacob!

Omówimy kwestie ubezpieczenia, jak wrócę. Ta sprawa jest o niebo ważniejsza. Facet wjechał we mnie, to ewidentnie jego wina.

- Jacob!

Ogłuchł? Ma włączonego iPod'a? Niezależnie od powodu, nie odwraca się do mnie.

Wchodzi do recepcji wielkiego hotelu. Pędzę za nim. Muszę poczekać przy drzwiach obrotowych, aż wyjdzie banda biznesmenów, zanim wparuję do hotelu. W środku nigdzie go nie widzę. Przyglądam się mężczyznom siedzącym w recepcji, ale żaden z nich to nie Jacob. I wtedy dostrzegam go - idzie do wind.

- Jacob! - krzyczę.

Podnosi wzrok i zamiera na mój widok, tak zaskoczony, jak to tylko możliwe. Jest z nim drugi przystojny mężczyzna. Wysoki brunet w pięknie skrojonym garniturze w prążki.

- Przepraszam, przepraszam - dyszę. - Właśnie miałam wypadek. Kiedy zobaczyłam, jak przechodzisz przez ulicę, wyskoczyłam z furgonetki.

- Wypadek? Furgonetki? - powtarza Jacob. - Nic ci nie jest?

- Tak, wszystko w porządku. Furgonetka trochę oberwała. - Więcej niż trochę. - Ale to nieważne. - Nie spuszczam oczu z drugiego faceta. Co za przystojniak.

- Przepraszam - mówię. - Idziesz na spotkanie. Nie chciałam cię zatrzymywać.

- Nie martw się - odpowiada Jacob, ale zerka przepaszająco na towarzysza.

- Mogę cię prosić na słówko?

Zerka, czekając na pozwolenie tamtego. Mężczyzna powściągliwie kiwa głową, spoglądając na zegarek. Jacob odchodzi od niego i bierze mnie pod łokieć, odsuwając, aż znajdziemy się poza zasięgiem słuchu tamtego.

- Nie dam rady dziś wieczór - mówię. - Naprawdę strasznie mi przykro. Coś innego mi wypadło.

- Och. - Wygląda na szczerze rozczarowanego.

- Czuję się potwornie - paplę. - Gdybym mogła odwołać, zrobiłabym to, ale zawiodłabym przyjaciół.

- Rozumiem.

- A w weekend? Może moglibyśmy się wtedy spotkać? Jestem wolna.

- A ja zajęty. - Uśmiecha się z żalem i nie wiem, czy nie odpłaca się pięknym za nadobne. Myśli, że chcę go trzymać na dystans? W żadnym razie.

- Możemy spotkać się w tygodniu. - W moim głosie słychać desperację, a wołałabym, żeby tak nie było.

- Muszę pracować przez większość wieczorów.

Większość, ale nie we wszystkie. Nie wiem, co jeszcze mogłabym zasugerować.

- We wtorek - przychodzi mi na ratunek. - Mam ze dwie godziny około szóstej. Chciałabyś spotkać się ze mną po pracy w Czekoladowym Niebie?

- Tak! - Łapię się swojej szansy. I znowu joga idzie w odstawkę. - Wtorek mi pasuje.

Kolega Jacoba kręci się koło windy coraz bardziej nerwowo.

- Muszę iść - mówi Jacob. - Klient na nas czeka.
- Więc do zobaczenia.

Macham do jego odchodzących pleców.

Wybiegam z hotelu i pędzę na drogę. Kiedy docieram na miejsce, widzę tylko jedną furgonetkę. Jasny gwint! Te łachudry odjechały! Lepiej, żeby wsadzili mi za wycieraczkę kartkę z informacją w sprawie ubezpieczenia albo coś w tym stylu. Cholera. Nie pomyślałabym, że mogą zrobić coś takiego. Nikomu nie można ufać w dzisiejszych czasach. Co ja mam powiedzieć Floelli? Jak mam wyjaśnić wgniecenie z tyłu furgonetki? Poradzi sobie z tym lepiej niż pan Jesmond z przemeblowaniem księgarni? Nie. Najpewniej dostanie szału i będzie wywijać nóżkami w szpilkach od Jimmy'ego Choo.

Drzwi furgonetki są otwarte. Chyba będę musiała znaleźć coś, żeby je związać, bo nie mogę jechać, kiedy tak się majtają otwarte. Cmokam. Najwyraźniej to nie jest mój dobry dzień. Jeśli nieszczęścia chodzą trójkami, to czeka mnie jeszcze jedna katastrofa.

Kiedy zaglądam na tył furgonetki, odkrywam, co to za katastrofa. Wszystkie wieczorowe suknie Floelli wyszły na spacer. Nie została ani jedna. Tył furgonetki ziele pustką. Faceci, którzy wjechali w tył mojego wozu, pewnie postanowili się poczęstować. Ja tu planuję kradzież, a sama zostałam okradziona. Patrzę na pustą przestrzeń i zastanawiam się, co u licha powie na to Floella. Nie spodoba jej się to.

Jak ogłuszona wsiadam do furgonetki. Teraz zauważam świstek papieru za wycieraczką. Nabieram nadziei. Może mimo wszystko facet zostawił na sobie namiary. Być może istnieje jakiś powód, dla którego sukienki zniknęły. Może postanowił je przechować. Wyjmuję

kartkę drżącymi rękami. To mandat. Cholerny, pieprzony mandat. To już cztery złe rzeczy jednego dnia. Na pewno wyczerpałam limit na dzisiaj. I wtedy zdaję sobie sprawę, że właśnie straciłam kolejną pracę - tym razem świetną - i rachunek wynosi pięć.

43

- Więc to jest twoje małe królestwo? - zapytał Richard. Najwyraźniej nie był pod wrażeniem.

- Tak.

Autumn cudem namówiła brata, żeby przyszedł do ośrodka odwykowego i dowiedział się nieco więcej o programie „Zwalcz to!”, w którym brała udział. Przy odrobinie szczęścia może sam zechce zwalczyć nałóg. Autumn tak to ustawiła, żeby mógł wpaść na zajęcia i poznać jej podopiecznych. Nazywanie ich dzieciakami było politycznie niepoprawne, chociaż większość z nich to były dzieci. Poranione, popaprane. Pomyślała, że przyprowadzając tu brata, by pokazać mu kilkoro dzieci, którym nałóg zniszczył życie, sprowadzi go na ziemię. Richard zobaczy, czym jest bolesna rzeczywistość świata narkotyków, przestanie karmić się wspaniałymi wizjami kokainy, jakie pojawiały się w mediach i w które on najwyraźniej gorąco wierzył.

- Co za ponure miejsce. - Pokręcił nosem na obłażącą ze ścian farbę. - Miałbym ochotę brać jeszcze więcej, gdyby ktoś zmusił mnie do spędzania dni w takiej dziurze.

To prawda, że pomieszczenia były raczej praktyczne niż ładne. Ośrodkowi Stolford nie było pisane zdobyć nagrodę za projekt architektoniczny. To był stary ceg-

lany budynek szkolny, wybudowany w latach trzydziestych i teraz już mocno się sypiący. Znaczna część budżetu szła po prostu na to, żeby budynek się nie zawalił. Ale sale były duże i porządnie oświetlone, chociaż ogrzewanie działało nie najlepiej, a oryginalne drewniane podłogi były podziurawione i brudne ze starości.

- Tak, masz szczęście, że tatuś może opłacić ci klinikę, która bardziej przypomina pięciogwiazdkowy hotel, ale to nie dotyczy większości narkomanów.

- Och, skończ z tym, Autumn - jęknął, wlokąc się za nią. - Cały czas ci mówię, że nie jestem uzależniony. Biorę tylko dla zabawy. W pełni nad tym panuję.

- Jasne. - Po niebezpiecznej przygodzie z Daisy brat był przestraszony przez dzień, może dwa, ale teraz wrócił już do swojego odpychającego stylu bycia. - To od tego zaczynają wszyscy, którzy tkwią w narkotykach, nie? Od tego, że nad wszystkim panują?

- To tylko kokaina - irytował się. - To wszystko. W dzisiejszych czasach możesz się nawalić za cenę filiżanki cappuccino. Nawet rząd patrzy na narkotyki przez palce. To już nie jest tak straszna rzecz jak kiedyś. Narkotyki podnoszą jakość życia. Kochanie, używamy ich jak miętówek po obiedzie. Po prostu wciągamy kilka kresek z kawą, żeby nabrać energii. Nie ma w tym nic szkodliwego.

- Nie chcę się z tobą spierać, ale straciłeś pracę i dom. Moim zdaniem jesteś w naprawdę nie najlepszym położeniu.

- Słuchaj, to wszystko piękne. - Zatoczył ręką, obejmując nią korytarz. - Naprawdę podziwiam cię, że chcesz czynić dobro dla świata. Jestem pewny, że te wszystkie pryszczate nastolatki to doceniają. Na pewno widzą w tobie ostatnią deskę ratunku, ale ja to nie oni.

Daleko mi do mieszkania w kartonie na ulicy. - Zaśmiała się drwiąco, aż w Autumn zagotowała się krew.

Tylko Richard mógł się chwalić swoim obecnym położeniem.

- To dlatego, że masz siostrę z eleganckim mieszkaniem przy Sloane Square - przypomniała mu. - Bo w przeciwnym wypadku gdzie byś się podział?

Weszli do pracowni plastycznej, jej królestwa. Żaden z pacjentów jeszcze się nie pojawił, ale ściany były udekorowane ich dziełami. Niektórzy zrobili lustra ozdobione różnymi witrażowymi stworzeniami - kotami, szczeniakami, smokami - zwiniętymi wygodnie w narożniku. Drżąca linia ołowiu zdradzała niepewną, niewprawną rękę artystów. Inni odważyli się zrobić barwne panele do drzwi, których pewnie nigdy nie zobaczą. Drżące witrażyki łąpiące słońce, nieliczne promyki, które do nich docierały przez okna o północnej wystawie, rzucały tęcze - czerwone, żółte i zielone plamy na uprzątnięte stoły do pracy. Autumn uwielbiała to miejsce. Tu była najszcześniejsza. I jeśli mogła przyczynić się do choćby najdrobniejszej zmiany na lepsze, wnieść odrobinę koloru i radości do życia podopiecznych, to warto było.

Richard objął ją i uściskał na zgodę.

- To miejsce wygląda świetnie. Odwaliłaś kawał dobrej roboty.

- Staralam się - odpowiedziała szczerze. Jednak czasem zastanawiała się, czy to wystarczy. - Moi uczniowie niedługo się zjawia.

Jak na sygnał weszła dziewczyna w ubraniu gotki z szopą ufarbowanych na czarno włosów z różowymi pasemkami. Tasmin, szesnastolatka uzależniona od koki. Przychodziła do Autumn od prawie roku i ewi-

dentnie miała talent do prac ze szkłem. Zaczęła od witraży z kolorowym szkłem i przeszła do pracy przy piecu; szukała najżywszych barw, łącząc je w delikatnych ornamentach. Podczas gdy inni mozolili się nad byle czym, żeby móc iść do domu, gdy już wymęczą przyzwoity kafelek albo misę, Tasmin potrafiła spędzać całe godziny zaabsorbowana wyginaniem srebrnych drutów wokół kawałków szkła, które stworzyła i wypaliła. Robiła wisiorki i kolczyki - naprawdę ładną biżuterię, którą czasem sprzedawała koleżankom za kilka funtów. To dodawało Tasmin pewności siebie i ekscytowało Autumn. Nie mogła nie podziwiać umiejętności i determinacji dziewczyny. Miło było widzieć, że jej uczennicy tak dobrze idzie. Tasmin naprawdę chciała zerwać z nałogiem, a mimo to każdy dzień był dla niej walką. Gdyby miała lepsze wykształcenie; Autumn była pewna, że Tasmin poradziłaby sobie na studiach - była bystra, chociaż czasem ponosił ją temperament i niewyparzony język. Autumn miała nadzieję, że uda jej się wyrwać z obecnego kręgu znajomych, przyjaciół, którzy najwyraźniej robili wszystko, co w ich mocy, żeby ją przy sobie zatrzymać. Bardzo często Tasmin zjawiała się posiniaczona. Żadna z dziewczyn tak naprawdę jej nie lubiła. Pod gotyckim makijażem kryła się bardzo ładna dziewczyna - pozostałe zazdrościły jej urody i faktu, że w ośrodku odkryła talent do robienia biżuterii.

Szkoda tylko, że Tasmin nie mogła zrobić pierścionka z brylantem i kilku bransoletek. Wtedy nie musiałyby wieczorem realizować żadnego planu. Autumn robiło się słabo z nerwów, kiedy myślała, co ją dziś czeka. Nie mogła powiedzieć o tym Richardowi. Im mniej wiedział o jej udziale w tym szaleńcym

przedsięwzięciu, tym lepiej. Miała zapytać go o liczbę pigułek nasennych, które zafundują ofercie głęboki sen, ale będą musiały same to ocenić i mieć nadzieję, że się uda. Autumn znowu zacisnął się żołądek. Lucy wierzyła, że może im się udać. Autumn nie była tego pewna. Miała tylko nadzieję, że nikt ich nie złapie.

- Cześć, Tasmin.

- Dzień dobry pani.

Autumn próbowała nakłonić uczniów, żeby mówili jej po imieniu, ale z uporem zwracali się do niej „proszę pani”.

- To mój brat, Richard.

Tasmin obrzuciła nieufnym spojrzeniem Richa, jego czarny kaszmirowy sweter i markowe džinsy, tak samo jak on jej porwane kabaretki i martensy.

- Lepiej już pójdę - mruknął skrepowany. - Mam coś do załatwienia.

Autumn zastanawiała się, co takiego. Zgodził się tu przyjść, ale najwyraźniej rozmowa z dziećmiakami to już dla niego za wiele. Nie najłatwiej nawiązać z nimi kontakt, Bóg jeden wie, ile Autumn się natrudziła. Teraz od czasu do czasu, bardzo rzadko, Tasmin - odkąd odkryła słabość Autumn - przynosiła jej tabliczkę czekolady. To był najbliższy odpowiednik otwartego podziwu albo podziękowań, z jakimi się zetknęła.

Brat ucałował ją w oba policzki.

- Do zobaczenia.

Autumn skinęła mu głową. Chciała powiedzieć, żeby uważał na siebie, ale wiedziała, że tylko go rozdrażni. Zawsze, kiedy chciała z nim porozmawiać, miała wrażenie, że stąpa po kruchym lodzie. Żałowała, że Addison nie może zrobić tego za nią. On by przekonał Richarda, żeby zaangażował się w program.

Kiedy Rich dochodził do drzwi, minął go wysoki chłopak. Też obrzucił jej brata nieufnym spojrzeniem. To był Fraser, narkoman uzależniony od heroiny i diler na małą skalę od piętnastego roku życia. Przewodził grupce kieszonkowców, którzy, żeby miał na swój nałóg, regularnie obrabiali ludzi robiących zakupy na Oxford Street z ciężko zarobionych pieniędzy. Mimo licznych kłopotów i częstych upadków był zabawnym, sympatycznym chłopakiem, mówiącym z silnym akcentem z Glasgow - nie rozumiała połowy z tego, co mówił. Nie bardzo wiedziała, co mu dają zajęcia z pracy ze szkłem, ale był jednym z bardziej regularnych bywalców. Może to wynikało z jego słabości do Tasmin. Obecnie Fraser męczył się z witrażykiem, który miał zawisnąć w oknie kuchennym jego matki, w rodzinnej Szkocji. Może i dobrze, że Richard nie mógł dłużej zostać. Musiała omówić coś z Fraserem, a lepiej, żeby brat niczego nie słyszał.

- Hejka, psze pani.

- Cześć, Fraser.

Zauważyła, że Tasmin jest zajęta przy piecu, więc skinęła na chłopaka.

- Chciałam cię prosić o przysługę.

Chłopak pochylił się nad stołem obok niej.

- Pani wali śmiało.

Autumn zniżyła głos.

- Nauczysz mnie kraść jak kieszonkowiec?

Jeśli Frasera zaskoczyła ta nietypowa prośba, to nie dał tego po sobie poznać. Skinął zdecydowanie głową.

- Się wie.

- Dobrze. Muszę się nauczyć przed wieczorem.

Mam na sobie małą czarną na ramiączkach i zabójcze szpilki w stylu femme fatale. Drzę na całym ciele, chociaż czuję się, jakbym w środku miała rozpalony piec. Policzki mi płoną, chociaż staram się robić wrażenie spokojnej, opanowanej i chłodnej. Miałam kiepski dzień i niewiele brakuje, żebym straciła głowę.

Nie muszę chyba mówić, że wylano mnie z mojej cudnej, przecudnej pracy, kiedy tylko wróciłam do sklepu i opowiedziałam Floelli smutną historię. Odchodziłam z płonącymi ze wstydu policzkami i kolczykami dźwięczącymi do taktu gróźb Floelli, że „będzie włożył po sądach ten mój kościsty tyłek”. Na chwilę ogarnęła mnie radość, bo nawet w najśmielszych snach nie wyobrażałam sobie, że ktokolwiek nazwie mój tyłek „kościstym”. Ale potem Floella zadzwoniła na policję i to szybko starło uśmiech z mojej twarzy. Obecnie staram się unikać długiego ramienia sprawiedliwości, a nie pakować się prosto w jego uścisk. Jakbym nie miała dość zmartwień. Trzymałam się z dala od Floelli, dopóki nie zjawiła się policja, a wtedy złożyłam zeznania chłopcom w niebieskim - którzy nie byli przesadnie zainteresowani ciężkim położeniem Floelli i moim - starając się jednocześnie nie wyglądać na kogoś mającego kryminalne skłonności. Ostatni raz widziałam szefową,

jak wrzeszczała przez telefon na firmę ubezpieczeniową, kiedy ja, krańcowo poniżona, odczołgiwałam się z butiku. Tak więc krótki epizod w roli osobistej asystentki przyszłej sławnej projektantki zakończył się gwałtownie, a ja jako kłębek nerwów czuję się teraz dość nieciekawie.

Wszystkie członkinie Klubu Miłośniczek Czekolady zebrały się dziś wieczorem w Czekoladowym Niebie przed Operacją Wyzwolenie Biżuterii Chantal i wszystkie wyglądają na podenerwowane. Kafejkę już zamknięto i tylko my siedzimy w lokalu. Chantal krąży, Autumn nuci jakieś hipisowskie mantry, a Nadia pogryza na przemian paznokcie i ciasteczka z czekoladą.

Chantal ubrała się na czarno. Gdyby nie brak kominiarki na twarzy, można by podejrzewać, że zamierza obrabować bank. Nadia ma na sobie dzinsy i kurtkę w stylu bandziora. Autumn wybrała coś z tetry z masą falbanek, a tycjanowskie loki luźno spływają jej na ramiona. Powinam była pamiętać, żeby jej powiedzieć, że jeśli ma cokolwiek choćby z grubsza nierozkosznego, by to włożyła. Podejrzewam, że niewielu złodziei nosi folkowe ciuchy. Ale to musi wystarczyć. Czas nagli i my też musimy brać się do roboty.

Nasi współnicy, Clive i Tristan, czają się za ladą i zerkaają ukradkiem. Kiedy podchodzimy do nich, na ladzie pojawia się małe pudełeczko czekoladek.

- Jest ich dwanaście - wyjaśnia mi Clive z pełną powagą. - Połowa jest nafaszerowana tabletkami nasennymi Nadii. Użyliśmy naszej prywatnej mieszanki ziaren z Brazylii, a tabletki wymieszaliśmy z masą czekoladową. Dorzuciliśmy zielony i czarny kardamon, dzięki czemu smak jest świeży, pikantny, z dymną nutą. Tabletki powinny być niewyczuwalne.

Mmm. Czekoladki zapowiadają się rewelacyjnie.

- Jak się zorientuję, które są które?

- Czyste mają dwie bruzdy na wierzchu. Nafaszerowane trzy.

- Czyste dwie, nafaszerowane trzy.

- Zgadza się.

- Mogę spróbować jedną?

Dostają po łapach.

- Nie - odpowiada surowo Clive. - Ćwicz silną wolę. I pamiętaj, nie pomył ich. Nie ty masz się zwalić na ziemię.

- Mam nadzieję, że dobrze dobraliśmy proporcje - denerwuje się Autumn. - Nie mogłam się zmusić, żeby zapytać Richarda, bo nabrałby podejrzeń.

- Oceniliśmy to na oko - odparł Clive.

- Czym się kierowaliście?

- Absolutną ignorancją. Mam nadzieję, że włożyliśmy dość tabletek, aby każdego na chwilę uśpić.

- A jak daliście za dużo?

Zerkamy po sobie niespokojnie.

- Na pewno nic złego się nie stanie - uspokajam je, chociaż nie wiem, czy na pewno nic się nie stanie. - Dzięki za czekoladki, chłopcy.

- Mam tylko nadzieję, że nie będziemy się za jakiś czas wspólnie rozkoszować więziennym żarciem - odpowiada Clive, kładąc ręce na piersiach w melodramatycznym geście.

- Lepiej się zbierajmy - mówi Chantal. Twarz ma bladą i ściągniętą. - Ubierzmy cię w biżuterię.

Stają nieruchomo, a ona wkłada na mnie wszystkie błyskotki, jakie kupiła. Naszyjnik wyglądający jak z prawdziwych brylantów, dwie bransoletki i kolczyki z czymś, co łatwo mogłoby ująć za dwukaratowe brylanty.

- Wyglądają jak prawdziwe? - Nie mam lusterka, żeby samej sprawdzić.

- Mam nadzieję - odpowiada Chantal.

- Wlej w niego mnóstwo drinków - radzi Nadia - to nic nie zauważy.

Liczę na to, że nasz cel nie zauważy mnóstwa rzeczy.

- Wyglądasz bajecznie - zachwycą się Autumn.

- Dzięki. - Ocieram spocone dłonie o sukienkę. -
Miejmy nadzieję, że ktoś inny też tak pomyśli.

- Chłopcy, życzenie nam powodzenia - mówi Chantal.

Clive i Tristan wychodzą zza lady i ściskają nas mocno, jakbyśmy ruszały w niebezpieczną podróż. Co właściwie jest prawdą.

- Wracajcie całe i zdrowe - żegna nas Tristan.

Moim zdaniem naprawdę ma łezkę w oku.

- Wrócimy - zapewniam go odważnie. - To będzie bułka z masłem.

- A wcześniej czeka nas długa droga - wtrąca się Chantal, zerkając na zegarek.

Jako mózg operacji powinnam dodawać wiary mojej drużynie, więc unoszę podbródek i prostuję plecy.

- A więc do dzieła!

Nie wiem, jakim samochodem jeździ Chantal, ale musi być drogi i pachnie jak nowiutka skórzana torebka. Siedzimy w pełnej napięcia ciszy, każda pogrążona w myślach. Ściskam pudełko nafaszerowanych czekoladek i raz za razem powtarzam sobie rolę, którą mam zagrać w hotelu. Szczerze mówiąc, jeśli zrobię to raz jeszcze, to głowa mi eksploduje. Założę się, że pozostałe robią to samo.

- Włącz jakąś wesołą płytę - zwracam się do Chantal. - To poważna sprawa, ale nie musimy się zadrećzać.

Chantal wkłada do odtwarzacza płytę i rozbrzmiewa *Walking on Sunshine*. Po chwili już wszystkie śpiewamy do wtóru Katrinie i The Waves, podczas gdy ostatnie promienie słońca znikają za horyzontem. Jak można być ponurym, gdy rozbrzmiewa taka wspaniała melodia? Wyciągam z torebki wielką paczkę kulek czekoladowych maltesersów. Są przyjemnie chłodne dzięki klimatyzacji w samochodzie Chantal. Częstość dziewczyny. Natychmiast nastrój się poprawia. Clive byłby wstrząśnięty, widząc, że pocieszamy się czekoladą masowej produkcji, ale czasem stare ulubione smakołyki trafiają w gust jak nic innego. Tubka czekoladowych smartiesów potrafi mnie w okamgnieniu przenieść do czasów podstawówki.

Tymczasem jesteśmy już przy *Mr Blue Sky* Electric Light Orchestra, a godzinę później docieramy do hotelu Trington Manor. Zgodnie bierzemy głębszy wdech, kiedy Chantal wjeżdża przez wysoką bramę z kutego żelaza. Żwir zgrzyta pod oponami. Już prawie czas ruszać z przedstawieniem, więc Chantal wyłącza Electric Light Orchestra przy najlepszym kawałku.

Trington Manor to jeden z tych pięciogwiazdkowych hoteli, które mają na miejscu własne spa. Patrzę z zachwytem na autentyczny przepych. Ten hotel jest tak zdecydowanie poza moją ligą cenową, że tego się nie da opowiedzieć. Marzyłam, żeby kiedyś znaleźć się w miejscu tej klasy - ale niekoniecznie w takich okolicznościach jak teraz. Zawsze miałam nadzieję, że Marcus porwie mnie do podobnego hotelu i oświadczy się. Cóż, kolejne marzenie obróciło się w proch. Zapada noc, kiedy zajeżdżamy przed pałacowe frontowe drzwi.

- Kolana mi się trzęsą - przyznaje się Chantal. - Czuję się, jakby ten facet nie tylko mnie okradł, ale i zgwałcił, chociaż to wszystko moja wina.

Poklepuję ją w kolano.

- Odzyskam twoją biżuterię - mówię. - Zawsze to jakaś pociecha.

- Mam nadzieję, że nam się uda - odpowiada drżącym z nerwów głosem.

Po raz pierwszy widzę, że Chantal traci pewność siebie.

Obracam się na siedzeniu i zwracam do dziewczyn:

- Wszystkie wiemy, co mamy robić?

Nadia i Autumn na tylnym siedzeniu żywo kiwają głowami. Przed hotelem rozciąga się ogromne, sztuczne jezioro, a z fontanny pośrodku wyskakuje stado pokrytych patyną delfinów. Zwalniamy, szukając miejsca do zaparkowania.

I wtedy Chantal wstrzymuje przerażona oddech.

- To on - mówi, wskazując kogoś przed sobą. - To on. Wysiada z tego białego mercedesa.

Wszystkie się gapimy. A niech to, jest diabelnie przystojny. Wysoki brunet, szczupły, ale wysportowany. Klasyczna uroda. Nic dziwnego, że nasza przyjaciółka tak bardzo chciała zaciągnąć go do łóżka. Może nie powinna aż tak bardzo żałować tej części ich spotkania. Facet z daleka nie wygląda na typowego kryminalistę. Wygląda jak ciacho. Ma w ręku czarną skórzaną walizkę i idzie w stronę hotelu.

- Postawiłabym sto dolców, że moja biżuteria jest w tej walizce - rzuca z goryczą Chantal.

- Zatrzymaj pieniądze - radzę.

Jeśli sprawy potoczą się nie tak, jak powinny, będzie potrzebować każdego grosza.

- Mogłybyśmy po prostu przejechać go i zabrać mu walizkę - proponuje Nadia.

- Wtedy na pewno zostałybyśmy aresztowane - stwierdzam. - Poza tym nie mamy pewności, że tam są rzeczy Chantal.

Nasz cel zaparkował przodem do jeziora. Nie ruszamy się z miejsc, dopóki widzimy, jak idzie szerokimi schodami i wchodzi do recepcji, a wtedy Chantal parkuje naprzeciwko niego.

Do moich zadań należy zagadanie go w barze, by dać dziewczynom czas na przeszukanie jego pokoju i odzyskanie biżuterii. W tej chwili perspektywa ta wydaje się nie najgorsza. Nafaszerowane czekoladki trzymamy w odwodzie. Pomysł polega na tym, że Chantal się spóźni na spotkanie, ale ja będę go uwodzić w barze i tak czarować, że z przyjemnością spędzi czas ze mną. Dam radę. Kaszka z mlekiem. Jak wielu mężczyzn

w przeszłości nie padło ofiarą mego czaru? Lepiej nie drażmy tej kwestii, bo kolana zaczną mi się trząść jeszcze bardziej. Dziesięć ton błyskotek, które dźwigam na sobie, ma zadziałać jako dodatkowa przynęta.

- Jak on się nazywa?

- Przedstawia się jako John Smith. - Chantal unosi znacząco brew.

- Mógłby wymyślić sobie bardziej seksowny pseudonim.

- Też tak myślę.

Zerkam na listę zadań i mówię:

- Zadzwoń do niego i powiedz mu, że się spóźnisz i że spotkacie się w barze.

W pełnym skupieniu Chantal wybiera numer i rzuca krótko:

- Spóźnię się. Przyjadę jak najszybciej. - Brzmi to tak, jakby mówiła o interesach. Gdyby nie była moją przyjaciółką, wzbudziłaby we mnie strach. - Spotkamy się w barze. Potem pójdziemy do pokoju i załatwimy sprawę.

Rozłącza się.

- Mam nadzieję, że ten sukinsyn nie spodziewa się, że w grę wchodzi coś więcej.

Znowu obracam się na siedzeniu do Nadii i Autumn.

- Gotowe?

- W pełni - odpowiada poważnie Nadia.

- Autumn, my idziemy na pierwszy ogień - przypominam, chociaż pewnie niepotrzebnie.

Na twarzy naszej małej hipiski maluje się żelazna determinacja. Autumn dostała zadanie nie do pozazdroszczenia - ma ukraść Johnowi Smithowi z kieszeni klucz do jego pokoju. Umiejętność tę posiadała raptem dziś po południu. Mam nadzieję, że jest dobrą uczennicą i że jej

podopieczny z kryminalną przeszłością nauczył ją, czego trzeba, bo wiele od niej zależy. Kiedy ja będę w barze z facetem, dziewczyny przetrząsną jego pokój i jeśli dobrze pójdzie, zwieją z biżuterią Chantal. Proste.

- Przydałoby mi się coś na odwagę - mówi Autumn drżącym głosem.

Podaję jej następną czekoladową kulkę.

- Dzięki - szepcze, zajadając, z wdzięcznością.

Wtedy dochodzę do wniosku, że sama potrzebuję czegoś na wzmocnienie i zjadam w błyskawicznym tempie resztę maltesersów.

- Powodzenia - życzę dziewczynom i nim nerwy mi puszczą, wyskakuję z samochodu.

46

Wchodzimy z Autumn do Trington Manor akurat, kiedy recepcjonistka wręcza plastikową kartę do drzwi panu Johnowi Smithowi.

- Pokój 270 - oznajmia pogodnym, dźwięcznym głosem. - Na drugim piętrze. Mam nadzieję, że będzie się pan dobrze bawił w czasie pobytu w naszym hotelu, panie Smith.

Cofamy się, żeby nas nie zobaczył.

To miejsce aż przytłacza bogatym wystrojem. Dywan ma chyba z dziesięć centymetrów grubości. Zapadamy się w nim głęboko, gdy próbujemy iść swobodnym krokiem. Chwieję się niebezpiecznie w przyprawiających o zawrót głowy szpilkach. Autumn lepiej sobie radzi w espadrylach na podszwie ze sznurka. Widzę kilka dobranych kolorystycznie sof w odcieniach burgunda i ciemnego granatu stojących w cieniu drzewek w terakotowych donicach. Przyglądamy się, jak nasz cel bierze klucz i rusza do windy. Ten facet pod każdym względem prezentuje się jak wyrafinowany biznesmen - pewny siebie i opanowany. Kto by pomyślał, że to złodziej i oszust! Ale wygląd - zwłaszcza taki - potrafi być zwodniczy.

Kiedy pan Smith zmierza bezpiecznie do swojego pokoju, dzwonię do Chantal, żeby poinformować ją

i Nadię o stanie rzeczy. Adrenalina buzuje w moim ciele. To naprawdę jest niesamowicie ekscytujące, ale w sposób, który może człowieka wykończyć nerwowo. Dociera do mnie, że właściwie do niedawna moje życie upływało bez poważniejszych wydarzeń.

- Zameldował się - mówię teatralnym szeptem. - Pojechał na górę.

Rozłączam się.

- Pójdę teraz do baru - mówię z kolei do Autumn - i usadowię się tam wygodnie. Ty poczekaj tu, aż pan Smith zjedzie na dół. Jeśli podejdziesz do stojaka informacji turystycznej i będziesz udawać, że coś cię zaciekawilo, będziesz miała idealny widok na windy.

Autumn kiwa głową. Wygląda na śmiertelnie przerażoną.

- Świetnie sobie poradzisz - dodaję jej otuchy. Ścisnę szybko jej rękę i wychodzę z recepcji do baru.

Tutaj panuje względny spokój. Za zaokrąglonym mahoniowym barem na drugim końcu pomieszczenia samotny barman pucuje bez celu kieliszki. Pianista z większym talentem niż entuzjazmem brzdąka jakieś nijakie standardy przy fortepianie w kącie - teraz leci *My Way*. Od razu przypominam sobie randkę w Savoyu z Jacobem. I pomyśleć, że mogłabym teraz być z nim zamiast tutaj... wzdycham i dalej rozglądam się po barze. Mała grupka biznesmenów stłoczona na dwóch sofach śmieje się hałaśliwie. Przy innych stolikach siedzi kilka par. Podchodzę do baru. Nogi nagle odmawiają mi posłuszeństwa; mam wrażenie, jakby wszyscy na mnie patrzyli. Staram się zachować spokój, jeśli to możliwe w takiej sytuacji, i siadam na stołku barowym z najlepszym widokiem na recepcję i Autumn, która czai się przy roślinach w donicach i stojaku z broszurami tu-

rystycznymi. Udaje, że pochłonięła ją ulotka, ale gdy zerkam w jej stronę, ukradkiem pokazuje mi uniesiony kciuk.

- Czym mogę służyć, proszę pani? - pyta barman i natychmiast skupiam się na nim.

- Poproszę butelkę szampana.

- Mamy dobrego duval-leroy.

- Świetnie.

Nie mam pojęcia, czy jest świetnie, czy nie.

- Tylko jeden kieliszek?

- Dwa. Czekam na kogoś.

Barman stawia przede mną dwa kieliszki do szampana i znika, żeby po chwili wrócić z butelką bąbelków. Zręcznym ruchem wyciąga korek, nalewa do jednego z kieliszków. Unosi pytająco brew, zatrzymując się przy drugim.

Kręcę głową.

- Ta osoba jeszcze nie przyjechała.

Zostawia mnie z moim drinkiem. Biorę kieliszek i skrępowana sącę szampana. Kładę nafaszerowane czekoladki przed sobą i głaszczę czule pudełko. Te małeństwa to nasza polisa ubezpieczeniowa. Powtarzam sobie w myślach: dwa karby - czyste, trzy - doprawione. Właściwie to dobrze by mi zrobiła jedna pyszna czekoladka. Tylko zerknę, w końcu to żadna zbrodnia.

Cudowny zapach wanilii i przypraw unosi się, gdy podnoszę wieczko. Mmm. Świetnie pasują do szampana. Zatrzymuję nad nimi dłoń i niechętnie ją cofam. Jak powiedział Clive, muszę ćwiczyć silną wolę. Wypijam więc szampana, rozkoszując się szumem w głowie, o który przyprawiają mnie bąbelki. Teraz to wydaje się trochę głupie, ale cały dzień nic nie jadłam, nawet czekolady - fatalny zespół napięcia nerwowego, które

zawiązało mi żołądek na supełek. W efekcie alkoholu uderza mi do głowy. Policzki natychmiast płoną, i jestem pewna, że źrenice mam wielkie jak postać z kreskówki. Barman podchodzi i nalewa mi następny kieliszek, zanim zdążę zaprotestować. Ten też wypijam i barman znowu mi dolewa.

Samotne siedzenie przy barze może człowieka kompletnie podłamać. Cieszę się, że tak naprawdę wcale nie czekam na kogoś, kto się nie zjawi, bo naprawdę bym się załamała. Kilku biznesmenów obrzuca mnie przeciągłym spojrzeniem. Staram się nie reagować, bo nie chcę właśnie z kimś flirtować, gdy zjawi się nasz cel.

Mija chyba wieczność, kiedy drzwi widny otwierają się i pan John Smith - ten o fatalnym pseudonimie i okropnych nawykach po współżyciu - wychodzi. Wyciągam szyję, żeby dobrze widzieć Autumn. Łapie garść ulotek i też idzie, tak żeby przeciąć mu drogę. W połowie drogi przez recepcję wpada na niego i upuszcza na podłogę wszystkie ulotki. Mężczyzna schyla się i pomaga je zbierać, a Autumn zasypuje go przeprosinami. Nie słyszę, co mówią, ale wygląda na to, że Autumn świetnie zagrała swoją rolę. Robi mnóstwo zamieszania z broszurkami, zbiera je i znowu upuszcza.

W końcu on prostuje się i podaje Autumn zebrane przez siebie ulotki. Uśmiecha się do niej bardzo czarująco. Autumn odpowiada kokieteryjnie. A ja mogę tylko siedzieć i mieć nadzieję, że udało jej się to, co zamierzała. Rozdzielają się i pan Smith idzie do baru. Autumn rusza do frontowych drzwi. Kiedy do nich dochodzi, pokazuje klucz-kartę i macha do mnie wesoło. Staram się nie uśmiechnąć zbyt radośnie. Więc jej się udało. Autumn ukradła mu klucz. Kamień spada mi z serca i z ulgą wypijam trochę szampana. Świetnie nam idzie.

- Co taka ślicznotka robi tu sama? - odzywa się głos obok mnie.

Obracam się i widzę, że jeden z biznesmenów pochyla się nade mną.

Katastrofa. John Smith siada na drugim końcu baru. To on ma mnie zagadnąć, a nie ten pajac!

- Czekam na kogoś - odpowiadam przez zaciśnięte zęby.

- A ja też mogę poczekać? - pyta tamten, pochylając się bardziej.

- Nie.

- Ejże - bełkocze. - Postawię ci drinka.

- Już mam drinka. Dziękuję.

Zrywaj się, idioto!

Widzę, że nasz cel zerka na mnie. Marszczy czoło.

- Mały drink nie zaszkodzi.

Najwyraźniej to kwestia ambicji, bo facet wie, że koledzy obserwują go i chichoczą.

- Dziękuję, nie - powtarzam stanowczo.

Facet robi się czerwony i nie wygląda na zadowolonego.

- Słyszałeś, co pani powiedziała - odezwał się głos z drugiego końca baru.

To tekst bardzo w stylu Clinta Eastwooda i jestem zaskoczona, że mówi to pan Smith. Rycerski naciągacz. No proszę.

- A co tobie do tego, koleś?

- Pani powiedziała nie - powtarza spokojnie pan Smith. - Zostaw ją w spokoju.

Facet już szykuje się do bójki, ale wtedy jeden z jego kumpli, pewnie wyczuwając, że sytuacja przestała być zabawna i zaczyna się robić nieprzyjemnie, podchodzi i odciąga go. Kolega wygląda na zażenowanego.

- Przepraszam - mówi. - On nie miał nic złego na myśli. Za dużo wypił.

Może często mu się to zdarza.

Staram się udawać pobłażliwą, ale ręce nadal mi się trzęsą.

- Nic się nie stało.

Odprowadza kolegę do reszty kumpli, którzy śmieją się niepewnie.

To by było na tyle, jak mniemam. Teraz albo nigdy. Unoszę kieliszek w toaście w kierunku pana Smitha.

- Dzięki, że odezwał się pan w moim imieniu.

- Nie ma sprawy.

Nie da się ukryć, że jest przystojny. Gdyby to nie była Operacja Wyzwolenie Biżuterii Chantal i nie znałabym jego ciemnej strony, z pewnością kusiłoby mnie, żeby zagadać go w barze.

- Może napije się pan ze mną szampana? - proponuję. - Mógłby mnie pan bronić, póki czekam na kogoś.

Uśmiecha się do mnie, ale się waha. Ogarnia mnie panika. A jeśli nie złapie przynęty? Co wtedy? Błyskam pierścieniem ze sztucznym brylantem. Nie wiem, czy to przeważa szalę, po chwili Smith siada przy mnie.

- Ja też na kogoś czekam - mówi. - Interesy.

Co ty powiesz, koleś! Pospiesznie nalewam trochę szampana do kieliszka, który mu podaję, żeby czuł się przynajmniej zobowiązany posiedzieć ze mną chwilę. Zastanawiam się, czy tyle czasu wystarczy dziewczynom, żeby przeszukać pokój? Muszę go tu zatrzymać jak najdłużej.

- Lucy Brown - przedstawiam się.

Skoro się nie wysiła, to ja też mogę.

- John Smith - odpowiada.

Kiedy stukamy się kieliszkami, dostrzegam trzy głowy za oknem. Przyjaciółki sprawdzają, czy następna część planu potoczyła się, jak należy. Teraz muszę tylko prowadzić błyskotliwą, czarującą konwersację dostatecznie długo, żeby zdążyły przeszukać jego rzeczy. Napiję się jeszcze trochę szampana. Głowy znikają.

- Za mojego rycerza w lśniącej zbroi - mówię.

Oboje się śmiejemy, a ja myślę sobie: Ty draniu!

Chantal, Nadia i Autumn poczekały, aż recepcjonistka odwróci się, a wtedy śmignęły przez hol i wskoczyły do windy, gdy tylko otworzyły się drzwi. Autumn ścisnęła łup.

- Pokój 270 - oznajmiła dziewczynom.

Wszystkie nerwowo zagryzały usta, a dźwięki *Come Away With Me* Norah Jones wyjątkowo nie zdołały ukoić ich nerwów.

- Mam nadzieję, że to nie potrwa długo - powiedziała Chantal, oddychając płytko.

Na drugim piętrze drzwi ponownie się otworzyły. Dziewczyny ostrożnie wyjrzały. Nikogo nie było w pobliżu. Trzymały się blisko siebie, idąc opustoszałym korytarzem i rozglądając się za pokojem 270. Kiedy go znalazły, wsunęły kartę i weszły do środka. Pokój mógłby się znajdować w dowolnym hotelu w dowolnym miejscu na świecie - był czysty, ładnie urządzone i kompletnie nijaki. Pan Smith najwyraźniej nie korzystał z oferowanych wygód. Taca z przyborami do parzenia herbaty stała nietknięta, na ekranie telewizora nadal wyświetlało się „Trington Manor wita pana Smitha”.

Chantal nagle przypomniało się, jak ona znalazła się w hotelowym pokoju z tym człowiekiem. Żołądek pod-

szedł jej do gardła. Chciała tylko odzyskać biżuterię i wynosić się stąd. Walizeczka Johna Smitha leżała na toalecie obok telewizora. Złapała ją i rzuciła na łóżko. Wszystkie trzy zebrały się wokół walizki i popatrzyły z wyczekiwaniem. Ale kiedy Chantal spróbowała ją otworzyć, okazało się, że jest zamknięta.

- Niech to szlag!

Walnęła w walizkę pięścią.

- Czekaj, może ja otworzę - powiedziała Autumn. - Podopieczny udzielił mi dziś po południu kilku bardzo użytecznych lekcji.

Wyjęła z włosów wsuwkę i zaczęła poruszać nią w zamku walizki. Chwilę potem walizka się otworzyła. Nawet Autumn była zaskoczona.

- Fantastycznie! - wykrzyknęła Chantal i zaczęła przeszukiwać walizkę. Nic tam nie znalazła. Żadnego naszyjnika, pierścionków czy bransoletek. Jedyne egzemplarz dzisiejszego „Financial Times”, nietknięty, różowy i idealny, leżał sobie na dnie walizki. Chantal była bliska łez. To był idiotyczny, wariacki pomysł i powinna była wiedzieć, że nic z tego nie wyjdzie.

- Musimy przeszukać cały pokój - stwierdziła Nadia. - I to szybko. Nie wiem, jak długo Lucy będzie w stanie go zabawiać, zanim facet nabierze podejrzeń.

- Tak, lepiej bierzmy się do roboty - przytaknęła jej Autumn.

- A może sejf w pokoju? - zasugerowała Chantal. - Sprawdzę go.

Otwierała drzwi szafy po kolei, aż zobaczyła sejf upchnięty w tyle na jednej z półek. Minisejf był rzecz jasna zamknięty. Odwróciła się do Autumn.

- Jak sądzę, nie uczyłaś się też włamywania do sejfów?

- Owszem, ale zdążyliśmy przerobić tylko podstawy
- przyznała się Autumn bez cienia ironii. - Zabrakło nam czasu.

Nadia i Chantal parsknęły śmiechem. Autumn z dumą wyszczerzyła zęby.

- Potrafisz zaskakiwać - stwierdziła Nadia. - Mam nadzieję, że w Partii Zielonych nie usłyszą o twoich nowych umiejętnościach, bo wylądowałabyś na czarnej liście.

- Dajcie mi kilka minut, a przez ten czas przeszkajcie resztę pokoju.

I tak Autumn skupiła się na otwarciu sejfów, a Nadia i Chantal sprawdziły pod łóżkiem, pod materacem i poduszki, wszystkie szafki i szuflady, za zasłonami, na karniszu i w koszach na śmieci. Sprawdziły nawet, czy biżuterii Chantal nie przyklejono pod siedziskiem krzesła. Nic nie znalazły.

- Musi być w sejfie - powiedziała Chantal. - Nigdzie indziej jej nie ma.

- No, dalej, Autumn - popędzała ją Nadia. - Pokaż, co potrafisz.

Obie opadły na łóżko i westchnęły ciężko, czekając.

Kilka chwil potem Autumn powiedziała cichutko:

- Bingo.

- Dobra dziewczynka! - zawołała Chantal i obie z Nadia popędziły do sejfów, nad którym Autumn nadal kucała.

- Pusto - powiedziała, kręcąc z niedowierzaniem głową. - Kompletnie pusto.

- Gdzie do diabła może być biżuteria?

- Może ma w kieszeni? - zapytała Nadia.

- Niczego nie wyczułam, kiedy szukałam klucza do pokoju - odparła Autumn. - Ale może mi się poszczę-

ściło i od razu trafiłam na klucz. Nie miałam ani czasu, ani okazji, żeby go dokładniej przeszukać. Możliwe, że ma wszystko przy sobie.

- Cholera. - Chantal westchnęła. - I co teraz robimy?

Chichoczę jak wariatka. Podciągnęłam sukienkę, pokazując spory kawał uda, a ramiączko uwodzicielsko zsuwa mi się z ramienia. Przez ostatnie dwadzieścia minut, a może więcej, starałam się wlać w pana Johna Smitha tyle bąbelków, ile się da. Jesteśmy już przy drugiej butelce - sam nalegał i sam płaci. I doskonale się trzyma, podczas gdy ja jestem zalana w trzy gwizdki.

Biznesmeni przed chwilą wyszli, pary też zaczęły się rozchodzić, wszyscy wracają do pokoi, w barze zostało bardzo mało osób. Zaczynają nam się kończyć tematy do grzecznościowej konwersacji, zwłaszcza że kłamię jak najęta. Smith myśli, że jestem szefową marketingu w firmie komputerowej, a ja myślę, że on jest podłym łajdakiem. On zerka ukradkiem na zegarek, a ja mam wrażenie, że moje czarujące towarzystwo traci na atrakcyjności. Zauważyłam jednak, że przyglądał się mojej fałszywej biżuterii. Jeszcze raz błyskam mu bransoletką z dwudziestoma i jednym brylantem wartą całe dwadzieścia jeden funtów. Dzwoni moja komórka, więc wyławiam ją z torebki. Lepiej, żeby to nie była moja matka, która chce opowiedzieć o scysji z sąsiadami albo nowym odcieniu włosów, albo o tym, jak w Hiszpanii jest gorąco w porównaniu z Wielką Brytanią, albo o tym, jak mało dziś zjadła. To są jej typowe tematy do

rozmów. A wycucie chwili zawsze miała porażające. Dlaczego nieodmiennie dzwoni w krytycznych momentach? Rzucam oschle:

- Halo?

- Tu Chantal - szepcze moja przyjaciółka.

Odwracam się od pana Smitha, żeby nie miał szansy usłyszeć nawet urywka naszej rozmowy. Lepiej, żeby to były dobre wieści.

- Potrzebujemy więcej czasu - mówi Chantal. - Przetrzęsaliśmy calutki pokój, tej cholernej biżuterii nigdzie nie ma. Nie ma jej w walizce. Ani w sejfie. Możesz obszukać mu kieszenie?

Wygląda na to, że jednak będziemy potrzebować nafaszerowanych czekoladek.

- Dobra - odpowiadam. - Pogadamy później.

Rozłączam się i wruszam nonszalancko ramionami do pana Smitha.

- Moja przyjaciółka się nie zjawi.

Lekko już mi się płacze język, ale staram się być kokieterijna.

- Wygląda na to, że zostałam tu całkiem sama.

- Tak - zgadza się ze mną.

Zerkam na czekoladki i zalotnie przyciągam je do siebie.

- Wobec tego uważam, że powinniśmy zjeść jej prezent urodzinowy.

- Nie jestem wielkim fanem czekolady - odpowiada Smith.

Ten facet to skończony dupek! Nie lubi czekolady? Nie mogę tego pojąć. Ale w tej chwili w ogóle mam kłopoty z pojęciem czegokolwiek. Dobry Boże, nie powinienam była żłopać bąbelków z takim zapałem. W głowie mi się kręci.

- Ale to nie są zwykłe czekoladki - bełkoczę.

Gdyby tylko wiedział. Otwieram pudełko i wyjmuję jedną, trzymam kusząco przed nim i pochylam się tak, że czekoladka zawisa zapraszająco nad moimi piersiami i wisiorkiem ze sztucznych brylantów. Przerzucam się na styl reklam typu Marks & Spencer.

- O, nie. To smak prosto z Czekoladowego Nieba. Ręcznie robione z najlepszych ziaren z plantacji w samym mrocznym sercu Brazylii. Nadzienie jest z gęstego kremu czekoladowego z najlepszymi ziarnami czarnego i zielonego kardamonu, dzięki czemu mają pikantny i orzeźwiający smak ze szczyptą dymnego posmaku. - Staram się, żeby mój głos zabrzmiał chropowato jak przydymiony. Clive byłby ze mnie dumny. - Każdy kęs jest jak wstrząsający wybuch smaku w ustach.

- Ty pierwsza - odpowiada niewzruszony.

- Świetnie będą pasować do szampana.

Na dowód tego popijam bąbelkami.

- Mną się nie krępuj.

- To nic miłego jeść samej - próbuję się dąsać.

Boże, zawsze byłam beznadziejna w tych gierkach w stylu wampa. To pewnie dlatego tak długo trzymałam się Marcusa. Dlaczego nie dałam tej roli Nadii? Jest bardziej seksowna ode mnie. W tej chwili mam wrażenie, że każdy jest bardziej seksowny ode mnie! Podsuwam mu jedną z czekoladek z trzema karbami.

- Chociaż jeden kęs.

Jego palce chwytają delikatnie mój nadgarstek; prowadzi czekoladkę prosto do swoich rozchylonych ust. Łapię się na tym, że przełykam ślinę. Połknął. Przynęte i czekoladkę.

- Hmm - mruczy. - Dobra.

Zjadam jedną z dwoma karami. Są bardzo dobre. Nie mam pojęcia, ile trzeba czasu, żeby pigułki nasenne w czekoladce zadziałały, więc chcę go odciągnąć od baru, żeby mi tu nie padł.

- Może przeniesiemy się na sofę? - proponuję. - Usiądziemy wygodniej.

John Smith znowu zerka niepewnie. Może myśli sobie, że lepiej nie obstawiać jednego konia, na wypadek gdyby Chantal nie pojawiła się z pieniędzmi. Czule głaszczę brylantowy wisiołek za czternaście funtów dziewięćdziesiąt dziewięć i znowu błyskam moją równie sztuczną bransoletką. Oczy mu załśniły.

- Twój znajomy od interesów znajdzie nas tam tak samo łatwo jak tutaj.

- Powiniennem do niej zadzwonić - mówi, marszcząc czoło. - Bardzo się spóźnia.

- Za minutkę - proponuję. - Jak już się wygodnie ulokujemy.

Zabierając ze sobą kubek z lodem i szampanem, idziemy do wybranej przeze mnie sofy w kącie naprzeciwko drzwi. Siadając, przekrzywiam nogi w kierunku Smitha i posyłam mu mnóstwo sygnałów ciałem. Wlewam mu jeszcze trochę szampana i znowu proponuję czekoladkę. Na szczęście bez ponaglenia wybiera taką z trzema karami. Ale wtedy przysuwa się do mnie i podsuwa tę czekoladkę mi. Co teraz? Nie mogę odmówić, prawda? Przysuwam się, odgryzam połowę i mruczę.

Mam nadzieję, że taka dawka nie zetnie mnie z nóg. Pan Smith wsuwa resztę do ust. Gdyby to zależało ode mnie, zaraz wrzuciłabym do ust następną, ale staram się zachować stosowny odstęp, zanim wezmę kolejną. Mam wrażenie, że już się robię śpiącą. Dlaczego te pół

czekoladki działa na mnie szybciej niż na nasz cel? Wybieram kolejny śmiercionośny wyrób Clive'a. Karby zaczynają mi się zlewać. Czy to niebezpieczna z trzema karbami, czy ta w porządku z dwoma? Robi się coraz trudniej. Tracę ostrość widzenia. Ta ma trzy bruzdy, jestem tego prawie pewna.

Pan Smith podnosi rękę.

- Ja już dziękuję.

- Jedną na drogę - mówię i nim zdąży zaprotestować, wrzucam mu czekoladkę do ust.

Przyjemne ciepło ogarnia mnie i łapię się na tym, że pytam:

- Czy tu nie jest gorąco?

John Smith poluźnia krawat.

- Tak, rzeczywiście jest.

I bez choćby słowa więcej pada na poduszki. Czekam chwilę, ale ofiara nadal ani drgnie. Usta mu się otwierają bezwładnie. Dla całego świata wygląda jak gość, który zdrzemnął się po wyjątkowo ciężkim niedzielnym lanczu. Szybko rozglądam się wokół, żeby sprawdzić, czy ktoś jeszcze zauważył, że pan Smith stracił przytomność. Nie. Barman jest zajęty podawaniem komuś drinka na drugim końcu baru. Została jeszcze jedna, może dwie pary. Bardzo dobrze.

Potrząsając głową jak pies otrząsający się z wody, staram się odzyskać ostrość widzenia. Alkohol i leki to fatalne połączenie. Zwłaszcza gdy ktoś organizuje poważny skok. Nasz cel pochrapuje cicho. Przytulam się do niego, jakbyśmy po prostu czulili się do siebie. I kiedy nikt nie patrzy, przetrząsam mu kieszenie. Sprawdzam wszystkie, nawet tę blisko okolic intymnych - aż się przy tym krzywię - ale nie ma nawet śladu biżuterii Chantal. Gdzie u diabła ją schował? Może póki

jest nafaszerowany lekami, mogłybyśmy go gdzieś zabrać i torturować, aż się wygada. Ale wtedy, chociaż jestem ostro podchmielona i prawdopodobnie pod wpływem leków nasennych, dociera do mnie, że oglądałam za wiele hollywoodzkich filmów.

49

Może i nie znalazłam biżuterii, ale z kieszeni pana Smitha wyjmuję kluczyki samochodowe, żebyśmy mogły szybko przeszukać jego mercedesa. Na wszelki wypadek zabieram też portfel i komórkę. A potem, kiedy nikt nie patrzy, układam Johna Smitha tak, żeby wyglądał jak ktoś, kto przyjemnie sobie drzemie, a nie został uśpiony, obrabowany i załatwiony na cacy.

Starając się nie zataczać za bardzo, wychodzę z baru i hotelu. Świeże powietrze uderza mnie w twarz, jakbym dostała mokrą rybą. Widzę, że Chantal błyska do mnie światłami samochodu, więc idę niepewnym krokiem w jej kierunku.

- Śpi jak niemowlę - mówię. - Czekoladki Clive'a podziały jak marzenie.

- Sama wyglądasz na ciut zaprawioną - zauważa Autumn.

Rzeczywiście powieki mi się zamykają.

- Musiałam zjeść jedną nafaszerowaną czekoladkę. Żeby nie nabrał podejrzeń.

Chantal obgryza paznokcie.

- A biżuteria?

- Nie ma - przyznaję i zaciskam z rezygnacją usta.

- Przeszukałam wszystkie jego kieszenie, ale nic nie

znalazłam. Absolutnie nic. Ale mam to. - Podnoszę kluczyki do samochodu.

Członkinie Klubu Miłośniczek Czekolady oklaskują mnie.

- Nie wiem, na jak długo odpłynął, więc od razu sprawdzimy jego wóz.

Wyskakujemy z samochodu i ruszamy do mercedesa pana Smitha. Podaję kluczyki Nadii, która jest o niebo przytomniejsza ode mnie.

Otwiera samochód i siada na miejscu kierowcy.

- Otwórz bagażnik - mówi Chantal.

Nadia naciska coś i bagażnik się otwiera. W środku leży elegancka skórzana torba. Jest także niewielki zbiór damskich torebek, głównie markowych: Prada, Chanel, Dolce & Gabbana. Ten facet najwidoczniej lubi okradać zamożne kobiety. Dobrze, że trzymałam swoją winylową torebkę za dwadzieścia funtów z dala od niego.

- Boże! Tylko popatrzcie! - wykrzykuje Chantal.

- Wygląda na to, że nie tylko ciebie nabrał - stwierdza Autumn.

Chantal grzebie w stosie torebek i wyciąga jedną.

- To moja - oznajmia. - To moja torebka.

Otwiera i przeszukuje zawartość.

- Nie ma biżuterii - warczy zawiedziona. - Ale jest komórka i portfel.

W portfelu o dziwo są wszystkie jej karty kredytowe, nietknięte.

- Nie mogę uwierzyć, że facet nie zaszalał w sklepach - odzywa się Nadia.

- Od razu je zablokowałam. Nie zaszedłby daleko, gdyby spróbował z którejś skorzystać. To jedyna rozsądna rzecz, jaką zrobiłam.

Stajemy wokół, gdy Chantal wyjmuje z bagażnika torbę podróżną. Rozgląda się i otwiera ją. Wtedy słyszemy zgrzyt żwiru i zamieramy.

- Cholera - mruczy pod nosem Chantal.

Ktoś świeci na nas latarką. Słyszę, jak serce wali mi w piersi. A jeśli John Smith jest wyjątkowo odporny na tabletki nasenne? Tego nie wzięłam pod uwagę, układając plan.

- Wszystko w porządku, drogie panie? - pyta ktoś.

Ochroniarz w mundurze wygląda zza otwartego bagażnika.

- Tak, wszystko w porządku - odpowiada Nadia.

- Meldują się panie w hotelu?

- Tak - odpowiada znowu; najwyraźniej tylko ona jest w stanie coś z siebie wykrztusić.

- Proszę, niech panie koniecznie zabiorą wszystkie cenne rzeczy do środka. Niech panie nie zostawiają niczego w bagażniku - ostrzega nas ochroniarz. - Regularnie patroluję parking, ale mamy plagę złodziei w okolicy. Lepiej dmuchać na zimne.

- Dziękujemy za dobrą radę - odpowiada Nadia.

- Pomóc paniom z bagażami?

- Nie, damy sobie radę. Mamy niewiele rzeczy.

Niewiele? Kobiety? Facet zorientuje się, że kłamamy.

- Życzę paniom miłego pobytu.

Najwyraźniej niewiele wie o słabej płci. Kiwa do nas głową i odchodzi.

Kiedy znajduje się poza zasięgiem głosu, wszystkie oddychamy z ulgą.

- Niewiele brakowało - mówię, naśladując George'a Clooneya.

- Załatwmy to i wynośmy się stąd - odpowiada Nadia.

Najwyraźniej ta maniera jest zaraźliwa.

Nadia ma oko na ochroniarza, a Chantal rozpina torbę. W środku leży kilka wyprasowanych koszul, czysta bielizna i skarpetki.

- To mój laptop - mówi radośnie. - Na pewno. W zeszłym roku zadrapałam obudowę. - Przesuwa palcem po cienkim jak włos zadrapaniu. - Wszędzie bym go poznała.

Podaje laptop Autumn.

W torbie leży mała, skórzana sakiewka. Chantal łapie ją i po chwili wahania otwiera i wysypuje zawartość na dłoń. Chociaż zwykle nie okazuje emocji, teraz wybucha łzami na widok ukochanej biżuterii połyskującej na dłoni.

- Udało się - mówi drżącym głosem. - Niech to diabli, udało nam się.

Obejmujemy się i bez słowa wykonujemy mały taniec radości w cieniu wielkiego mercedesa.

- Nie mogę w to uwierzyć - powtarza. - Odzyskałyśmy rzeczy. Wszysciutko. Wszystko jest tutaj. - Chantal podnosi ogromny zaręczynowy pierścionek i całuje go. - Dziękuję, dziewczyny. - Ociera łzy. - Strasznie wam dziękuję.

- Zabieramy wszystkie torebki i spróbujemy zwrócić je właścicielkom - oznajmia Autumn.

- Dobry pomysł - zgadza się Chantal.

- To jeszcze nie koniec - mówi Nadia.

Patrzą na nią zdziwiona.

- Nie uważacie, że ten samochód wyglądałby świetnie jako dodatkowa ozdoba w jeziorze?

- Tak - podchwytuje Autumn bez chwili zastanowienia. - Wyglądałby świetnie.

Najwyraźniej jedno przestępcze popołudnie zamieniło jej politycznie poprawny mózg w siedlisko grzechu i zepsucia.

- A co z naszym przyjacielem ochroniarzem? - pytam.

- Pospieszmy się, zanim wróci - odpowiada Chantal.

- Więc do roboty.

Rozglądamy się, czy teren jest czysty, a Nadia siada za kierownicą. Wrzuca na luz i zwalnia ręczny hamulec. Chantal chowa biżuterię z powrotem do sakiewki i wsuwają ją do kieszeni. Wszystkie stajemy za samochodem i opieramy się całym ciężarem o bagażnik. Odrobina zgodnego wysiłku ze strony drogich pań z Klubu Miłośniczek Czekolady i koła ruszają, samochód zaczyna się toczyć w stronę jeziora.

Odsuwamy się i patrzymy, jak samochód nabiera rozpędu, spokojnie zsuwa się stokiem w kierunku wody. Im bliżej brzegu, tym większej prędkości nabiera, a potem ląduje w czekającej już na niego ciemności. Słychać solidny chlupot, kiedy ważący dwie tony wóz uderza w wodę, a potem bulgotanie, w miarę jak tonie. Zapada się z bagażnikiem sterczącym ku niebu.

- Naprawdę mam ochotę wiwatować - mówi Chantal. Samochód znowu zabulgotał z wodnej toni.

- Lepiej wynośmy się stąd szybko - odzywa się Nadia. - Zanim ktoś to zauważy.

- Albo zanim nasz drogi oszust się obudzi - dodaje Autumn.

- Wątpię, żeby pan John Smith był uradowany, kiedy się obudzi. Wołałabym nie być tego świadkiem. Podwędziłam mu też komórkę i portfel - chwale się nie bez dumy. - Miejmy nadzieję, że to wystarczy, aby więcej się z tobą nie kontaktował, Chantal.

- Ma prawo jazdy w portfelu?

Przeglądam portfel i znajduję dokument.

- Tak. Naprawdę nazywa się Felix Levere.

- To może być kolejny pseudonim. - Chantal bierze ode mnie prawo jazdy. - Ale zachowam to jako dodatkowe zabezpieczenie.

W portfelu jest też plik banknotów, który zabieram dla siebie.

- To spokojnie może iść na cele dobroczynne - oznajmiam, po czym wrzucam portfel i komórkę do wody w ślad za samochodem. Wpadają z pluskiem i znikają bez śladu. Wciskam pieniądze Autumn. - Kup trochę czekolady twoim dzieciakom z ośrodka.

Autumn chowa pieniądze.

- Dzięki.

Chantal obejmuje mnie mocno.

- To był naprawdę fantastyczny plan. Dobra robota. Nawet nie wiesz, ile to dla mnie znaczy.

Ale zanim zdążę powiedzieć coś doniosłego w tej podniosłej chwili, tabletki Nadii z czekoladki w końcu robią swoje. Kolana uginają się pode mną i zapadam w pozbawiony marzeń sen.

50

Chantal odwiozła Lucy do mieszkania. Dziewczyna spała przez całą drogę z hotelu Trington Manor, pochrapując głośno na tylnym siedzeniu. Obudziła się na chwilę, kiedy dojechały do jej mieszkania, ale Autumn uparła się, że ją odprowadzi, a potem wpakowała ją do łóżka i opatuliła, nadal ubraną w elegancką sukienkę.

Chantal uśmiechała się do siebie, jadąc przez Londyn. Najpierw odwiozła do domu Autumn, a potem podrzuciła Nadię do jej samochodu, zaparkowanego nieopodal Czekoladowego Nieba. Ten wieczór był tak udany, że aż nie mogła w to uwierzyć. W jej torebce leżała odzyskana ukochana biżuteria, cała i zdrowa. To, co było potworną katastrofą, stało się ich absolutnym triumfem. Tak jej ulżyło, że mogłaby samą siebie wyściskać, a wszystko zawdzięczała sprytowi jej koleżanek z Klubu Miłośniczek Czekolady. Kto by pomyślał, że los wynagrodzi ją takimi wspaniałymi przyjaciółkami? Była im wszystkim wdzięczna. Od teraz będzie bardziej uważać na swoją własność. I na samą siebie.

Było bardzo późno, kiedy podjechała pod dom, ale na dole nadal paliło się światło, co oznaczało, że Ted pewnie ogląda telewizję albo słucha muzyki. Zaparkowała samochód i siedziała ze skórzaną sakiewką na ko-

lanach. To była dla niej surowa lekcja. Z radosnym westchnieniem wsunęła obrączkę i zaręczynowy pierścienek na palce. Cieszyła się, że mąż jeszcze się nie położył, bo zdecydowanie była zbyt poruszona, żeby zasnąć. Zastanawiała się, jak aktorzy po szczególnie udanym przedstawieniu potrafią się wyciszyć. Kiedy wysiadała, miała wrażenie, że nogi same ją niosą.

- Cześć, skarbie - zawołał Ted z przedpokoju, kiedy weszła do domu. - Późno wracasz.

- Miałam kawał drogi do przejechania w związku ze zleceniem - powiedziała, co właściwie nie było kłamstwem. Ted po prostu nie wiedział, jakiego rodzaju zlecenie to było.

- Zrobić ci coś? Wyglądasz na zmęczoną.

- Nie, nie jestem zmęczona - odpowiedziała, masując obolały kark. - Jestem jeszcze nakręcona.

- To może zaparzę ci herbaty ziołowej?

- Duży kieliszek czerwonego wina byłby w sam raz.

- Dobry pomysł, ja też się napiję.

Rzuciła torebkę na sofę, zauważając, jaką przyjemność jej to sprawiło, a potem sama padła, przeciągając się i sadowiąc na poduszkach. Mąż słuchał Andrei Boccellego i teraz ją także cieszył dźwięczny głos tenora.

Chwilę później Ted przyszedł z butelką przyzwoitego cabernet sauvignon, z dwoma kieliszkami na tacy i talerzykiem sera, krakersów, oliwek i małą ilością białych winogron.

- Wygląda smakowicie - powiedziała z uznaniem. Mąż usiadł obok niej.

- Brakowało mi cię dzisiaj wieczorem.

Chantal odpowiedziała uśmiechem.

- Mnie ciebie też.

- Napij się wina, a ja wymasuję ci kark.

Zastanawiała się, czemu jest dla niej taki miły, ale nie zamierzała pytać i psuć nastroju. To on się zachowuje, jakby miał coś na sumieniu, pomyślała. Sącząc wino, rozsmarowała kawałek smakowitego, dojrzalego camemberta na krakersie i z entuzjazmem wgrzyła się w niego. Potrzebowała też czekolady - kremowej, mlecznej i pocieszającej. Kiedy zje ser, sprawdzi, co jest w kuchni. Przez cały dzień za bardzo się denerwowała, żeby jeść - Lucy mówiła, że tak samo się czuła - ale teraz po prostu umierała z głodu.

Ted zdjął jej buty, położył sobie jej nogi na kolanach i zaczął głaskać stopy Chantal.

- Mmm - mruknęła zadowolona. - To naprawdę miłe.

Nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo napięte było jej ciało, dopóki mąż nie zaczął jej masować. Odstawiła talerz na podłogę i oparła głowę na poduszce. Ciepłe dłonie męża wślizgnęły się pod jej spodnie i teraz jego mocne palce masowały jej napięte łydki. Zawsze świetnie masował, ale od bardzo dawna nie miał na to ochoty. Od miesiący unikał wszelkiego intymnego kontaktu - z głaskaniem jej stóp, nóg czy karku włącznie.

- Zdejmij spodnie - powiedział, a ona zaskoczona zauważyła nieco chrapliwy ton w jego głosie.

Jego oczy pociemniały z pożądania.

Ted pomógł jej zsunąć z bioder spodnie i przesunął dłonie, głaszcząc teraz jej uda. Kciukami bawił się koronkowym brzegiem fig, a potem zaczął o nie palcami i zsunął. Pochylił się i obsypał jej brzuch, biodra i uda gorącymi pocałunkami. Chantal napływały łzy do oczu. Minęło tyle czasu, odkąd Ted chciał się z nią kochać, i teraz zdała sobie sprawę, jak bardzo pusta, niekochana czuła się przez to.

Ted rozpiął jej bluzkę i całował powoli ciało, w miarę jak je odsłaniał; potem zdjął stanik Chantal. W końcu leżała przed nim całkiem naga. Sam się rozebrał i położył przy niej, obejmując rękami i nogami. Kiedy wsunął się w nią, była bardziej niż gotowa i aż westchnęła z rozkoszy, przyciągając go do siebie. Kochali się delikatnie i czule, słodko jak nigdy.

Potem przykryła ich miękką narzutą z szenili. Leżeli objęci, sącząc wino i słuchając wzruszającego głosu Jamesa Blunta, śpiewającego im serenadę. Nie wiedziała, skąd ta zmiana u Teda, ale wiedziała, że bardzo jej się to podoba. Dlaczego tak nie może być zawsze? Chantal pomyślała, że tak właśnie chciała spędzić całe życie. W ramionach męża. Nie w jakimś hotelowym pokoju z facetem, którego widziała raz na oczy, na rżnięciu bez uczuć, bez miłości, bez czułości. Przytuliła się do męża.

- Tak cię kocham, Ted.

- Ja ciebie też, skarbie. - Pogłaskał ją z roztargnieniem. A potem odchrząknął i zapytał: - Nie przeszkadza ci, że się nie zabezpieczyliśmy?

Musnęła go w szyję.

- Pójdę jutro do apteki i wezmę tabletkę „dzień po”. Cały stężał, więc spojrzała na niego.

- Co?

- Zawsze chodziło tylko o to, czego ty chcesz.

Chantal była zaszokowana.

- Nie wiem, o co ci chodzi. O to, że biorę tabletki antykoncepcyjne? Nie chcemy, żebyśmy zaszła w ciążę. Nie chcemy rodziny.

Usiadł prosto.

- My? - rzucił sarkastycznie. - A może to tylko ty tak uważasz?

- Nigdy nie chcieliśmy dzieci - sprzeciwiła się. - Rozmawialiśmy o tym wystarczająco często. - Ale musiała przyznać, że nie ostatnimi czasy. - Nie cierpimy dzieci. Nie cierpimy dzieci naszych przyjaciół. Wychodzisz z siebie, kiedy Kyle i Lara przyprowadzają do nas swoich chłopców i dzieciaki wszędzie zostawiają czekoladowe odciski palców, a od ich wrzasków prawie nam bębunki pękają. Zaraz po ich wyjściu musisz wziąć garść nurofenu.

- Człowiek się zmienia. I już w ogóle o niczym nie rozmawiamy. Cały nasz związek funkcjonuje na twoich prawach. Z tobą to „albo po mojemu, albo wcale”. Może mam już tego dosyć.

- To dlatego, że mnie unikasz - powiedziała, naciągając narzutę pod szyję, nagle zawstydzona własną nagością. - Unikasz rozmowy ze mną. Unikasz mnie w sypialni.

- A jaki to ma sens? Po co nam seks, skoro nic z niego nie wynika?

- Chcesz powiedzieć, że nie powinniśmy uprawiać seksu, jeśli nie staramy się o dziecko? - Była oszołomiona jego dziwacznym punktem widzenia. Dotknęła jego ręki, ale się wzdrygnął. - To dlatego nie sypiasz ze mną?

Wstał, włożył bokserki i dżinsy. Żołądek jej się zacisnął, gdy pomyślała, że jeszcze chwilę temu była w ekstazie w jego ramionach - i jak szybko z tego wyszli.

- Odrzuca mnie twój nieposkromiony apetyt - oświadczył szczerze, nie patrząc jej w oczy. - Robi mi się niedobrze, kiedy pomyślę sobie, że to nigdy nie będzie miało jakiegoś celu.

- Kiedy zacząłeś tak to odbierać? - dopytywała się. - Dlaczego nic mi nie powiedziałeś?

- Próbowałem. - Westchnął głośno. W jego głosie słychać było skrywaną frustrację. - Ale ty po prostu nie słuchasz rzeczy, których nie chcesz usłyszeć. Nie jesteśmy już małżeństwem. Jesteśmy dwojgiem ludzi, którzy wygodnie mieszkają razem. Chcę czegoś więcej. Chcę żony, która dba o mnie choć na tyle, żeby wysłuchać moich pragnień. Chcę rodziny, Chantal. Chcę własnych dzieci. A ty nie.

- Porozmawiajmy o tym. Kocham cię.
- Czasem to po prostu nie wystarcza.

51

- Więc aż tak się stęskniłaś, Ślicznotko? - mówi Luby.

Siedzi z nogami na biurku i rękami za głową. Na twarzy ma szeroki uśmiech, który - co dziwne - stał się jeszcze bardziej czarujący, odkąd odeszłam.

Stoję przed jego biurkiem i czuję się jak uczennica na dywaniku u dyrektora szkoły. Zadowolonego z siebie dyrektora łachudry.

- Jesteście jedynymi ludźmi, którzy mnie zatrudnią - przyznaję.

W tych słowach kryje się prawda zbyt straszna, aby ją przyjąć. Targa, politycznie niepoprawna maszynka do stresu, okazuje się moim duchowym azylem. Jedyna dobra rzecz w związku z powrotem to fakt, że udało mi się już namówić Dereka Świntucha od poczty, żeby pomógł mi zwrócić wszystkie uratowane torebki właścicielkom dzięki uprzejmości firmowego konta pocztowego.

Z samego rana zapakowałam wszystkie torebki do wielkiego, czarnego worka na śmieci, rzucając szczególnie tęskne spojrzenie jednej konkretnej, torebce od Prady, która pewnie była warta ciężką kasę. Złapałam taksówkę i przytaszczyłam zdobycz. W każdej torebce znalazłam coś, co pozwoliło zidentyfikować właścicielkę. Poznałam więc nieco szczegółów na temat po-

zostałych kobiet, które złodziej dżentelmen od Chantal wyrolował i pozbawił własności. Gdzieś w świecie żyje sporo kobiet z wyrzutami sumienia i mam nadzieję, że jak nasza przyjaciółka też wyciągnęły wnioski z tej lekcji. Kiedy ja rozmawiam z Lubym, Derek pakuje właśnie torebki. Powinnam mu przynieść czekoladę jako podziękowanie za pomoc.

Muszę przyznać, że po naszej nadzwyczaj udanej operacji w piątkowy wieczór przez chwilę rozważałam, czy nie zająć się kradzieżą zawodowo. W końcu odkryłam u siebie talent, o którego istnieniu wcześniej nie miałam pojęcia i - żeby nie być przesadnie skromną - działalność, w której okazałam się doskonała. Przestępczość to z pewnością rozwijająca się branża, prawda? Na pewno istnieje mnóstwo zawodów, w których mogłabym się wykazać w mrocznej niszy półświatka. Już widziałam swoje nazwisko na drzwiach gabinetu: „Lucy Lombard, mistrzyni zbrodni”. Będę musiała zdobyć kilka akcesoriów stosownych dla kryminalisty, na przykład śliniącego się dobermana, jedną albo dwie blizny zniekształcające twarz i może jakiś przebłysk szaleństwa rozwijający się w poważne zaburzenie psychiczne. Będę potrzebowała mnóstwa wyrafinowanych gadżetów technicznych. Zwłaszcza maszyny do karmienia rekinów praworządnyimi obywatelami - zawsze się przydaje. No i nie od rzeczy byłaby drużyna ogolonych na łyso muskularnych pomocników. Miło pomarzyć. Z każdą minutą ta robota prezentowała się coraz bardziej atrakcyjnie. Jednakże postanowiłam dać ostatnią szansę uczciwej pracy.

Skupiam się ponownie na Lubym. To upokarzające wrócić tu tak szybko, zwłaszcza że pan Aiden-Zadowolony-z-Siebie-Holby najwyraźniej świetnie się bawi

moim kosztem. Luby ma całą kolekcję dyrektorskich zabawek na biurku, włącznie z wahadłem Newtona. I mam ochotę potrząsnąć solidniej jego... kulczkami.

- Tamci nie wiedzą, co tracą - odpowiada. Stara się nawet, żeby to zabrzmiało szczerze.

Nie informuję go, że „tamtych” brakuje teraz schludnie uporządkowanych rzędów rzadkich książek i kilku wieszaków obrzydliwie drogich sukien wieczorowych. Nie mówię mu, że jestem na czarnej liście większości agencji w mieście i że aby dostać tę pracę, pierwsze, co musiałam zrobić dziś rano, to błagać ze łzami w oczach te ohydne potwory z kadr o głowach Gorgon. Obiecałam im też duże pudełko czekoladek z Czekoladowego Nieba. Co tydzień przez miesiąc.

- Wiedziałem, że Tracy nie wytrzyma długo - wyjaśnia Luby. - Macierzyństwo i praca nie pasują do siebie. W chwili, w której urodzisz parę dzieciaków, mózg ci się kurczy. Była jeszcze gorsza od ciebie.

Podejrzewam, że ironizuje, ale nie jestem pewna.

- Cóż, cieszę się, że masz tak małe oczekiwania co do mojej osoby. Mam nadzieję, że uda mi się je spełnić.

Luby śmieje się.

- Przyniosłaś czekoladę?

- A czy Russell Crowe to przystojny Australijczyk?

- Świetnie. Odkąd odeszłaś, miałem niebezpiecznie niski poziom cukru we krwi. - Składa ręce i świdruje mnie spojrzeniem wielkich brązowych oczu. - Bez ciebie, Ślicznotko, w biurze było tak cicho.

- Trzeba było zadzwonić - odpowiadam i od razu żałuję, że nie ugryzłam się w język.

Nie chcę, żeby Aiden Holby pomyślał, że choćby raz pojawił się w mojej głowie, odkąd odeszłam.

- Dzwoniłem. Siedemnaście razy, ściśle mówiąc. Właścicielka komórki, której numer mi podałaś, była już naprawdę wściekła.

- Dzwoniłeś do mnie?

- Nie. Dzwoniłem do kogoś o imieniu Marcia. Miała bardzo miły głos, ale powiedziała mi, że niestety jest zamężna i pewnie mam zły numer.

Rozdziawiam usta.

- Przecież nie podałam ci złego numeru?

Luby grzebie w kieszeni i wyciąga pogniecioną kartkę, a potem powoli, metodycznie prostuje ją na biurku i podaje mi.

Odczytuję numer. Jedna cyfra się nie zgadza. Patrząc zaszokowana. Trudno mi uwierzyć, że nie potrafię nawet dobrze zapisać własnego numeru telefonu. Jakie mam szanse na stworzenie kiedykolwiek głębokiego i znaczącego związku, jeśli nie można mi zaufać nawet w kwestii numeru? Patrząc na Lubego i mówię:

- Nie mogę w to uwierzyć.

- Potrafię pojąć aluzję, Ślicznotko - stwierdza.

- To nie była aluzja, tylko prawdziwa pomyłka.

Jedną cyfrę źle podałam.

- Ach, stary numer z jedną cyfrą.

- Po co dzwoniłeś?

- Chciałem cię zaprosić na kolację.

- Och.

- A zjawiłabyś się?

- Ja... eee... eee...

- A może nadal się z kimś widujesz?

- Z Jacobem - odpowiadam.

Dwa razy dzwonił do mnie w weekend. Raz, żeby powiedzieć, że impreza dobroczynna w piątek okazała się niesamowitym sukcesem, chociaż jedna z projektantek

miała pecha, bo po południu skradziono wszystkie jej suknie z furgonetki, i ktoś musiał ją zastąpić. Starałam się nie zemdleć, kiedy mi o tym opowiadał. Sprawdzał też, czy na pewno mogę przyjść we wtorek wieczorem do Czekoladowego Nieba i czy nie byłam na tyle głupia, żeby znowu o tej samej porze zaplanować dwie różne rzeczy. Nie powiedział tak, ale czasem człowiek potrafi zgadnąć, co myśli druga osoba. A potem zadzwonił w niedzielę bez specjalnego powodu, żeby pogawędzić między spotkaniami. Ten facet tak ciężko pracuje, jeśli nasz związek ma dłużej potrwać, będę musiała zadbać, żeby skrócić godziny pracy. Już to przechodziłam z Marcusem.

Jeśli chodzi o mnie, czułam się podtruta przez cały weekend po naszym udanym skoku. Mimo euforii - bo udało nam się - zamiast skakać po pokoju z Daviną, musiałam leżeć na sofie i zjeść mnóstwo czekolady, żeby odzyskać siły. Uśmiezek igra na moich ustach, kiedy w końcu przypominam sobie, żeby odpowiedzieć na pytanie Lubego:

- Z prawdziwą przyjemnością poszłabym z tobą na kolację. Nie mogę uwierzyć, że taka ze mnie idiotka.

Aiden patrzy tak, jakby on z kolei mógł uwierzyć.

- Ale owszem - przyznaję z wahaniem. - Nadal widuję się z Jacobem.

Luby nagle staje się strasznie rzeczowy.

- Cóż, nie ma sprawy, bo ja też się z kimś widuję - mówi jakby lekko poirytowany.

Rozmawiamy bardziej jak dzieciaki na placu zabaw niż dojrzały, zgodni dorośli, którymi jesteśmy, ale nic nie poradzę, że czuję ukłucie zazdrości.

- Tak?

- Z Charlotte z biura obsługi telefonicznej.

Słyszałam, że to zdzira. Ładna, ale cóż, zdzira. Nie-głupia, ale zdecydowanie zdzira. Z pewnością awanso-
wałaby na stanowisko kierownicze, gdyby nie była taką
zdzirą.

- Jest urocza.

- Ja myślę - zgadza się Luby, a jego policzki różo-
wieją tak, że chce mi się krzyżeć. Robią to, jestem
pewna. Nazwijcie to kobiecą intuicją. Zniknęłam stąd na
niecałe pięć minut, a on już się spiknął z kimś i obraca tę
zdzirę na wszystkie strony. Jeśli ten facet myśli, że po-
dzielę się z nim moją czekoladą, to się mocno zdziwi.

Szczerzy do mnie zęby i pyta:

- Więc co słodkiego masz dzisiaj?

Przesuwam stopą po ohydny brązowym dywanie.

- Twiksa.

Unosi brwi, a ja znacząco wzdychając, przeszukuję
torebkę i wyciągam batonik. Otwieram opakowanie,
z niechęcią podaję mu połówkę, a on natychmiast ją
zjada. Czy niczego nie potrafię mu odmówić? Jestem
słaba i głupia. Gdybym miała choć trochę charakteru,
powiedziałabym mu, żeby poszedł po cholerną czeko-
ladę do Puszczalskiej Charlotte. Na szczęście nie wy-
gadałam się o tabliczce Green & Black z likierem
i o snickersach, które też chowam w torebce. Nie jes-
tem taka łatwa, jak na to wyglądam. Ha.

- Lepiej wezmę się do roboty - mówię.

- Niedługo będzie kolejny wyjazd dla pracowników
- informuje mnie Luby z cwany uśmiechem.

O, nie. Rafting mu nie wystarczy? Jeśli właśnie wy-
obraża sobie mój nagi tyłek na łodzi, to zaraz zetrę mu
z twarzy ten głupi uśmiezek.

- Lepiej sprawdź, czy wszystko jest załatwione i go-
towe.

- Co to będzie? Kolacja w Ivy? Dzień w orientálním spa?

- Gokarty! - W oku Lubego pojawia się błysk rywalizacji. Och, cudnie. Gokarty. - Wybierasz się z nami?

- Jasne - odpowiadam, nonszalancko wzruszając ramionami.

- Ekstra.

Luby rozsiada się wygodniej i krzyżuje pewnym ruchem ręce. A ja mam ochotę skopać się za własną głupotę.

- Jak pani poszło? - zapytał Fraser.

Zajęcia się skończyły i specjalnie odczekał, żeby porozmawiać z Autumn. Stał wśród resztek swych twórczych prób; odłamki szkła walały się na stole, a witrażyk, który zaprojektował w zeszłym miesiącu, nabierał kształtu. Fraser był jednym z najmniej schludnych uczniów.

Autumn wyjęła tabliczkę mlecznej czekolady Cadbury z pudełka pełnego słodczy, kupionego za pieniądze ze skoku, które dostała od Lucy. Podała mu czekoladę.

- A to za co?

- Podziękowanie od mojej przyjaciółki. I ode mnie.

- Poczęstuje się pani?

Doskonale wiedziała, że Fraser zna jej słabość do wszystkiego, co czekoladowe, tak samo jak reszta uczniów.

- Z przyjemnością.

Odłamał sobie dwie tafelki i podał tabliczkę Autumn, która zrobiła to samo. Uśmiechnęła się z zadowoleniem, ciesząc się kremowym smakiem w ustach. Pod szorstką powierzchnością Frasera, mimo ogolonej głowy i wielu kolczyków, kryło się dobre serce, a Autumn lubiła myśleć, że dzięki niej czasem się ono ujawnia.

- Dobrze poszło?
- Bardzo dobrze - odpowiedziała z pewną dumą. -

Dzięki twoim naukom.

- Pani przyjaciółka odzyskała biżuterię?
- Calutką. Nie potrafię nawet powiedzieć, jak bardzo ci jestem wdzięczna. W ciągu wieczoru podkradłam klucz do pokoju, otworzyłam zamek w walizce i włamałam się do sejfów.

- Nieźle, psze pani! - zaśmiał się Fraser.

- Prawda? Sama siebie zadziwiłam.

Autumn pokręciła głową, jakby nadal nie mogła uwierzyć, co zdołała zrobić z kumpelkami z Klubu Miłośniczek Czekolady tamtego piątkowego wieczoru. Kto by pomyślał - ona, szara mysz, politycznie poprawna, ekologiczna Autumn Fielding obdarzona takimi ukrytymi talentami!

- Ale niech to nie wyjdzie poza nas dwoje, bo stracę pracę. A wtedy za bardzo by mi Ciebie brakowało.

Miała głęboką nadzieję, że Addison Deacon nigdy się nie dowie o jej przestępczych skłonnościach. Z jakiegoś powodu nagle stało się dla niej ważne, żeby kolega z pracy miał na jej temat dobre zdanie.

- Nie puszczać farby - obiecał z pełną powagą Fraser.
- Złodzieje mają jeszcze swój honor.

- Zwykle nie pozwoliłabym sobie na coś takiego i to wszystko było dla szlachetnego celu. Być może właśnie nie pomogliśmy ocalić małżeństwo mojej przyjaciółki.

- Starła się popatrzeć surowo na podopiecznego. - Ale pamiętaj, że przestępstwo nie popłaca.

Fraser wzruszył ramionami.

- Zauważyłem, że jednak popłaca, psze pani. Czasem.

- Lepiej, żebyśmy od teraz oboje trzymali się litery prawa - westchnęła Autumn.

- Łatwo pani mówić - odparł beznamiętnie. - Pani może wrócić do swojego wygodniutkiego życia. Ja nawet po miesiącach odwyku nadal będę eksćpunem bez stałego meldunku. Wtedy trudno żyć jak należy.

- Wiem - zgodziła się cicho. - Ale przynajmniej próbujesz. Mogę ci jakoś pomóc...?

- Może pani po mnie posprzątać - odparł, szczerząc zawadiacko zęby. - Zrobiłem niezły pieprznik, a jestem umówiony.

- To zmykaj - skinęła w stronę drzwi.

- Pani jest git!

- Mam nadzieję, że to zgodne z prawem - odparła do pleców Frasera.

Ale on tylko uniósł rękę i pomachał do niej przyjaźnie. Czasem lepiej nie wiedzieć.

*

Autumn posprzątała po Fraserze i uporządkowała resztę klasy, potem wskoczyła na rower i jak co dzień zagrała w kości ze śmiercią, jadąc do domu po ruchliwych wieczornych ulicach. Miała nadzieję, że spotka dziś wieczór Addisona, ale od tamtego wieczoru, kiedy ją zapraszał na kolację, nie pojawiał się w ośrodku.

Światła paliły się w salonie, kiedy przypinała rower do poręczy. To znaczyło, że Richard jest w domu. Czas, żeby poszukał sobie pracy, zamiast przesiadywać całymi dniami w mieszkaniu, robiąc Bóg jeden wie co. Wracła do domu z ciężkim sercem. Miała ochotę oprzeć wysoko nogi i wypić kubek parującej, gorącej czekolady. Miała w szafce trochę oryginalnych płatków czekoladowych Charbonnel et Walker - myśl o nich trzymała ją przez cały dzień. Chciała być sama. Chociaż bardzo go

kochała, nie chciała słuchać rozpieszczonego braciszka, jak marudzi, że mu źle na świecie. Powinien posmakować życia dzieciaków z ośrodka, wtedy by się dowiedział, co to znaczy ciężki los. Na jego miejscu, gdyby żyła kosztem siostry, to przynajmniej trochę wysiliłaby się w ciągu dnia: posprzątała, może przygotowała kolację. On nie robił nic. Nic, dzięki czemu poczułaby, że jest jej choć odrobinę wdzięczny za pomoc. Autumn starała się zwalczyć narastającą złość. Jak mogła uważać, że może pomóc swoim podopiecznym, skoro nie umiała nawet odmienić własnego brata?

Drzwi do mieszkania były otwarte, ostatnio to nic niezwykłego. Do Richarda nieustannie ktoś przychodził bez względu na porę dnia i nocy, a zamykanie za sobą drzwi okazywało się zbyt dużym wysiłkiem. Wzięła głęboki wdech, zanim weszła do środka. Widok, który ją powitał, sprawił, że zapomniała wypuścić powietrze.

Ktoś przetrząsnął całe mieszkanie. Sofy pocięto i wyopatroszono - gąbka pokrywała podłogę. Oba niskie stoliki przewrócono do góry nogami, a czasopisma, które na nich leżały, walały się po całym pokoju porwane na strzępy. Książki pozrzucono z półek - leżały teraz w bezładnych stosach na dywanie. Wszystkie lampy potłuczono.

- Richard? - krzyknęła. - Richard!

Nie było żadnej odpowiedzi. Słyszała tylko własne serce bijące nierówno w piersi. Ktokolwiek tu był, najwyraźniej dawno temu wyszedł. Mimo to Autumn podniosła lampę z rzuńtego szkła, która kiedyś należała do jej babki. Abażur oddzielił się od reszty i Autumn trzymała podstawę jak pałkę, którą w razie potrzeby mogła kogoś ogłuszyć. Szkło chłodziło jej spoconą dłoń.

Ruszyła przez szczątki na palcach, cicho. Nogi jej się trzęsły. W kuchni wyciągnięto wszystkie szuflady i wy-

walono ich zawartość; noże, widelce, łyżki tworzyły stos pod stołem. Szafki też pootwierano; wyrzucono z nich puszki i torby z jedzeniem. Ryż, soczewica, mąka i cukier trzeszczały pod jej stopami. Cenne płatki do gorącej czekolady Charbonnel et Walker także leżały na podłodze. Autumn prawie się rozpłakała.

Te trochę jedzenia, które było w lodówce - parę jogurtów, tofu, kilka marchewek - też wywalono na podłogę. Nawet drzwiczki do piekarnika ziały otworem. Gdyby to było włamanie, po co u licha ktoś wywracałby wszystko do góry nogami? Gdzie u diabła był jej brat, kiedy to wszystko się działo? I nagle krew ścieła jej się w żyłach. Dobry Boże, może Richard był tu przez cały czas!

Popędziła do sypialni, mając wrażenie, że podłoga kołysze się jej pod stopami, kiedy zaczęło docierać do niej, co mogło się wydarzyć. Musieli to zrobić ludzie, którzy z jakiegoś powodu ścigali Richarda. Wątpliwe, żeby szukali jej zapasów czekolady, mogło chodzić o zapasy całkiem innego towaru. Kto wie, co się działo w mrocznej części życia Richarda? Nie miała pojęcia. Chyba spodziewała się go zobaczyć w pokoju, ale nie było po nim nawet śladu. Na szafce nocnej leżało trochę pieniędzy, głównie drobne, ale tak czy inaczej nikt ich nie zabrał. Najwyraźniej nie szukali pieniędzy. Gorzej, że komórka Richarda też została, a brat nigdzie się bez niej nie ruszał. To było jego koło ratunkowe. Serce podchodziło jej do gardła, gdy na głos zapytała:

- Coś ty do diabła narobił, braciszku?

Autumn już była pewna, że jej sypialnię potraktowano w podobny sposób, ale mimo to poszła sprawdzić. Nie myliła się. Jej bielizna walała się po łóżku. Skromna garderoba leżała na podłodze. Usiadła na brzegu łóżka

odrętwiała i wypuściła z dłoni podstawę lampy. Więc to jest „wygodniutkie życie”, o którym mówił Fraser, tak? Znowu rozejrzała się po zrujnowanym pokoju. Co powinna teraz zrobić? Wezwać policję? Puch się wścieknie, jeśli ich wezwie. Powinna poczekać, może brat się z nią skontaktuje. Może pojawi się jutro skruszony z jakimś nieprawdopodobnym wytłumaczeniem i okaże się, że niepotrzebnie się martwiła. To nie byłby pierwszy raz.

Mogła teraz tylko zatrzaskać drzwi i mieć nadzieję. Za żadne skarby nie chciała stanąć twarzą w twarz z ludźmi, którzy to zrobili, kimkolwiek byli - podejrzewała, że to wspólnicy brata od interesów. Prześpi się na sofie, uzbrojona w podstawę od lampy, na wypadek, gdyby wrócili. A może mogłaby zadzwonić do którejś z dziewczyn i poprosić o wsparcie? Autumn wiedziała, że Lucy natychmiast by się zjawiła i poproszona przenocowałyby u niej. Ale lepiej nie wciągać w to nikogo więcej. Sama da sobie radę.

Autumn pokręciła głową. Co mogło się stać z Richardem? Sytuacja wyglądała poważnie. Jeśli wpakował się w coś złego - to jak bardzo? Gorące łzy popłynęły jej po twarzy. Wytarła je figami, które akurat trzymała w ręce. Mogła się tylko modlić, by udało mu się uciec przy pierwszych sygnałach kłopotów i gdzieś się przyczaić - może u kogoś z przyjaciół. Jeśli zostali mu jeszcze jacyś przyjaciele. Mogła tylko czekać, aż brat wróci. Została jej nadzieja, ale zdawała sobie sprawę, że to może być płonna nadzieja.

Nadia uśmiechnęła się do synka, który bawił się u jej stóp i właśnie skończył talerzyk czekoladowych herbatników, które razem pogryzali. Był w stanie zjeść niemal równie dużo czekolady jak ona, ale był tak aktywny, że bez problemu spalał kalorie - w przeciwieństwie do niej. To różnica między trzylatką i trzydziestotrzylatką. Na całej podłodze w salonie rozstawił farmera Gillesa i beztrzesko pełzał wśród zabawek.

- To jest niebieska świnka - tłumaczył mamie.

Przyklęknęła obok syna i wzięła niebieską świnkę, którą jej podawał. Według niej bardziej przypominała krowę i w dodatku była brązowa. Doświadczenie mówiło jej, że prawdopodobnie ma rację. Kolejna z nielicznych korzyści skończenia trzydziestu trzech lat. Musi więcej bawić się z Lewisem kolorami. Zwierzętami z farmy też, skoro już o tym mowa. W ten weekend przypadały czwarte urodziny Lewisa i może to będzie dobry pretekst, żeby pojechali na wieś i odwiedzili jedną z farm dla dzieci teraz takich popularnych. Może dzięki temu synek zacznie odróżniać świnki od krów. Musi sprawdzić, czy Toby pracuje w sobotę; teraz był bardzo zajęty i Bogu dzięki przyjmował wszystkie zlecenia. Jeśli coś mu wypadnie, to może uda im się wyrwać w niedzielę.

- Słoń - oznajmił Lewis, pokazując kolejne nie-
szczęsne stworzenie.

To była owca.

- To owieczka - sprostowała. - Owca.

- Owca - powtórzył synek.

- A co mówi owieczka?

- Muu - zamuczał z pełnym przekonaniem syn. -
Muu. Muu. Muu.

Ewidentnie czekało ją sporo pracy.

Bywały chwile, kiedy bycie matką na pełen etat śmiertelnie ją nudziło i marzyła o towarzystwie dorosłych i inteligentnej rozmowie - czy choćby jakiegokolwiek rozmowie. Ale wiedziała, że jeszcze zatęskni za tym szczególnym okresem, gdy spędzała czas tylko z Lewisem, ucząc go świata albo bawiąc się z nim jak teraz. Dziś rano przyszła pocztą oferta pracy. Odbęła rozmowę w zeszłym tygodniu i była zachwycona, że tak szybko odpowiedzieli. To była propozycja pracy na pół etatu i w godzinach szkolnych, co oznaczało, że kiedy Lewis pójdzie do szkoły, będzie musiała szukać opieki tylko w ferie. Praca zapowiadała się dość ciekawie - w dziale marketingu miejscowej gazety. To nie poziom, do którego kiedyś przywykła, aks też nie było na co kręcić nosem. Płacili fatalnie, ale tak to jest, gdy bierze się pół etatu. Najczęściej to i tak był właściwie cały etat, tylko upchnięty w krótszych godzinach i z gorszą płacą, ale w tej chwili nie mogła wybrzydzać.

Nadia chciała jak najszybciej oddać pieniądze Chantal, a przy takich zarobkach nie będzie to łatwe, chociaż przyjaciółka nie oczekiwała żadnych procentów i upierała się, że nie ma co się spieszyć ze spłatą. Mimo to pożyczka ciążyła Nadii na sumieniu; chciała jak najszybciej pozbyć się długu. Toby też to rozumiał i na-

prawdę bardzo się starał. Odesłał klientom stos faktur i Nadia miała nadzieję, że to znaczy, że już wkrótce zaczęną spływać pieniądze. Toby był już na kilku spotkaniach Anonimowych Hazardzistów i chociaż szczerze ich nie cierpiał, była mu wdzięczna, że nadal tam chodzi.

Uśmiechnęła się do siebie. Gdyby jej mąż wiedział, co zrobiły w piątkowy wieczór. Bogu dzięki, że udało im się wyciągnąć biżuterię Chantal od tego łachudry i że wszystko potoczyło się według planu. Toby myślał, że po prostu umówiła się z dziewczynami na drinka. Zastanawiała się, co by pomyślał, gdyby mu powiedziała, gdzie naprawdę były i co robiły. Nawet nie wyobrażał sobie, że i ona potrafi oszukiwać. Nie zaszkodzi jednak, jeśli będzie miała mały sekrecik. Bóg jeden wie, jak wiele wcześniej on ukrywał przed nią. Na szczęście to już mają za sobą. Może pewnego dnia opowie mu i szczerze się z tego uśmieją.

- Hau-hau - powiedział, marszcząc czoło Lewis. - Nie mogę znaleźć hau-hau.

Skupiła się na synu.

- Musi gdzieś tu być.

Chodziło o czarno-białego owczarka z odgryzionym ogonem, ulubioną zabawkę Lewisa z farmy. Nadia rozejrzała się po zwierzątkach. Nigdzie nie widać było hau-hau. Właściwie brakowało wielu elementów z zestawu. Brakowało rozklekotanego traktora z przyczepą pełną pniaków, samego farmera Gilesa w tweedowej marynarce, kilku zagród dla zwierząt, kawałków ogrodu, wietnamskich świnek i całego zestawu baniek na mleko, jakich prawdziwi farmerzy nie używali od najmarniej pięćdziesięciu lat. Gdzie je ostatnio widziała?

- Myślę, że hau-hau jest w pudełku z zabawkami - wytłumaczyła synowi. - Poczekaj tutaj, mamusia go poszuka.

Wstała, przeciągnęła się i poszła na górę do sypialni Lewisa. W pudle z zabawkami jak zwykle panował bałagan. Nadia zastanawiała się, czy córeczka byłaby bardziej schludna. Ale wtedy przypomniała sobie swój własny pokój dziecienny i uznała, że pewnie nie. Może jeśli za kilka lat wyjdą z Tobym z długów, będą mogli pomyśleć o następnym dziecku, zanim Lewis będzie zbyt duży. Byłoby miło mieć też córeczkę.

Przeszukiwała półki zabawek, przesuwając misie, układanki, samochodziki i koparki. Pokręciła głową.

- Ten dzieciak mógłby oddać część zabawek FAO Schwarz - powiedziała na głos. - Nic dziwnego, że nie mamy pieniędzy.

Część zabawek zdecydowanie kwalifikowała się na garażową wyprzedaż.

- Szybciej, mamusiu! - zawołał z dołu schodów Lewis.

- Policz wszystkie owieczki - odrzyknęła. - To te z białym futrem i czarnymi buziami. Zaraz zejść.

Cmokając pod nosem, zaczęła znowu szukać, zanurzyła ręce w pudle z brakującymi elementami farmy, z mocno już pogryzionym hau-hau. Przyciągnęła pudło na brzeg półki, a przy okazji złapała za czarny pasek. Pociągnęła silniej i czarny pasek wychylił się mocniej z pudła. A za nim czarna torba. Czarna torba do laptopa.

Nadia miała serce z gardle, kiedy wyjmowała torbę z pudła. To był laptop. Nowy. Co robił schowany w pudle z zabawkami Lewisa? Natychmiast domyśliła się i żołądek zacisnął jej się w supełek. Zabrała urządzenie do gabinetu i grzebiąc w kablach, podłączyła do

modemu. Drżącymi rękoma włączyła komputer i poczekała chwilę. Kliknęła na ikonkę internetu i okazało się, że znowu mają szerokopasmowe połączenie z siecią. Najwyraźniej Toby ponownie podłączył się do internetu.

Zrobiła przegląd i szybko odkryła - jak zresztą podejrzewała - że odwiedzał wirtualne kasyna. Mąż ją oszukał. Tym razem jeszcze usilniej starał się ukryć prawdę. Po tym, co przeszła, żeby pożyczyć pieniądze od Chantal i spłacić długi, on znowu zaczął grać, tym razem po kryjomu. I musiał też zdobyć jakąś kartę kredytową. W dzisiejszych czasach to nic trudnego, bo banki wręcz ustawiają się w kolejce, żeby zaoferować łatwy kredyt. To dopiero ich spłata była trudna. Zrobiło jej się niedobrze. Jak szybko znowu utoną w długach? Nadia wylogowała się, zamknęła komputer i schowała go do torby. Wróciła do pokoju Lewisa i odłożyła laptop z powrotem do kryjówki. W głębi duszy płakała, ale musiała pozostać twarda. Trzeba z tym skończyć. Musiała tylko zdecydować, w jaki sposób.

Zebrała zabawki z farmy i zeszła z ciężkim sercem do syna. Cokolwiek się wydarzyło, nie może się odbić na Lewisie. On był całym jej życiem. Jej jedyną radością.

- Patrz, co dla ciebie mam - powiedziała i uśmiechnęła się promiennie.

- Hau-hau! - krzyknął Lewis. - Znalazłaś go!

Niestety nie tylko jego, pomyślała ze smutkiem Nadia.

Ted ledwo się odzywał do Chantal w czasie weekendu. Po ich niemalże idealnym piątkowym wieczorze przeprowadził się do wolnego pokoju - nigdy wcześniej tak nie robił. Był bardziej oziębły niż zazwyczaj. Został w klubie golfowym dłużej niż normalnie, kolację jedli w całkowitej ciszy, jeśli pominąć kilka wymamrotanych uprzejmości. Potem Ted gapił się w telewizor, całkowicie ignorując Chantal. Była jeszcze bardziej sfrustrowana niż zwykle. Cóż, ale w tę grę mogą wchodzić dwie osoby. Jeśli Ted zamierza ją karać, odsuwając się jeszcze bardziej, to ona zadba, żeby dostać swoją dawkę przyjemności gdzie indziej.

Leżała na sofie i sączyła dobry shiraz. Myślenie o Jazzie i jego jędrnym, młodym cielem podniecało ją. Fakt, że potrzebowała męskiej prostytutki, żeby zaspokoić potrzeby, był daleki od ideału - która kobieta chciałaby znaleźć się w takim położeniu? Ale jeśli nie było innego wyjścia, to pójdzie i na to. Nie było mowy, żeby w tym wieku radziła sobie bez seksu. Musiała przyznać, że zaszokowały ją słowa Teda o posiadaniu dzieci. Chantal była święcie przekonana, że w tej kwestii nadawali na tej samej fali. Żadne z nich nie chciało mieć dzieci - współczuli przyjaciółom, którzy wpadli w tę pułapkę. Kiedy zmienił zdanie? Jeśli jednak nie za-

mierza z nią sypiać, to problem dzieci sam się rozwiązuje.

Zastanawiała się, dlaczego Ted nie potrafił usiąść z nią i spokojnie tego przedyskutować. Może dlatego, że wiedział, że ona nigdy by się nie zgodziła. Jej własna rodzina była tak chora, że za żadne skarby nie chciała powtarzać tego błędu. Nie chciała wydawać na świat potomstwa i narażać go na to, co sama przeszła. Nie przypominała sobie, żeby jej mama albo tata chociaż raz powiedzieli, że ją kochają. Jedynaczką Chantal była traktowana jak konieczne utrapienie. W tamtych czasach po prostu miało się dzieci - nie było wyboru. Ale to nie znaczy, że po narodzinach dziecka ludzie automatycznie stawali się cudownymi, troskliwymi rodzicami. Jej rodzice ciężko pracowali, co oznacza, że często zostawała sama w domu i musiała samodzielnie dbać o swoje potrzeby. Czasem się uczyła. Czasem piła jacka danielsa z ich barku koktajlowego, a potem dolewała do butelek herbaty. Przez całą szkołę starała się mieć najlepsze wyniki, nie tracąc nadziei, że pewnego dnia zdobędzie uczucia rodziców, ich podziw, ich miłość. Nigdy jej się to nie udało. Bycie piątkową uczennicą nie zapewniło jej głównej nagrody. Była utalentowanym muzykiem, tak jak tego od niej oczekiwano. Jednak odkąd opuściła dom, nigdy więcej nie zagrała na fortepianie.

Rodzice nadal żyli, ale nie odgrywali specjalnej roli w jej życiu. Kontakty ograniczały się do dziwacznych, podszytych wyrzutami sumienia telefonów i kartek na święta oraz z okazji urodzin. Bez wątplenia, gdyby nadal byli zaangażowani w jej życie, znaleźliby coś, czego by nie pochwalali. Nawet Ted - przystojny, czarujący i z przyszłością - nie zrobił na nich wrażenia, gdy

starał się o jej rękę. Czego dla niej chcieli? W ogóle brali pod uwagę jej szczęście? Można sobie wyobrazić, jakimi byliby dziadkami, skoro nie umieli się przejąć własnym dzieckiem. I po co Chantal miałaby chcieć dziecka - żeby przekazać mu wszystkie nerwice? Żeby też czuło się niekochane i pozbawione poczucia bezpieczeństwa z powodu jej kaprysu? Nigdy tego nie planowała. Latami mówiła, jaki jest jej stosunek do dzieci, i Ted zawsze się z nią zgadzał. Ani razu nie usiadł z nią i nie powiedział, że pewnego dnia chciałby mieć rodzinę. Dlaczego nigdy tego nie zrobił? Czuł, że jeśli powie, co myśli, straci ją? Czy to nie jest typowe dla mężczyzn - unikać trudnego tematu, żeby uniknąć kłopotliwej rozmowy? Zawsze zakładała, że Ted czuje podobnie jak ona. Teraz okazuje się, że się myliła.

Żadne z nich nie było dobre w przeproszaniu, więc milczenie mogło potrwać dość długo. Żeby się czymś zająć, Chantal wysłała Jazzowi e-mail, prosząc o spotkanie w tym tygodniu. Skoro mąż jej nie chciał, to nie znaczy, że ona nie może się zabawić. Jej zdaniem lepiej zabawić się z Jazzem, niż ryzykować, że znowu podezwie jakiegoś łachudrę w barze. Zastanawiała się właśnie nad tym, kiedy do pokoju wszedł Ted i rzucił jej na kolana kawałek papieru. To była odpowiedź na jej e-maila brzmiąca po prostu: „Czwartek ci pasuje? Jazz”.

W ustach jej zaschło. Spojrzała na Teda.

- Jazz?

Chantal beztrudno zrzuciła papier na podłogę.

- Klient.

- Nie sędzę - z gniewem odpowiedział Ted.

- Jak sobie uważasz - odparła chłodno, chociaż w głębi duszy cała się trzęsła. - Jakie to ma dla ciebie znaczenie?

- Ma, kiedy na koncie brakuje ponad trzydziestu tysięcy funtów.

Zupełnie jakby zrzuciono jej na brzuch ołowiany odważnik.

- Pożyczyłam te pieniądze przyjaciółce. Miała kłopoty.

- Powiesz mi, kto to taki?

- Nie. Nie zamierzam.

- Rozmawiałem z Lucianem Barringtonem w tym tygodniu. Mówił, że Amy widziała cię w holu hotelu St. Crispin. Mówiła, że dziwnie się zachowywałaś. Że ją spławiłaś.

- To nudziara i plotkara. Byłoby dziwniejsze, gdybym rzeczywiście poszła na drinka z nią i jej mężem, tak jak nalegała.

- Powiedziała Lucianowi, że w recepcji pytał o ciebie młody mężczyzna, który nazywał się Jazz i poszedł do twojego pokoju.

Chantal zagapiła się przed siebie. Mogłaby się dalej wypierać, próbować się jakoś wybronić, jeszcze raz wytłumaczyć Tedowi, że to był jej klient, wymyślić coś przekonującego, ale po co? Może nadszedł czas na szczerą rozmowę. Chantal zacisnęła usta i wzięła głęboki wdech.

- Przyznaję się do winy - powiedziała beznamytnie, patrząc na męża. - Spotykałam się z innymi mężczyznami.

- Mężczyznami? Wieloma? - Ted zacisnął pięści i pobladł.

- Tak. - Uniosła wyzywająco podbródek, choć w głębi duszy miała ochotę rzucić się na podłogę i płakać. W gruncie rzeczy wiedziała, że kiedyś nadejdzie ten dzień - dzień sądu - ale nigdy nie podejrzewała, że okaże się to aż tak bolesne.

- Więc to chyba zamyka sprawę.
- Ted... - zaczęła.
- Wynoś się. Zejdź mi z oczu.

Wstała i podeszła do niego. Teraz, kiedy wszystko się wydało, było jej niedobrze i zbierało jej się na wymioty. Chciała, żeby Ted jej wybaczył, ale nie wiedziała, jak o to poprosić.

- Nie chcę, żeby nasze małżeństwo się rozpadło - powiedziała, dotykając ostrożnie jego ręki. Odsunął się.
- Chcę wrócić do tego, co mieliśmy. Powinniśmy porozmawiać. Powinniśmy porozmawiać o tym, co teraz.

Na twarzy Teda malował się ogromny ból i nienawiść.

- Będziemy rozmawiać tylko i wyłącznie przez naszych prawników, Chantal.

Napisałam do wszystkich dziewczyn, żeby spotkały się ze mną w Czekoladowym Niebie na szybkiego drinka i kęs ulubionego towaru pod koniec dnia. Jacob miał się zjawić dopiero za godzinę i pomyślałam, że będziemy miały okazję z koleżankami współpracownikami zbrodni pogadać o piątkowych wydarzeniach, gdy będę na niego czekała - zwłaszcza że tak bezceremonialnie padłam, zanim miałyśmy okazję w stosowny sposób oblać sukces. Oprócz tego chciałam, żeby członkinie Klubu Miłośniczek Czekolady poznały mojego nowego chłopaka. Chcę, żeby się przekonały, że mogę poderwać świetnego, przystojnego, miłego faceta, który nie jest emocjonalnym popaprańcem.

Już pochłaniam z entuzjazmem stos truflí, pracując nad teorią, że mniej nie zawsze znaczy więcej, kiedy zjawia się Chantal. Siada z rozmachem na sofie i opiera głowę z ciężkim westchnieniem. Wygląda na bardziej przybitą niż zwykle. Ma zmęczoną i ściągniętą twarz. Apatycznie bierze truflę i wrzuca do ust. Brakuje typowego westchnienia rozkoszy.

- Kłopoty?
- Ogromne.

Myślałam, że po odzyskaniu skradzionej biżuterii - i to w jakim stylu! - będzie tygodniami unosić się kilka

centymetrów nad ziemią. Panika sprawia, że żołądek mi się zaciska, odsuwając na bok przyjemność z truflii.

- Pan John Smith, złodziej dżentelmen od biżuterii, odezwał się?

- Nie. - Machnęła ręką. - Moje kłopoty dotyczą domu.

- Postawię ci drinka. - Dziewczyna wygląda, jakby potrzebowała podwójnej brandy. - A potem o wszystkim mi opowiesz.

- Wezmę gorącą czekoladę - odpowiada Chantal i spieszy się złożyć zamówienie u Clive'a.

Chwilę potem siedzi już z parującym kubkiem czekolady w rękach. Od razu lepiej wygląda. Czekolada naprawdę ma lecznicze właściwości. Kobiety na całym świecie wiedzą o tym. Kiedy czekolada zdążyła już podziałać, Chantal zerka na mnie.

- Ted mnie wyrzucił - mówi i wzrusza ramionami, widząc moją zaszokowaną minę.

- Wyrzucił? Dlaczego?

- Zauważył, że na koncie brakuje pieniędzy, nie uwierzył w moje tłumaczenia.

- Nadia będzie się fatalnie czuła z tego powodu.

- Nie mów jej - prosi Chantal. - Ma dość własnych zmartwień. A tak naprawdę nie chodzi o pieniądze. Pojawily się bardziej... palące kwestie.

- Nadal nie sypiacie ze sobą?

Chantal śmieje się, trochę jak wariatka.

- Uwierzyłyabyś, że spędziliśmy cudowny wieczór, kiedy w piątek wróciłam do domu? Szalona namiętność na sofie. Pierwszy raz od miesiący. - Śmieje się z ironii sytuacji. - A potem dowiedziałam się, że Ted chce mieć dzieci. - Patrzy na mnie zdziwiona. - Wie, co myślę o dzieciach. Wszyscy o tym wiedzą.

- Może zmieni zdanie - sugeruję kojąco. - Albo ty zmienisz.

- Nie chcę mieć dzieci - upiera się Chantal. - Nigdy nie chciałam i nigdy nie będę chciała.

- A Ted jest zdecydowany na sto procent?

- Tak.

- Więc to koniec?

- Na to wygląda. - Kiwa głową.

- Co zrobisz? Dokąd pójdziesz? Gdybym nie mieszkała w pudełku na buty, mogłabyś zamieszkać u mnie. Mogę ci zaproponować swoją sofę, póki wszystkiego sobie nie ułożysz.

- Spakowałam dziś rano walizkę, obdzwoniłam przyjaciół i znajomych, i znalazłam kogoś, kto wynajął mi mieszkanie na kilka miesięcy. - Chantal uśmiechnęła się niepewnie. - Dziś po południu przeprowadziłam się do umeblowanego mieszkania z dwiema sypialniami w Islington.

- Rety. - Jestem pod wrażeniem tempa.

- Nie można mi odmówić zaradności - mówi z żalem.

Zanim zdążę powiedzieć coś więcej, zjawiają się Autumn i Nadia. Siadają z nami, szarpiąc się z kurtkami i rzucając torebki. Clive podchodzi z notatnikiem w rękę.

- Jak się miewają moje ulubienice?

- Świetnie - odpowiadam, chociaż „różnie” bardziej by pasowało, ale to wymagałoby dalszych wyjaśnień, a nam potrzeba czekolady.

Nasz drogi gospodarz przyjmuje zamówienie i znika, żeby zaspokoić nasze potrzeby. Trzeba dodać, że ani Autumn, ani Nadia nie wyglądają na szczególnie radosne.

- Gadajcie - ciągnę je za język.

Nadia odzywa się pierwsza:

- Odkryłam, że Toby znowu gra. Odchodzę od niego.

Wybuchamy z Chantal śmiechem.

- Co? - rzuca nachmurzona Nadia. - Co w tym śmiesznego?

Łzy płyną mi po policzkach i sama nie wiem, ze śmiechu czy ze smutku.

- To nie jest śmieszne. - Staram się zapanować nad histeryczną reakcją. - To wcale nie jest śmieszne.

- Właśnie, że jest - upiera się Chantal, łapiąc się za brzuch. - Właśnie odeszłam od Teda.

Teraz i Nadia zaczyna się uśmiechać.

- Idealne zgranie w czasie - stwierdza, śmiejąc się słabo. - Żałosna z nas gromadka.

Kiedy się już uspokoiłam, pytam:

- Dokąd pójdziesz? Co zrobisz?

Pytania wydają się nie na miejscu w tej chwili, ale i tak je zadaję.

- Jeszcze nie wiem - przyznaje.

- Wprowadź się do mnie - mówi Chantal. - Właśnie wynajęłam świetne mieszkanie i mam wolny pokój.

Nadia kręci głową.

- Nie sądzę, żeby mój skromny budżet pozwalał na cokolwiek z twojej ligi.

- To żaden problem. Płać tyle, ile możesz - odpowiada z przekonaniem. - Wolę mieszkać z kimś, kogo znam, niż siedzieć tam sama. Możemy znowu być młode i wolne.

- W moim wypadku nie tak całkiem wolne - poprawia ją Nadia. - Zapomniałaś o Lewisie?

Najwyraźniej Chantal nie wzięła pod uwagę dziecka, ale szybko się otrząsa.

- Nie ma sprawy - odpowiada radośnie, jednak w jej głosie pojawia się dziwne napięcie.

- Na pewno?

- Jasne. Damy sobie radę.

Patrzą na siebie ze smutkiem.

- Z przyjemnością - mówi cicho Nadia i ściska jej rękę. - Zyskam trochę przestrzeni, żeby złapać oddech.

- Więc to ustalone. Zapiszę ci adres. Przenieś rzeczy, jak będziesz gotowa.

Pojawia się Clive z tacą pełną zamówionych smakołyków.

- Wyglądacie, jakby wam to było dziś potrzebne - ocenia.

Trudno o bardziej prawdziwe stwierdzenie. Wszystkie rzucają się na czekoladę.

- Ja też zostałam sama - odzywa się cicho Autumn.
- Richard zniknął.

Żadna z nas się nie śmieje, bo dobrze wiemy, jak bardzo Autumn martwi się o brata.

- Moje mieszkanie zdemolowano - ciągnie łamiącym się głosem. - A mój brat zaginał.

- Och, Autumn.

- Nie miałam od niego żadnych wieści do tej pory. - Wzdycha nieszczęśliwie. - Myślałam, żeby iść na policję i zgłosić jego zaginięcie, ale jak mam to wszystko wyjaśnić? Richard zabiłby mnie za mieszkanie w to policji. Nie mam pojęcia, co zrobić, chyba tylko czekać.

Żadna z nas nie wyskakuje z genialnym pomysłem.

- Powiedz nam, że u ciebie wszystko w porządku, Lucy - odzywa się Nadia. - Potrzebujemy, żeby chociaż u jednej z nas było dobrze.

- U mnie w porządku - odpowiadam. - Jestem szczęśliwa. Marcus raz na zawsze zniknął z mojego

życia i mam teraz nowego, świetnego chłopaka. Moje życie jest usłane różami.

- Bogu dzięki - wzdycha Nadia.

- Jacob przyjdzie za kilka minut - mówię przyjaciółkom. - Chcę, żebyście go poznały. Nie wiem, czy to ten jedyny, ale naprawdę go lubię.

- Świetnie - cieszy się Chantal. - Musisz to wykorzystać.

Uśmiecham się nieśmiało.

- Mam spore nadzieje co do tego związku.

I jak na sygnał pojawia się Jacob.

56

Jacob wchodzi do Czekoladowego Nieba i prezentuje się po prostu bosko. Ma seksowny, ciemny garnitur, blond włosy zmierzwione we właściwy sposób. Ogarnia mnie duma. Ten facet spotyka się ze mną! Ha, ha!

Kiedy mnie widzi, macha do mnie i podchodzi. I wtedy Chantal aż sapnęła. Ale nie z rozkoszy, tylko przerażenia. Jacob zawahał się, ale nadal idzie do nas pewnym krokiem, ze słonecznym uśmiechem na ustach. Chantal zagryza nerwowo wargi, a jej ciało sygnalizuje krańcowe zmieszanie.

- Co? - dopytuję się. - Co jest grane?

Cała grupa milknie. Autumn i Nadia też nie wiedzą, o co chodzi.

Jacob podchodzi do nas.

- Cześć - mówi nienaturalnie radosnym tonem.

- Cześć - odpowiadam.

Mój głos drży z niepokoju i nie wiem czemu. Czuję, że powinnam wstać i pocałować go na powitanie, czy coś takiego, ale niczego nie robię. Więc on stoi zakłopotany tym, że nadal siedzę, jakbym zapuściła korzenie.

- Miło cię widzieć. To moje przyjaciółki. Autumn, Nadia i... Chantal. - Widzę, że mój chłopak i przyjaciółka zerkają na siebie niespokojnie. Gdzieś w moim

ogłupiałym mózgu zapala się lampka. - Ale wy już się chyba znacie.

- Cześć, Chantal - mówi cicho Jacob. Poprawia nie-spokojnie kołnierzyk koszuli.

- Jazz - mówi ona.

- Jazz? - Patrzę na nią, oczekując wyjaśnienia, ale ona milczy.

Zamiast niej odzywa się Jacob:

- Znam twoją przyjaciółkę. Z pracy.

Mam przeczucie, że nie udzielał jej wywiadu do „Amerykańskiego Stylu”. Nazwijcie to kobiecą intuicją albo złóżcie to na karb licznych doświadczeń ze zdradą z czasów Marcusa, ale czuję, że między tym dwojgiem zdecydowanie coś... iskrzy, jest jakaś chemia, wspólna historia. Nie wiem co, jednak z pewnością chciałabym się dowiedzieć.

- Skąd? Skąd się znacie? Z jakiej pracy?

- Myślę, że Chantal wszystko ci wyjaśni - odpowiada Jacob.

Jego pewność siebie znika i nagle wydaje się samotny i odsłonięty.

- Powiedz mi, co tu jest grane - zwracam się do Chantal.

A ona wbija wzrok w kolana.

- Pewnie potem nie będziesz już chciała mnie znać, Lucy - ciągnie ze smutkiem Jacob. - Ale jeśli tak, to naprawdę chciałabym, żebyś do mnie zadzwoniła. Naprawdę lubiłem twoje towarzystwo, ten krótki czas spędzony razem. Świetnie się bawiłem. Myślałem... - Odchrząkuje, szukając właściwych słów. - Myślałem, że łączy nas coś szczególnego.

Odbiera mi mowę. Do tego stopnia, że nie mówię ani słowa, patrząc, jak Jacob odwraca się i odchodzi.

Dziewczyny kręcą się, a ja siedzę w katatonicznym bezruchu.

- Więc... - odzywam się w końcu do Chantal. - Zdradzisz mi swój sekrecik?

Zmusza się, żeby spojrzeć na mnie, i jąka:

- Twój chłopak... Jacob... Jazz... jest facetem do towarzystwa.

- Do towarzystwa? W jakim sensie? - Próbuję sobie przypomnieć, czy Chantal była ostatnio na jakichś eleganckich przyjęciach, gdzie potrzebowała osoby do towarzystwa, kogoś, kto nie byłby jej mężem.

- Lucy... - wzdycha poirytowana i unosi brwi.

I wtedy dociera do mnie, że nie chodziła na żadne przyjęcia. Czekam chwilę, aż to do mnie w pełni dotrze.

- Wynajmowałam go - ciągnie Chantal.

- Do czego?

Pozostałe członkinie Klubu Miłośniczek Czekolady kręcą się nerwowo.

Nagle krew uderza mi do mózgu i wszystko staje się wręcz potwornie jasne.

- Pieprzyłaś się z moim chłopakiem?

Pytanie wybrzmiewa okropnie głośno, chociaż ledwo je z siebie wydusiłam, i w Czekoladowym Niebie zapada cisza, gdy pozostali klienci odwracają się zainteresowani awanturą.

- Lucy - stara się przemówić mi do rozsądku - nie wiedziałam, że to twój chłopak. Nie miałam pojęcia, że Jacob i Jazz to ta sama osoba. Skąd mogłam wiedzieć?

Ledwo mogę się zmusić do oddychania.

- Mój chłopak jest chłopcem do wynajęcia?

- Nie tylko - parska Chantal. - To mężczyzna do towarzystwa.

- Któremu płaciłaś za seks - warczę.

Moja przyjaciółka ma dość przyzwoitości, żeby się zarumienić.

- To nie jest tak ohydne, jak się wydaje. On jest prawdziwym zawodowcem.

- Świetnie. Cudownie. Nie chciałabym myśleć, że płaciłaś za usługi kiepskiej jakości.

- Przepraszam. Naprawdę przepraszam. Wiem, że go bardzo lubisz.

- Lubiłam - poprawiam ją. - Jak mam mu teraz spojrzeć w twarz, wiedząc, co robi, wiedząc, że ty... ty spałaś z moim facetem, a ja nie.

Chciałabym schować twarz w dłoniach i wypłakać sobie oczy. Jacob wydawał się taki kochany, a nasza rozwijająca się przyjaźń, nasz związek... nie wiem teraz, jak to nazwać... w każdym razie to pomogło mi rozstać się z Marcusem. Nigdy nie twierdziłam, że „wszyscy mężczyźni to świnię”, ale w tej chwili ta teoria wydaje mi się nad wyraz pociągająca. Dlaczego znowu tak łatwo dałam się oszukać? Ponieważ główny oskarżony pospiesznie zniknął - kto by go winił - cały gniew kieruję na Chantal.

- Myślałam, że jesteś lepszą przyjaciółką. Nie mogę uwierzyć, że widywałaś się z nim za moimi plecami.

- Nie widywałam się z nim. Wynajmowałam go na godzinę.

- A ile płaciłaś?

- Lucy. Nie zdręczaj się.

- Chcę wiedzieć.

- Dwieście funtów za godzinę.

Autumn i Nadia biorą głośny wdech. Ja też bym wzięła, gdybym w ogóle jeszcze oddychała. To kupa kasy, niezależnie od poziomu życia.

- Jest dobry? - pytam wściekła.

Twarz Chantal jest kompletnie bez wyrazu.

- Tak. Jest bardzo dobry.
- Nie chciałam tego wiedzieć - jęczę. - Naprawdę nie chciałam tego wiedzieć!

Chantal próbowała skontaktować się ze mną ze sto siedemdziesiąt dziewięć razy, ale nie odbieram jej telefonów. Jestem totalnie podłamana i szczerze mówiąc, mam do tego pełne prawo. Komórka znowu dzwoni i numer Chantal pojawia się na ekranie, więc pozwalam, żeby się przełączyła na pocztę głosową, i chowam telefon z powrotem do kieszeni.

- Cześć, Ślicznotko - mówi Luby, stając obok. - Skąd ta smutna mina?

Na to też nie mam nastroju. Na wyścigi gokartów w celu zacieśniania więzi w zespole. Wszyscy inni radośnie skaczą, nie mogąc się doczekać startu, a ja stoję samotna w swoim nieszczęściu i nienawidzę każdej minuty. Jesteśmy w Docklands, a tor znajduje się gdzieś na pustkowiu wokół Millennium Dome. To miejsce zapomniane przez Boga i ludzi; jedynie wiatr wyje nad akrami czarnej, płaskiej nawierzchni toru. Dlaczego nie zbudowano tu sklepu z markowymi ciuchami? Moim skromnym zdaniem o wiele lepiej wykorzystano by przestrzeń.

Oglądaliśmy instruktaż dla kierowców na DVD w odważnie pomalowanym baraku - to tylko dodawało grozy sytuacji - i teraz czekamy przy torze, aż zacznie się szampańska zabawa. Ekipa sprzedawców dosłownie

się rwie, mnie końmi by nie zaciągnęli do tych idiotycznie wyglądających samochodzików. Dlaczego dorośli mężczyźni dowolnego wieku nadal muszą się bawić zabawkami, żeby udowodnić, jacy są mężczyźni? To cecha psychologiczna zdecydowanie zbyt skomplikowana, żebym się teraz nad nią zastanawiała. Nie muszę chyba dodawać, że jestem z tej okazji ubrana w wyjątkowo nietwarzowy czerwony kombinezon, który za bardzo opina się na moim wielkim, tłustym tyłku, a biały kask przylizuje mi włosy, które tak długo układałam, mając nadzieję, że dzięki temu odzyskam część osłabionej pewności siebie. Dlaczego wszystkie nasze zabawy zespołowe wymagają ubierania się w okropne ciuchy? Dlaczego nie wiążą się z wyszczuplającymi, czarnymi markowymi strojami? Następnym razem ja wybiorę ćwiczenia zespołowe i zobaczą, o ile to będzie przyjemniejsze. Ha. Tydzień w spa w Tajlandii naprawdę by mi odpowiadał.

Patrzę na Lubego i słowa „spływaj” cisną mi się na usta.

Obejmuje mnie za ramiona.

- Ktoś ci ukradł zapas czekolady?

- Nie - odpowiadam oschle. - Dowiedziałam się, że moja najlepsza przyjaciółka bzykała się z moim chłopakiem.

- Ups, niedobrze. - Na twarzy Lubego maluje się troska.

- Rzeczywiście.

- To ci poprawi humor.

Jasne. Pomoże mi bezsensowne śmiganie po torze w żałosnych zabawkach dla chłopców. Nie wymyśliłabym niczego bardziej kojącego dla zbolełego serca. Ale równie dobrze mogę spróbować, zwłaszcza że dzisiejsze

marsy, bounty, czekoladki z rachatłukum, dwie paczki rolosów, całe pudełko czekoladek Thorntons Continental, trzy tabliczki czekolady z orzechami laskowymi i porzeczkami Green & Black nic a nic mi nie pomogły.

Pan Aiden Holby ściska mnie przyjacielsko.

- Zadbam, żebyś się dobrze bawiła, Ślicznotko - mówi, szczerząc zęby. - Na torze zleję ci ten twój tyłek jak brzoskwinka.

Hmm. Więc uważa, że mam tyłek jak brzoskwinka? Uśmiecham się mimo bólu.

- Chciałabym zobaczyć, jak próbujesz.

- Dziesięć funtów, że cię pokonam.

- W porządku.

Podajemy sobie dłonie, przypieczętowując zakład.

- Uwielbiam kobiety, które nawet się nie orientują, że dostają w tyłek.

Chociaż jesteśmy wśród ludzi z pracy i wokół stoi cały zespół sprzedawców, całuje mnie cokolwiek przeciągle w policzek. I wtedy kątem oka dostrzegam Puszczalską Charlotte od obsługi telefonicznej sunącą w stronę toru. Luby puszcza mnie i na jej widok uśmiecha się jeszcze szerzej. Znowu ogarnia mnie mroczny nastrój. O co chodzi z tymi całusami, flirtem i Ślicznotką? Nie jestem głupia i potrafię zauważyć, kiedy facet mnie puszcza, jakbym była rozgrzany do czerwoności węglem, bo pojawiła się jego dziewczyna. Więc jednak nie jestem aż tak śliczna? Ha! Oto kolejny cholerny samiec alfa, który myśli, że może się bawić moimi uczuciami. Jestem pewna, że para już mi bucha nozdrzami.

- Do zobaczenia na torze - mówi i zostawia mnie, żeby przywitać się z tamtą.

- Masz to jak w banku - mruczę pod nosem.

Kilka minut później siedzę w gokarcie przypięta pasami i w podwójnej uprzęży, niebezpiecznie nisko zawieszona nad nawierzchnią. Kolumna kierownicy znajduje się między moimi kolanami w bardzo niewygodnym dla damy miejscu. Luby siedzi trzy samochodziki przede mną - jako szefowi musimy pozwolić mu jechać na przodzie. Już słyszę, jak Charlotte wyrzaszkuje imię Lubego z alejki serwisowej. Mam ochotę wrzasnąć do niej, że jeszcze nic się nie stało, jeszcze niczego nie zrobił! Głupia suka. Jeśli dalej tak będzie krzyczeć, to naprawdę nie wytrzymam nerwowo. Żałuję teraz, że powiedziałam Lubemu, skąd moje przygnębienie. Jeśli wypaple to Puszczalskiej Charlotte, to przed jutrzejszym lanczem wieść obiegnie całą firmę i będę musiała odejść. Znowu. W tym tempie jedyny zawód, jaki mi zostanie, to rola czułej dziwki. Będę musiała się skontaktować z Jacobem, Jazzem czy jak mu tam, i poprosić o kilka rad, jak się wkręcić do biznesu.

Opuszczam osłonę przeciwsłoneczną i zanim dociera do mnie, co się dzieje, czerwone światło zamienia się na zielone i zaczynamy okrążenia kwalifikacyjne. Nie jeździłam od lat, a w ciągu ostatnich kilku dni najpierw musiałam prowadzić wielką, pieprzoną furgonetkę, a teraz prychającą, warcząca maszynę. Mam wrażenie, że prowadzę rozpędzoną kosiarkę. Z nerwów serce mi podchodzi do gardła. Wiem, że całe lata walczyliśmy o równouprawnienie, ale pozwólcie, że powiem wam jedno: dziewczyny nie lubią robić takich rzeczy. Bezsprzeczną prawdą jest, że lubimy malować paznokcie u stóp, układać włosy, robić sobie manikiur. Nie lubimy ścigać się samochodami, a w tym ogólnym pojęciu

mieszczą się także gokarty. Nie mamy ich wpisanych w geny.

Kiedy wchodzimy w pierwszy zakręt, jeden ze sprzedawców wypada z toru, a ja śmigam obok niego z radosnym śmiechem rodzącym się głęboko w gardle. Potem mijam kolejne dwa gokarty, ich kierowcy gapią się na mnie osłupiali. Zanim się zorientuję, jestem tuż za panem Aidenem Holbym; widzę jego zderzak. Luby powiększa odstęp między nami, więc dociskam gaz do dechy, wyciskając wszystko, co się da, z silnika. Nie ma mowy, żeby ten łajdak mi uciekł! Robimy kolejne okrążenie, zakręty nadchodzą coraz szybciej, wiatr śmiga mi koło kasku. Kilka okrążeń później zapala się czerwone światło i wszyscy zjeżdżamy do alejki serwisowej. Jakimś cudem jestem druga, tuż za Lubym.

Kręcimy się po alejce, podczas gdy reszta ekipy kończy kwalifikacje. Puszczalska Charlotte korzysta z okazji, żeby się uwiesić na Lubym, który najwyraźniej nie ma nic przeciwko temu. Jestem pewna, że cały czas zerka znacząco w moją stronę. Suka. Mam już tego serdecznie dość. Kiedy jestem gotowa ściągnąć kask i wynieść się do domu, podają nam nasze pozycje startowe i musimy wracać na tor. Tym razem łąduję tuż za Lubym i żeby nie było wątpliwości: mam go na celowniku. Tym razem nie dam mu się zrobić w konia!

Luby odwraca się i posyła mi całusa. Nie bardzo wiem, co się dzieje, ale mam czerwoną mgiełkę przed oczami, serce wali mi jak oszalałe, a w głowie kłębią mi się bardzo mroczne myśli. Światło zmienia się na zielone i znowu ruszamy. Jak. biegacz, który wystartował z bloku, depczę mu po piętach. Ledwie wyrabia się na pierwszym zakręcie tuż przede mną. Śmigamy na prostej. Jeśli Puszczalska Charlotte kibicuje mu, to tym

razem nic nie słyszę - ale powiem wam jedno: facet potrzebuje tego dopingu jak cholera. Przód mojego gokarta niemal dotyka jego zderzaka. Zamierzam zrobić mu z tyłka garaż. Nie mam pojęcia, gdzie są pozostali kierowcy, poza tym, że daleko za nami. Ta zacięta rozgrywka dotyczy tylko nas dwojga. Oboje wpadamy ostro w zakręt, prawie dotykając się kołami. Jeszcze nie lecą iskry, choć czuję, że już powinny. Ręce mnie boją od siłowania się z kierownicą. Szczęki też, tak zgrzytam zębami. Kiedy wchodzimy w następny wiraż, nie bardzo wiem, co właściwie się dzieje, ale myślę, że mogłam niechcący uderzyć w Lubego od tyłu, bo widzę, jak wpada w spiralę i wylatuje z toru, ładując się prosto na stos opon tworzących barierę bezpieczeństwa.

Wymachuję triumfalnie pięścią, a potem zerkam przez ramię i widzę, że wszyscy pędzą w stronę pokiereszowanego gokarta Lubego. Ups. Jakiś człowiek zaciekle macha przede mną czarną flagą, a z instruktażu dla kierowców wiem, że muszę zjechać z toru z powodu niewłaściwego zachowania. Zjeżdżam na alejkę serwisową i wyskakuję z gokarta. Szczerze mówiąc, cieszę się, że mam pretekst, żeby wysiąść i sprawdzić, co z Lubym. Ściągam kask i biegnę. Jedno z kół całkiem się wykrzywiło, a przód ma mocno wgnieciony. Wokół zebrało się sporo ludzi z pracy i, co bardziej przerażające, z obsługi toru. Wszyscy mają bardzo ponure miny.

- Aiden! Aiden! - krzyczy Charlotte.

W bardzo melodramatyczny sposób.

W ustach mi zasycha, kiedy przepycham się bliżej i pytam gorączkowo:

- Nic mu nie jest?

Wszyscy się odwracają do mnie i patrzą bez wyrazu. Robią mi przejście. Klękam w kurzu obok gokarta.

Lubemu spadł kask i krew mu ścieka po twarzy. Łzy napływają mi do oczu. To moja wina. To wszystko moja wina.

Charlotte odpycha mnie, rzucając mi wściekłe spojrzenie, i łapie Lubego za rękę, która zsunęła się z kierownicy i wisi bezwładnie nad trawą. Pociera ją gorączkowo.

- Aiden - mówi zdenerwowana. - Aiden. Obudź się.

Ale z tego, co widzę, Luby nie daje nawet znaku życia.

Chantal pchnęła drzwi do nowego mieszkania stopą, balansując torbą z zakupami na biodrze. Przebiegła przez kuchnię i odstawiła torby na kuchenny stół, rozglądając się po pomieszczeniu z pełnym zadowolenia uśmiechem. Mieszkanie naprawdę nie było złe. Umeblowano je ze smakiem. Stylowe, jak na to pozwalał skromny budżet, ale mogła z tym żyć. Będzie musiała.

Dzisiaj próbowała bez skutku pogodzić się z Lucy po sprzeczce o Jazza. Poza tym, że wydzwaniała raz za razem do przyjaciółki, próbowała też porozmawiać z mężem i znowu go przeprosić. Komórki nie odbierał, a jego asystentka nie chciała jej przełączyć, tłumacząc, że nadal trwa ważne spotkanie, w którym nie można mu przeszkadzać - Chantal była pewna, że to zwykły wykręt. Chociaż zostawiła obojgu mnóstwo wiadomości, żadne z nich nie oddzwoniło.

W szafkach ani w lodówce niczego nie było, więc Chantal zaopatrzyła się w ulubione i najbardziej ekstrawaganckie artykuły - łącznie z oliwą z oliwek o aromacie trufli z Toskanii, dojrzłym camembertem, którego Ted nie pozwoliłby jej wnieść do domu, bo śmierdział jak stare skarpety, oraz wielkim kartonem specjalnej czekolady do picia Clive'a z Czekoladowego Nieba. Pomogą jej pocieszyć się, kiedy będzie tego

potrzebowała. A na pewno będzie. Dziwnie będzie mieszkać w pojedynkę, gdy tyle lat spędziła z Tedem. Przełknęła łyzy, które napłynęły na myśl o tym. Jednak w znacznym stopniu sama na to zapracowała, więc nie ma co się z tego powodu rozklejać. Znalazła się w lepszym położeniu niż mnóstwo innych kobiet w podobnej sytuacji. Miała dobrze płatną pracę i stabilizację finansową. Gdyby rzeczywiście postanowili się rozwieść, wzięłaby świetnego prawnika i wyrwała spory kawałek ze wspólnego majątku. Ted powinien się solidnie zastanowić, jeśli sądzi, że łatwo się jej pozbędzie.

Nadal jednak miała nadzieję, że do tego nie dojdzie. Nie wierzyła, że wszystko stracone. Może istnieje jeszcze sposób na pogodzenie się. Tylko chwilowo nie wiedziała, jaki, skoro mąż nawet nie chciał z nią rozmawiać.

Nalała sobie kieliszek pinot grigio, chociaż nie schłodziła jeszcze butelki, i otworzyła pudełko trufli, które też kupiła w Czekoladowym Niebie. Obie rzeczy zaniósła do salonu. Pokój był o wiele mniejszy od salonu w jej domu, ale był przytulny i wygodny, urządzone w odcieniach karmelu i beżu. Siadając na sofie, wtuliła się w poduszki, wsuwając pod jedną stopy. Bawiła się przyciskami komórki. Powinna zadzwonić do jeszcze jednej osoby i zanim mogłaby zmienić zdanie, wybrała numer. Komórka zadzwoniła dwa razy, zanim odebrano.

- Cześć - powiedział głos po drugiej stronie.

- Jazz. - W jej głosie pojawiło się napięcie. Wzięła głęboki wdech. - Jacob. Mówi Chantal.

- Nie spodziewałem się, że się jeszcze odezwiesz - odpowiedział chłodno.

Westchnęła.

- Może nie powinnam dzwonić, ale chciałam cię przeprosić. Powiedziałam Lucy o naszym...

Jak to nazwać?

- ...naszym układzie - zdecydowała się w końcu.

Usłyszała, że Jacob też wzdycha.

- Bardzo się wściekła?

- Myślę, że spokojnie można uznać, że tak.

- Więc pewnie już się do mnie nie odezwie?

- Mało prawdopodobne. Do mnie też na razie się nie odzywa. W życiu bym nie pomyślała, że nasze ścieżki skrzyżują się na gruncie towarzyskim. Może to było głupie z mojej strony.

- Nigdy wcześniej nie zdarzyło mi się nic takiego.

- Więc uznajmy, że to zwykły pech. Przykro mi, że to ci popsuło układy z Lucy. Wiem, że bardzo cię lubiła.

- Ja ją też. - Nawet przez telefon Chantal wyczuwała, że Jacob cierpi. - Ale to ryzyko związane z tą pracą, jedno z wielu. Kiedy tylko ktoś się dowiaduje, jak zarabiam, związek w sposób nieunikniony się rozpada. Nie wiele kobiet może coś takiego przełknąć. Niedługo będę musiał zmienić zawód. - Zaśmiał się smętnie.

- Mój mąż też się o nas dowiedział. Wyrzucił mnie z domu.

- Przykro mi, nie chciałem ci popsuć małżeństwa.

- Ryzyko bycia klientką - zasugerowała i oboje zaśmiali się ponuro.

- Lubiłem spotkania z tobą. Jesteś niesamowitą kobietą. Żałuję, że nie wszystkie moje klientki są tak...

- Dzięki - przerwała mu, zanim skończył. W żadnym razie nie chciała słyszeć, jak porównywał ją do innych klientek.

- Pewnie też już nie będziesz do mnie dzwonić.

- Nie jako klientka. Dni niemoralnego seksu mam już za sobą, tym razem na dobre. Ale chętnie widywałam się z tobą jako znajomym.

- Ja również. - Pauza. - Nie brałem żadnych zleceń, odkąd... - Urwał. - Chyba już nie potrafię wrócić do tej pracy. Biorę wolne, żeby wszystko sobie przemyśleć.

- Mam mnóstwo znajomości. Jeśli poważnie myślisz o zmianie pracy, to mogłabym ci pomóc. Mogłabym znaleźć dla ciebie coś bardziej społecznie akceptowanego, chociaż z pewnością gorzej płatnego.

Jacob się zaśmiał. To był naprawdę miły facet i Chantal zastanawiała się, co sprawiło, że wybrał sobie takie życie. Być może pewnego dnia jej powie.

- Więc nie pracujesz dzisiaj?

- Nie. I jeśli chcesz znać prawdę, to właśnie siedzę sam i rozczulam się nad sobą.

- Mam otwartą butelkę ciepłego białego wina, szeroki wybór mrożonych dań i trochę świetnej czekolady - oświadczyła Chantal. - Byłoby mi miło, gdybyś się przyłączył. Jako przyjaciel.

- Zaraz przyjadę - odparł Jacob bez chwili wahania.

Przeszło jej przez myśl, że byłoby miło zabawić go też w inny sposób, ale naprawdę wierzyła w to, co powiedziała: koniec igrania z ogniem. Zwykła przyjaźń to też coś. W końcu przyjaciele często więcej byli wari od kochanków. Podała Jacobowi nowy adres i się rozłączyła. To nie było aż tak bolesne, pomyślała Chantal, zapadając się w miękkiej sofie. Gdyby tylko również łatwo poradziła sobie z Tedem i Lucy.

Nienawidzę szpitali. Przenikający wszystko zapach środków dezynfekujących przyprawia mnie o jeszcze większe mdłości, niż miałam do tej pory. Aideną zabrała z toru gokartowego karetka, a Puszczalska Charlotte pojechała razem z nim. Ja - rozdygotany kłębek nerwów - ruszyłam za nimi metrem. Zanim dotarłam na urazówkę, Lubym już zajęli się lekarze i nie pozostawało mi nic innego, jak siedzieć i czekać, aż będę mogła go zobaczyć. Te pięć godzin potwornie się wlokło, możecie mi wierzyć. Gdybym tylko nie była tak wściekła, taka nieostrożna, tak rywalizacyjnie nastawiona, taka... Och, sama nie wiem.

Wreszcie, kiedy wypłam ze trzydzieści osiem kubków herbaty z automatu i zjadłam dokładnie sześć kit katów z automatu ze słodyczami, pojawia się pielęgniarka i mówi:

- Może teraz pani zobaczyć się z panem Holbym.
- Dziękuję. - Czuję ogromną ulgę. - Co z nim?
- Przeżyje - odpowiada szorstko.

Krok mam ciężki, tak samo jak serce, gdy idę labiryntem korytarzy i próbuję znaleźć salę, do której zabrano Lubego. W końcu znajduję właściwy oddział i kiedy podaję nazwisko, zostaję wpuszczona. Światła są już przygaszone - zrobiło się dosyć późno, jest dawno

po godzinach odwiedzin - więc cieszę się, że w ogóle mnie wpuścili. Łóżko Lubego znajduje się tuż przy drzwiach. Leży plackiem z nogą uniesioną na wyciągu. Twarz blada, a oczy zamknięte. Głowę ma zabandażowaną jak mumia. Mój ukochany, ulubiony, najulubieńszy szef wygląda naprawdę strasznie.

Puszczalska Charlotte siedzi przy nim na plastikowym krzeselku. Kiedy podchodzę, patrzy na mnie. Ta kobieta ma szeroki zasób piorunujących spojrzeń, a mówi to ktoś, kto zna się na rzeczy.

- Co z nim? - pytam szeptem.

Zanim zdąży odpowiedzieć, Luby otwiera oczy i patrzy na mnie.

- Ach, kometa Mroczny Niszczyciel - chrypi.

Więc tym razem nie będzie „Cześć, Ślicznotko”. Siadam na wolnym krześle, chociaż nikt mnie nie zapraszał.

- Zamartwiałam się o ciebie.

- Od kiedy to obudził się w tobie demon rywalizacji?

- Nie wiem. Nie bardzo wiem, co się stało, ale bardzo, bardzo cię przepraszam.

- Do diabła, po prostu zepchnęłaś go z toru - informuje mnie całkiem niepotrzebnie Charlotte. - To się właśnie stało.

- To była tylko zabawa - protestuję mimo wyrzutów sumienia.

Luby uśmiecha się. Wargi ma wysuszone i gdybym to ja tam siedziała jako jego dziewczyna, to właśnie podsuwałabym mu kojące łyki wody. Ledwo ośmielam się zadać następne pytanie:

- Jaka jest diagnoza?

- Nigdy więcej nie będę mógł grać na fortepianie.

- A wcześniej potrafiłeś?

- Nie - przyznaje się i posyła mi zmęczony uśmiech. Też się uśmiecham. Charlotte rzuca mi spojrzenie, które może zabijać. - Drobnie potłuczenia i złamana noga.

- O, cholera. Strasznie mi przykro.

- Zatrzymają mnie na noc na obserwację.

- Naprawdę strasznie mi przykro - powtarzam.

- Podpisesz mi się na gipsie? - Jego głos brzmi nieco słabo. - Mam wrażenie, że ty powinnaś być pierwsza.

- Nie wiem, co powiedzieć.

- „Do widzenia” na początek - wtrąca się Charlotte.

- Aiden jest bardzo zmęczony. Wyczerpany.

Sama jestem wykończona. Włosy Lubego wystają spomiędzy bandaży pod najróżniejszymi kątami i aż mnie kusi, żeby je przygładzić. Skoro Puszczalska Charlotte ma niby być jego dziewczyną, to czemu nie zaopiekuje się nim lepiej?

- Może następne ćwiczenia integracyjne powinniśmy urządzić w zdrowotnym spa? - sugeruję, żeby trochę poprawić nastrój. - Znam dobre miejsce.

- Pewnie próbowałabyś utopić mnie w jacuzzi.

- Jeśli mogę coś dla ciebie zrobić...

- Doskonale sama poradzę sobie w opiece nad Aidenem - wcina się Charlotte.

Gardzę nią. Gardzę nią całą swoją istotą.

- Czekolada. Przynieś mi czekoladę. Jesteś mi to winna.

- Przyniosę, obiecuję.

Luby krzywi się z bólu.

- Trzymam cię za słowo.

Śmiercionośne spojrzenie Charlotte najwyraźniej działa, bo nagle sama poczułam się słabo.

- Lepiej już pójdę. Zadzwonię jutro, żeby zapytać, jak się miewasz.

Wstaję i chcę go pocałować w policzek, ale jeśli to zrobię, Charlotte przeskoczy nad łóżkiem i załatwi mnie ciosem karate.

- Do zobaczenia - dodaję.

- Do zobaczenia - odpowiada cicho Luby.

- Do widzenia - mówi zbyt entuzjastycznie Puszczalska Charlotte. Macha do mnie sarkastycznie.

Z trudem przychodzi mi zostawić szefa w takim stanie. Ale odwracam się i ruszam do drzwi.

Zanim do nich dojdę, Luby woła za mną słabo:

- Lucy...

Odwracam się.

- Załatwiłbym cię - mówi. Uśmiecha się znowu, a w oczach pojawia mu się szelmowski błysk.

- W życiu - odpowiadam i wychodzę.

60

Nadia była zaskoczona, że tabliczka agenta od nieruchomości pojawiła się przed wejściem raptem w godzinę po tym, jak zadzwoniła, informując, że chce sprzedać dom. Ale ponieważ już zdecydowała, to jedyny sposób, żeby ruszyć naprzód. Musiała odejść. To drastyczne posunięcie, choć też jedyny sposób powstrzymania męża, jaki widziała, skoro on najwyraźniej zamierzał wciągnąć ich w jeszcze większe długi, zaślepiony miłością do hazardu. Nie mógł wyraźniej oświadczyć, że kolorowe światełka i puste obietnice znaczą dla niego więcej niż dobro żony i syna. A tak, jeśli szybko sprzeda dom, zdoła przynajmniej dostać swoją cześć, zanim Toby i to roztrwoni.

Wynajęła półciązarówkę i dwóch krzepkich mężczyzn do przeprowadzki. Miała też przyjechać Lucy, aby ją wesprzeć moralnie. Po raz kolejny Nadia musiała podziękować dziewczynom z Klubu Miłośniczek Czekolady za ich dobroć. Zapakowano już ostatnie pudła do półciązarówki i byli gotowi ruszać. Lucy właśnie zadzwoniła, że wysiadła z metra i jest w drodze. Za pięć minut będzie na miejscu. Bogu dzięki. Nadia chciała odejść, zanim Toby wróci do domu. Uznała, że wyprowadzi się, kiedy mąż będzie w pracy. Wydawało się to mniej bolesne. Jak mogłaby odejść, gdyby Toby patrzył,

jak zabiera drobiazgi symbolizujące ich wspólne życie? Skoro trzeba było to zrobić, lepiej załatwić to w taki sposób.

- Chodź, Lewis - zawołała syna. - Mama chce cię wsadzić do samochodu.

- Dokąd jedziemy?

- Pamiętasz, jak mamusia powiedziała, że na jakiś czas zamieszkamy w innym domu bez tatusia?

Lewis pokiwał głową, ale z pewnością nie zrozumiał, bo nadal się uśmiechał.

- Tatuś też jedzie?

- Nie. Tylko my dwoje. To będzie wielka przygoda.

Na Lewisie nie zrobiło to szczególnego wrażenia. Może pewnego dnia zrozumie, dlaczego musiała tak postąpić.

- A Pan Śmierdziuszek może z nami jechać?

- Pewnie.

Lewis trzymał pod pachą ulubionego misia. Nazwał go Panem Śmierdziuszkem z powodu smrodku, który zalatywał od misia. A zapaszek brał się stąd, że Nadii udawało się wyrwać z uścisku synka i wrzucić misia do pralki najwyżej raz w roku, a i to wymagało łapówki w postaci ogromnej ilości czekolady.

Jeden z krzepkich tragarzy zajrzał przez frontowe drzwi.

- Wszystko zapakowane, możemy ruszać, kiedy pani zechce.

- Zaraz przyjdę - odpowiedziała.

Rozejrzała się po raz ostami po domu, sprawdzając, czy niczego nie zapomniała,

Ze smutkiem chodziła po pokojach. Kochała to miejsce. Stworzyła ten dom dla nich, dla rodziny. Teraz, choć nadal pozostawały jej rzeczy i meble, stał się pustą

skorupą. Na nocnej szafce leżało ich ślubne zdjęcie. Podniosła je i schowała do torebki. Nie wiedziała, dlaczego. Może przez sentyment. Jej rodzice powiedzieli, że to małżeństwo nie przetrwa, że aranżowane małżeństwa są lepsze od tych z miłości, które nigdy długo nie trwają. Wygląda na to, że mieli rację.

Zastanawiała się, czy nie zostawić Toby'emu listu, ale nie potrafiła znaleźć właściwych słów, aby wyrazić, co czuje, więc zrezygnowała. Kiedy po raz ostatni obeszła dom, wzięła Lewisa na ręce i wyszła. Zdecydowanym ruchem zamknęła za sobą drzwi. Tragarze siedzieli już w furgonetce i czekali na nią. Zobaczyła też, że ulicą idzie Lucy, więc pomachała do niej przyjaźnie. Otwierając drzwi do samochodu, postawiła syna, żeby sam usadowił się w foteliku. Potem drżącymi rękami zaczęła przypinać go pasami.

Po chwili stanęła za nią Lucy; dyszała zmęczona szybkim podejściem pod górkę. Ucałowała Nadię.

- Wszystko w porządku? - spytała.

- Na tyle, na ile to możliwe. Jesteśmy gotowi jechać. Nie zabieram dużo, głównie ubrania i zabawki Lewisa. Chantal mówi, że w mieszkaniu, które wynajmuje, jest wszystko.

- Jestem pewna, że Chantal nie poszłaby na żaden kompromis w kwestii własnej wygody. Sądzę, że ma tam jacuzzi i saunę.

Nadia zmusza się do uśmiechu.

- Byłoby miło.

- Będzie dobrze. - Lucy uściśnięła jej rękę. - Poradzisz sobie.

- Powiedziała mi, jak dojechać na miejsce, a furgonetka pojedzie za moim samochodem.

- Mam prowadzić?

- Poproszę.

Nadia była zbyt roztrzęsiona, żeby skupić się na drodze. Przyjaciółka wzięła kluczyki i siadła na miejscu kierowcy. Nadia usiadła obok na fotelu pasażera. Nervowo bawiła się guzikami spódnicy. Lucy poklepała ją po rękach.

- Gotowa?

Nadia pokiwała głową. Do oczu napłynęły jej gorące łzy.

- Na pewno masz wszystko?

Znowu pokiwała. I wtedy, kiedy Lucy wrzuciła bieg, rozległ się za nimi pisk opon. Nadia zerknęła we wsteczne lustro. Zobaczyła furgonetkę zatrzymującą się tuż za nimi; nie miała wątpliwości, kim jest kierowca. Samochód ledwo się zatrzymał, a Toby już wyskoczył i podbiegł do wozu Nadii. Otworzył drzwi.

- Tatuś! - zawołał radośnie z tylnego siedzenia Lewis.

Toby nie mógł wykrztusić słowa.

- Ktoś z sąsiadów zadzwonił, że odchodzisz - wydyszał. - Nie rób tego. Proszę, nie rób tego.

Nadia zdenerwowała się.

- Muszę. Wypróbowałam wszystkie inne sposoby.

- Zmienię się - obiecywał, kucając przy samochodzie. - Błagam. Nie odchodź. Nie zabieraj mi syna.

Powinni rozmawiać o tym na osobności, pomyślała smętnie Nadia, a nie zmuszać Lucy i Lewisa, żeby byli świadkami tej sceny.

- Wystawiłaś dom na sprzedaż. - Spojrzał z niedowierzaniem na tabliczkę „Na sprzedaż”. - Kiedy to zrobiłaś?

- Dziś rano.

- Dokąd jedziesz? Jak będę mógł skontaktować się z tobą?

- Zabieram swoją komórkę. Możesz dzwonić, kiedy chcesz, będę z tobą w kontakcie.

Rozstanie okazało się znacznie trudniejsze, niż myślała.

- Kiedy zobaczę Lewisa? - Cierpienie wykrzywiło mu twarz. - Jak możesz mi to robić?

- A jak ty możesz nam to robić? Nie przyszło mi to lekko. Nadal cię kocham, mimo wszystko.

- Więc wróć. - Ku jej przerażeniu mąż zaczął płakać. - Wróć i razem poszukamy rozwiązania.

- Nie mogę - odparła.

- Skończyłem z kasynami w sieci, tak jak mnie prosiłaś. Co mam jeszcze zrobić, żeby ci udowodnić, że się staram?

- Wcale nie skończyłeś - zaprzeczyła ze smutkiem.

- Wcale nie przestałeś. Znalazłam laptop i wiem, że znowu mamy łącze z internetem. Masz nową kartę kredytową i znów grasz za naszymi plecami. Nie mogę pozwolić, żebyś pociągnął nas ze sobą na dno. Robię to, żeby chronić siebie i Lewisa.

Toby zwątpił, że coś wskóra.

- Muszę już jechać - powiedziała cicho Nadia. - Pozwól mi.

Toby powoli wstał. Po chwili wahania zamknął drzwi od samochodu i powiedział:

- Kocham cię.

- Jedź - rzuciła do Lucy Nadia.

Przyjaciółka wrzuciła bieg i wyjechała na ulicę. Furgonetka ruszyła za nimi. Nadia się nie odwracała, ale wiedziała, że mąż nadal stoi na chodniku i patrzy, jak odjeżdżają.

61

- Najgorsze już za nami - powiedziałam do Nadii, chociaż nie miałam pewności, że to prawda.

W takich sytuacjach odkrywam, że komunały są najlepsze. Bolesny realizm lepiej zostawić sobie na inną chwilę.

- Przyniosłam czekoladę - dodaję. - Dla ciebie i Lewisa.

Chłopczyk bawi się misiem.

- Bogu dzięki. - Nadia pozwala sobie na rozdygotane westchnienie.

- Jest w mojej torebce, poczęstuj się.

Przyjaciółka natychmiast sięga.

Nigdy wcześniej nie byłam w domu Nadii - z tego, co wiem, żadna z członkiń Klubu Miłośniczek Czekolady nie była - ale nagle dociera do mnie, w jakiej znalazła się sytuacji i jak bardzo musiała walczyć, żeby zachować dach nad głową. Kiedy odjeżdżamy, widzę, jak obskurna jest to okolica, co nie znaczy, że ceny tu-tejszych domów kształtują się w granicach rozsądku - są co najwyżej odrobinę mniej wyśrubowane niż gdzie indziej. Mieszkanie, do którego Nadia wprowadzi się z Chantal, będzie zdecydowanie z wyższej półki, ale wyobrażam sobie, że teraz moja przyjaciółka o tym nie myśli.

To wszystko sprawia, że na swoje kłopoty patrzę z pewnej perspektywy. Nadal zamartwiam się o Lubego, ale dzwoniłam dziś rano do szpitala i siostra oddziałowa powiedziała, że spędził spokojną noc. Nie mogłam z nim rozmawiać, bo akurat badał go lekarz. Może spróbuję później. Kiedy Nadia poprosiła, żebym pomogła jej przeprowadzić się do Chantal, chciałam okazać solidarność i wsparcie. Miałam też nadzieję, że pomagając przyjaciółce, zarobię parę punktów u Pana Boga i nadal będę miała szanse na miejsce w niebie, zamiast płonąć wiecznie potępiona za rozmyślne zepchnięcie szefa z toru gokartowego.

Był jasny, słoneczny dzień; niebo miało kolor chabra. Co wydawało się niestosowne wobec zadania, jakie miałyśmy wykonać. Na twarzy mojej przyjaciółki było widać napięcie. Nie wygląda, żeby ostatnio w ogóle spała. A najgorsze jest to, że czasem łatwiej zostać porzuconym, niż odejść. Tak naprawdę to powinnam była rzucić Marcusa kilkanaście razy w czasie trwania naszego związku, ale nigdy nie doszłam do tego miejsca, kiedy uznałabym, że to już koniec. Naprawdę podziwiam odwagę i siłę Nadii. Musi być jej potwornie ciężko.

Lewis siedzi cichutko z tyłu, ściskając misia, a ja zastanawiam się, co się dzieje teraz w jego głowie i jak wiele z tego wszystkiego rozumie. Nadia wyjmuje czekoladową żabkę, którą kupiłam dla niego, odwija z papierka i podaje synowi.

Łapie ją ochoczo w obie ręce. Odkrywam, że jako źródło pociechy czekolada łączy różne grupy wiekowe.

- Czeko-czeko - mówi Lewis i natychmiast się rozchmurza.

- Co się mówi? - podpowiada mu Nadia.

- Dziękuję - posłusznie odpowiada z czekoladą w buzi.
- Pamiętasz ciocię Lucy? - pyta Nadia.

Wszystkie poznałyśmy już synka Nadii, ale szczerze mówiąc, widywałyśmy go rzadko, kiedy jego mama nie dawała rady wyrwać się z domu bez niego. Klub Miłośniczek Czekolady zawsze był dla niej ucieczką od spraw domowych - włączając w to syna.

- Cześć, Lewis.
- Cześć.

Widzę we wstecznym lusterku, że uśmiecha się do mnie; ma szeroką, czekoladową obwódkę wokół ust. Zastanawiam się, jak Chantal da sobie radę z mniejszym sublokatorem. Spójrzmy prawdzie w oczy, sama powiedziała, że nie jest najbardziej matczynym typem na świecie. Lepiej wytrzymajmy Lewisowi buzię, zanim dojedziemy na miejsce.

Godzinę później - korki były straszliwe - zatrzymujemy się przed mieszkaniem Chantal. To wielki dom, który wygląda, jakby niedawno podzielono go na mieszkania. Stoi u wylotu Islington High Street. Szczerze mówiąc, sama chętnie bym się tu przeprowadziła. Na tym tle moje obskurne mieszkanko nad zakładem fryzjerskim prezentuje się gorzej niż kiepsko. Żołądek nerwowo mi się zaciska, bo nie widziałam Chantal od czasu naszej „sprzeczki” o Jacoba, Jazza czy jak się do cholery nazywa. Moja wrogość wobec niej nieco zmaląła, bo w końcu to tylko ja po raz kolejny udowodniłam, że mam naprawdę fatalny gust, jeśli chodzi o mężczyzn. Teraz już widzę, że właściwie to nie była jej wina...

Zerkam na Nadię i zauważam, że ona też jest więcej niż tylko trochę niespokojna. Ściskam jej dłoń.

- Są gorsze sposoby zaczynania nowego życia. Chantal na pewno zaopiekuje się wami.

- Była dla mnie taka dobra - przytakuje mi Nadia. - Czym ja sobie zasłużyłam na takie przyjaciółki jak wy?

- No, jesteśmy świetne, ale poczekaj tylko, aż załadujemy zwrotu długów.

Rozładowywanie trudnych emocjonalnie sytuacji żartami to moja ulubiona rozrywka. Działa i tym razem - Nadia się śmieje.

Kiedy tak siedzimy, zatrzymuje się za nami furgonetka.

- Chodź - mówię. - Zaczniemy się wyładowywać.

Dzwonimy do mieszkania Chantal, a ona zbiega do nas i całuje serdecznie Nadię. Potem patrzy na mnie i pyta:

- Dostanę buziaka?

Wzruszam ramionami i pozwalam jej się objąć. Ścisza mnie z całych sił.

- Przepraszam - szepcze.

- Ja też.

- Jacob też cię pozdrawia - informuje mnie Chantal.

- O nie - rzucam w rozpacz, odsuwając się od niej. - Znowu się z nim widzisz! Jezu!

- Widuję się z nim, ale nie tak, jak wtedy. To po prostu znajomy. Jest świetnym kompanem i co niebываłe, zdołałam się oprzeć jego urokowi, nawet jako klientka. Pomagam mu znaleźć nową pracę. Próbuje zmienić styl życia, Lucy. Myślę, że powinnaś to chociaż trochę docenić.

- Widzę, że dużo się dzieje. - Łapię się na tym, że nie mam siły się złościć. Jacob, mimo wszystkich win, był bardzo miłym facetem. - Też mu dobrze życzę.

- Chciałby się znowu z tobą spotkać - ciągnie Chantal. - Naprawdę dużo o tobie myślał.

- Nie czuję się aż tak wspianałomyślna - odpowiadam ze śmiechem.

- Może któregoś dnia zmienisz zdanie.

Ale zanim zdążę się nad tym zastanowić, odzywa się za nami cieniutki głosik:

- Cześć.

Chantal unosi brew.

- Och. Cześć.

Zapomnialiśmy wytrzeć Lewisowi buzię z czekolady i teraz widzę, że rączki też ma całe wybrudzone. Mam nadzieję, że sofa Chantal nie jest kremowa, tylko w ciemnym, głębokim odcieniu czekoladowego brązu. Lewis radośnie podaje Chantal misia.

- To Pan Śmierdziuszek.

Chantal trzyma misia na długość wyciągniętych ramion.

- Nawet wiem, skąd to imię.

Nadia nerwowo zagryza usta. Bierze syna za rękę.

- Chantal, na pewno nie masz nic przeciwko temu?

Jeśli Chantal ma wątpliwości co do przyjęcia pod dach Nadii i syna, to nie okazuje tego. Uśmiech nie znika z jej twarzy, gdy bierze chłopca za obrzydliwie lepką rączkę i prowadzi do środka.

- Jestem pewna, że świetnie sobie poradzimy - mówi.

Dziś wieczór potrzebuję zajęć jogi bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. Leżę w pozycji kobry - wyginam plecy z całej siły i staram się wyglądać pogodnie. W środku jestem jednym kłębkim nerwów. Odpoczywam więc po kobrze - to znaczy padam na matę, dysząc jak lokomotywka. Właśnie w takich chwilach jak ta dociera do mnie, że powinnam była zostać w domu z Keanu Reevesem i czekoladą. To powinnam była zrobić.

- Ułóżcie się z powrotem na macie - mówi śpiewnym tonem moja instruktorka jogi. Persephone jest drobnutkim stworzeniem, które śmiga po sali jak wróżka. - Przyjmijcie pozycję embrionalną.

Zwijam się w kłębek i staram się uspokoić gorączkowe myśli.

Mam sporo na głowie. Luby już wyszedł ze szpitala, ale nie wrócił jeszcze do pracy. Strasznie mi go brakuje. Bez niego biuro zionie pustką. Puszczalska Charlotte demonstracyjnie mnie ignoruje za każdym razem, gdy zauważę ją gdzieś na korytarzu w firmie. Na szczęście nigdy nie musiałam zaglądać do telefonicznej obsługi klienta, więc nasze kontakty i tak są ograniczone do minimum. Rozmawiałam z Lubyem kilka razy przez telefon, dzwoniąc na komórkę. Ostentacyjnie odwoływałam

się do spraw biurowych. Sądząc po głosie, ma się dobrze. Nasze rozmowy są nieco sztywne, ale domyślam się, że to dlatego, że uporczywie przepraszam go co pięć sekund. Wybłagałam u jędz z kadr, żeby dały mi jego domowy adres pod pretekstem, że muszę mu przesłać część pracy, i w końcu poddały się, chociaż wyrecytowały mi wszystkie prawa dotyczące ochrony danych. Więc dzisiaj przez internet zamówiłam mu do domu wielki kosz czekolad na pocieszenie. Sobie przy okazji też co nieco zamówiłam - na poprawę humoru.

Zbliża się wielkie przyjęcie w firmie - zjazd, który zawsze kończy się naprawdę gigantyczną imprezą. Szyby z całego świata zjeżdżają się, przez cały dzień jęczą na temat malejących zysków Targi, a potem roztrwają większość rzeczonych zysków, fundując wszystkim pracownikom alkohol przez całą noc. W zeszłym roku przegapiłam imprezę, bo pracowałam gdzie indziej, ale w tym roku nie tylko dałam się wciągnąć do organizowania przedsięwzięcia - góra papierów na moim biurku jest naprawdę niepokojąca - ale zamierzam też wziąć udział w samej zabawie. Wolałabym dać sobie wyrwać pęsetą wszystkie rzęsy, niż tam pójść, ale z drugiej strony za żadne skarby nie chciałabym tego przegapić. Każdy ma obowiązek wziąć w tym udział - w przeciwnym razie wszyscy by go obgadali.

- Teraz spróbujemy świecy.

Persephone papie o tym, jak najlepiej wykonać idealną świecę, więc wyłączam się. Robiłam to milion razy i nadal jestem beznadziejna.

Moje następne zmartwienie to z kim pójść. Na imprezę można przyprowadzić partnera, i wiem, że Luby pojawi się w towarzystwie dwóch kul i Puszczałskiej Charlotte. Nie ma mowy, żebym samotnie stawiała czoło

im obojgu. Wzięłabym ze sobą którąś z dziewczyn z Klubu Miłośniczek Czekolady, ale jeśli zaproszę kobietę, to nawet nie zdążę powiedzieć „lesba”, a wszyscy stwierdzą, że wolę dziewczyny. Już i tak mam przechlapano w firmie, więc za nic w świecie nie mogę ryzykować kolejnej etykiety. Chantal - jestem tego pewna - doradzałyby mi, żeby zaprosić Jacoba. Ale - możecie uznać mnie za zgorzkniałą i pamiętliwą - wiem, że mnie na niego nie stać. Mógłby zostać na co najwyżej pół kieliszka szampana, potem skończyłyby mi się fundusze, a on wyniósłby się na inne spotkanie.

Kładę się na macie, a potem szarpnięciem unoszę swoje cielsko w powietrze, utyskując przy tym strasznie.

- Niech wasze biodra pofruną w górę! - zachęca nas nauczycielka.

Moje biodra są wypełnione betonem i gorzko się skarżą na takie traktowanie. Zgrzytając zębami, staram się ułożyć kończyny we właściwych miejscach. Mój tyłek odmawia zgody na oderwanie się od matki ziemi. Dźwigam się i odpycham, i szarpię, i dyszę, aż wreszcie mi się udaje. Robię świecę - chociaż dosyć krzywą.

- Dobrze, Lucy - mówi Persephone i kiwa głową. - Bardzo dobrze.

Moja nauczycielka jogi to łgarz, ale stara się dawać szczególnie dużo wsparcia tym, którzy zmagają się z nieodgadnionymi tajemnicami Wschodu. Tessa przede mną wygląda jak ustawiona do góry nogami balerina. Palce stóp wskazują sufit, brzuch wcale nie opada jej na piersi, a twarzy nie ma fioletowej z wysiłku. Nienawidzę jej. Ale przecież pewnego dnia, gdybym trochę więcej poćwiczyła, mogłabym być równie dobra jak ona. Aha, na pewno.

I wtedy popełniam najgorsze faux pas na zajęciach jogi. Dzwoni moja komórka, spieszę się, by ją odebrać, i przewracam się z pozycji świecy, ryzykując połamanie sobie kończyn i zrujnowanie życia, a najmarniej skrzywienie karku. Nastrój na zajęciach jakby pryska.

- Przepraszam, przepraszam - mruczę, pędząc do drzwi, a melodyjka *I'm Every Woman* nadal głośno rozbrzmiewa.

Kilku uczestników zajęć cmoka z niezadowoleniem za mną, a Persephone patrzy, jakby chciała powiedzieć: „Nigdy nie osiągniesz duchowego oświecenia”. Ale tak naprawdę sama bym jej to mogła powiedzieć.

Na korytarzu opieram się o ścianę, dysząc ciężko, i odbieram:

- Cześć.

- Cześć, Lucy. - W głosie pobrzmiwa wahanie. - Dzwoniłaś do mnie?

Rzeczywiście dzwoniłam i już się zastanawiam, czy nie popełniłam gigantycznego błędu. Serce wali mi w piersi i wiem, że nie tylko z powodu wysiłku przy świecy.

- Marcus, poszedłbyś ze mną na przyjęcie?

Autumn słuchała nowej płyty z fletnią Pana z Peru, którą kupiła dlatego, że funt od każdego sprzedanego egzemplarza przeznacza się na ratowanie rdzennej ludności Ameryki Południowej od życia w skrajnej nędzy. Nawet nie była pewna, czy podoba jej się fletnia Pana, ale cóż znaczy mały kompromis w kwestii gustów muzycznych, jeśli chodzi o dobrą sprawę? Żeby oderwać się od nieco denerwującego odgłosu posapywania, trzymała przy piersi kubek gorącej czekolady Green & Black, zadowolona, bo wspomagał szlachetny wysiłek farmerów plantacji kakaowca, i przeglądała użyteczny przewodnik na temat recyklingu, który wydała miejscowa rada - nie licząc się ze zużyciem papieru i innych środków potrzebnych do wydania kolorowych broszurek.

Muzyka przynajmniej odrywała myśli Autumn od ciszy panującej w mieszkaniu, odkąd Richard zniknął. Prawdę mówiąc, wolałaby mieć na karku hałaśliwego i naprzykrzającego się brata, niż nie mieć pojęcia, gdzie u licha się podziewa. Minęły już dwa tygodnie od jego zniknięcia i z każdym dniem jej niepokój rósł. Niezależnie od tego, co zrobił, Richard nadal był jej młodszym braciszkiem i zawsze chciała go chronić. Co gorsza, nie miała od niego żadnych wieści - nawet nie

zadzwoił. Zastanawiała się, jak Richard sobie radzi - czy ma pieniądze, czy ktoś go przetrzymuje wbrew jego woli, czy może wylądował gdzieś na śmietniku w ciemnym zaułku, bezimienny i niekochany. Jeśli się wkrótce nie pojawi, naprawdę będzie musiała iść na policję. Zawsze był nieodpowiedzialny, ale nigdy nie znikał na tak długo, nie dając o sobie znać w żaden sposób.

Autumn spróbowała ponownie skupić się na dźwiękach z Andów i pożytkach płynących z mycia puszek, ale nie wkładała w to serca. Addison był dzisiaj w ośrodku, ale nie zajrzał do niej. Pomachał jej tylko przyjacielsko, gdy mijał drzwi jej pracowni. Towarzyszył mu mężczyzna w eleganckim garniturze wyglądający na ważną osobę. Mimo to zwykle znalazłby chwilę, żeby powiedzieć jej chociaż „cześć”. Może zawaliła sprawę, ale nie potrafiła się teraz tym martwić. Miała z czym się zmagać. Jednak szkoda, bo wydawało jej się, że naprawdę mogła polubić Addisona.

Przed snem uraczyła się długą, gorącą kąpielą z pianką, starając się nie myśleć o ludziach w krajach dręczonych suszami, którzy nigdy nie zaznają tej prostej przyjemności. Kiedy właśnie zanurzała się w pachnącej lawendą pianie na kilka ostatnich rozkosznych minut, usłyszała, że ktoś przekręca klucz w zamku frontowych drzwi. Serce prawie wyskoczyło jej z piersi; zerwała się z wanny, szukając ręcznika. Wiedziała, że nikt nie miał dodatkowego klucza do mieszkania. Zawiasy skrzypnęły, kiedy drzwi powoli się uchyliły.

Wychodząc cicho z wanny i owijając się szlafrokiem, rozejrzała się za czymś, czego mogłaby użyć jako broni, ale nic takiego nie rzuciło jej się w oczy. Nie mogła stłuc intruza gąbką ani pociąć na śmierć maszynkami do golenia BIC-a. Autumn nerwowo rozglądała się po ła-

zience. Jedyna rzecz, która wpadła jej w ręce, to szczotka do muszli klozetowej, więc marszcząc nos, wyjęła ją z uchwytu. Słyszała, że ktoś potyka się w salonie - może więcej niż jedna osoba - i miała nadzieję, że to nie te same zbiry, które wcześniej zdemolowały jej mieszkanie, zwłaszcza że odwalili kawał niezłej roboty i dopiero co udało jej się doprowadzić wszystko do względnego porządku. Teraz żałowała, że nie wymieniła zamków i nie zamontowała dodatkowych zabezpieczeń typu łańcuch, zasuwki, judasz albo nawet dwa. Na co się przyda szczotka do sedesu wobec takich ludzi? Może to niezbyt przyjazne środowisku, ale w tej chwili Autumn żałowała, że nie ma w ręku pistoletu maszynowego.

Podkradła się do salonu, unosząc nad głową szczotkę jak gladiator maczugę. Przywarła do ściany i odważyła się ostrożnie zerknąć do salonu. A tam ujrzała rozwaloną na sofie w kącie znajomą sylwetkę brata. Prawie osunęła się na podłogę, tak jej ulżyło. Richard masował czoło, ale przestał, gdy Autumn weszła do salonu.

- Cześć, siostrzyczko - rzucił zmęczonym głosem. - Co zamierzasz z tym zrobić? Porządnie wyszorować mi kolanko?

- A tego ci trzeba? - odparła Autumn w równym stopniu poirytowana, co uspokojona.

Brat wyglądał potwornie. Twarz miał szarą, czoło złane chorobliwym potem. Schudł; marynarka wisiała na jego wymizerowanej sylwetce. Błyszczące kiedyś oczy były teraz mętne, a oczodoły ciemne jak sińce.

- Chciałem się zakraść, nie budząc cię.

- Znikasz na dwa tygodnie, a potem próbujesz zakraść się do mieszkania bez mojej wiedzy? Odkąd zniknąłeś, prawie przestałam sypiać. - Chociaż wyglądało

na to, że nie tylko ona. - Mój Boże, Richard, myślałam, że możesz już nie żyć! Nie wiedziałam nawet, że masz klucz.

- Dorobiłem sobie.

- Mogłeś mi powiedzieć. Myślałam, że to włamywacz. Śmiertelnie mnie przeraziłeś. Zakładam, że wiesz, że twoi koledzy od interesów wzięli na siebie przemeblowanie mi mieszkania?

Brat zwiesił głowę.

- Przykro mi z tego powodu. Nie chciałem cię mieszać w swoje zawikłane sprawy.

- Więc przestań sprzedawać prochy w moim mieszkaniu.

- Nie pouczaj mnie teraz. - Spojrzał jej w oczy. - Nie zostanę tutaj.

Autumn usiadła naprzeciwko niego i upuściła szczotkę na dywan.

- Nadal masz kłopoty?

Richard pokiwał głową.

- Poważne.

- Gdzie byłeś?

- Lepiej, żebyś nie wiedziała.

- Czy ci ludzie przetrzymywali cię wbrew twojej woli?

- W pewnym sensie. Powiedzmy tylko, że jeszcze się nie zorientowali, że już nie cieszę się z ich gościnności.

Autumn sama się tego domyśliła.

- Więc udało ci się wymknąć?

Richard ze znużeniem wrzucił ramionami, a ona uznała to za potwierdzenie.

- Dokąd tym razem się wybierasz?

- Jak najdalej. Muszę wydostać się z kraju, i to szybko. Jutro wyjeżdżam.

- Tak szybko?
- Zarezerwowałem miejsce w klinice odwykowej w Arizonie. Jestem w rozsypce. Muszę się pozbierać.
- Jedziesz do Cloisters? - Tam udawały się uzależnione sławy. Milczenie brata podpowiedziało jej, że zgadła. - A z czego właściwie opłacisz pobyt?

Rich spojrzął na nią nieśmiało.

- Po drodze zajrzałem do rodziców.

Jak zawsze rodzice aż się wrywali, żeby opłacić kolejne odtrucie syna. Autumn westchnęła. Już sobie wyobrażała, że ojciec daje mu swoją kartę kredytową, a Richard załatwia rezerwację. Oboje zawsze dostawali od rodziców wszystko, czego chcieli, oprócz ich cennego czasu. Zastanawiała się, jak inne mogłoby być ich życie, gdyby nie porażająco bogaci rodzice, którzy nie mieli czasu na opiekę nad dziećmi.

- Wyjazd za granicę powstrzyma tych ludzi przed ściganiem cię?

- Nie wiem. Jestem im winny ogromne pieniądze i mam część ich towaru.

- Trzymasz go tutaj? To dlatego przetrząsnęli mieszkanie? Mogę tu nadal bezpiecznie mieszkać?

- Nic ci nie będzie.

Jednak Autumn nie podobało się to, że unikał jej wzroku.

- Szukali towaru, ale już go nie mam - dodał.

- Nie możesz im tego powiedzieć?

- To nie są ludzie, którym można przemówić do rozsądku - odparł szorstko.

- Więc co się stało z pieniędzmi? Nie możesz poprosić, żeby rodzice spłacili twoje długi?

To nie byłby pierwszy raz - ani pewnie ostami - kiedy by ratowali synowi tyłek z takich czy innych opresji.

- Nie sądzę, żeby nawet oni mogli dać tyle pieniędzy
- westchnął.

- Nie warto spróbować?

- To bardzo skomplikowane - odpowiedział, nadal nie patrząc jej w twarz.

- Pewnie tak, skoro uciekasz z kraju.

Chociaż chciała mu wierzyć, wiedziała, że klinika odwykowa to tylko pretekst do ucieczki.

- Przyszedłem zabrać kilka rzeczy i pożegnać się.

Usiadła przy nim, objęła go. Łzy napłynęły jej do oczu.

- Szkoda, że nie mogę cię ochronić.

- Zrobiłaś dla mnie wszystko, co w twojej mocy. I jestem ci za to wdzięczny. Wiem, że nie masz ze mnie pożytku, ale naprawdę cię kocham.

- Będziesz mógł wrócić? - dopytywała się. - Nie wyjedziesz chyba na długo?

- Nie jestem pewny. Może upłynąć trochę czasu, zanim wszystko się uspokoi. Pewnie spróbuję ułożyć sobie gdzieś życie na nowo.

- Życie bez narkotyków.

- Jasne - potwierdził, i przez chwilę myślała, że mówi szczerze.

- Więc zbierzmy twoje rzeczy. - Autumn głęboko westchnęła. Ostatnie, co chciałyby oglądać, to odchodzącego brata.

64

Marcus przekonał mnie, że powinniśmy spędzić razem popołudnie. Powiedział, że potrzebujemy czasu, żeby „ponownie się poznać” przed przyjęciem w firmie, a szczerze mówiąc, kiedy zaproponował Hampstead Heath w niedzielę, nie potrafiłam wymyślić powodu do odmowy. Jedyne poważne plany, jakie miałam, to skakanie z Daviną McCall, którą zresztą ostatnio poważnie zaniedbałam. Wedle mojej teorii przerwa w ćwiczeniu wynika ze współczucia dla Lubego, który musi w tej chwili zapomnieć o wszelkim wysiłku fizycznym, ponieważ jeszcze przez kilka tygodni będzie chodził o kulach. Zastanawiam się ponuro, czy mimo to jest w stanie uprawiać seks z Puszczalską Charlotte - a może i ten wysiłek musiał wypaść z menu? To byłaby jedyna korzyść z mojego zbyt entuzjastycznego stylu jazdy. Przynajmniej dla mnie.

Nie mam czasu, żeby się nad tym zastanawiać, bo odzywa się dzwonek do drzwi. Kiedy otwieram, w progu stoi Marcus. Nie widziałam go wieki, ale nadal potrafi sprawić, że kolana mam jak z galarety.

- Cześć - mówi i uśmiecha się seksownie.
- Cześć.
- Gotowa?
- Tylko wezmę kapelusz przeciwsłoneczny.

Nie żeby groził mi udar słoneczny, ale przez ostatnie dni było wręcz niedorzecznie ciepło i nie wygląda na to, żeby pogoda miała się zmienić. Hura!

Idę do samochodu za Marcusem, który w nietypowym dla siebie rycerskim odruchu otwiera dla mnie drzwi. Przyłapuję go, że patrzy na moje nogi, więc obciągam sukienkę, żeby zasłaniała kolana.

- Świetnie wyglądasz - mówi z przekonaniem.
- Dzięki.

W tyle samochodu stoją dwa przymocowane rowery. Jedziemy Rosslyn Hill w stronę Hampstead. Kiedy przyjeżdżamy, w parku przewalają się tłumy - jak zwykle. W niedzielne popołudnia panuje szczególny ruch. Powinniśmy byli zostawić samochód i przyjechać tu na rowerach - co pewnie by mnie zabiło - bo z parkowaniem mamy zabawę co niemiara. Ale jakimś cudem udaje nam się zająć upragnioną miejscówkę i natychmiast Marcus bierze się do wyładowywania rowerów z samochodu, podczas gdy ja kręcę się i staram się robić wrażenie użytecznej.

Rowery są gotowe i stoją oparte o samochód, podczas gdy Marcus wyjmuje z bagażnika latawiec. Wielki, w tradycyjnym kształcie rombu, biały z czarnym napisem „Kocham Cię” w czerwonym sercu. Pod spodem czarnym flamastrem Marcus dopisał własnoręcznie „Lucy” i dwa krzyżyki znaczące całusy. Podaje mi latawiec z niepewnym uśmiechem.

- To dla ciebie.
- Nie wiem, co powiedzieć.

Naprawdę nie wiem, ponieważ w życiu się czegoś takiego nie spodziewałam. Sądziłam, że możemy po prostu znowu być przyjaciółmi, i nie przewidywałam możliwości romantycznego pojednania. Naprawdę, słowo.

- Więc nie nie mów. Po prostu bawmy się dziś dobrze. Tak jak kiedyś.

Marcus mocuje sobie na plecach latawiec i ruszamy. Muszę podciągnąć sukienkę, żeby wsiąść na rower. Właściwie mogłabym ją sobie wpuścić w majtki, ale dobre wychowanie mi nie pozwala. Minęły wieki, odkąd ostatni raz jechałam na rowerze i trochę niepewnie ruszam w stronę Heath. Marcus kładzie rękę na moim siodelku, żeby rower mniej się chwiały, i ruszamy ścieżkami w stronę trawiastych, rozległych przestrzeni. Głośno sapiąc, docieramy na szczyt wzgórza i, rycząc ze śmiechu, pędzimy potem w dół, z nogami rozłożonymi na boki, pozwalając pedałom samym się kręcić, podskakując na trawie. Powinna chyba zacząć śpiewać *Raindrops Keep Falling on My Head* w stylu Butcha Cassidy'ego i Sundance'a Kida. W połowie zjazdu, kiedy już nie panuję nad wesołością i grozi mi niebezpieczeństwo utraty panowania nad rowerem i rozbicia się, zatrzymujemy się, żeby złapać oddech. Podziwiamy wspaniałe widoki Londynu rozciągającego się poniżej. Owiewa nas ciepły wiatr i myślę sobie, że Marcus miał dobry pomysł z tym latawcem. Przypinamy rowery do najbliższej ławki, a Marcus szykuje latawiec, odwijając sznurek, i kładzie go na ziemi. Potem ujmuje moją rękę i pyta:

- Gotowa?

Kiwam głową i wtedy trzymając się za rękę, biegniemy jak wariaci stokiem, ciągnąc za sobą latawiec.

- Szybciej - popędza mnie Marcus. - Szybciej.

Nadal chichoczę jak wariatka, a że jestem nieprzyzwyczajona do biegania, nogi mi się płaczą i tym bardziej trudno mówić o przyspieszaniu. Latawiec unosi się w powietrzu, wzbija się w bezchmurne niebo; ogon z czerwonych wstążek łopocze za nim.

- Fantastyczny - mówi Marcus i z zachwytem obserwuje latawiec.

- Jesteś świetny w puszczeniu latawców - stwierdzam.

Obejmuje mnie w talii i przyciąga do siebie.

- Spróbuj.

- Nigdy nie puszczałam latawca.

- Więc najwyższy czas, żebyśmy zrobili coś z tym potwornym deficytem w twoim rozwoju społecznym. Nigdy nie jest się za starym, żeby nauczyć się puszczać latawce.

Wkłada mi w dłonie szpulę i staje tuż za mną, prowadząc moje palce, i pokazuje, jak odwijać sznurek, pozwalając latawcowi szybować coraz wyżej i wyżej, aż jest tak daleko, że ledwo mogę odczytać słowa „Kocham Cię, Lucy”. Czuję, jak linka napina się, a kiedy Marcus obejmuje mnie nieco dłużej, niż tego wymaga latawiec, czuję też aż zbyt znajome napięcie w sobie.

- Trzymaj go mocno - mówi. - Muszę gdzieś zadzwonić.

Odsuwa się kilka kroków i rozmawia z kimś ścisłym głosem. Zastanawiam się, do kogo dzwoni i - chociaż nie chcę się do tego przyznać - czuję ukłucie zazdrości. Cokolwiek przyciąga mnie do Marcusa, najwyraźniej nie chce puścić, chociaż tym razem naprawdę myślałam, że już mi przeszło.

Kiedy Marcus wraca do mnie, uśmiecha się zadowolony z siebie.

- Głodna?

W brzuchu mi burczy. Jakby mój żołądek nigdy tak naprawdę nie przestawał myśleć o jedzeniu.

- Trochę - przyznaję.

- Świetnie - mówi i odwraca mnie do tyłu.

Zza wzgórze maszeruje w naszą stronę trzech wystrojonych kamerdynerów. Mają spodnie w prążki i frajki jak powieściowi kamerdynerzy; jeden z nich niesie zamknięty koszyk, drugi koc piknikowy, a trzeci kubek z lodem z butelką szampana do kompletu.

- Och, Marcus - śmieję się wzruszona.

Mój były chłopak lubi zabawę w wielkim stylu.

- Pomyślałem, że moglibyśmy urządzić sobie piknik.

Ściąga latawiec, podczas gdy trójka kamerdynerów przygotowuje dla nas piknik. Kiedy kończą, kłaniają się lekko i odchodzą z powrotem w stronę lasu.

Marcus rzuca się na kraciasty koc, który kamerdynerzy rozłożyli na trawie, a potem wyciąga rękę, zapraszając, abym dołączyła do niego. Nalewa mi kieliszek szampana i wznosi toast:

- Za nas.

I chociaż nie jestem pewna, czy istnieje jakieś „my”, powtarzam toast:

- Za nas.

Marcus zaczął rozwiązywać skórzane troczki przy koszu.

- To wspaniały pomysł, dziękuję - mówię.

Marcus odrywa się od koszyka i uśmiecha się do mnie.

- Jesteś tego warta. Żałuję tylko, że nie możemy tak żyć cały czas.

- Mogliśmy. Może nie jest to odpowiedni czas, aby o tym wspominać, ale to zawsze ty zawałałaś sprawę.

- Postanowiłem z tym skończyć - odpowiada z przekonaniem. - Musisz mi zaufać. Zmieniłem się. Miałem czas, żeby to wszystko sobie przemyśleć w samotności.

- Patrzy na mnie przejęty. - Nie śmiałem nawet dzwonić do ciebie. Nie uwierzyłaśbyś, jak się ucieszyłem,

kiedy ty się odezwałaś. Zaufaj mi, tym razem nie zawalę swojej ostatniej szansy.

Nie zaprzeczam, że tak naprawdę nie zamierzałam dawać mu ostatniej szansy. Chciałam tylko, żeby poszedł ze mną na imprezę firmową, bo nie chciałam wyjść na ofiarę losu.

- Tego właśnie pragnę - tłumaczy. - To ciebie właśnie pragnę.

Otwieram usta, żeby coś powiedzieć, ale nie mogę wydusić słowa.

Kładzie palec na moich ustach.

- Nic teraz nie mów. Po prostu cieszymy się piknikiem, cieszymy się tym dniem.

Zaczyna wyjmować talerze, serwetki i sztucce.

Można by się spodziewać, że taki wspaniały kosz będzie pełen wędzonego łososia, koktajlowych oliwek... może z odrobiną ciabatty. Ale nie. Marcus wie, że jeśli chodzi o jedzenie, to mój gust sytuuje się zdecydowanie bliżej filistra. W koszyku jest zapiekanka z wieprzowiną, ciepła pizza zawinięta w folię, chipsy Walkers, Pringles i moje najbardziej ulubione muffinki z Czekoladowego Nieba. W osobnej zamrażarce leży opakowanie lodów z kawałkami czekolady Ben & Jerry. Marcus wyjmuje kubełek z lodami, a mnie zgodnie z oczekiwaniami aż zatyka z zachwytem.

- Och, Marcus!

Uśmiecha się pewny siebie i już wie, że mnie ma, odzyskał nade mną władzę. Dociera do mnie, że nie jestem zdolna mu się oprzeć. Nic na to nie poradzę: ten facet ma system nawigacji z GPS-em, który prowadzi go prosto do mojego serca.

65

- Jeśli znowu zaczniesz się spotykać z Marcusem - mówi Nadia - to wiesz, że będziemy musiały cię zabić.

- To była tylko randka - upieram się, chowając twarz za kubkiem z gorącą czekoladą, by ukryć zażenowanie.

Żywię też płonne nadzieje, że para podziała jak minilifting, bo niepokoję sercowe odbiły się nie tylko na mojej duszy, ale i na skórze.

Zwołano awaryjne spotkanie Klubu Miłośniczek Czekolady. Jest pora lanczu i całej naszej czwórce udało się zjawić na nagłe wezwanie. Nie żeby kiedykolwiek trzeba było na nas bardzo naciskać. Jeśli zdarzało nam się kiedykolwiek nie pojawiać przez parę dni, to Clive i Tristan zaczynali się zastanawiać, czy nie pomarłyśmy na jakąś ohydną chorobę spowodowaną niedoborem czekolady. Mało prawdopodobne w moim wypadku. Konsumuję ogromne ilości czekolady, rozważając ostatnie wydarzenia z Marcusem. Potrzebowałam rady bezstronnych osób. Ale zapomniałam, że członkinie Klubu Miłośniczek Czekolady nie są bezstronne wobec Marcusa. Przed nami stoi talerz z czekoladowymi ciastkami z orzechami włoskimi. Nadia bierze jedno.

- Randka - powtarzam, bardziej sobie niż im. - Nic więcej.

- Z wyrafinowanym piknikiem i latawcem z napisem „Kocham Cię, Lucy”? - pyta Chantal.

- No dobra, dość romantyczna randka. - Wiercę się nerwowo przyciśnięta do muru. - I nic więcej.

- Więc nie widujesz się z nim znowu? - pyta Nadia.

- Nie całkiem - odpowiadam, po czym postanawiam się przyznać, zanim mnie rozszyfrują. Jestem w pełni świadoma kary za kłamstwa. - Nie widuję się z nim w takim rozumieniu tego słowa. Jem z nim dziś wieczór kolację, ale tylko po to, żebyśmy znaleźli się na przyjaznym gruncie przed przyjęciem w firmie. Potem absolutny koniec.

- Możesz pójść z którąś z nas - zauważa bardzo pomocnie Autumn. - Z przyjemnością bym poszła. Nie mam zbyt wielu okazji, żeby się odstawić.

A szyją suknie wieczorowe z tetry?, zastanawiam się.

- To by mnie oderwało od myśli o nagłym wyjeździe mojego braciszka.

Autumn właśnie wróciła z Heathrow, gdzie machała Richardowi, żegnając się z nim na pewien czas. Choć stara się robić dobrą minę, widzimy, że jest przybita. Oczy ma zaczerwienione od płaczu i nie chce nam powiedzieć, gdzie Richard się podziewał i co robił. Wiemy jednak, że wyjechał do kliniki odwykowej. A to chyba dobrze, prawda? Autumn zajada ciastka, nawet nie martwiąc się głodującymi rzeszami - ewidentny znak, że myślami jest gdzie indziej.

- Nie mogę pójść z dziewczyną. Pomyślą, że jestem lesbijką - zniżam głos na wypadek, gdyby Clive i Tristan nas podsłuchiwali, co jako gejom często się zdarza. - Nie żebym miała coś przeciwko homoseksualistom, ale po prostu nie chcę takich plotek. Jestem w tym śmiesznym wieku: między kolejnymi chłopakami prze-

rwy są coraz dłuższe i wszyscy myślą, że zaczynam polować na boberki.

Autumn patrzy na mnie zszokowana.

- Nie mów tak!

Z tego właśnie powodu nie mogę pójść na przyjęcie z dziewczyną, bo podobne politycznie niepoprawne teksty na temat mojej osoby zaczną krążyć po biurze i nigdy więcej nie będę mogła się tam pokazać.

- Chciałabyś, żeby przez cały wieczór patrzyli na ciebie tak, jakbyśmy wzajemnie znały na pamięć okolice swoich bikini?

- Nie - przyznaje Autumn.

- Ja też nie.

- Możesz zabrać Jacoba - sugeruje Chantal.

Wiedziałam, że to powie!

- Nawet nie zaczynaj. - Z zapałem kręcę głową. - Po tym, co się stało, nie mam ochoty widywać Jacoba.

- Ja też - przyznaje Chantal, próbując rozładować napięcie. - W każdym razie niezbyt często. - Uśmiecha się do mnie ponad stołem. - Zmienił pracę i nadal o ciebie pyta.

- Pozdrów go ode mnie. Mam nadzieję, że cokolwiek teraz robi, dobrze mu się wiedzie.

Od czasu odkrycia, że obie znamy wyżej wspomnianego Jacoba, nadal panuje między nami spore napięcie. Naprawdę nie chcę wiedzieć, co teraz łączy albo co nie łączy go z Chantal, ale staram się, żeby to nie odbijało się na naszej przyjaźni. Bez wątplenia Chantal jest przyjaciółką. Urządziły się z Nadią wygodnie w nowym mieszkaniu i świetnie im idzie. Dzisiaj przyprowadziły ze sobą Lewisa, który siedzi na sofie przytulony do Chantal. Kiedy z Nadią wybierałam ciastka przy ladzie, powiedziała, że Chantal uparła się, że co wieczór będzie

czytała Lewisowi na dobranoc i że przez prawie całą sobotę uczyła go malować palcami. Nieźle, jak na kogoś, kto twierdzi, że nie cierpi dzieci. Uśmiechnęłam się do siebie i pomyślałam, że Chantal i Lewis dobrze się rozumieją. Syn Nadii ma własny talerzyk ciastek z kawałkami czekolady, żeby się nie nudził (dobrze wiedzieć, że wychowujemy nowe pokolenie uzależnionych od czekolady). Przegląda po cichu książeczkę, chociaż oczywiście mu się zamykają ze zmęczenia.

- Uważaj - mówi Nadia, poklepując mnie w kolano.
- Nie chcemy, żebyś znowu dała mu się zaczarować. Za chwilę będziesz z nim sypiać, w takim rozumieniu tego słowa - przedrzeźnia mnie. - A potem znowu zacnie się huśtawka emocjonalna. Mówi to ktoś, kto sam to dobrze zna.

- Ale tym razem wygląda na to, że naprawdę się zmienił - bronię się. - Nigdy w życiu nie był taki opiekuńczy.

- Lucy, skarbie - odzywa się Chantal. - Uważaj. Najwyższy czas, żeby ci się poszczęściło, a Marcus nie ma czystego konta. Znowu cię zrani, a nikt nie zasłużył, aby tyle razy mieć złamane serce. Zwłaszcza przez tego samego faceta.

- A co ty myślisz, Autumn?

- Myślę, że powinniśmy zamówić jeszcze trochę czekolady - wymiguje się od odpowiedzi. Bierze talerz i idzie do lady.

Więc moje drogie przyjaciółki zgodnie mówią „nie”. Wiem, że powinnam zaufać ich intuicji - spójrzmy prawdzie w oczy, nie mogą się bardziej mylić niż ja. Ale gdyby widziały wczoraj Marcusa, jaki był cudowny, to może jak ja pomyślałyby, że może, może jednak się zmienił.

66

Kupiłam zabójczą sukienkę i zabójcze szpilki na firmowe przyjęcie. I rzeczywiście, jedno i drugie próbuje mnie zabić. Wieczór właściwie jeszcze się nie zaczął, a ja już mam odciski i bąble. Moja sukienka tak przylega do figury - jeśli mam delikatnie wyrazić się o tej cholernie obcisłej kiecce - że ledwo oddycham. Nie wiem, komu chciałam zaimponować, ale wiem, że chciałam dziś wyglądać absolutnie wystrzałowo. I nie tylko dlatego, że Luby ma pojawić się w pracy po raz pierwszy od wypadku i nie wiedzieć czemu, denerwuję się tym. I nie dlatego, że pojawi się z Puszczalską Charlotte.

Od kilku tygodni znowu spotykamy się z Marcusem. Stał się chłopakiem modelowym i muszę przyznać, że to mnie trochę przeraża. Taki opiekuńczy, że prawie męczący. Jesteśmy nierozłączni od tego cudownego dnia w Hampstead Heath. Marcus w swoim zabieganiu o mnie - jeśli to nie jest zbyt staromodne słowo - pozostaje nieugięty. Zaliczyłam ostatnio więcej romantycznych kolacji, niż zjadłam w życiu ciepłych posiłków, i powoli mam dość tęsknego wpatrywania się sobie w oczy nad wspólnym czekoladowym musem. Będziemy musiały skakać z Daviną przez następnych kilka lat, żebym spaliła te wszystkie kalorie, jakie pochłonęłam w imię miłości. Może dlatego moja zabójcza

sukienka trochę bardziej mnie dusi teraz, niż kiedy ją kupowałam.

To dziwne, że znowu jesteśmy parą po tym, jak z pełnym przekonaniem oznajmiłam, że nigdy więcej nie będziemy razem. Ale czy to naprawdę jest miłość? Tym razem coś zdecydowanie nie pozwala mi się całkiem rozluźnić. Może moje zaufanie do Marcusa za bardzo osłabło w ciągu ostatnich lat, bo czuję, że tym razem podchodzę do niego z rezerwą. Czyżby to był wreszcie nasz „miesiąc miodowy”? Ale po wypadce z Jacobem i jego „specyficzną pracą” komu mogę zaufać? Może lepiej trzymać się Marcusa i niech się dzieje, co chce? Przynajmniej jestem świadoma jego słabych stron. A kto wie, może tym razem naprawdę się zmienił. Zamierzam przestać analizować swoje związki, bo nic z tego nie wychodzi - po prostu poddam się chwili.

Przyjęcie urządzono w ogromnej sali bankietowej w pobliżu Targi, udekorowanej kolorami firmowymi - granatem i srebrem. To ja załatwiałam balony, serpentyny, konfetti, kapelusiki i krakersy w stosownych odcieniach i teraz nogi mi odpadają, bo byłam tu cały dzień, nadzorując nadmuchiwanie balonów i rozwieszanie serpentyn. Sala wygląda wspaniale. Helen, naczelna jędza z kadr, zaprosiła zespół grający kawałki Blues Brothers i znanego didżeja - o którym nigdy nie słyszałam - żeby zapewнили nam rozrywkę. Stoimy w Marcusem na skraju tłumy. Denerwuję się, czy wszystko pójdzie dobrze, więc trzymam mnie za rękę, żeby mi dodać otuchy. Z zapałem popijamy różowego szampana. Wiem, dlaczego ja nie wylewam za kołnierz, ale nie bardzo wiem, czemu Marcus.

- Mówiłem ci, że cię kocham? - pyta, lekko ściskając moje palce.

- W ciągu ostatnich dziesięciu minut nie - odpowiadam.

- Więc mówię. Wyglądasz fantastycznie.

Staram się oddychać pomimo sukienki. I kiedy właśnie mam zrobić głęboki wydech, zamieram, bo wchodzi Luby, podskakując na kulach. Pociągam łyk szampana. Zauważam, że Luby prezentuje się dziś wieczór szczególnie dobrze. Świetnie wygląda w smokingu i nawet można by go uznać za wyrafinowanego i eleganckiego, chociaż efekt psują akcesoria medyczne i fakt, że z powodu gipsu jedną nogawkę spodni ma rozciętą do uda. Nigdzie ani śladu po Puszczalskiej Charlotte. Luby rozgląda się po sali, jakby kogoś szukał. Może tej starej pudernicy właśnie. Natychmiast otacza go tłum życzliwych, poklepujących go po plecach, jakby samotnie przepłynął łódką wiosłową Atlantyk. Krztuszę się szampanem i bąbelki wylewają mi się nosem, więc Marcus też klepie mnie w plecy, chociaż w inny sposób.

- Powinnam podejść i przywitać się z szefem - mówię, kiedy przestaję się krztusić. - Zapytać, jak się miewa.

- To tego faceta zepchnęłaś z toru?

- Tego właśnie.

Marcus marszczy czoło.

- Jest młodszy, niż sobie wyobrażałem. I przystojniejszy.

Nie opisywałam mu Lubego jako starego piernika, ale może nie wspomniałam tak do końca, jakim smakowitym kąskiem jest pan Aiden Holby.

- Chodź, poznasz go - proponuję Marcusowi.

- Może później - odpowiada, jeszcze bardziej marszcząc czoło. - Ty idź. Poczekam tu na ciebie.

- Dobra, zaraz wracam.

I zostawiając Marcusa koło kanapek, podchodzę do Lubego. Wianuszek życzliwych wokół niego już nieco zrzędlł, a kiedy widzą, że podchodzę, rozchodzą się i pozostali, bo wszyscy aż za dobrze wiedzą, że to ja jestem sprawczynią obecnej niemiłej sytuacji. Założę się, że obawiają się sceny.

Luby posyła mi jeden ze swoich uśmiechów zwycięzcy.

- Cześć, Ślicznotko.
- Cześć. Jak sobie radzisz?

Oboje niespokojnie zerkamy na jego kule.

- Jestem już ekspertem w chodzeniu o kulach, ale ucieszę się, kiedy mi już zdejmą gips - wzdycha. - Swędzi jak diabli.

- Strasznie mi przykro.

- Nie zaczynaj znowu - ostrzega mnie Luby. - Stało się. Oboje będziemy wspominać to ze śmiechem. Pewnego dnia. - W jego oczach pojawia się błysk i wiem, że nie ma do mnie pretensji o ten drobny wypadek. - Dzięki za regularne dostawy czekolady. Doceniam. Miałem bardzo słodką rekonwalescencję.

- Przynajmniej tyle mogłam zrobić.

Od kilku tygodni nie mieliśmy okazji porozmawiać. Ograniczaliśmy się do spraw zawodowych, a ja wysyłałam mu kurierem do domu paczki z dokumentami i czekoladą - to wszystko.

- Gdzie Charlotte? - pytam, zanim się ugryzę w język.

- Przyjdzie później. Z kimś.

- Och. - Rumienię się.

- Nie mogła znieść życia z biednym, starym kaleką.

- To bardzo płytkie - odpowiadam, podkreślając swoją wyższość moralną.

- Kiedy tylko nasze szalone życie towarzyskie przykłało, zniknęła w okamgnieniu.

- Przykro mi...
- Przestań przepraszać, Ślicznotko - oznajmia stanowczo Luby. - To zdecydowanie nie była twoja wina.
- Zaopiekowałamby się tobą - mówię, czerwieniąc się jeszcze bardziej.
- Wiem. - Jego oczy znowu rozbłysły. - Może zatańczymy później, żebyś mi wynagrodziła cierpienia. Ale to będzie musiał być bardzo wolny taniec.

Chichoczę nerwowo.

- Właściwie to jestem tu z Marcusem - odpowiadam, zerkając ponad ramieniem w stronę mojego chłopaka. Unosi ku nam kieliszek szampana. - Z Marcusem, moim chłopakiem.

- Ach. - Luby spogląda na mnie więcej niż trochę rozczarowany. - Więc znowu jesteście razem?

- Tak. Tak. W pewnym sensie. Nie miałam z kim przyjść... - Właściwie nie bardzo wiem, jak to wytłumaczyć. Nie mogę powiedzieć Lubemu, że wróciłam do Marcusa tylko dlatego, że nie mogłam patrzeć, jak on spiknął się z Charlotte. Więc tylko wzdycham w głębi duszy i mamroczę: - I teraz... tak. Znowu jesteśmy parą.

- Więc może innym razem.

- Och. No tak. Jasne - paplę i nie mogę przestać. - Powinnam już wracać do Marcusa.

- Ja już też powinienem skoczyć... - odpowiada dość smutno Luby. - Udanego wieczoru.

- Dzięki - odpowiadam sztywno. - Wzajemnie.

Pochyla się i całuje mnie w policzek, szepcząc:

- A tak nawiasem mówiąc, wyglądasz prześlicznie.

Niezbyt zgrabnie odskakując, odwraca się na kulach i odchodzi. A ja stoję i dotykam policzka w miejscu, gdzie dotknęły go jego usta.

Jestem cudowna, olśniewająca i zalana w pestkę. Moje zabójcze szpilki poszły w diabły, nie mam pojęcia, gdzie leżą, i w tej chwili nic mnie nie boli. Nic a nic. Jeśli sukces można mierzyć stopniem upojenia i rozputy, to przyjęcie firmowe okazało się ogromnym sukcesem. Nawet jędze z kadr są szczęśliwe.

Zespół grający Blues Brothers rozkręcił się na dobre i ja także. Jesteśmy z Marcusem na parkiecie, podskakując do *Mustang Sally*. Tańcząc, zauważam Lubego, który siedzi na brzegu parkietu ze złamaną nogą na krześle. Nasze spojrzenia się spotykają i Luby patrzy na mnie smutno i żałośnie. Wygląda na o wiele trzeźwiejszego ode mnie. Na sekundę w głębinach mojego pijackiego oszołomienia budzi się ziarenko trzeźwości i przez jedną, szaloną chwilę myślę sobie, że miło byłoby posiedzieć spokojnie z Lubym, zamiast kołysać się w takt muzyki. Posyłam mu ciepły uśmiech. Kiedy odpowiada tym samym, Marcus łapie mnie za rękę i znowu mną obraca. Mój chłopak kręci mną żywiołowo w stylu *Tańca z gwiazdami*. Wirując na chwiejnych nogach, oddalam się od niego: Nagle czuję, że stopy ślizgają mi się i kompletnie tracę równowagę. Nogi płaczą mi się po prostu przecudnie i widzę, że z większym entuzjazmem niż wdziękiem lecę prosto na Lubego. Poty-

kam się o własne stopy i z głuchym łoskotem ląduję szefowi na kolanach.

Luby odwała kawał świetnej roboty, przechwytyjąc mnie, mimo że sam jest unieruchomiony. Jego mocne ramiona oplatają mnie w pasie i przytrzymują, żebym nie poleciała na podłogę i nie zbłąźniła się jeszcze bardziej.

- Dziękuję - sapię.

- Nie ma sprawy, Ślicznotko - odpowiada, szczerząc do mnie zęby. - Spora poprawa techniki od czasu spływu. Tym razem dostajesz dziesięć na dziesięć za interpretację artystyczną. Próbujesz złamać mi drugą nogę?

- Muszę iść - bełkocę.

Mam ochotę pogłaskać go po twarzy, chociaż jest trochę rozmazana. Może nawet mogłabym ucałować te seksowne usta.

Wtedy Marcus mnie podnosi.

- Dzięki, stary - mówi do Lubego.

Ale raczej cierpko.

Wyciąga mnie na środek parkietu i znowu tańczymy - nieco spokojniej tym razem - ja dopóki muzyka nie ucichnie, czuję na sobie spojrzenie Lubego.

Ponieważ wszyscy wyglądamy na wykończonych, niby-Blues Brothers zwalniają tempo i przechodzą do łagodnych taktów *Have I Told You Lately That I Love You?* Vana Morrisona.

- To piosenka dedykowana Lucy Lombard - oznajmia noszący okulary wokalista i rozlegają się uprzejme oklaski. Moja twarz przybiera czterdzieści różnych odcieni czerwieni.

Marcus bierze mnie w ramiona i tuli mocno, kiedy zataczamy się podchmieleni. Z tego, jak to oceniam, podtrzymujemy jedno drugie.

- Dziękuję - bąkam. - To bardzo miłe.

- Kocham cię - mówi z przekonaniem. - A ty?

To nie jest właściwy moment, żeby dzielić się wątpliwościami na temat odnowionego związku albo omawiać subtelne kwestie tego, czym właściwie jest miłość, a nie mogę ostatnio Marcusowi niczego zarzucić. Najwyraźniej przeczytał podręcznik *Jak być wspianiałym chłopakiem*. Więc odpowiadam „Też”, a on mnie tuli tak mocno, że prawie wyciska ze mnie całe życie.

Głos mu się lekko łamie, gdy mówi:

- Nawet nie wiesz, jak bardzo chciałem to znowu usłyszeć.

Słowa piosenki opływają mnie, kiedy zataczając się, wirujemy. Staram się nie zerkać za często na Lubego. Ale za każdym razem, gdy jakby nigdy nic spoglądam w jego stronę, odpowiada na moje spojrzenie. Kiedy muzyka cichnie, Marcus ściska moją rękę i mówi:

- Zaraz wracam.

Zostawia mnie samą na parkiecie, podczas gdy inne pary zaczynają z niego odpływać. Odwracam się, żeby też odejść i zastanawiam się, czy podejść do Lubego i porozmawiać, ale wtedy odzywa się wokalista:

- Czy mogę prosić państwa o uwagę?

Odwracam się, patrzę na scenę i obok zespołu widzę Marcusa, całego w rumieńcach.

- Pozwólcie państwo, że przedstawię wam Marcusa Canninga!

Ku mojemu krańcowemu przerażeniu Marcus sięga po mikrofon. Wszystko szło tak dobrze - w co u licha pogrywa sobie mój facet? Nie uprzedził mnie, że zrobi coś takiego. Właściwie to nawet nie wiem, co zamierza! Chcę zawołać, żeby zszedł ze sceny i przestał robić z nas obojga przedstawienie, ale jest za daleko. I wtedy Marcus mówi:

- Ta piosenka też jest dla Lucy.

I zaczyna śpiewać.

Nie miałam pojęcia, że Marcus potrafi śpiewać - pomijając w miarę przyzwoite nucenie pod prysznicem.

Stoję pośrodku parkietu, reszta pracowników Targi otacza mnie kołem. Kołyszają się do rytmu, a Marcus zaskakująco dobrze śpiewa *Three Times a Lady* Commodores. Ten facet zdecydowanie za często oglądał *X Factor*. Nie spuszczam z niego oczu i nawet nie śmiem zerknąć w stronę Lubego. Kto wie, co on sobie o tym pomyśli! Nie jestem nawet pewna, co ja o tym myślę.

Kiedy Marcus kończy - miałam wrażenie, że to trwało godziny, musiał odśpiewać wersję z longplaya - sala wybucha powszechnym aplauzem. Przyłączam się. Marcus był naprawdę świetny. Ale klaszczę też z radości, że już skończył. Marcus kłania się i daje znać widowni, żeby zamilkła. Kiedy zapada cisza, pyta:

- Lucy Lombard, czy wyświadczysz mi ten zaszczyt i zostaniesz moją żoną?

Znowu zrywają się oklaski, podczas gdy sens jego słów uderza mnie z całą mocą. Nagle trzeźwieję, naprawdę błyskawicznie. Jestem pewna, że rozdziawiłam usta, ale nie mogę wykrztusić słowa. Mam wrażenie, że ciągle mi się to przytrafia przy Marcusie. Nie mogę uwierzyć, że właśnie mi się oświadczył. I to przy wszystkich! Stoi wyczekująco na scenie, a mój biedny, zamroczony szampanem mózg nie może tego wszystkiego przetrwać. Marcus, kłamliwy zdrajca, notorycznie bojący się zobowiązań, właśnie mi się oświadczył!

Spontaniczne brawa zamieniają się w rytmiczne klaskanie i tłum zaczyna wołać: „Tak! Tak! Tak!”. Marcus nadal patrzy na mnie z nadzieją. Moi współpracownicy w końcu tracą siły i w sali zapada milczenie. Cisza jak makiem zasiał. Zaszokowana trwam w katatonicznym bezruchu.

Mój chłopak oblizuje nerwowo usta.

- Lucy?

I jakimś cudem wreszcie odzyskuję głos:

- Tak.

Wszyscy goście krzyczą entuzjastycznie. Marcus zeskakuje ze sceny i biegnie do mnie. Pada przede mną na kolana. Okrzyki przybierają na sile. Z kieszeni wyjmuje wielki, błyszczący pierścionek zaręczynowy. Serio mówię, większy od dyskotekowej kuli wiszącej pod sufitem. Kamień ma szlif princessa - to szmaragd w wianuszku z brylantów. Marcus wsuwa pierścionek na mój palec. Jest trochę za mały, ale jakoś wchodzi.

- Mam nadzieję, że ci się podoba.

- Jest cudowny.

Bo jest. To nie pojedynczy brylant, jak to zawsze sobie wyobrażałam; jest naprawdę śliczny i musiał sporo kosztować. W ustach mi zasycha, gdy mówię:

- Dziękuję.

Marcus obejmuje mnie. Ponad jego ramieniem wbrew sobie patrzę na Lubego, który unosi ręce i klaszcze kilka razy bez przekonania, uśmiechając się smutno.

- Kocham cię - szepcze mi do ucha Marcus.

Nie bardzo wiem, co się dzieje. Wiem jednak, że kochane członkinie Klubu Miłośniczek Czekolady ukatrupią mnie jak nic. Powinnam być uradowana, ale za dużo się dzieje, więc tylko stoję jak ogłuszona. W końcu tego chciałam, prawda? Tego zawsze pragnęłam.

Zespół zaczyna grać ostrą, rockandrollową wersję *I'm Getting Married in the Morning* i wszyscy włączają się do zabawy, skacząc po parkiecie jak wariaci.

Marcus, pijany szczęściem, obraca mną i obraca. A kiedy tak wiruję radośnie - ja i wszystko w mojej głowie - widzę, że Luby wyszedł.

Kiedy tylko Marcus wsunął mi pierścionek na palec, musimy pozwolić każdemu obejrzeć moją nową błyskotkę. Nawet jędze z kadr są pod wrażeniem - chociaż zielenieją z zazdrości jak mój szmaragd, kiedy słodkimi głosikami gratulują mi przez zaciśnięte zęby. Nadal nigdzie nie widzę Lubego, więc zakładam, że chyba wyszedł natychmiast po niespodziewanym i dość zaskakującym występie Marcusa. Mam wrażenie, że chciałabym coś powiedzieć Aidenowi, ale nie bardzo wiem co. Może i lepiej, że wyszedł.

Mój świeżo upieczony narzeczony - jak dziwnie to brzmi - zabiera mnie pospiesznie z przyjęcia i wyprowadza na ulicę. Tę imprezę na pewno długo będą pamiętać w firmie.

Przed salą czeka na nas riksza udekorowana białymi balonikami, a kierowca aż lśni w białym, eleganckim garniturze zamiast w typowych, zniszczonych džinsach i T-shircie. Marcus pomaga mi wsiąść i ruszamy. Teraz jesteśmy wożeni po Londynie z kieliszkiem szampana w ręce. Samochody trąbią, ale wcale nie popędzają nas, żebyśmy im zjechali z drogi. Wieczór jest ciepły, ale opływa nas chłodna bryza w trakcie jazdy. Marcus daje mi swoją marynarkę, która wisi na moich ramionach. Kac dorwał mnie szybciej niż zwykle, głowa mi pęka

i czuję lekkie mdłości. Marcus przyciąga mnie do siebie, więc wtulam się w niego - w mojego chłopaka, w mojego narzeczonego - chociaż czuję się dziwnie od tego wszystkiego oderwana.

- Nie wiedziałam, że potrafisz śpiewać - mówię.
- Brałem lekcje.
- Dla mnie?

Kiwa głową.

- Zaimponowałeś mi.
- Taką miałem nadzieję. - Marcus obejmuje mnie ramieniem. - Ale mam bardzo ograniczony repertuar. Właściwie potrafię śpiewać tylko jedną piosenkę.

Śmieję się.

- To bardzo miłe, że zadałeś sobie tyle trudu.

Patrzy mi w oczy, głaszcząc po policzku.

- Chciałem mieć pewność, że się zgodzisz.

A ja się zastanawiam, czy dlatego zdecydował się oświadczyć w publicznym miejscu? Czy po prostu Marcus zachował się jak Marcus?

- Pomyślałem, że pobierzemy się jak najszybciej. Nie widzę powodu, żeby czekać, a ty?

Szczerze mówiąc, też nie widzę, chociaż sama myśl o ślubie przyprawia mnie o skurcz żołądka. „Wyjdę za mąż. Za Marcusa”. Może jeśli będę to sobie powtarzać, w końcu w to uwierzę.

- Podoba mi się pomysł ślubu zimą - ciągnie Marcus. Zima to już niedługo.
- Wiosenne śluby też są ładne - sprzeciwiam się.
- Pomyślałem, że urządzimy wielką fetę - mówi mój narzeczoney. (Nie, nie mogę przyzwyczaić się do tego słowa). - Bez oglądania się na koszty. Chcę, żeby wszyscy nasi przyjaciele i rodzina byli z nami, kiedy będę ogłaszał wszem wobec miłość do ciebie.

Zawsze marzyłam o tym, żeby wymknąć się na cichy ślub na białej, piaszczystej plaży, z dala od całego zamieszania.

- Moglibyśmy wziąć cichy ślub, urządzać bardziej prywatną uroczystość.

- Za nic! Skoro już się zdecydowałem, to zrobimy to w wielkim stylu!

Podejrzewam, że powinnam zadzwonić do moich rozrzuconych po świecie rodziców i podzielić się dobrymi wieściami, ale jakoś nie mogę zmusić się do tego w tej chwili. Już późno. Zdażę zadzwonić jutro. Widzieli się z Marcusem raptem kilka razy, ale wiem, że naprawdę go polubili. Nigdy im nie powiedziałam, ile razy złamał mi serce w ciągu ostatnich kilku lat. Czego oko nie widzi, tego sercu nie żal - prawda? Nie chciałam, żeby się o mnie martwili. Zresztą nie powinnam teraz myśleć o takich przykrych sprawach. To czas radości. Powinnam zadzwonić do dziewczyn z Klubu Miłośniczek Czekolady, ale wolę powiedzieć im to osobiście. Wiem, że powątpiewają w uczciwość Marcusa, chociaż jestem pewna, że będą zachwycone - kiedy zrozumieją, że tego właśnie pragnę.

- Kocham cię - szepcze Marcus. - Chcę ci to mówić każdego dnia przez resztę mojego życia.

Pochyla się ku mnie i całuje głęboko. Wrywa mi się westchnienie. Pragnę się poddać miłości, ale z jakiegoś powodu cały czas panikuję. Wyjdę za mąż. Wyjdę za mąż! Zamykam oczy i staram się poddać czulej napaści Marcusa, jednak nic na to nie poradzę, że ciągle mam przed oczyma smutną twarz Lubego.

69

Drewniane żaluzje są spuszczone i tabliczka „zamknięte” wisi na drzwiach Czekoladowego Nieba. Jest wieczór następnego dnia po firmowej imprezie i nadal przetwarzam wydarzenia poprzedniej nocy. Przez cały dzień w pracy pokazywałam swój pierścionek zaręczynowy i niewiele więcej zrobiłam. Luby nie pojawił się w biurze i nie odpowiadał na moje telefony - a wszystkie były pilne i służbowe, oczywiście - ale Helena, jędza z kadr, powiedziała mi, że wróci do pracy w poniedziałek. Wszystkie członkinie Klubu Miłośniczek Czekolady tłoczą się wokół mnie, z Clive'em i Tristanem.

- No więc? - zagaduje Nadia. - Mów, co jest grane. Co to za wielka sprawa?

Biorę głęboki wdech.

- Wychodzę za mąż.

Wokół stolika zapada pełna zaskoczenia cisza - jak się spodziewałam. Tak samo zareagowali rodzice, gdy do nich zadzwoniłam. Ludzie ciągle się pobierają, ale najwyraźniej moi bliscy przyjaciele i krewni nie spodziewali się czegoś takiego po mnie.

W końcu Clive przerywa milczenie, klaszcząc w ręce. Wszyscy aż podskakujemy.

- Przyniosę szampana - mówi.

Patrzymy na niego, nic nie rozumiejąc.

- Nie świętujemy? - pyta z wahaniem.

Nadia patrzy na mnie.

- Świętujemy?

- Jasne! - wołam. - Wychodzę za mąż.

- Za Marcusa - dodaje Chantal.

- Czy to nie dowód, że się zmienił? - Przyjaciółki patrzą po sobie zmartwione i widać, że nie są przekonane. - Jest cudowny - mówię. - Oświadczył mi się na firmowej imprezie. Wyszedł na scenę i zaśpiewał piosenkę.

- Marcus? - pyta zszokowana Nadia.

- Potem czekała na nas riksza, która obwiozła nas po Londynie. Było bardzo romantycznie.

Autumn łapie mnie za rękę.

- To brzmi absolutnie cudownie - ekscytuje się. - Tak się cieszę. - Potem rzuca reszcie spojrzenie, które mogę określić tylko jako piorunujące. - Wszystkie się cieszymy, prawda?

- Jesteśmy zachwycone - mówi Nadia, nagle całym innym tonem. Podejrzewam, że pod stołem nastąpiła wymiana kopniaków. - No to pokaż pierścionek.

Pokazuję błyskotkę.

- No-no! - zachwyca się Chantal. - Jeśli ktoś wydaje taką kasę, to musi mieć poważne zamiary. Jest piękny.

Ja też znowu go podziwiam. Zaczynam się przyzwyczajać. Chantal podchodzi i obejmuje mnie.

- Gratulacje. Nie przejmuj się mną i Nadia. Pewnie rozstanie z mężami sprawiło, że zamieniłyśmy się w stare cyniczne pudernice.

- Ma rację - potwierdza Nadia. - Ty i Marcus macie takie same szanse jak wszyscy inni w dzisiejszych czasach.

Myślę, że to ma być komplement.

- Przyniosę bąbelki - mówi Clive i wzdycha z ulgą. Tristan też wstaje.
- Szkoda, że nie dałaś nam znać, upiekłbym coś specjalnie na tę okazję. Pozwolisz nam zrobić tort weselny, co?
- Byłoby cudownie - mówię, chociaż nie myślałam jeszcze o torcie weselnym.

Uszczęśliwieni Clive i Tristan znikają na zapleczu.

- Ustaliliście datę? - pyta Autumn.
- Jeszcze nie. Marcus chce się zenić jak najszybciej, ale ja nie chcę się spieszyć. Chcę, żeby wszystko było jak należy.

Przyjaciółki spoglądają po sobie. Tym razem dają mi do zrozumienia, że powinnam bezzwłocznie popędzić Marcusa nawą do ołtarza. Szczerze mówiąc, muszę się przyzwyczaić do nowego stanu rzeczy. Jeśli po wszystkich rozstaniach i powrotach mam zostać panną młodą, to chcę zwolnić i rozkoszować się każdą chwilą.

Clive pojawia się z butelką szampana i kieliszkami. Tristan idzie za nim z tortem z czekoladowym toffi. Nie wiem, na widok czego bardziej cieszy się moje serce. Właściwie to wiem. Stawiają tort przede mną.

- Jazda próbna - mówi Tristan i podaje mi wielki nóż. - No, śmiało, pokrój tort.

Robię, jak mi kazał, tnąc nożem grubą polewę z toffi. Wszyscy klaszczą. Chyba mam łzy w oczach. Z pewnością mogłabym się przyzwyczaić do tego zamieszania wokół mojej osoby. Tristan zabiera mi nóż, a potem fachowo kroi tort na duże kawałki. Zna nas na tyle dobrze, żeby wiedzieć, że nie jesteśmy kobietami jedzącymi małe porcje. Rozdaje tort.

- Cudowny - chwalę po pierwszym kęsie. - Może powinniście zrobić taki tort na moje wesele.

- Dobry pomysł - popiera mnie Nadia.

- A Luby był na przyjęciu? - pyta Chantal.
- Tak. - Nagle tort staje mi w gardle.
- Ucieszył się z powodu zaręczyn?
- Nie wiem. Nic nie powiedział.

Teraz mam łzy w oczach z całkiem innego powodu. Odkładam tort. Jak mam im powiedzieć, że nie potrafię znieść myśli o smutku na jego twarzy, gdy powiedziałam „tak”? Jak mam im powiedzieć, że reakcja Lubego dręczy mnie zdecydowanie bardziej niż powinna w tej sytuacji? Muszę przetrwać weekend, a kiedy zjawi się w poniedziałek w pracy, dowiedzieć się, co o tym myśli.

- Na pewno będzie zachwycony - kłamię. - Dlaczego miałby nie być?

I sama muszę zadać sobie to pytanie - dlaczego miałby nie być? Czy ja nie byłabym zachwycona, gdyby Luby ogłosił, że żeni się z Puszczałską Charlotte? Odpowiedź brzmi: Nie, nie byłabym.

Siedzimy z Marcusem w samochodzie i pędzimy na wieś. W głośników ryczy *Songs About Jane* Maroon 5. Fajnie jest kochać kogoś tak, że pisze się dla niego cały album piosenek - chociaż ich związek skończył się naprawdę okropnie (jak wszystkie inne, prawda?). Może to będzie następny piękny gest Marcusa: zamiast tylko śpiewać ckliwe kawałki, zacznie je też pisać. W czasie naszych ostatnich randek ustawił tak wysoko poprzeczkę, że zastanawiam się, jak zdoła utrzymać tak zawyżony poziom romantyzmu. Czy reszta mojego życia będzie jednym wielkim rozczarowaniem? Odsuwam od siebie tę myśl.

- To wspaniałe miejsce - przekrzykuje muzykę Marcus. - Spodoba ci się. Jestem pewny.

Jedziemy obejrzeć salę weselną, która spodobała się Marcusowi. Trasa wydaje mi się skądś znajoma, ale Marcus nie chce mi powiedzieć, gdzie to jest - to ma być niespodzianka. Modłę się, żeby to była jedyna niespodzianka. Mam nadzieję, że kiedy dojedziemy, na miejscu nie zastaniemy baloników z napisami „Lucy i Marcus” i zebranych dwustu gości czekających, aż wypowiedziemy przysięgę małżeńską. Ostatnio z Marcusem nigdy nie wiadomo. Żałuję, że nie umyłam włosów i nie schudłam kilku kilogramów, tak na wszelki wypadek.

Żeby się uspokoić, zjadam tabliczkę specjalnej czekolady mlecznej Clive'a i wrzucam Marcusowi do ust tafelkę.

- Kocham cię. - Mój narzeczony dotyka mojego uda. - Już niedaleko.

Wkrótce skręcamy w wąską drogę i zanim przejdziemy przez wspaniałą bramę z kutego żelaza i zbliżymy się do jeziora z fontanną z delfinami, doskonale wiem, gdzie jesteśmy.

Przerażona wyglądam przez okno.

- To tu? - wykrztuszam z siebie.

- Pięknie, prawda? - Marcus słysząc mój głos, omyłkowo bierze to za wyraz zachwytu.

Trington Manor z pewnością wygląda olśniewająco w dziennym świetle, ale nie mogę wziąć ślubu w miejscu niesławnej kradzieży biżuterii. A jeśli ktoś mnie rozpozna?

- Zarezerwowałem tu lancz - mówi mój narzeczony. - Ale pomyślałem, że najpierw musimy obejrzeć teren.

Nie chcę oglądać okolicy. Znam to miejsce aż za dobrze.

- Mają własną kaplicę - opowiada Marcus, parkując przed wspaniałym budynkiem. Muszę przyznać, że nie sprawdziłam tego przed naszym skokiem. - Nie wielka, ale wciśnie się tam ze sto osób.

- Sto!?

Chyba na jakiś czas mi tak zostanie - to ciągle dziwienie się.

- Kochanie - mówi, śmiejąc się protekcyjnie. - Zrobiłem wstępną listę. Będziemy chcieli zaprosić co najmniej sto osób. Pewnie część przyjdzie na samo wesele.

Nie wiedziałam, że mamy setkę przyjaciół. Mnie wystarczy trójka: Chantal, Nadia i Autumn. I mogę przeżyć

bez moich rodziców. To oznacza dziewięćdziesięciu siedmiu gości ze strony Marcusa, który właśnie wyskakuje z samochodu jak Tygrysek na dopalaczach.

- Chodź, Lucy, rozejrzemy się.

Wyciągam swój zmęczony tyłek z auta. Dlaczego w tym życiu nic nie jest proste? Zwłaszcza w moim życiu?

Marcus bierze mnie za rękę i ciągnie schodami do recepcji. Dziękuję Bogu, że jest słonecznie i noszę ciemne okulary. Brakuje tylko pana Johna Smitha i jego mercedesa. Od czasu mojej ostatniej wizyty tutaj chyba wyciągnięto go z jeziora. Niestety recepcjonistka jest ta sama co w wieczór kradzieży biżuterii - nie mam wątpliwości. Mogę tylko liczyć na to, że mnie nie pozna. Więc trzymam się z tyłu, nie zdejmując okularów i staram się, żeby włosy spadały mi na twarz, a Marcus wyjaśnia jej, że jesteśmy umówieni z organizatorką wesel.

A jeśli pan John Smith też tu wrócił jakimś nowym samochodem? Jak znam moje szczęście... Zerkam nerwowo do baru. Dlaczego nie nosiłyśmy peruk w noc skoku? Albo doklejanych wąsów? To poważne niedopatrzanie. Ale wtedy nie przewidywałam powrotu. A już na pewno nie pomyślałam, że ma się tu odbyć moje własne wesele, i to wkrótce po skoku.

Zjawia się kobieta od wesel. Ma na imię Michelle. Zabiera nas do kaplicy. Jest wspaniały, słoneczny dzień i ogród pachnie wszelkiego rodzaju polnymi kwiatami, których nie potrafię nazwać. Rozciągają się stąd wspaniałe widoki na najpiękniejsze okolice Brytanii, i jest też kamienny taras, z którego goście mogliby najwygodniej je podziwiać. Przechodzimy trawnikiem do kaplicy, a Michelle gędzi na temat różnych zestawów usług, o dostępnych rodzajach jedzenia i możliwościach

zakwaterowania w hotelu rzeszy gości, którą zamierza zaprosić Marcus.

- W dzień ślubu przy drzwiach kaplicy stawiamy stelaż z kwiatami - mówi Michelle, ja się wyłączam.

Zdecydowanie nie chcę brać tu ślubu, chociaż niewątpliwie to przepiękne miejsce. Kaplicę zbudowano w czternastym wieku z wielkich, ciosanych kamieni. Wewnątrz jest tak idyllicznie, że aż mi dech zapiera. Słońce sączące się przez witraże rzuca tęczowe wzory na kamienną posadzkę. Nawet przez ciemne okulary wygląda to przepięknie. Rzykuję zerknięcie ponad okularami. Kaplica wyglądałaby przepięknie udekorowana kwiatami. Widzę siebie, jak idę nawą w prostej sukni z białej satyny. Setka ludzi spokojnie by się tu pomieściła, ale... nie wezmę tu ślubu, więc to naprawdę nie ma znaczenia.

Marcus ściska moją dłoń i pyta:

- Podoba ci się?

- Tak, ale...

Michelle prowadzi nas z kaplicy z powrotem do głównego budynku.

- Pokażę państwu salę bankietową - mówi. - Jest przygotowana do kolacji, która odbędzie się dzisiaj. Zmieści się tam dwieście osób.

- Fantastycznie - odpowiada Marcus.

Dwieście? Będziemy musieli wynająć gości, żeby tylu zebrać.

Michelle otwiera drzwi do sali bankietowej i znowu zapiera mi dech. Dzięki gomółkowym oknom w kamiennych łukach na jednej ze ścian sala wydaje się przestronna i wypełniona światłem. Kilkadziesiąt stolików przykryto wykrochmalonym, białym płótnem; wszystkie rozblaskują wypolerowanymi na najwyższy połysk

kryształowymi kieliszkami i srebrnymi sztucami. W sali pełno jest bukietów z pastelowych, różowych róż i mocno pachnących lilii - stoją na stołach, parapetach i w wysokich, żelaznych stojakach. Wygląda to po prostu doskonale.

- Pomyślałem, że moglibyśmy zdecydować się na coś takiego - mówi Marcus.

- Tak, ale...

- Chodźmy na lancz. - Podekscytowany Marcus ciągnie mnie do drzwi. - Tam wszystko omówimy.

Żegnamy się z Michelle i ruszamy do baru.

- Czego się napijesz? - pyta Marcus, kiedy czekamy, aż nas ktoś obsłuży.

- Wina - odpowiadam chłodno. - Potrzebuję wina. Wina w dużych ilościach.

Marcus uśmiecha się do mnie pobłaźliwie. Podchodzi barman.

- Witamy ponownie - mówi do mnie.

Tyle, jeśli chodzi o skuteczność okularów jako przebrania. Zdejmuję je i chowam do torebki.

- Cześć. - Uśmiecham się niepewnie i wyglądam przez okno, żeby nie próbował dalej mnie zagadywać.

- Duży kieliszek białego wytrawnego i sok pomarańczowy - zamawia Marcus, a kiedy barman bierze się do roboty, mój narzeczony zwraca się do mnie:

- Byłaś już tutaj?

- Nigdy - odpowiadam, mając nadzieję, że nie zrobiłam się zbyt szkarłatna. - Musiał mnie z kimś pomylić.

Jak mam powiedzieć Marcusowi, że ostatni raz, kiedy tu byłam, z moimi przyjaciółkami zajmowałyśmy się kradzieżą? Chociaż kradzież dotyczyła czegoś, co właściwie należało do jednej z nas. Nie jestem pewna,

jak prawo - albo mój narzeczony - zapatrywałoby się na coś takiego. Może uśmialibyśmy się z Marcusem, a może wcale nie uznałby tego za zabawne.

- Może mam siostrę bliźniaczkę.
- Boże uchowaj - odpowiada Marcus.

Barman stawia przed nami drinki i na szczęście odchodzi. Marcus stuka się szklanką z sokiem pomarańczowym z moim kieliszkiem białego wina i zgodnie popijamy. To znaczy Marcus popija, a ja żłopię.

- To wspaniałe miejsce, prawda?
- Cudowne.

Bo rzeczywiście jest cudowne. To byłoby rewelacyjne miejsce na ślub, ale w innych okolicznościach.

- Ale nie możemy się tu pobrać.

Mój narzeczony patrzy na mnie zaskoczony.

- Czemu?
- Bo... eee... - To dobry moment, żeby wyznać prawdę. Ale nie mówię jej. Zamiast tego stwierdzam: - Bo tu jest zdecydowanie za drogo. Moi rodzice za to nie zapłacą, nawet nie poprosiłabym ich o to. A ja nie mam tyłu odłożonych pieniędzy, żeby za to zapłacić. - Wszystko to prawda.

Marcus bierze mnie za rękę. Obraca zaręczynowym pierścionkiem. Wianuszek brylantów łapie promień słońca.

- Nie chcę, żebyś się o cokolwiek martwiła - odpowiada, uśmiechając się czule. - Mam dość pieniędzy. Wszystko załatwię.

- Marcus...
- Podoba ci się to miejsce?
- Tak, ale...
- Bardzo się cieszę - mówi mój narzeczony, z zadowoleniem się uśmiechając. - Bo już je zarezerwowałem.

71

Ted w końcu odebrał telefon od Chantal i, co bardziej zaskakujące, zgodził się z nią spotkać. Uparł się, żeby to ona wybrała miejsce spotkania, więc zdecydowała się na Czekoladowe Niebo, bo tam czuła się najswobodniej. Jeśli ma stawić czoło Tedowi w trudnych okolicznościach, to przynajmniej wzmocni się ulubionymi smakołykami.

Chantal usiadła przy oknie. Kiedy niespokojna czekała na męża, Clive przyniósł jej kawałek czekoladowego tortu i cappuccino.

Poklepał ją po ręce w matczynej sposób.

- Głowa do góry. Wyglądasz świetnie - powiedział melodramatycznym tonem. - Nie będzie mógł ci się oprzeć.

- Mam nadzieję, że się nie mylisz - odpowiedziała Chantal.

W tej samej chwili otworzyły się drzwi do Czekoladowego Nieba i wszedł Ted. Uśmiechnął się powściągliwie na widok żony. Podszedł do jej stolika. Wstała, ale nim zdążyła go objąć, Ted niezgrabnie wślizgnął się na siedzenie naprzeciwko niej. Jego przystojna twarz była zmęczona i napięta. Ted chyba schudł.

- Co ci mogę podać, Ted? - zapytał Clive, a mąż Chantal zdziwił się, słysząc, że zwrócono się do niego

po imieniu. - Przepraszam - powiedział Clive. - Powiniennem być powiedzieć „panie Hamilton”. Ale mam wrażenie, jakbyśmy znali się od lat. Chantal tyle o tobie mówi.

Te słowa jeszcze bardziej zaskoczyły Teda.

- Nie ma sprawy - odparł.

Chantal miała nadzieję, że bezpretensjonalna paplania Clive'a zrobiła swoje.

- Wezmę to samo. - Ted wskazał palcem na kawę i tort Chantal.

- Jasne. - Clive mrugnął do Chantal za plecami jej męża i bezgłośnie powiedział „przystojniak!”, zanim się odwrócił.

Uśmiechnęła się mimo napięcia i znowu usiadła.

- Miło cię widzieć, Ted.

Widać było, że mąż się rozluźnił. Zdjął marynarkę i powiesił ją na oparciu krzesła. Więc zamierzał chwilę posiedzieć.

- To dziwne uczucie, spotykać się w ten sposób - przyznał.

- To prawda - zgodziła się i wbiła wzrok w kawę, unikając jego spojrzenia. - Cieszę się, że przyszedłeś.

- Ja też. - Usiadł wygodniej i rozejrzał się. - Więc to tu przesiadujesz godzinami z przyjaciółkami?

Chantal kiwnęła głową, sącząc cappuccino.

- Miłe miejsce - stwierdził akurat, gdy Clive zjawił się z zamówieniem.

- Jej, dzięki, Ted! - Z każdą minutą Clive był coraz bardziej afektowany na gejowską modłę i, jeśli się nie myliła, flirtował z jej mężem.

Kiedy odszedł, zaśmiała się i powiedziała:

- Chyba Clive trochę się w tobie zadurzył.

- Tylko on? - zapytał Ted, nagle poważniejąc.

- Nie - odparła. - Nadal bardzo cię Kocham.

Mąż zapatrzył się w okno. Teraz on nie chciał spojrzeć jej w oczy.

- Brakowało mi Ciebie - powiedziała.

Była pewna, że chce ratować małżeństwo, i przyszła dziś w ugodowym nastroju. Nie zawracała sobie głowy rozliczaniem, kto co komu zrobił i kto zaczął pierwszy. Jeśli mieli szansę powrotu do siebie, musieli to wszystko zostawić za sobą.

Ted znowu odwrócił się do niej.

- Spotykałem się z innymi kobietami - powiedział.

- Odkąd odeszłaś.

- Och. - Nie pomyślała, że gdy odeszła z jego życia, Ted mógł pójść swoją drogą. - Coś poważnego?

- Nie. - Pokręcił głową. Potem westchnął głęboko i Chantal poczuła ucisk w żołądku.

- Nie chcę być sam. To straszne. Jestem za stary na randkowanie. Kobiety są... cóż, zmieniły się. Są takie... trudne. - Zaśmiał się niepewnie. - Chyba nie zdawałem sobie sprawy, jakim byłem szczęściarzem.

Jest dobrze, pomyślała Chantal. Bardzo dobrze.

- Ale to nie znaczy, że nadal chcę być twoim mężem - przyznał, i jej serce, które już uradowało się, znowu się zacisnęło. - Zdałem sobie sprawę, że nie tylko ty jesteś winna naszemu rozstaniu. Wiem, że ponoszę część odpowiedzialności. Odsunęliśmy się od siebie i po części to moja wina, wiem. Po prostu nie mogę się pogodzić z tym, jak poradziłaś sobie z problemem.

Bogu dzięki, że nie dowiedział się, że płaciła Jacobowi za seks. Nie sądziła, żeby coś takiego kiedykolwiek jej wybaczył. To sekret, który będzie musiała zabrać ze sobą do grobu. Gdyby Ted odkrył, co robiła, trafiłaby do tego grobu szybciej, niż przypuszczała.

Ted zajął się czekoladowym tortem.

- Dobry - powiedział.
- Najlepszy.

Jak kiedyś nasze małżeństwo, miała ochotę dodać.

- Spałem z jedną z tych kobiet, z którymi się widywałem - ciągnął. - Spodziewałem się, że mi to pomoże.
- I pomogło?
- Nie. Tylko zdałem sobie sprawę, że to z tobą chcę być.

To musi być dobry znak, pomyślała Chantal.

- Nie jestem jeszcze gotowy, żebyśmy znowu byli razem - powiedział. - Potrzebuję chwili samotności, żeby poukładać sobie wszystko w głowie.

- Możemy to zrobić na twoich warunkach - zgodziła się, wiedząc, że wychodzi na desperatkę. - Zrobimy to tak, jak będziesz chciał.

- Boli jak cholera, co? - powiedział głosem zachrypłym z emocji.

- Pewnie. - Chciała go dotknąć, pokazać mu, że jej na nim zależy, ale nie śmiała wyciągnąć ręki. A gdyby ją odtrącił, jak to często robił ostatnimi czasy?

- Gdzie mieszkasz?

- Wynajęłam mieszkanie w Islington. To nie jest dom, ale na razie wystarczy. Mieszkam z przyjaciółką, Nadią. To jej pożyczyłam pieniądze.

Ted nie zareagował na jej wyznanie.

- Tonęli w długach. Pomogłam jej. Teraz odeszła od męża i zamieszkała ze mną. Ma małego synka Lewisa. Czterolatek.

- I on też mieszka z tobą?
- Aha.

Ted uniósł brwi.

- Z własnej woli masz w domu dziecko?

- To świetny dzieciak. - Uśmiechnęła się ciepło. -
Wiele mnie nauczył. Widziałam wszystkie animowane
filmy Disneya. Znam wszystkie piosenki z *Małej sy-
renki*, *Króla Lwa* i *Mary Poppins*. Potrafię malować pal-
cami. Nawet nie wiedziałam, że istnieje tyle rymo-
wanek, a teraz mogę je recytować. Potrafię też, choć
wymaga to ode mnie ogromnego wysiłku, dotknąć
dużym palcem stopy nosa.

Ted wyszczerzył zęby.

- Robi wrażenie.

- Nigdy nie sądziłam, że dziecko może przynosić
tyle radości - powiedziała, chociaż zdawała sobie
sprawę, że porusza drażliwy temat. - Myślę, że za każ-
dym razem, gdy widywaliśmy dzieci naszych przyja-
ciół, one wpadały do naszego życia i wszystko burzyły.
A że Lewis jest przez cały czas, po prostu zaczęłam się
do niego przyzwyczajać. To nie takie trudne, kiedy zła-
pie się trochę rutyny.

- Więc teraz jesteś macierzyńskim typem?

- Mówię tylko, że myśl o dzieciach nie odrzuca
mnie tak bardzo jak kiedyś.

Nie powiedziała Tedowi, że przez większość week-
endów chodziła po mieszkaniu z kubełkiem farby i usu-
wała ślady po kredkach i małe czekoladowe odciski pal-
ców, które w cudowny sposób wszędzie się pojawiały.
W pewnych kwestiach trudno nie być pedantycznym.

- Dlaczego nigdy mi nie powiedziałaś, co czułeś?

- A mężczyźni o tym mówią?

- Pewnie nie - odpowiedziała Chantal. - Ale może
powinni.

- Uważam, że musimy zwolnić. Między nami ist-
nieje ogromna przepaść i nie wiem, czy kiedykolwiek
uda nam się ją przeskoczyć.

- Powinniśmy spróbować.

Ted dojadł resztki tortu i dopił kawę.

- Spotkajmy się na kolacji - zaproponował. - W tygodniu.

- Chętnie.

Uścisnął przelotnie jej dłoń.

- Zadzwoń jutro.

Chantal się niemal rozpłakała. Może jeśli zagainą się znowu spotykać, Ted ponownie odkryje to, co kiedyś w niej pokochał.

Marcus zarezerwował termin wesela na walentynki - więc dzień zero to czternasty lutego. Dzień zero albo - jak to nazywam w myślach - dzień zgrozy. Ta data nie powinna mnie przerażać, jednak przeraża. Zwykle martwiłam się tylko, czy dostanę kartkę od Marcusa, czy nie.

Właśnie wyglądam przez okno i staram się skupić na tym, jakie kwiaty wybrać do bukietu ślubnego, kiedy do biura w podskokach wchodzi Luby. Zespół sprzedawców wstaje i oklaskuje go, na co on macha wesoło. Choczę się bardziej za biurkiem, udając, że siedzę po uszy w robocie. Prognozy sprzedaży nigdy w życiu nie były równie fascynujące. Serce mi wali, gdy je czytam. Co się ze mną dzieje? I wtedy widzę pojawiające się w polu widzenia kule i słyszę głos Aideny:

- Witam panią, pani Ślicznotko.

Serce jeszcze szybciej mi wali. Oczy Lubego wędrują do pierścionka zaręczynowego. Zabieram rękę z biurka i siadam na nich.

- Cześć.

- Jak się miewasz?

- W porządku. - Nadal próbuję zrobić wszystko tak, żeby nie brać ślubu w Trington Manor, chociaż Marcus już wpłacił niemałą zaliczkę. Ale pan Aiden Holby nie musi o tym wiedzieć. - A co ważniejsze, jak ty się masz?

- Niedługo wrócę do siebie - zapewnia.
- Nie mogę się doczekać - drocę się z nim.
- Brakowało mi ciebie - zniża głos, mówiąc to. -

Dobrze tu wrócić. Nigdy nie myślałem, że usłyszę, jak sam mówię coś takiego w tym miejscu.

- W biurze było bardzo spokojnie bez ciebie.
- To dobrze czy źle?
- Bardzo źle.

Uśmiechamy się do siebie.

- Codzienne dostawy czekolady sprawiły mi dużą frajdę - oznajmia.

- Nie ma sprawy. Może dzięki nim lepiej się poczułeś. - I pod wpływem chwili dodaje: - Daj mi znać, gdybyś czegoś jeszcze potrzebował.

- Będziesz musiała mi przynosić kawę - uprzedza. - Co godzinę. Nie mogę skakać o kulach i jednocześnie nieść kawę. Odkąd to się wydarzyło, wszystko musiałem wypijać na stojąco obok czajnika w kuchni.

- Teraz naprawdę czuję się potwornie. Przynajmniej tyle mogę dla ciebie zrobić, że będę twoją niewolnicą od kawy, dopóki nie staniesz na nogach.

- Mmm - mruczy Luby. - Podoba mi się, jak to zabrzmiało. Czy są jeszcze inne dziedziny, w których zgodziłabyś się ulec moim żądaniom?

- Nie przeginaj.

Nie jestem pewna, czy mogę dłużej znosić te pikantne żarciki, skoro jestem zaręczona. Czy takie zachowania są akceptowane w nowoczesnych miejscach pracy? Czy powinnam zdecydowanie zniechęcać Lubego do flirtowania ze mną, kiedy oficjalnie zostałam narzeczoną? Z pewnością wtedy moje dni w Tardze stałyby się o wiele bardziej nużące. Nie żeby ten flirt miał szansę przerodzić się w cokolwiek więcej. Byłam tu od

wieków i wszystko toczyło się niewinnie i otwarcie. Jeśli nie liczyć jednego mikroskopijnego pocałunku. Dlaczego teraz coś miałyby się zmienić?

Być może bezpieczniej byłoby przemyśleć odejście i poszukać innej pracy, żeby uciec od pokusy. Ale przypominam sobie, że pracowałam krótko, acz burzliwie w ogromnej liczbie miejsc w Londynie i szczerze mówiąc, tylko Targa toleruje mnie i moją niestaranność. Poza tym nie chciałam za bardzo oddalać się od Czekoladowego Nieba. Jeśli nie liczyć gównianej płacy i potwornie nudnych obowiązków, to świetna praca. Jestem również pewna, że „sprawa Lubego” to wymysł mojego cokolwiek znudzonego umysłu pozbawionego innego zajęcia. Kiedy tylko zajmę się organizowaniem wesela, ledwo będę miała czas, żeby choćby o nim pomyśleć. Aiden Holby nie jest aż tak przystojny. Serio.

Wygląda na to, że Luby zaraz odkica do swojego gabinetu, ale zatrzymuje się i mówi:

- Chyba powinienem pogratulować ci zbliżającego się ślubu.

Patrzę na niego spod rzęs.

- Dzięki.

- Niezłą szopkę odstawił ten Marcus.

- Prawda? - Próbuję się roześmiać, ale mi się nie udaje.

Luby nie rusza się z miejsca, odchrząkuje.

- Tego właśnie chcesz?

- Tak.

Unoszę wyzywająco brodę. Dlaczego nikt nie może uwierzyć, że wychodzę za mąż? Czy nikt nie widzi we mnie odpowiedzialnej kobiety, przyszłej pani domu? A może nie bardzo widzą Marcusa w podobnej roli...

- A dlaczego miałyby nie chcieć?

- Wobec tego mam nadzieję, że będziecie razem naprawdę szczęśliwi.

- Na pewno.

Odwraca się i w podskokach zmierza do gabinetu, jednak w połowie drogi zawraca.

- Chciałem ci powiedzieć jeszcze jedno. - Staje przede mną i bawi się kosmykiem włosów. - Żałuję, że nigdzie cię nie zaprosiłem, kiedy miałem okazję. To mogłoby mi znacząco skrócić życie, ale myślę, że świetnie byśmy się bawili, Lucy Lombard.

I odchodzi. Tak po prostu. Zostawia mnie w stanie skrajnego pomieszania, kiedy sięgam po pierwszą z brzegu tabliczkę Green & Black.

73

Jedynym mankamentem wyjazdu na wieś był potworny smród. Nadia marszczy z obrzydzeniem nos, gdy zajeżdżają na parking przy Farmie Medleya.

Lewis przypięty w foteliku samochodowym podskakuje wesoło:

- Już jesteśmy?

- Tak, skarbie, już jesteśmy.

Toby sam miał zabrać Lewisa w niedzielę, ale postanowili wybrać się za miasto razem, jak rodzina. Nadia nie chciała, żeby mąż stał się ojcem z McDonalda, chociaż była całkowicie pewna, że Lewis nie miałby nic przeciwko bardziej regularnym wypadom pod złote łuki. Toby przegapił urodziny Lewisa i Nadii było z tego powodu potwornie przykro, więc miała nadzieję, że wyjazd synkowi to wynagrodzi. Jak się umówili, podjechała po męża tuż przed dziesiątą i teraz, godzinę później, znajdowali się w Bedfordshire, otoczeni niekończącymi się polami, wzgórzami i ostrym zapachem natury - czyli obornika.

W samochodzie panował wesoły nastrój i pod wieloma względami było jak za starych czasów. Bez wątplenia nadal kochała męża, a on wystarczająco często powtarzał jej w ostatnich tygodniach, że też ją kocha. Musiał to teraz udowodnić czynami. Wyjęła wierzącego

się Lewisa z samochodu i podekscytowany chłopczyk pobiegł przed nimi do wejścia na farmę dla dzieci. Choć znajdowali się wiele kilometrów od Londynu, ceny i tak były astronomiczne. Wyjazd był luksusem, na który właściwie nie mogli sobie pozwolić, ale jeśli dzięki temu syn miał poczuć, że rodzina się całkowicie nie rozpadła, to warto było szarpnąć się i zapłacić.

Nadia traktowała to jako pouczające doświadczenie, bo widziała, że nadal miał problemy z rozpoznawaniem zwierzątek z farmy, chociaż Chantal wiele godzin pomagała mu je poznać. Toby podał pieniądze i wszyscy dostali stempel w kształcie świnki na rękę i torebkę z karmą.

Najpierw udali się do wielkiej zagrody. Stado karłowatych kóz zamęczało z nadzieją, gdy tylko zobaczyły, że zjawiała się nowa partia radosnych karmicieli. Nadia i Toby przykucnęli i pomogli Lewisowi podsunąć na dłoni granulki karmy, gdy kozy przepychały się, żeby delikatnie zjeść je z jego dłoni. Lewis nie posiadał się z radości.

- Miło tu - szepnął Toby. - Powinniśmy byli częściej jeździć do takich miejsc.

Nadia nie mogła się nie zgodzić. Wyjazd z miasta w weekend to cudowny pomysł.

Kiedy kozy zjadły już całą karmę, ruszyli do miejsca, gdzie można było poprzytulać zwierzątka. Dzieci mogły siedzieć na wyłożonych belach ze słomy. Toby podsadził Lewisa i usadowił obok innych maluchów. Chłopiec siedział jak zaczarowany, stado nienagannie zachowujących się królików i świnek morskich kicało albo przetaczało się przez nogi dzieci. Czasem bardziej bez troski królik zatrzymywał się na chwilę na kolanach chłopca albo żeby skubnąć brzeg jego kaloszy. Lewis

był w siódmym niebie i Nadia po raz kolejny zastanawiała się, dlaczego postanowili mieszkać w Londynie. Jakie mieli z tego korzyści w dzisiejszych czasach? Jeśli nie byli wielbicielami graffiti i śmieci, rzecz jasna. Nie byłoby lepiej, gdy zebrali manele i wyprowadzili się w takie miejsce jak to? Nie mogli trafić gorzej - w końcu opuszczaliby maleńki szeregowiec z trzema sypialniami - może trochę zaoszczędziliby, przeprowadzając się w tańszą okolicę. Zastanawiała się, co by Toby o tym sądził. Wtedy zdała sobie sprawę, że nadal myśli o nich jak o rodzinie, zapominając, że ich dom został dopiero co wystawiony na sprzedaż.

Syn zajmował się głaskaniem niezwykle tolerancyjnego, białego puszystego królika, a ona zapytała:

- Jakież wieści w sprawie domu?

Toby zaszurał stopami na klepisku, zupełnie tak samo jak Lewis, gdy był zakłopotany.

- Było sporo zainteresowanych. Kilkoro oglądało dom, ale nikt nie złożył oferty.

Nadia wzruszyła ramionami.

- Niewiele czasu upłynęło.

- Ja nie chcę go sprzedawać - oznajmił szczerze Toby. - Nie ma potrzeby. Postanowiłem rzucić to raz na zawsze. Oddałem laptop kumplowi, żeby mnie nie kusiło. Odłączyłem internet. Odkąd odeszłaś, nawet nie zbliżyłem się do tych przeklętych kasyn.

- Cieszę się - odparła szczerze.

- To choroba. Tak mówili na zajęciach grupowych.

- Może to choroba, ale nie taka jak przeziębienie albo ospa. To nie jest coś, co się łapie. To coś, co wybierasz, żeby mieć. I możesz sam zdecydować, że tego nie chcesz.

- Zamierzam z tym skończyć, obiecuję.

Nadia wzięła go za rękę i mocno ścisnęła.

- Mam nadzieję.

- Patrzę na Lewisa i nie chcę, żebyśmy się rozstawali.

- Ja też, ale dopóki nie będę pewna, że bardziej cenisz syna i żonę niż kasyna, musi zostać tak, jak jest.

Musieli szybko coś postanowić. Chantal była cudowną przyjaciółką, ale Nadia wiedziała, że nie może wiecznie żyć na jej koszt. Bardzo się cieszyła, że powoli Chantal i Ted zbliżają się do siebie, liczyła się też z faktem, że Chantal wróci do domu. Co wtedy stanie się z nią i Lewistem? Nadii nie było stać na wynajmowanie mieszkania w Islington.

Kiedy króliki zaczęły tracić swój czar, zabrali Lewisa, żeby obejrzał nowo narodzone prosiaczki, kwiczące i wierzące się w zagrodzie. Toby objął ją, kiedy pochylali się nad metalową bramką i tak nadal ją obejmował, gdy poszli nakarmić zachłanne jagnięta ciepłym mlekiem w butelkach z mocnymi smoczkami, które owieczki ssały z zapałem.

Zatrzymali się na lancz, zjedli piknikowe kanapki z szynką i czekoladowe ciasteczka, które upiekła rano. Nie było porównania z ciasteczkami z Czekoladowego Nieba, ale wsiółki Nadii i tak zostały docenione. Wyciągnęła się z Tobym w białych promieniach słońca, Lewis wspinał się na drewniany fort i sypał z czerwonego plastikowego wiaderka piasek do kaloszy. Słońce powoli rozgrzewało jej kości, sprawiało, że znikało napięcie w karku, koiło ból, z którego obecności nawet sobie nie zdawała sprawy. Może coś jest w wiejskim powietrzu, bo nie pamiętała, kiedy widziała Lewisa takiego szczęśliwego ani kiedy sama była taka zadowolona.

- Na popołudnie mamy jazdę na osiołku i zbieranie jajek w kurniku. I dojenie krowy, jeśli jesteś gotowy - zaśmiała się. - Mam nadzieję, że po tej zabawie na farmie nasz syn będzie w stanie odróżnić owcę od krowy.

- Jeśli ja mam doić, to chyba będę umiał odróżnić krowę od byka.

Nadia zachichotała.

Mąż bawił się kosmykiem jej włosów. Zatraskany zmarszczył czoło i z wahaniem powiedział:

- Nie chcę, żeby ten dzień się kończył.

- Ja też - powiedziała Nadia.

Autumn nakładała ostrożnie ołów na witrażyk, nad którym mozolił się Fraser. Miała mu pomóc, ale tak naprawdę odwaliała za niego całą robotę. Jej uczeń opierał się o ławkę i patrzył tęsknie na Tasmin na drugim końcu pracowni. Dziewczyna starannie udawała, że nie dostrzega, że ktoś ją obserwuje podczas pracy.

- Uważasz, Fraser?

- Nie, proszę pani. - Przynajmniej był szczery. - Bardzo trudno się skupić, kiedy się jest zakochanym.

- Co ty powiesz? - odparła Autumn z nutką żalu w głosie. Skinęła głową w stronę Tasmin i zapytała cicho:

- Czy obiekt westchnień odwzajemnia twoje uczucia?

- Jeszcze nie - odpowiedział z typową dla siebie brawurą. - Jeszcze nie.

Och, być młodym i takim optymistą, pomyślała Autumn. Zawsze podziwiała dzieciaki, które mimo że przeszły wiele strasznych rzeczy, potrafiły myśleć pozytywnie. Być może mogłaby się czegoś więcej nauczyć od Frasera, choć raz wziąć z niego przykład. Pomyślała znowu o wieczorze Operacji Wyzwolenie Bizuterii Chantal - nie pierwszy raz pomogłyby jej umiejętności uczniów.

Chociaż przygnębiał ją wyjazd Richarda do Ameryki, to gdzieś w głębi duszy uspokoiła się. Zawierowania

ostatnich miesięcy wreszcie zniknęły, wyraźnie odczuwała różnicę. Kochała Richarda - był jej bratem, jak mogłaby go nie kochać? - ale bez wątpienia poziom stresu wzrastał, gdy był on w pobliżu. Żadna ilość herbaty rumiankowej, nucenia mantr ani czekolady nie pomagała jej radzić sobie z Richem. Od dnia przyjazdu do kliniki odwykowej pisał do niej e-maile. Wiadomości brzmiały niezobowiązująco. Donosił, że dobrze się miewa, ale nie dało się niczego wyczytać między wierszami. Nie była pewna, czy naprawdę miał się dobrze, czy znowu nie narażał się na niebezpieczeństwo. Szkoda, że nie mogła go odwiedzić. Mogła mieć tylko nadzieję z oddali, że Richard pozbiera się i jego życie wróci do normy.

Dzisiaj słońce wlewało się przez okna, wnosząc ciepło do zniszczonego pomieszczenia i przepłaszając smutek otoczenia. Autumn czuła się egoistką, myśląc tak, ale miło było nie martwić się, co zastanie w domu po powrocie. Na wszelki wypadek wymieniła zamki i założyła kilka dodatkowych zasuvek na drzwiach. Wierzyła, że odkąd brat wyjechał, nie musi się martwić następnymi włamaniami. Łatwiej też jej było rozluźnić się wieczorem, gdy nie nasłuchiwała, leżąc w łóżku.

Drzwi do pracowni otworzyły się. Podniosła wzrok i zobaczyła w progu Addisona Deacona. Uśmiechnęła się na jego widok. W ostatnich tygodniach rzadko bywał w ośrodku i brakowało jej widoku jego twarzy. Nikt inny nie poprawiał jej humoru jak on, kiedy wpadał na przyjacielskie pogaduszki. Radosny uśmiech kolegi był już na swoim miejscu.

- Mam czekoladki. Mam kwiaty - powiedział Addison i wyciągnął małe pudełeczko wykwintnych czekoladek i bukiet białych róż. - Mam stolik zarezerwowany

w restauracyjce na końcu ulicy. Mam butelkę czerwonego wina, które już oddycha. Tylko ja wstrzymuję oddech, czekając, czy powiesz tak.

Autumn zaczerwieniła się i rozejrzała po podopiecznych, przyjmując podarki od Addisona.

- Prześliczne. - Zaciągnęła się delikatnym zapachem róż, chociaż prawdę mówiąc, to czekoladek nie spuszczała z oka.

- Pewnie lepszej propozycji pani nie usłyszysz - poinformował ją Fraser niepytany o zdanie.

Jeśli nawet dzieciaki orientowały się, że w jej życiu osobistym panuje posucha jak na przysłowiowej pustyni, to nadszedł najwyższy czas coś zmienić. W końcu większość z nich myślała tylko o następnej działce.

- Addison jest w porzo - dodał.

Uśmiechając się do Addisona, powiedziała:

- Chyba lepszych referencji nie dostaniesz.

- Więc zgadzasz się?

- Och! - Autumn podniosła rękę do czoła. - Mam dziś wieczór zebranie pracowników. Za kwadrans. Myślałam, że to ty je organizujesz.

- Prawda - przyznał się Addison. - Zebranie tylko dla nas dwojga.

- Więc jak mogę odmówić, skoro chodzi tylko o sprawę zawodowe? - droczyła się.

- Chciałem mieć pewność, że uprzedzisz brata o późniejszym powrocie.

- Richard wyjechał. Będzie przez jakiś czas w Stanach. Nie muszę teraz nikomu się meldować.

- Więc nie masz wymówki.

- I nie potrzebuję. Z przyjemnością zjem z tobą kolację.

- Świetnie.

- Super - dodał Fraser, kiwając z zadowoleniem głową.

- Muszę tylko skończyć pracę. - Autumn skupiła się z powrotem na witraży ku.

Fraser wyjął jej z dłoni kolbę lutowniczą.

- W życiu są ważniejsze rzeczy niż witraże - poinformował ją. - Ja to skończę. A potem posprzątam.

- Kolejna propozycja, której nie mogę odrzucić - odpowiedziała Autumn, śmiejąc się z wdzięcznością.

- Poproszę Tasmin, żeby mi pomogła - dodał i mrugnął lubieżnie.

Niech Bóg ma tę dziewczynę w swojej opiece, pomyślała Autumn. Nie ma szansy, jeśli Fraser zaatakuje ją, używając swojego niebagatelного czaru.

Addison pchnął drzwi, uśmiechając się szczerze do Autumn. Postanowiła sobie, że rozluźni się i będzie się dobrze bawić. Niewątpliwie w powietrzu wyczuwało się miłość.

75

Marcus oddał mi z powrotem mój klucz. Powiedział, że nie chce czekać do ślubu z moją przeprowadzką i że powinnam przenieść rzeczy jak najszybciej. Więc na sobotę wynajęłam tragarza i furgonetkę, żeby przewieźli moje dobra doczesne do mieszkania Marcusa. Jest o niebo lepsze od mojego. Zwłaszcza odkąd pozbył się gnijących krewetek - to coś, co, jestem pewna, w przyszłości stanie się jedną z naszych zabawnych anegdotek opowiadanych przy kolacjach. Chociaż myślę, że z czasem sprawimy sobie coś większego. Kiedy założymy rodzinę - także za jakiś czas - miło byłoby mieć kawałek ogrodu.

Biorę klucz z szafki nocnej i bawię się nim. Nie ma jeszcze piątej trzydzieści rano, a ja - co dość niezwykle - jestem całkiem rozbudzona. Na Camden Road już słychać ruch samochodowy; potężne ciężarówki sprawiają, że szyby drżą w oknach. Przez większość nocy przekręcałam się z boku na bok. Kraży mi po głowie tysiąc różnych myśli i po prostu nie mogę z powrotem zasnąć, chociaż mam jeszcze godzinę snu, zanim będę musiała wstać do pracy. Mogłabym zerwać się na zaimprovizowaną sesję w siłowni, ale to zdecydowanie zbyt wymagające zadanie jak na tę porę dnia. Mogłabym wolniutko przebiec się Grand Union Canal, ale pewnie napadliby

mnie dla iPod'a - ostatni krzyk mody w tej okolicy. Mogłabym zostać w łóżku i po prostu poleżeć do góry brzuchem, ale szczerze mówiąc, zdecydowanie za dużo myślę o Lubym, kiedy tak leżę - i te myśli nie mają nic wspólnego z pracą. Czuję zabawne mrowienie w miejscach, w których nie powinno się czuć zabawnego mrowienia, gdy myśli się o szefie. To nie jest dobry znak, prawda? Sprawa ślubu przyprawia mnie o drżenie - jakbym dopiero teraz zdała sobie sprawę, jakie to poważne zobowiązanie. Rychło w czas. Podchodząc do sprawy rozumowo, zawsze wiedziałam, że małżeństwo to poważna rzecz, ale dopiero teraz dociera to do mnie na poziomie emocjonalnym.

Wyślizguję się z łóżka na porządy, gorący prysznic. Potem postanawiam, że zajrzę do Marcusa i zafunduję sobie solidną dawkę umocnienia w uczuciach, zanim ruszę do pracy.

Wsuwam klucz do kieszeni kurtki, idę do stacji metra i wskakuję do pociągu, żeby przejechać przez miasto. Wczoraj wieczorem nie widzieliśmy się, bo Marcus pracował do późna, a ja się pakowałam, ale zadzwonił około północy, żeby mi powiedzieć, że mnie kocha. Można by pomyśleć, że to powinno mi wystarczyć, ale cóż... chciałam go zobaczyć jeszcze dzisiaj. Jest prawie szósta rano, więc i tak wkrótce powinien wstać, żeby pobiegać. Może uda mi się wślizgnąć do jego łóżka, jeśli jeszcze śpi, i przekonać go, że moglibyśmy zająć się innymi ćwiczeniami - też można się rozgrzać i spocić... Maszeruję szybko, żeby jeszcze go złapać. Kiedy docieram do mieszkania Marcusa, cichutko otwieram drzwi i zaglądam do środka.

Marcus już jest gotów i zabiera się do śniadania. Do czego tak naprawdę jest gotów, to nawet nie wiem, jak

opisać. Ale jeśli chodzi o śniadanie, to wziął jogurt, owoce leśne i trochę muesli. Nie wrzucił jednak śniadaniowych przysmaków do zwykłej miseczki. Zamiast niej na stole leży z rozłożonymi nogami ta sama młoda kobieta, z którą był ostatnim razem, gdy go przyłapałam na zdradzie - co chociaż było niezwykle upokarzające, to nie tak widowiskowe jak dzisiejszy pokaz. Dziewczyna leży rozłożona pod nim, jęcząc z rozkoszy. Marcus zlizuje jogurt z jej nadzwyczaj sterczących piersi, owoce leśne leżą zmiażdżone na jej płaskim jak deska brzuchu, a jeśli chodzi o muesli, to... szczerze mówiąc, nie chciałabym ich mieć w tym miejscu. Ale powiem tylko, że nie sądziłam, aby ktoś spoza świata filmów porno miał te okolice kompletnie gładkie.

Wpatruję się przez chwilę z najwyższą zgrozą, jak tyłek mojego narzeczonego unosi się i opada. Pozostałe członkinie Klubu Miłośniczek Czekolady miały rację. Marcus nigdy się nie zmieni. Jeśli go poślubię, tak właśnie będzie wyglądała reszta mojego życia. Kiedy zastanawiam się nad planem działania, zauważam, że jęki ustały. Marcus i Jo patrzą na mnie i nie jestem pewna, kto ma bardziej wytrzeszczone i przerażone oczy.

- Pomyślałam, że zjemy razem śniadanie - oznajmiam spokojnie - ale widzę, że zaczęłaś beze mnie.

Marcus zrywa się i rozlega się dziwny chłupot. Zauważam, że jego gwałtownie kurczący się wacek cały jest w jogurcie. Myślę sobie, że przynajmniej nie złapie drożdżycy. Zwykle Marcus zjada kawałek tostu. Zastanawiam się, które z nich wyszło i kupiło wszystkie składniki, i wtedy zdaję sobie sprawę, że tylko kobieta kupiłaby muesli.

Patrząc na rzeczoną kobietę i zastanawiam się, co się stało z ideą kobiecej solidarności. Gdyby kobiety

przystały robić takie rzeczy innym kobietom, na świecie byłoby o wiele mniej bólu. Jeśli chodzi o mężczyzn, przyznaję, że sprawa jest stracona, ale my mogłybyśmy przestać romansować z cudzymi mężami, chłopakami i narzeczonymi. Jo unosi się na łokciach i spogląda na mnie wyzywająco; szczerze mówiąc, chętnie zmazałabym tę przekorę z jej twarzy, najlepiej kijem do krykieta.

- Kto by pomyślał, że cię jeszcze zobaczę. Tak dokładnie. I to tak szybko - mówię.

Miska Marcusa wygląda na wstrząśniętą.

- Mogę to wyjaśnić - odzywa się Marcus i próbuje zejść ze stołu z godnością. Trudne zadanie do wykonania.

- Zamieniam się w słuch.

- To był ostatni raz - tłumaczy z przekonaniem. Ma rozgniecione maliny na kolanach. - Ostatni raz w życiu. Ostatni romans przed ustatkowaniem się. Kiedy tylko się wprowadzisz, będę absolutnie i całkowicie ci wierny.

Jo najwyraźniej nie wiedziała o tym szczególnie ich układu i rzuca mojemu narzeczonemu nachmurzone spojrzenie. Być może zakradnie się do jego mieszkania, nawrzuca mu do kieszeni i butów resztek jedzenia i zostawi psujące się krewetki między poduszkami kompletu wypoczynkowego. Bo ja z pewnością nie będę sobie drugi raz zadawała tego trudu.

- Zadzwońeś, żeby powiedzieć mi, że mnie kochasz, kiedy ona tu była?

Jo najwyraźniej nie wie i o tym szczególnie. Marcus zagryza usta.

Patrzę na niego, jakbym go zobaczyła po raz pierwszy w życiu. Wygląda idiotycznie - jogurt na ptaszku, sok z owoców na piersi i nogach, płatki śniadaniowe we

włosach. Wybucham śmiechem. Marcus też się śmieje. Nerwowo.

- Och, Marcus - mówię, łapiąc się za boki. - Nie mogę uwierzyć, że znowu to zrobiłeś.

Zginam się w pół i śmieję się do rozpuku.

- Kocham cię - powtarza niepewnie i śmieje się razem ze mną, chociaż w cokolwiek wymuszony sposób.

Kiedy wreszcie odzyskuję panowanie nad głosem, mówię cicho:

- Nie śmieję się z tobą, Marcus, tylko z siebie.

Zdejmuję pierścionek zaręczynowy z palca i wkładam go ostrożnie do miski z jogurtem obok stopy Jo. A potem biorę miskę i wylewam jej zawartość Marcusowi na głowę. Jogurt spływa mu powoli po twarzy. Marcus zlizuje go z ust. Może namówi Jo, żeby wyliżała go do reszty, jak już wyjdę.

- To naprawdę ostatni raz, kiedy coś takiego mi zrobisz, Marcus.

I wychodzę, zamykając za sobą cicho drzwi. Wyjmuję dopiero co odzyskany klucz i wkładam go do skrzynki na listy.

Na ulicy słyszę mojego byłego narzeczonego, jak krzyczy za mną przez okno, ale jego błagania porywa wiatr. Kiedy spieszę do metra, znowu dostaję ataku histerycznego śmiechu. Łzy płyną mi po twarzy, kiedy chcąc, idąc. Gdy docieram na stację, nogi się pode mną uginają i padam na podłogę obok automatów z biletami. Zwijam się w kłębek w kącie. Śmieję się, gdy ludzie koło mnie przechodzą, żeby kupić sobie bilet, nie zwracając uwagi na trudne położenie załamanej kobiety u ich stóp. Śmieję się, śmieję i śmieję. Śmieję się z idiotyzmu sytuacji. Śmieję się z tego, jaka byłam głupia, wierząc, że Marcus się zmienił. Śmieję się na myśl o jego wacku

całym w jogurcie i z tego, że to chyba najbardziej żalospna rzecz, jaką w życiu widziałam. Śmieję się, bo znowu jestem sama, i nie wiem, jak sobie poradzę. Śmieję się, bo już nie muszę wymyślać powodu, żeby nie brać ślubu w Trington Manor. Śmieję się tak, że aż płyną mi łzy. I płacę, płacę, płacę.

Zanim docieram do pracy, odzyskuję trochę trzeźwości myślenia. Chora wesołość wygasła i zjadłam trzy crunchies, żeby szybko podwyższyć poziom cukru we krwi, więc już czuję się lepiej. Jak na razie Marcus dzwonił trzydzieści sześć razy, a ja ignorowałam wszystkie jego nagrania: „Kocham cię, mogę ci to wszystko wyjaśnić, ona nic dla mnie nie znaczy” - tego typu informacje. Dlaczego mężczyźni zawsze myślą, że lepiej deprecjonować kobietę, z którą ich przyłapano, i mówią „Ona nic dla mnie nie znaczy”? Dzięki temu mamy się lepiej poczuć? Jeśli już ryzykujesz związek, to przynajmniej zrób to z kimś, kto dla ciebie wiele znaczy! „Nie rozumiem, dlaczego ta mała wpadka ma oznaczać, że nie możemy się pobrać” - to jeszcze jedna wiadomość, która prawie przyprawiła mnie o kolejny atak histerycznego śmiechu.

Luby jest już w biurze, kiedy się zjawiam w pracy, więc śmigam do automatu z kawą i ryzykując poważne kłopoty techniczne, zamawiam dla niego kawę ze śmietanką i dwiema kostkami cukru. Potem zabieram ją do firmy razem z kupionym dla niego twiksem.

Pan Aiden Holby siedzi w fotelu, a nogę w gipsie trzyma na biurku. Kładę przed nim batonik i stawiam kawę.

- Zbawczyńni - mówi, pocierając ręce. Kiedy zaczyna otwierać twiksa, zagaduje: - Jak się dzisiaj pani miewa, pani Ślicznotko?

- Panno Ślicznotko - poprawiam go, pokazując pusty palec serdeczny.

- O, tak szybko?

- Diamenty są wieczne, szmaragdy najwyraźniej bardzo nietrwałe.

- Chcesz mi o tym opowiedzieć?

- Nie bardzo.

- Czerwone oczy i plamy na policzkach - zauważa.

- To nigdy nie jest dobry znak. Zastałaś go po pachy w innej dziewczynie?

- Właściwie tak.

- Kiedy?

Spoglądam na zegarek.

- Jakaś godzinę temu. Ale już mi przeszło.

Ból przeszywa mi serce. Już nigdy w życiu nie zjem jogurtu. Ani owoców leśnych. Ani muesli. Bogu dzięki, że Marcus nie wysmarował tego kurwiszona czekoladą.

- Zabiorę cię na lancz - oznajmia stanowczo Luby.

- To będzie coś specjalnego. Będziemy udawać, że rozmawiamy o pracy. Możesz wrzucić to sobie w koszty, a ja je zatwierdzę. W porządku?

Kiwam głową.

- Mam wieści dla ciebie.

- Coś dobrego?

Chyba już dzisiaj nie zniosę następnych złych wieści.

Luby porusza palcami nogi w gipsie, przyglądając się im uważnie.

- To zależy, od której strony na to spojrzeć.

To brzmi jak coś, czego nie chcę słyszeć, ale skoro w grę wchodzi darmowy lancz, to jakoś to zniosę.

- Pójdę trochę popracować - oznajmiam.

A przynajmniej poudawać, że pracuję. Poziom mojej produktywności może nie być za wysoki w tym momencie.

- Cieszę się, że nie wychodzisz za mąż - mówi Luby. - Z czysto egoistycznych powodów.

- Mianowicie?

Składa palce dłoni i patrzy na mnie.

- Jeśli ktoś ma się z tobą ożenić, to osobiście uważam, że to powinienem być ja.

- To nawet nie jest zabawne - odpowiadam i trzaskam drzwiami, wychodząc.

Zanim nadchodzi pora lanczu, mija nieskończenie dużo czasu. Zabawiam się, wklepując do komputera dane ze sprzedaży, natychmiast potem je tracąc. Drę rajstopy o drzazgę w biurku i idę się poskarżyć Helen, naczelniejędzy z kadr, na zatrważający stan bezpieczeństwa w tej firmie. A ona odpowiada mi, że być może mój tymczasowy kontrakt nie zostanie odnowiony pod koniec miesiąca, więc nie mam się czym przejmować.

Dodatkowo tego ranka ignoruję kolejne czterdzieści trzy telefony od Marcusa. Wyłączyłam dzwonek i przełączyłam na wibracje, więc teraz mogę czuć, jak komórka podskakuje szaleńczo w mojej torebce, ale przynajmniej jej nie słyszę. Mam nadzieję, że Marcus sobie nadweręży palec od wybierania w kółko numeru. I mam nadzieję, że mu interes odpadnie.

W końcu, kiedy jestem przekonana, że Luby zapomniał o lanczu, i już mam się położyć i zacząć płakać, szef zjawia się przed moim biurkiem i pyta:

- Gotowa, Ślicznotko?

Łapię płaszcz i idę za nim do windy, zauważając, że w ciągu ostatnich tygodni nauczył się naprawdę zreć nie poruszać o kulach. Serdecznie mu współczuję i kiedy jesteśmy sami w windzie, uśmiecham się ciepło.

- Co? - pyta, marszcząc z niepokojem czoło.

- Tylko się uśmiecham, staram się być miła.

Luby bierze wdech i kręci głową jak gość, któremu coś nie mieści się w głowie.

- Nie wiem, czy dam radę coś takiego przełknąć, Ślicznotko.

Uderzam go żartobliwie torebką - może trochę zbyt żartobliwie - i wytrącam mu kulę spod ręki, przez co prawie przewraca się na bok.

- O, cholera! - Natychmiast schylam się po kulę.

- Tak lepiej - mówi, uśmiechając się z zadowoleniem, znowu stając prosto i otrzepując garnitur. - To jest Lucy, którą znam i kocham.

- Zamknij się - ostrzegam go. - Bo ci przytnę nogę drzwiami taksówki.

Kiedy wsiadamy do taksówki, z wyjątkową ostrożnością pomagam Lubemu i staram się nie przyciąć mu nogi drzwiami. Znacie to powiedzenie - że w złości człowiek mówi prawdę.

Taksówka zabiera nas do jednej z modniejszych restauracji w mieście - Tower. Znajduje się w South Bank, w dawnym magazynie czy czymś takim z widokiem na rzekę. Prowadzi ją modny szef kuchni z telewizji - nie ten, co tyle przeklina, ale ten drugi. To jedno z tych miejsc, w których wolę nie strzelać groszkiem - czy raczej *mélange de petits pois* - z talerza na podłogę albo w inny sposób zrobić z siebie widowisko. Jedziemy windą na czwarte piętro i dostajemy stolik przy oknie. Luby odkłada kule obok naszych stóp.

- Cudownie - mówię i zastanawiam się, czy przyprowadził tu Puszczalską Charlotte albo Donnę od danyh. Założę się, że nie! Widok z naszych miejsc jest spektakularny. Zaaferowane łódeczki turystyczne, dyżąc silnikami, płyną w górę i w dół szarej wstążki

Tamizy. Dziś świeci słońce, a woda lśni i skrzy się jak srebro. Mieszkam w Londynie od lat, ale nigdy dotąd nie obejrzałam jego turystycznych atrakcji - może spróbuję przyszłego lata. Bóg jeden wie, że będę miała teraz mnóstwo czasu dla siebie.

Menu jest bajeczne i w moim nie ma żadnych cen. Nie sądziłam, żeby ktoś jeszcze tak robił, no bo wiadomo, równość płci i takie tam. Ale założę się, że nie znalazłabym tu niczego za piątkę, nawet szklanki wody. Ale to Targa pokryje rachunek: już nie liczę drugiego drobiazgu, który zawdzięczam firmie. Składamy zamówienie, a Luby mówi:

- Napijmy się szampana. Muszę dużo pić i podejrzewam, że ty też.

Kelner przynosi nam butelkę czegoś ohydnie drogiego i nalewa do kieliszków burzący się alkohol. Luby stuka się ze mną kieliszkiem.

- Mam wrażenie, że jesteśmy na randce, Ślicznotko - mówi z nerwowym śmiechem.

Też się śmieję niepewnie.

- Masz rację, także mam takie wrażenie. - A potem z wdzięcznością popijam szampana. - Mogę o coś zapytać? - I od razu pytam, zanim zmienię zdanie: - Zacząłeś nazywać mnie Ślicznotką, bo nie mogłeś zapamiętać mojego imienia?

- Nie. Bo jesteś śliczna.

- Och.

Patrzy na mnie wyczekująco.

- Więc w porządku - odpowiadam wielkodusznie.

Śmieje się znowu i ku mojemu zaskoczeniu przesuwając dłoń po stoliku i bierze mnie za rękę. Serce bije mi szybciej.

- Czas na wyznanie. To ja przysłałem ten idiotycznie drogi bukiet do biura.

- Ty?!

Kiwa głową.

- A ja uznałam, że to Marcus!

- Aha. Strasznie się wściekłem z tego powodu. Godzinami siedziałem nad stosownie zagadkowym bilecikiem, a Derek Świntuch zaraz go wziął i zgubił. I przez to straciłem dziewczynę.

- Nie tak całkiem - poprawiam go.

- Od wieków chciałem cię zaprosić na randkę - mówi, patrząc z żalem i przeplatając palce z moimi. - Nie wiem, czemu tego nie zrobiłem.

- Bo jesteś mizoginem panicznie bojącym się zaangażowania?

- A może po prostu nieśmiałym i niepewnym siebie facetem?

Oboje śmiejemy się z tego.

- I oboje byliśmy w związkach - dodaje.

- Niezbyt udanych - przypominam mu.

- Chętnie wypiję za to, Ślicznotko - mówi i wychyla kieliszek.

- Cóż, teraz jestem wolna - stwierdzam, nawet nie próbując udawać nieśmiałej. Najwyraźniej szampan zrobił już swoje. - Lepiej korzystaj z okazji, dopóki nie zostanę zakonnica. Albo lesbijką. Albo jedno i drugie.

- Mogę poczekać, zapowiada się niezła zabawa - rozmyśla na głos Luby.

Wzdychając, próbuję najbardziej kuszącego tonu:

- A nie uważasz, że już dość długo czekaliśmy?

- Planowałem, że przyprowadzę cię tu dzisiaj i namówię, żebyś odeszła od Marcusa - przyznaje się, zarumieniony nieco. - Cieszę się, że oszczędził mi trudu.

Zaczynam się śmiać, ale nie w tak chory, szaleńczy sposób jak rano.

- Teraz muszę cię tylko przekonać, żebyś zamiast niego wybrała mnie - dodaje.

- Nie wiem, czy trzeba mnie aż tak bardzo namawiać.

Teoretycznie wiem, że powinnam przez jakiś czas być sama, żeby wyleczyć złamane serce, ale robiłam to już kilka razy i wiem, że to nie działa. Moim skromnym zdaniem równie dobrze można od razu rzucić się na głębokie wody następnego związku, i niech to wszystko diabli.

Luby zaciska usta.

- Ale jest jeden haczyk.

Dlaczego nie jestem zdziwiona?

- Dostałem awans.

- Fantastycznie. Moje gratulacje. - Znowu stukamy się kieliszkami i pijemy. Świat zaczyna się kręcić nieco szybciej, niż powinien. - To nie jest dobra nowina?

- Zostanę szefem sprzedaży międzynarodowej.

- Rety! Chylę czoła.

- Nie krępuj się. Chyl śmiało.

Żłopię bąbelki.

- Moim pierwszym zadaniem będzie rozkręcenie nowego oddziału...

- Świetnie sobie dasz radę.

- ...w Australii.

Świat hamuje z piskiem.

- W Australii?!

- To nie tak daleko - tłumaczy pospiesznie Luby. - Nie tak bardzo.

To wiele kilometrów stąd. Tysiące kilometrów. Prawie tak daleko, jak tylko można się oddalić, nie wracając do tego samego punktu. Nawet w wieku względnie

wygodnych podróży powietrznych, kiedy świat zrobił się bardzo mały, stał się globalną wioską, Australia nadal jest Cholernie Daleko Stąd. Skoro EasyJet nie lata tam za dziesięć funtów, trzeba uznać to za bardzo odległe miejsce.

- To potrwa pół roku - ciągnie Luby. - Tylko tyle, a potem wracam do Wielkiej Brytanii.

Sześć miesięcy. W tym czasie wszystko może się wydarzyć. Jakie są szanse, że przez dwadzieścia sześć tygodni będzie unikał lokalnych atrakcji? Już go sobie wyobrażam, jak biegnie po plaży Bondi w zwolnionym tempie z jakąś biuściastą, farbowaną blondynką w stylu *Słonecznego patrolu*. Oboje mają deski surfingowe pod pachami, a gorące słońce praży ich brązowe ciała. Nie podoba mi się ten obrazek.

- Chodzi o to... - mówi Luby, a ja desperacko staram się odciągnąć uwagę od tego przygnębiającego obrazu. - Chodzi o to, że... chciałbym, żebyś pojechała ze mną, Ślicznotko.

Teraz cała jestem czujna i zwarta.

- Ja? Z tobą? Do Australii? - pytam głośniej, niż powinnam w tak eleganckim miejscu czy właściwie w jakimkolwiek miejscu. - Ja? Z tobą? Do Australii? - powtarzam, nie dowierzając.

To dlatego nigdy nie byłam prymuską. Spowolnienie funkcji poznawczych w sytuacjach kryzysowych. Egzaminy zamieniały się w piekło.

- Przez cały ranek nie umiałem myśleć o niczym innym. To świetny pomysł. - Luby zachęcająco ściska moją dłoń. - To idealny moment, pod wieloma względami. Co cię tu trzyma? Między tobą a Marcusem wszystko skończone. Masz beznadziejną robotę bez perspektyw. Żadnych zobowiązań.

Nie jestem pewna, czy podoba mi się, że pan Aiden Holby opisuje moje życie w tak deprecjonujący sposób. Aż za bardzo to odpowiada rzeczywistości.

- To nam obojgu może dać szansę na nowy start. Pozwolić naszemu związkowi rozwijać się z dala od tego całego szamba. - Machnął szeroko ręką. - Co mamy do stracenia? Znamy się dość, żeby zdawać sobie sprawę, że warto spróbować, nie uważasz?

Znowu zaczynam się śmiać - tym razem powraca historyczna nuta. Podejrzewam, że wzmocniona alkoholem.

- Moglibyśmy - szepnęłam.

Kiedy tylko powiedziałam to na głos, zaczynam wierzyć, że moglibyśmy, naprawdę moglibyśmy. Jak mówi Aiden - co mnie tu trzyma? Jedyne osoby, za którymi naprawdę bym tęskniła, to dziewczyny z Klubu Miłośniczek Czekolady. Bez wątpienia ich brak pozostawiłby wielką wyrwę w moim świecie, ale bez kogo jeszcze nie mogłabym żyć? Nikt mi nie przychodzi na myśl, Wielki Nikt. I chyba mają czekoladę w Australii, prawda? Muszą mieć. Albo mogłabym poprosić Clive'a, żeby przysłał mi paczki z zapasami. A może nawet mogłabym założyć na antypodach filię Klubu Miłośniczek Czekolady.

- Czy to oznacza tak? - pyta nerwowo Luby. - Pojedziesz ze mną?

- Tak! - odpowiadam ze śmiechem. - Tak, pojedę.

Poprawiając ułożenie nogi w gipsie, Aiden pochyla się nad stołem i przyciąga mnie do siebie.

- Nawet nie wiesz, jak mnie tym uszczęśliwiłaś.

I wtedy jego wargi odnajdują moje i całuje mnie. W środku eleganckiej restauracji, gdy wszyscy patrzą. Słyszę brzęk sztućców. Mam przeczucie, że zrzuciłam

groszek na podłogę, ale nic mnie to nie obchodzi. Usta Lubego są ciepłe, miękkie i smakują szampanem. Dreszcz przebiega przez całe moje ciało aż do stóp, zatrzymując się po drodze w paru ciekawych miejscach. I chyba jestem bardzo zadowolona, że powiedziałam „tak”.

78

Zamawiamy następną butelkę szampana i wypijamy ją aż za szybko. Bąbelki uderzają mi prosto do głowy i myśli mi się płaczą. Ale bardziej jestem pijana radością niż tym, co można znaleźć w butelce.

- Jak myślisz, kiedy pojedziesz? - pytam rozmazana.

- Kiedy my pojedziemy, Ślicznotko - poprawia mnie Luby i znowu czuję dreszczyk w różnych dziwnych miejscach. - Kiedy tylko pozbędę się tego. - Zerka na gips. - Wychodzi na to, że nie można podróżować z nogą w gipsie. Powinni mi go zdjąć w przyszłym tygodniu. Więc pewnie wyjadę w następnym tygodniu.

To dwa tygodnie!

- Muszę znaleźć kogoś, kto wynajmie moje mieszkanie.

I muszę kupić szorty, T-shirty, krem z faktorem 500 i repelent przeciwko owadom o sile rażenia broni biologicznej.

- Zapłacę za twój bilet.

- Nawet przez myśl by mi to nie przeszło - odpowiadam z większą brawurą, niż pozwala na to stan mojego konta bankowego. - Pewnie masz masę wydatków. Dam sobie radę.

Po prostu maksymalnie wykorzystam kartę kredytową. Ciekawe, czy długi wędrują za człowiekiem na drugą półkulę? Tak, to więcej niż pewne.

- Zamieszkamy w Sydney - mówi Luby.

Zaczyna mu się plątać język i myślę, że powinniśmy zwolnić z bąbelkami, tylko że butelka jest już pusta. Jak to się stało?

- Nigdy tam nie byłem, ale podobno jest świetnie. Targa wynajmuje dla mnie mieszkanie.

- Dla nas - poprawiam go i oboje chichoczymy jak dzieciaki. - Boże, co sobie pomyślą w firmie?

- A kogo to obchodzi? - mówi Luby, bawiąc się moimi palcami.

- Pewnie się zdziwią - odpowiadam. - Sama jestem zdziwiona.

Czekajcie, aż się Puszczalska Charlotte dowie! Ha, ha! Ale się ułożyło. Szczupła, śliczna osóbką - zero. Pulchna czekoladoliczka - jeden!

- Będę mogła tam pracować?

- Nie wiem - przyznaje Aiden. - Może Targa znajdzie coś dla ciebie.

- Porozmawiam z jędzami z kadr.

Na pewno będą zachwycone możliwością zorganizowania mi czegoś w Australii, jeśli dzięki temu pozbędą się mnie na pewien czas.

Jakimś cudem zebraliśmy się w sobie na tyle, żeby zamówić deser. Właśnie stoi przed nami ogromna taca czekolady, a ja próbuję trafić łyżeczką z ostatnim kęsem musu z białej czekolady w usta Lubego, ale nie udaje mi się i brudzę mu nos. Chichoczymy żałośnie, kiedy Luby wyciera się serwetką.

- Jesteś pewien, że chcesz tego? - pytam go najtrzeźwiejszym tonem, na jaki mogę się zdobyć.

- Podzielić się z tobą deserem?
- Nie, głuptasie. Wyjechać razem ze mną.
Znowu chichoczymy.
- Jestem pewny. A ty?

Strasznie się rozklejam, gdy odpowiadam, że tak. Łza spływa mi po policzku, a Luby delikatnie ją ociera kciukiem.

- Chcę się tobą zaopiekować. - Patrzy w moje rozmaślane oczy. - Chcę o ciebie dbać i cię hołubić.

- Ja też tego chcę - zgadzam się półgłosem.

Biorę jego rękę i przykładam sobie do policzka.

- Nie wracajmy do biura - proponuję. Szczerze mówiąc, chciałabym, żeby to dbanie i hołubienie zaczęło się jak najszybciej. - Nikt nie zauważy, że nas nie ma. Chodźmy do mnie.

- To mi wygląda na bardzo dobry pomysł, Ślicznotko.

Jakoś udaje nam się zapłacić rachunek i chwiejnie wstać. Luby kiepsko się trzyma. Podskakuje w miejscu, próbując ustawić kule w stabilnej pozycji.

- Wszystko w porządku?

Sapie - w oddechu czuć nieco alkohol - próbuje się wyprostować i robić wrażenie trzeźwego.

- W porządku - zapewnia mnie. - Spokojnie.

Usiłuję go prowadzić, kiedy skokami wychodzi z restauracji, odsuwam mu krzesła z drogi, robiąc wolne przejście, choć sama idę wężykiem. Ta druga butelka szampana to był kiepski pomysł. Bardzo kiepski.

Po wyjściu z restauracji, kiedy jesteśmy w pustym korytarzu, Luby znowu przyciąga mnie do siebie. Opieram się o ścianę, a on przyciska się do mnie całą długością ciała i namiętnie całuje. Jego dłonie wędrują po całym moim ciele. Żałuję, że moje ubranie nie jest cień-

sze, bardziej jedwabiste, a najlepiej nieistniejące. Wszystko we mnie wybucha płomieniami. Lgnę do niego. Wcześniej nie miałam nawet pojęcia, co to znaczy lgnąć. Tracę resztki rozsądku, jakie mi jeszcze zostały. Nie mogę się doczekać, żeby zabrać go do siebie.

- Czy myśmy powariowali? - mruczy mi we włosy Aiden.

- Tak - dyszę. - Jesteśmy szaleńczo, bezczelnie nierozważni. Ale uważam, że to cudowne.

- Ja też.

Ewidentnie Luby pragnie mnie tak samo jak ja jego. Dlaczego w restauracjach nie ma pokojów, które można by wynajmować na godziny? To byłaby całkiem użyteczna usługa. Na pewno są inne pary, które podobnie się czują po bardzo dobrym lanczu i zbyt dużej ilości alkoholu. Pary! Luby i ja jesteśmy parą! My jesteśmy parą!

Zanim oboje eksplodujemy, udaje nam się oderwać od siebie, poprawić ubrania, obrzucić spojrzeniem pełnym tęsknego pożądania i ruszyć znowu do wyjścia z restauracji. Wszystko idzie względnie dobrze, dopóki nie docieramy do windy. Teraz wisi na niej ogromny napis „NIECZYNNNA”.

- Cholera, co teraz? - pytam.

- Dam radę zejść po schodach - odważnie stwierdza Luby.

- Jesteśmy na czwartym piętrze.

Niepewnie ściąga brwi.

- Na pewno dam radę.

- Schodziłeś wcześniej o kulach po schodach?

- Nie bardzo - przyznaje się.

- Sprawdźmy, czy nie ma windy kuchennej. To może oznaczać jazdę z warzywami, ale lepsze to niż skakanie na sam dół.

- Nic mi nie będzie. Na pewno.

I to powiedziawszy, zaczyna schodzić po schodach, zeskakując ostrożnie schodek po schodku. Serce podchodzi mi do gardła. Luby z trudem zachowuje równowagę. Sama chwieję się na nogach, a nie muszę dodatkowo manewrować nieporęcznymi kulami. Ledwo mogę na to patrzeć.

Zeszliśmy kilka schodków, kiedy Luby paskudnie traci równowagę. Kule ześlizgują mu się ze schodka, ale jakimś cudem udaje mu się złapać równowagę. Chichocze, łapiąc oddech.

- Niewiele brakowało - z trudem sapie.

- Pozwól, że będę szła pierwsza - błagam. - Postaram się przytrzymywać ci kule.

- Nie ma potrzeby.

- Zaufaj mi. No, proszę.

Ruszamy znowu, ja idę przed nim tyłem do przodu.

Luby skacze za mną. Wydaje mi się, że teraz schodzi nieco stabilniej.

- No chodź - ponaglam go. - Dobrze. Spokojnie zejdziesz.

- Dam sobie radę, Lucy, serio. Sama patrz, gdzie idziesz.

Rozkładałam rękę, na wypadek, gdyby miał polecieć.

- Ostrożnie, ostrożnie.

- Schody za tobą są węższe - ostrzega mnie.

- Co?

Odwracam się i nie bardzo wiem, co się dzieje, ale jakoś podwija mi się noga. Tracę równowagę i potykam się. Luby natychmiast upuszcza kule i rzuca się, żeby mnie złapać. Ale tylko wpada w poślizg i nie daje rady mnie przechwycić. A ja lecę. Lecę, lecę i lecę.

Davina skacze jak wariatka. A ja nie. Leżę na sofie i objadam się czekoladkami Bendicks Gorgeous, których pudełko leży na moim brzuchu, podczas gdy ja udaję, że przez samo oglądanie kasety z ćwiczeniami metodą osmozy przeniknie we mnie ich zbawienny wpływ. Złamaną nogę w jaskraworóżowym gipsie opieram na stosie poduszek. Mam wrażenie, jakby tysiąc mrówek chodziło w tę i z powrotem pod gipsem, co doprowadza mnie do szału. Nie mogę uwierzyć, że Luby przeszedł to wszystko bez słowa skargi. Ja łykam jedną pigułkę przeciwbólową za drugą i jęczę nad swym nieszczęściem każdemu, kto jest na tyle głupi, żeby słucać. Dzwonię nawet codziennie do mamy, żeby pomarudzić - jest aż tak źle. Mam wrażenie, że należy mi się taka kara po moim spektakularnym upadku ze schodów w Tower.

Rozlega się wesołe pukanie do drzwi i wchodzi Aiden. On, jak na ironię, już bez gipsu, ale za to o lasce, co dodaje jego wizerunkowi wyrafinowania. Podchodzi i całuje mnie.

- Jak się miewasz dziś rano, Ślicznotko?
- Marudnie - odpowiadam i zrzucam czekoladki, kiedy już bierze sobie jedną.
- Głowa do góry - mówi i znowu mnie cmoka.

Aidenowi zdjęto gips ponad tydzień temu i teraz - oczywiście - wybiera się do Australii jako dyrektor sprzedaży, który ma zorganizować nowy dział marketingu dla Targi. Wylatuje dzisiaj. Beze mnie.

- Masz dość czekolady, żeby jakoś przetrwać?

Lodówka pęka w szwach od tego towaru. Ja pękam w szwach. Chociaż mam gorącego faceta, czekolada to obecnie moje jedyne pocieszenie. Z powodu mojego chwilowego inwalidztwa jeszcze nie skonsumowaliśmy z Lubym naszego związku - co jest bardziej niż tylko trochę frustrujące. Rozkoszujemy się dobrym, staroświeckim tuleniem i całowaniem, ale czasem to nie wystarcza, prawda? Zwłaszcza kiedy Luby ma właśnie odejść w siną dal na sześć miesięcy.

- Przyniosłem ci jeszcze trochę. - Aiden kładzie na stoliku szeroki wybór tabliczek Green & Black oraz pudełek z czekoladkami. - Na wypadek, gdyby zaczęły ci się kończyć.

Będę ważącym pół tony sterowcem z potwornym trądzikiem, zanim stanę na nogi. Ale na pewien dziwny sposób, pomimo obecnego upośledzenia, jestem szczęśliwa jak nigdy w życiu. Podniosła mi się samoocena. Mam lepszy obraz siebie. Nawet odzyskałam nieco tak smutno utraconej pewności siebie. Choć jest ono jeszcze bardzo małe, ale zdecydowanie małe ziarenko szczęścia we mnie grozi, że w każdej chwili urośnie i rozkwitnie. Składałam to wszystko na karb ostatecznego, raz na zawsze dokonanego rozstania z Marcusem Łajdakiem z Piekła Rodem i zastąpienia go kojącym wpływem Lubego, który w ostatnich tygodniach jest chodzącym cudem. Jak ja radziłam sobie do tej pory bez niego? Jak poradzę sobie, kiedy wyjedzie? Zalewa mnie fala paniki. Sięgam po czekoladę. Jem czekoladę. Wzdycham

z zadowoleniem. Muszę panować nad nerwami, kiedy będzie po drugiej stronie globu.

Wszystkie dziewczyny z Klubu Miłośniczek Czekolady zaglądały do mnie w tym tygodniu, także uzbrojone w czekoladowe smakołyki w najróżniejszych formach i serdeczne słowa współczucia. Przyniosły mi z biblioteczki w Czekoladowym Niebie kilka książek z motywem czekolady, żebym się nie nudziła, oraz DVD z *Charliem i fabryką czekolady* oraz *Czekoladą* - oba filmy z Johnnym Deppem. Zastanawiam się, czy on też jest uzależniony od czekolady. Jeśli tak, to pokocham go jeszcze bardziej. Czytam *Przyjaciół, kochanków, czekoladę* Alexandra McCalla Smitha i zostawiam sobie Johnny'ego Deppa na później, kiedy już naprawdę zrobi mi się ciężko na duszy. Dziewczyny zajrzą dziś jeszcze, żeby mnie rozweselić.

- Ładne kwiaty - mówi Aiden.

Na niskiej komódce stoi ogromny bukiet bladoróżowych róż.

- Przyniesiono je dziś rano.

Tym razem na pewno są od Marcusa. Ma tupet! Nie wiem, jak ten łajdak, mój eks, dowiedział się o mojej złamanej nodze, ale ktoś z naszych wspólnych znajomych musiał mu powiedzieć. Kartka, długa, z ckliwymi tekstami, które pracowicie nabazgrał, poszła od razu do kosza. „Buziaczki, buziaczki. Nadal cię kocham. Tak cię przepraszam”. Chrzanianie. Już to słyszałam, Marcus. To już nie działa. Mam na twoje miejsce wspaniałego faceta. Ha! Ale kwiaty za bardzo mi się podobały, żeby je wyrzucić. Szczerze mówiąc, to byłoby marnotrawstwo.

- Od starego przyjaciela - wyjaśniam Lubemu, nie chcąc nawet wypowiadać imienia Marcusa, nie mówiąc już o chwaleniu go za świetny gust w dziedzinie kwiatów.

Jeśli mój nowy mężczyzna ma jakieś podejrzenia co do pochodzenia kwiatów, to nie wyraża ich na głos.

- Nie chcę cię zostawiać - mówi Aiden. Głaszcze mnie po włosach, odgarniając je delikatnie za ucho.

- Nic mi nie będzie - odpowiadam, ale wybucham płaczem.

Obejmuje mnie i tłumaczy:

- To nie potrwa długo. Kiedy tylko zdejną ci gips, możesz do mnie dojechać. - To potrwa wiele tygodni. Wiem z poprzednich doświadczeń. Ociera mi łyzy brzegiem mojej koszulki. - Wszystko dla nas przygotuję. Może nawet tak jest lepiej. - Wtedy dociera do niego, że palnął głupotę i oboje wybuchamy śmiechem. - Może rzeczywiście tak wcale nie jest lepiej, ale wiesz, co miałem na myśli.

Zapadam się w poduszki. Ten układ wydaje mi się nieco nierealny. Nadal jestem przekonana, że kiedy tylko Luby wylądjuje po drugiej stronie globu, natychmiast o mnie zapomni. W mojej głowie ponownie puszczają film o blond lasce z plaży.

- Nie mogę długo zostać - mówi Aiden, na szczęście przerywając seans filmowy, który zaczynał się robić nieco pornograficzny. - Niedługo przyjedzie po mnie taksówka, mam jeszcze mnóstwo rzeczy do spakowania.

- Mam nadzieję, że wszystko ci się dobrze ułoży. Będzie mi ciebie bardzo brakować.

- Ja też będę tęsknić, Ślicznotko.

Podchodzi, klęka przede mną i kładzie dłonie na moich biodrach. Chwilę potem przechodzimy na tryb obściskiwania. A potem powoli rozpina moją bluzkę od dołu i całuje mój brzuch, przesuwając się w górę.

- Chcę cię taką zapamiętać.

- Co? Grubą, niechlujną, żałosną, unieruchomioną i dogłębnie sfrustrowaną?

- Nie, tak cudną jak zawsze.

- Moglibyśmy się raz kochać - mówię z nadzieją. - Tutaj, teraz. Moglibyśmy zrobić to szybko.

- Nie chcę się spieszyć. - Aiden marszczy czoło. - Czekaliśmy tak długo, żeby być razem. Chcę to zrobić porządnie.

- Mnie wystarczy nieporządnie.

- Możemy poczekać.

On może tak, ale nie wiem, czy ja wytrzymam.

- Chodź, połóż się obok mnie.

Przesuwam się i Luby kładzie się.

- Po prostu obejmij mnie.

I oczywiście w ciągu kilku sekund robimy wszystko, oprócz przytulania się. Nasze usta płoną i szukają czegoś więcej. Nawet ośmiornica pozazdrościłaby nam tego, jak pracują nasze kończyny. Udało mi się rozpiąć Aidenowi koszulę, moja bluzka też zniknęła, a w ślad za nią mój stanik. Krew buzuje. Moje sutki - oraz inne rzeczy - stoją sztywno. Każde miejsce, które należało pocałować, pocałowano - i nawet kilka, których być może nie trzeba było. Wszystko idzie jak po maśle. Idealny, podręcznikowy przykład seksu. Wzdycham z radości.

- Och, Lucy - mruczy mi do ucha Aiden.

Jest jak w niebie. Każdy nerw w moim ciele ożywa, drżąc od cudownych doznań. Aiden rozpina mi spódnicę. Szarpiąc się z nią potwornie, udaje mu się ją ściągnąć przez biodra i nogę w gipsie. Może i nieco uziemiło mnie moje chwilowe inwalidztwo, ale moja moc bogini miłości nie osłabła, o nie! Między mną i rozkoszą znajduje się już tylko para cieniutkich fig - dobry wybór dzi-

siejszego ranka. Nie żebym wyobrażała sobie, do czego może dojść. Ha, ha! Luby zahacza kciukami o figi i zadając kłam mojej dawnej groźbie, że już nigdy nie tknie moich majtek ani pupy, zaczyna je zsuwać.

- Czekaj, czekaj - wołam. - Daj mi się przesunąć, to będzie nam łatwiej.

Łatwiej powiedzieć, niż zrobić. Przerzucam nogę nad Lubym i nie wiem, jak to się stało, ale chyba przerzuciłam ją trochę za daleko.

- Och, Lucy! - krzyczy Aiden, ale nie z radości.

Wymykam mu się z uścisku i robię fikołka z sofy, lądując z niepokojącym trzaskiem na podłodze. Darren znowu pomyśli, że ćwiczę z Daviną.

- Nic ci nie jest? - dopytuje się Luby.

Zerka na mnie z sofy i stara się nie śmiać.

- Nie złamałam drugiej nogi, jeśli o to pytasz.

Pomaga mi wstać z podłogi, strzepując spódnice, którą mam na wysokości kolan, i pomaga mi się ubrać. Czuję, że nastrój przysł. Czasem to się po prostu wie.

- Powinniśmy poczekać, aż dojdiesz do siebie - mówi, przypuszczalnie mając na myśli moją nogę, a nie poziom alkoholu we krwi. - Nie chcę, żebyś sobie zrobiła krzywdę.

Jedynie obrażenia, po raz kolejny zresztą, odniosła moja duma. Luby zapina koszulę.

- Muszę już iść, Ślicznotko.

- Mogłabym pojechać na lotnisko.

- Naprawdę wolałbym, żebyś została w mieszkaniu i nigdzie nie wychodziła, dopóki ci tego nie zdejmą. - Wskazuje na gips. - Potrafisz się wpakować w niezłe kłopoty, kiedy jesteś w pełni sprawna, wolę nie myśleć, co byś nawyprawiała o kulach.

- Ty sobie dawałeś radę.

- To dlatego, że mężczyźni są lepsi we... wszystkim. Solidnie przywalam mu poduszką.
- Przypomnij mi, czemu właściwie cię kocham?
- Bo gdy tylko będziesz mogła, jak prawdziwy rycerz w lśniącej zbroi zabiorę cię, abyś żyła lepszym życiem.

Znowu napływają mi łzy do oczu. Czas, żeby Luby już się zbierał. Zagryzam usta, żeby się nie popłakać.

- Kocham cię.
 - Ja ciebie też kocham, Ślicznotko.
 - Nie zapomnisz o mnie, prawda?
- Ujmuje moją twarz i całuje mocno.
- Jak bym mógł?

- Moje życie osobiste to padół łez, przez który wlokę się umęczona - mówię i wzdycham ciężko jak bohaterka romansu.

- Już niedługo - pociesza mnie Chantal - twoje życie miłosne zamieni się w kwiecistą łąkę, przez którą będziesz biec w radosnych podskokach.

- To już jak zdejma mi gips ze złamanej nogi?

- Oczywiście.

- A mają kwieciste łąki w Australii? - dopytuję się.

- Przestań marudzić - odzywa się Nadia. - Zjedz jeszcze trochę czekolady.

Chętnie bym jej posłuchała, ale przez złamaną nogę leżącą na krześle nie mogę sięgnąć do talerza z ciastkami - to by wymagało przyjęcia jednej z bardziej zawansowanych pozycji w jodze. Czegoś, do czego w tej chwili nie jestem za bardzo gotowa. Autumn kładzie kres memu cierpieniu, kiedy kończy podpisywać czarnym flamastrem gips, i uprzejmie podaje mi ciastko. Siedzę rozparta na poduszkach w Czekoladowym Niebie.

- To chwilowe opóźnienie - przypomina mi Chantal.

- Już niedługo będziesz lecieć na antypody.

- Tak? - Zważywszy na to, jak zwykle układa się moje życie, szczęśliwe zakończenie nigdy nie jest stu-procentowo pewne.

- Przecież Luby pisze do ciebie i dzwoni dziesięć razy dziennie - mówi Autumn.

Uśmiecham się z zadowoleniem i dziękuję Bogu Nowoczesnej Techniki, że porozumiewanie się jest możliwe, chociaż mieszkamy w różnych strefach czasowych. Przytulam czule jedną z poduszek Clive'a.

- Fakt.

- Zanim tam dotrzesz, facet uschnie z tęsknoty za tobą.

Sądząc po gorących tekstach, które sobie wysyłałimy, podejrzewam, że już usycha. Nasze boleśnie przerwane próby odbycia stosunku na sofie najwyraźniej go nie zniechęciły.

- Marcus Łajdak odzywał się jeszcze? - pyta Chantal. Kręcę głową.

- Nie.

- Dobrze. Miejmy nadzieję, że naprzykrzał się ostatni raz.

- Zgadzam się w pełni.

- Może się jeszcze zjawić i zacząć węszyć, gdy usłyszysz, że wyjeżdżasz do Australii. Strzeż się! - ostrzega mnie Nadia jak plakat z czasów wojny.

- Nie mogę uwierzyć, że nas opuścisz - mówi Autumn. - Co my bez ciebie zrobimy?

Szczerze mówiąc, też nie mogę w to uwierzyć. Co zrobię bez moich najlepszych dziewczyn? Kto mnie pocieszy w chwili kryzysu? Bo nie oszukujmy się, chociaż wybieram się na drugi koniec świata, kryzysy będą mnie ścigać jak stado głodnych ogarów. Wszystkie tyle przeszliśmy w czasie ostatnich miesięcy. Co zrobię bez regularnych narad z członkiniami Klubu Miłośniczek Czekolady?

- Będziemy w kontakcie? - ciągnie Autumn ze łąką w oku.

- Do diabła, jeszcze nigdzie nie jadę. Miną tygodnie, zanim zdejmą mi to dziadostwo. - Znowu się krzywię na różowy gips. - Będziecie musiały mnie znosić jeszcze przez jakiś czas. Wszystkie musicie uporządkować swoje życie, zanim wyjadę. A potem życzę sobie regularnych raportów. - Kiwam głową do Autumn. - Wyślij mi zaproszenie na ślub, jeśli ułoży ci się z Addisonem. Mogę wrócić w każdej chwili.

Autumn czerwieni się.

- Lucy!

- Znam dobre miejsce na ślub z rezerwacją w walentynki. Nie znajdziesz niczego bardziej romantycznego.

- Ja też próbuję ułożyć sobie z powrotem życie - odzywa się Nadia. - Toby wytrzymał prawie miesiąc bez grania. Tym razem wierzę, że rzucił to na dobre. Chcę mieć tylko absolutną pewność, zanim wrócimy z Lewi-sem. Póki Chantal wytrzymuje z nami...

Zerka na przyjaciółkę.

- Uwierz mi, to sama radość. Codziennie wracam do domu i widzę gotową kolację i wino w kieliszku. Może powinnam się rozwieść z Tedem i wyjść za ciebie, Nadia. Niezła z ciebie partia.

Śmiejemy się, chociaż gejowskie śluby są już legalne i teoretycznie mogłyby to zrobić.

- Poza tym - dodaje Chantal - trochę się przyzwyczaiłam do obecności tego małego faceta. Jeśli wrócisz do Toby'ego, będę musiała kupować wielkie torby czekoladowych guzików tylko dla siebie!

- Jak się mają sprawy z Tedem?

- Spotykamy się na randkach - mówi, wzruszając ramionami. - Raz, dwa razy w tygodniu. Poszliśmy do kina. Byliśmy na kameralnych kolacjach w drogich res-

tauracjach. Niedługo będę wielka jak ten budynek. - Chantal pokazuje spódnice w pasie. Może rzeczywiście opina się nieco bardziej niż zwykle. Chantal wzdycha. - Nic na to nie poradzę, ale mam wrażenie, że ciągle kręcimy się przy brzegu parkietu.

- Może po prostu musisz mu dać trochę czasu? - sugeruję.

- Tego to ja mam mnóstwo. Nie martw się, będę się trzymać, aż go zmęcę. Ale chcę powiedzieć, że nie wiem, jak bym przez to wszystko przeszła bez was, dziewczyny. Byłyście cudownymi przyjaciółkami, najlepszymi.

A ponieważ zasadniczo, w głębi serca, nadal jest Amerykanką, robimy jej tę przyjemność i ujmujemy się za ręce wokół stołu.

- Za Klub Miłośniczek Czekolady - mówię. - Obyśmy długo królowały.

- Za Klub Miłośniczek Czekolady - powtarzają moje przyjaciółki i wznosimy toast parującymi kubkami z gorącą czekoladą.

A prawda jest taka, że mężczyźni w naszym życiu mogą się pojawiać i odchodzić, mogą dawać nam wielką przyjemność albo sprawiać ból, ale cokolwiek się wydarzy, zawsze mamy siebie i mamy czekoladę. Nikt nam tego nie odbierze.

Przy ladzie wysoki biznesmen w szarym garniturze wybiera czekolady z pomocą Clive'a. Zerka w naszą stronę i uśmiecha się.

- Rety, ale przystojniak! - zachwyca się Chantal.

Krzywimy się do niej. Unosi ręce i dodaje pospiesznie:

- Tylko patrzę!

- Autumn. - Szturcham ją łokciem. - W twoim typie?

- Na moje oko głośuje raczej na konserwatystów niż Partię Zielonych - mówi, zaciskając usta w zamyśleniu.
- Wygląda na kogoś, kto myłby puszki przed wyrzuceniem do pojemnika na metal?

- Nie - odpowiadamy zgodnie.

- Więc będę się trzymać Addisona - uśmiecha się zadowolona z siebie. - Nie wygląda aż tak bardzo na dominującego samca.

- Pewnie - zgadzam się. - Nie ma aż tak wielu facetów, którzy dorastaliby do twoich oczekiwań.

Mężczyzna znowu się uśmiecha, a potem wesoło macha do nas i wychodzi. Odpowiadamy machaniem i chichoczymy.

Clive podchodzi.

- Wygląda na to, że zyskałyście wielbiciela, drogie panie. - Nasz diler trzyma talerz najlepszych czekoladek. - Podesłał to.

Clive wręcza mi talerz.

- Dla mnie? Czy dla nas wszystkich?

- Dla was wszystkich. Ale zapytał, kim ty jesteś, Lucy.

- Pytał o mnie?

- Jeśli mam dokładnie powtórzyć, to zapytał: „Kim jest ta ładna blondynka z gipsem?”.

- No tak, ale zapytał, bo mi współczuł, że jestem biedną kaleką, czy dlatego, że mu się spodobałam?

- Nie wiem. - Clive rzucił swoje najlepsze zmęczone spojrzenie mówiące Jestem facetem i gejem, sama to rozgryź”.

Odchodzi, zostawiając nas z naszym łupem. Patrzymy z niedowierzaniem na stos czekoladek na talerzu.

- Mmm - mruczę. - Ktokolwiek to jest, ma świetny gust.

Częstuję dziewczyny czekoladkami; każda wybiera swoją ulubioną. Nadia bierze imbirową, że świeżo utartym imbirem. Doskonała czekolada na zimowe poranki z filiżanką mocnej kawy. Autumn wybiera „angielską różę” - delikatna, klasyczna czekoladka, którą Clive perfekcyjnie przygotowuje, robiąc nadzienie z gęstego kremu czekoladowego z płatkami różanymi - niebo w gębie. Chantal sięga po czekoladkę Earl Grey z wyrazistym aromatem bergamotki, który wydobywa się stopniowo, zostawiając długi, trwały posmak - ma się wrażenie, że dostało się dwie czekoladki w cenie jednej. Teraz moja kolej. Co wybrać? Jak zawsze duży wybór utrudnia mi decyzję. Moje dłonie krążą nad talerzem - każdą czekoladkę uwielbiam i na każdą mam ochotę. Cytrynowa z tymiankiem? Z syczańskim pieprzem? Decyduję się na specjalność zakładu - karmelową z solą morską.

Układam się na poduszkach i zamieram na chwilę, rozkoszując się podnieceniem przed pierwszym kąsem. Potem wrzucam czekoladkę do ust, ciesząc się delikatną, ciągnącą się fakturą, aż idealna mieszanka Clive'a zadziała i przebija się posmak nierafinowanej soli z Bretanii. Karmel cudownie rozpląwa się w ustach. Teraz naprawdę jestem w Czekoladowym Niebie. Wzdycham z rozkoszy.

Zapomnijcie o brylantach. Na pewno odkryjecie, że to czekolada jest najlepszym przyjacielem dziewczyny.